

WZNIOSŁE UCZUCIA, BEZWSTYDNE IGRASZKI,
GORĄCE NAMIĘTNOŚCI

K A T H R Y N T A Y L O R

BARWY MIŁOŚCI
ZATRACENIE



KATHRYN TAYLOR

BARWY MIŁOŚCI
ZATRACENIE

przełożył
Miłosz Urban



Tytuł oryginału: *Colours of love – Verloren*

Projekt okładki: *Laser*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lingventa, Kamil Kowalski*

Copyright © 2014 by Bastei Lübbe AG, Köln

All rights reserved.

For the cover illustration © Milleflore Images/Shutterstock

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Miłosz Urban

ISBN 978-83-287-0538-8

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2017

Dla S. i C.

Gdzie bym była, gdyby nie Wy?

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24

Rozdział 1

Unoszę się. Wiem, że muszę szybko coś zmienić, ale nie mogę. Jeszcze nie. Najpierw powinnam uspokoić serce, które łomocze mi w piersi. Ale przed chwilą byłam przekonana, że spadając ze schodów, skręcę sobie kark.

Dobrze by było również nabrać w końcu powietrza i odetchnąć z ulgą, że nic mi się nie stało. Ale nie mogę. Chyba zapomniałam, jak się oddycha. W zasadzie nie potrafię niczego poza wpatrywaniem się w mężczyznę, który mi się przygląda, marszcząc brwi.

Wpadające przez okno promienie wieczornego słońca tworzą złote refleksy na jego ciemnoblonde włosach, co idealnie pasuje do oczu, połyskujących niesamowitym ciepłym blaskiem bursztynu. A ta twarz... posągowa, naprawdę! Wysokie kości policzkowe, prosty nos i pełne usta. Jak jeden z marmurowych posągów, których tak wiele tutaj w Rzymie. No dobrze, może ma nieco za długie włosy, bo opadają mu na czoło. Ale mimo wszystko... tak idealnie przystojnych mężczyzn nie spotyka się na co dzień, co rodzi we mnie obawę, że jednak spadłam ze schodów i śnię, leżąc w śpiączce.

– *Tutto a posto?* – pyta mnie głębokim, jak najbardziej prawdziwym głosem i przesuwa po mnie wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście nic mi się nie stało. A kiedy to robi, dostrzegam na jego szyi, nieco z boku, bliznę. Biegnie zygzakiem, jest jasna i zaczyna się wysoko nad obojczykiem. Nie wiem, jak daleko sięga i jaki kształt przybiera na jego piersi, bo ginie pod koszulą z rozpiętym kołnierzykiem, ale jestem pewna, że to nie drobnostka. Musiało się zdarzyć coś poważnego. Ale w jakiś sposób ta blizna pasuje do niego. Sprawia, że jest bardziej... realny.

Sophie, ganię się w myślach, on przecież jest realny! Przetykam ślinę, kiedy nagle wraca mi poczucie rzeczywistości, chwilowo odebrane mi przez szok. Dopiero teraz czuję na plecach wielkie dłonie mężczyzny, który mnie podtrzymuje, i dopiero teraz zauważam, że odruchowo wczepiłam się w jego rękaw i podszewkę beżowej marynarki.

A po kolejnych kilku sekundach wahania uświadamiam sobie, co się naprawdę stało i jak nieostrożnie się zachowałam, wspinając się na palce na krawędzi schodów, niczego się nie przytrzymując. Chciałam tylko uważniej się przyjrzeć obrazowi na ścianie, lecz kiedy zrobiłam krok naprzód, przydepnęłam materiał swojej długiej sukni, straciłam równowagę i upadłam. I w ten oto sposób znalazłam się w ramionach mężczyzny, który szedł za mną schodami i na szczęście mnie schwycił, zanim stało mi się coś gorszego; w ramionach obcego mężczyzny, niepokojąco blisko niego i wystawiona na jego spojrzenia, bo bez trudu mógł zajrzeć w mój głęboki dekolt. Przez co w końcu oprzytomniałam i odetchnęłam.

– Nic mi nie jest – mamroczę i z płonącymi policzkami usiłuję dotknąć stopami ziemi. Pomaga mi, lecz wciąż trzyma mnie za ramiona, nawet kiedy już stoję, jakby mi nie ufał, że sobie poradzę. I, niestety, ma rację, bo jestem strasznie roztrzęsiona. Mijają nas kolejni goście, sunąc schodami w górę, gdzie przyjęcie trwa już zapewne w najlepsze, i przyglądają się nam z zainteresowaniem.

Świetna robota, Sophie, myślę, zgrzytając zębami. Jestem na siebie zła, że tak ważny wieczór zaczynam od bolesnej wpadki. Isama nie wiem, co bardziej wytrąciło mnie z równowagi: sam upadek, czy raczej to, że do niego dopuściłam. Przyzwyczaiałam się, że mnie takie rzeczy się nie zdarzają. Nie jestem niezdarą i nie należę do kobiet, które bezradnie szukają wsparcia w męskich ramionach – co to, to nie! Przyczyną wypadku była moja sukienka – i tylko ona. Szybko poprawiam cienkie ramiączka, bo znów się zsuwają.

W zasadzie to ciuch jak marzenie. Suknia jest czerwona i długa, uszyta z lekkiego, falującego szyfonu. Dlatego nie mogłam jej się oprzeć, kiedy rano trafiłam na nią w jednym z butików w pobliżu via Nazionale. W Londynie, gdzie mieszkam, raczej nie zdecydowałabym się na taki model, bo zwykle na biznesowe spotkania noszę proste eleganckie sukienki etui albo kostiumy, których kilka mam w szafie. Jednak tutaj, w Rzymie, wszystkie wydały mi się strasznie nudne. Poza tym cena była wyjątkowo okazjna, a ja uznałam, że czerwień będzie idealnie pasować do moich czarnych włosów – dlatego musiałam ją mieć. Nie mogłam przecież przypuszczać, że niezwykle długa suknia przyczyni się do tak nieprzyjemnego upadku.

– Może mnie pan puścić – nieco zbyt oschle zwracam się mężczyzny, który przygląda mi się z zainteresowaniem, i pospiesznie dodaje już znacznie przyjaźniej: – Dziękuję.

To przecież nie jego wina, że się złoścę na własną nieuwagę. Na dodatek tylko jego szybkiej reakcji zawdzięczam, że nie spałam ze schodów, bo mogłoby być ze mną krucho.

Dopiero wtedy się orientuję, że cały czas mówię po angielsku, przez co on być może mnie nie rozumie. Nie wygląda na Włocha, choć przecucie mi podpowiada, że jednak nim jest – jego akcent brzmiał wyjątkowo naturalnie. Lecz kiedy zaczynam – na wszelki wypadek – powtarzać to samo w tutejszym języku, on się uśmiecha, a w jego prawym policzku pojawia się niesamowicie atrakcyjny dołeczek. I dalej się we mnie wpatruje.

– Na pani odpowiedzialność – mówi idealnym angielskim – to by było tyle, jeśli chodzi o moje obawy – i puszcza moje ramiona. Potem się schyla, by podnieść ze stopni torebkę koktajlową, którą upuściłam. Podaje mi ją i kiwa lekko głową. Teraz, kiedy moje płuca znów pracują normalnie, czuję zapach jego wody po goleniu, korzennej i bardzo przyjemnej, aż kręci mi się lekko w głowie.

– Proszę tylko na przyszłość uważać – dodaje, a jego szarmancki uśmiech się jeszcze pogłębia. – Sztuka to coś cudownego, ale nie powinna pani ryzykować dla niej życia.

Flirtuje ze mną, to jasne jak słońce, a ja jestem na to podatniejsza niż zwykle, najpewniej przez szok, który jeszcze mnie nie opuścił. Dlatego cieszę się, że sam z siebie cofa się o krok i spogląda na obraz, który ja przed chwilą tak uważnie oglądałam. Najwyraźniej chce sprawdzić, co takiego niemal spowodowało mój upadek. Podążam za jego wzrokiem i czuję, jak ponownie rośnie we mnie ekscytacja.

Obraz jest jednym z wielu dzieł sztuki: malunków, rysunków i rzeźb, które ozdabiają hol. Każde z nich sprawia, że serce bije mi szybciej, lecz ten obraz jest wyjątkowy. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, to długa podróż z Londynu do Rzymu już się opłacała.

– Obawiam się, że pan tego nie zrozumie, ale sztuka to moje życie – wyjaśniam z uśmiechem, nie odwracając wzroku od obrazu. – A Joseph Severn wart jest ryzyka.

Stuprocentowej pewności oczywiście nie mam – do tego musiałabym obejrzeć obraz dokładniej. Ale mimo to mogłabym przysiąc, że jest pędzla angielskiego malarza, który został zapamiętany głównie jako najbliższy przyjaciel Johna Keatsa, jednego z najznamienitszych angielskich poetów romantycznych – i przy okazji mojego ulubionego autora. Nigdy bym się nie spodziewała, że tutaj, w jednej z willi w Rzymie, znajdę dzieło Severna. To odkrycie zwiększyło mój apetyt na to, co jeszcze miałam tu znaleźć.

Oby tylko wszystko się udało, myślę i modłę się, żeby nasz dom aukcyjny zwyciężył w licytacji i żebyśmy to my zajęli się sprzedażą dzieł sztuki z tej posiadłości. Nie żebyśmy byli w szczególnie trudnym położeniu, ale właśnie podnosimy się po poważnych zawirowaniach finansowych i takie atrakcyjne zlecenie bardzo dobrze by nam zrobiło. Sytuacja na rynku obrotu dziełami sztuki jest chwilowo bardzo napięta i bez interesujących ofert, które przyciągnęłyby kupców, może być bardzo ciężko. Na dodatek moglibyśmy w ten sposób mocno rozbudować nasze kontakty z Włochami – to okazja, na którą bardzo czekałam. Musimy bowiem postawić na

rozwój i działalność międzynarodową, by konkurencja nas nie pokonała. Tylko jak mielibyśmy tego dokonać, skoro ani tata, ani ja nie możemy wyjechać z domu na dłużej niż kilka dni?

Przygryzam dolną wargę i postanawiam o tym nie myśleć. Bo wiem, że to nie fair, a na dodatek nienawidzę litowania się nad sobą. Życie jest, jakie jest, i narzekanie na pewno nic nie pomoże.

Z cichym westchnieniem odwracam się w stronę mężczyzny, który jeszcze nie zareagował na moją uwagę. Znów mi się przygląda, lecz wyraz jego oczu jest tym razem inny. Zainteresowanie, które wcześniej mimo promiennego uśmiechu wydawało mi się kurtuazyjne – czuję to – staje się szczere. W pewnej chwili nasze spojrzenia się krzyżują, a moje serce zaczyna bić szybciej. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby nie był tak cholernie przystojny. Ale na szczęście mam wieloletnie doświadczenie w ukrywaniu emocji, dlatego, mam nadzieję, i tym razem nie zdradzę, co naprawdę dzieje się w mojej głowie.

– Pani się zna na sztuce – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Warunek konieczny w moim zawodzie, tak – potwierdzam.

W pierwszym momencie wielu nie kryje zaskoczenia. Najwyraźniej mało kto wierzy, by dwudziestopięciolatka mogła cokolwiek wiedzieć na ten temat. Ale jeśli ktoś, tak jak ja, spędził całe dzieciństwo i dorastał wśród obrazów i rzeźb z różnych epok i stylów, a rodzina zarabia na życie, oceniając ich wartość i wystawiając na sprzedaż, szybko się nauczy, o co w tym chodzi. Kiedy inne dzieci ślęczały nad kolorowankami, mnie ojciec objaśniał tajniki stylu van Gogha, a zanim nauczyłam się czytać, potrafiłam wyliczyć różnice między impresjonistami a ekspresjonistami. Sztuka od zawsze była częścią mojego życia. I jeśli o mnie chodzi, nie chciałabym tego zmieniać.

Ale wtedy zauważam, że nieznajomy wcale nie jest zaskoczony. Jego mina jest raczej ponura, w każdym razie wyzywający uśmiech zniknął. Na jego czole na powrót pojawia się zmarszczka, teraz wyraźniejsza i ostrzejsza niż wcześniej, co mnie niepokoi.

– Czym się pani zatem zajmuje? – pyta.

Dopiero teraz sobie uświadamiam, jaki jest wysoki. Patrząc na niego, muszę zadzierać głowę, choć stoi o stopień niżej, a mimo eleganckiej jasnej marynarki i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem widać, że ma szerokie ramiona i bardzo wytrenowane ciało. Pewnie dlatego z taką łatwością schwycił mnie w locie. Przetykam nerwowo ślinę. Robi wrażenie, nie powiem. Gdyby tylko nie wpatrywał się we mnie tak intensywnie tymi swoimi bursztynowymi oczyma...

Weź się w garść, Sophie, powtarzam sobie w myślach. Od kiedy dajesz się tak łatwo onieśmiać jakiemuś mężczyźnie? Odchrząkuję, by wreszcie odpowiedzieć mu na pytanie i się przedstawić.

– Razem z ojcem prowadzę dom aukcyjny w Londynie. Jestem...

– Sophie Conroy – kończy za mnie w chwili, kiedy chcę podać mu dłoń, żeby się w końcu przywitać.

To znów nie jest pytanie, tylko stwierdzenie. I brzmi jak zarzut.

Rozdział 2

Opuszczam dłoń, spoglądając na niego zaskoczona i zmieszana.

– Czyżbyśmy się znali? – Gorączkowo przeszukuję każdy zakątek mózgu, by sobie przypomnieć. Czy kiedykolwiek spotkałam tego mężczyznę, a potem o tym zapomniałam? Nie. To niemożliwe. Z całą pewnością bym go nie zapomniała. Co to, to nie.

Potrząsa głową, a ja czuję ulgę – jednak nie cierpię na zaniki pamięci. Lecz po chwili zmieszanie wraca. Bo skoro nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, dlaczego wygląda tak, jakby żałował, że akurat mnie uchronił przed upadkiem ze schodów?

Chcę go o to zapytać, ba, chcę dowiedzieć się znacznie więcej, na przykład z kim mam przyjemność, lecz nie udaje mi się dojść do słowa, bo ktoś włącza się do naszej rozmowy.

– Matteo?

Głos dochodzi z góry, zza moich pleców. Oboje unosimy głowy, by zobaczyć ciemnowłosą kobietę stojącą u szczytu schodów. Wygląda świetnie, ubrana w szmaragdową suknię wieczorową. Ma na sobie drogą biżuterię z brylantami, co oznacza, że należy do mającej części gości.

– A więc tu się podziewasz! – woła do mężczyzny po włosku (znacznie lepiej rozumiem ten język, niż się nim posługuję) po czym uśmiecha się do mnie przepraszająco. – Pozwolisz?

Nieznajomy – Matteo, tak ma na imię – nagle bardzo się spieszy.

– Pani wybaczy. – To zabrzmiało prawie jak warknięcie. Rzuca mi ostatnie, przeciągłe spojrzenie, którego nie potrafię zinterpretować, a potem wbiega na górę, tak zwinnie przeskakując po kilka stopni, że w mgnieniu oka staje obok kobiety w szmaragdowej sukni. Wita się z nią mocnym uściskiem, a nie zwyczajowym tutaj pocałunkiem w policzki, a ona uśmiecha się do niego szeroko, najwyraźniej szczęśliwa, że go znalazła.

Jest od niego starsza – na moje oko on dopiero zaczyna, a ona kończy czwartą dekadę. Odruchowo zadaję sobie pytanie, czy są parą. Raczej są, a w każdym razie są bardzo blisko.

Kobieta raz jeszcze spogląda z zaciekawieniem w moją stronę i coś mówi – domyślam się, że pyta, kim jestem. Mężczyzna macha niechętnie dłonią i nawet na mnie nie patrzy, jakbym nic nie znaczyła. Następnie pozwala wziąć się pod rękę i ciągnie partnerkę za sobą, jak najdalej od schodów. Jak najdalej ode mnie.

Bosko, myślę, kiedy oboje znikają mi z oczu. Facet w zasadzie nie odezwał się od chwili, kiedy zgadł, kim jestem, lecz jego zachowanie nie pozostawiało wątpliwości: nie chce mieć ze mną nic wspólnego. I to bez słowa wyjaśnienia! Nawet się nie zająknął, kim jest, nic, w ogóle! Nieuprzejmość to mało powiedziane. Jestem tym poruszona bardziej, niżbym chciała. Bo cóż takiego mogłam mu zrobić, żeby tak się zachował?

Dopiero kiedy zaczęli mijać mnie kolejni goście, zmierzający jak wszyscy na piętro, uświadomiłam sobie, że cały czas stoję na schodach i wpatruję się w miejsce, gdzie zniknął tajemniczy mężczyzna i kobieta, która go zawołała. Zła na siebie unoszę suknię, by znów na nią nie nadebrać, i ruszam dalej, na górę, lecz tym razem ostrożniej i już bez żadnych przystanków.

Ten wieczór jest dla mnie ważny i mimo że rozpoczęłam go od drobnego potknięcia, nie tracę rezonu. Nie mam pojęcia, co mu się stało i jaki ma problem – ale czy to w ogóle powinno mnie interesować? No właśnie, nie powinno, dlatego zachowuję się tak, jakbym wcale się przed chwilą nie przewróciła – idąc klatką schodową, przyglądam się pozostałym obrazom, które ozdabiają ściany, i staram się je z grubsza ocenić, przynajmniej to, z którego pochodzą wieki. Nie mogę jednak wzbudzić w sobie tej euforii, która wypełniała mnie wcześniej. Łapię się za to

coraz częściej na tym, że myślami wracam do tajemniczego Mattea i jego nagłej wrogości.

Ale to przez to, że nic z tego nie rozumiem. Od dłuższego czasu nasz dom aukcyjny z nikim nie miał zatargów. Wręcz przeciwnie. Mamy świetną opinię, co w naszej branży liczy się chyba najbardziej, więc jestem pewna, że to nie może łączyć się z żadnym konfliktem. Pozostaje więc wyjaśnienie, że chodzi o mnie. Tylko co ja takiego mogłam mu zrobić, skoro – co sam przecież przyznał – nie znaliśmy się wcześniej? Na pewno nie jestem szczególnie wylewna – powiedziałabym, że raczej zdystansowana, ale z pewnością nikt nie może mnie nazwać nieprzyjemną. Co więc nastawiło go tak negatywnie do mnie? Zresztą może tylko coś sobie ubzdurałam. Może po prostu uznał, że go nudzę i nie jestem w jego typie, dlatego tak szybko się zmył...

Zdeterminowana przetykam gorzki smak rozczarowania, który pozostał po tej myśli, i czuję, jak przeradza się ono w złość. Nie będę przecież szukała błędów w sobie, skoro to ten facet nie umiał się zachować. A że i tak nie potrafię znieść ludzi niezrównoważonych – nieważne, jak byliby atrakcyjni – powinnam się raczej skupić na...

Zaskoczona zatrzymuję się na szczycie schodów i na chwilę zapominam o upadku i o wszystkim, co się wydarzyło. Oba pomieszczenia, które się przede mną otwierają – dwa przechodzące w siebie wielkie salony, wypełnione dobranymi ze smakiem antykami i udekorowane niezliczonymi malowidłami i innymi dziełami sztuki – są pełne ludzi. Nie spodziewałam się spotkać tu aż tylu osób. Myślałam, że to małe przyjęcie, i miałam nadzieję na chwilę spokojnej, prywatnej rozmowy z gospodarzem. Czy jednak w takiej sytuacji Giacomo di Chessa znajdzie dla mnie czas, skoro musi się zajmować aż tyloma gośćmi?

Z drugiej strony to oczywiście fantastyczna wiadomość, że członkowie rzymskiej elity kulturalnej i artystycznej tak tłumnie przyjęli jego zaproszenie. Jako były dyrektor Instytutu Historii Sztuki na Uniwersytecie Rzymskim z całą pewnością zna wielu potencjalnych kupców i jeśli dopisze mi szczęście, uda mi się nawiązać sporo nowych znajomości. Wiem, że sama tego nie dokonam, więc rozglądam się po twarzach przybyłych.

Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że Andrew będzie na mnie czekał. To jedyna osoba, którą tutaj znam, i bardzo potrzebuję jego wsparcia. Obiecał bowiem, że przedstawi mnie najważniejszym osobom, w tym również gospodarzowi.

Nie znajduję go jednak wśród przybyłych. Dostrzegam za to swego nieuprzejmego wybawcę. Stoi ze swoją towarzyszką przy jednym z okien w tylnej części pomieszczenia w otoczeniu innych gości, z którymi rozmawia.

Mogłabym sobie tłumaczyć, że zwróciłam na niego uwagę, bo dopiero co go poznałam, ale nie byłoby to prawdą. Tak czy inaczej bym go zauważyła, choćby z racji jego wzrostu i ciemnoblonde włosów, przez które odróżnia się od pozostałych. To po prostu ten typ człowieka, którego nie da się zignorować, i mogę się założyć, że zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego znów uśmiecha się w ten sam pełen luzu, pewny siebie sposób – to uśmiech, którego zabrakło dla mnie, kiedy zorientował się, kim jestem...

– Sophie!

Odwracam się gwałtownie, usłyszawszy swoje imię wykrzyknięte z radością w głosie. W moją stronę zmierza mężczyzna około sześćdziesiątki, z siwiejącymi włosami do ramion. Do stonowanego szarego garnituru założył – jak zwykle – bardzo rzucający się w oczy szal; dziś akurat z ciemnoczerwonego jedwabiu. W jego jasnobłękitnych oczach dostrzegam serdeczność.

– Andrew!

Niesamowicie się cieszę, że go widzę, i z ulgą odpowiadam na jego szeroki uśmiech, który w mgnieniu oka przegania każdą ponurą myśl. Tak działa na mnie jego obecność – i nie tylko na mnie. Andrew Abbott poza tym, że ma niebывałą wiedzę z zakresu sztuki, jest znany

z poczucia humoru i ujmującej osobowości. Dlatego krąg jego przyjaciół i znajomych jest naprawdę szeroki – od trzydziestu lat należy do niego mój ojciec, który razem z nim studiował na Oxfordzie historię sztuki.

Andrew wita się bardzo wylewnie – przynajmniej jak na Brytyjczyka, bo całuje mnie serdecznie w oba policzki. Pewnie od tak dawna mieszka w tym kraju, że zdążył przejąć zwyczaj panujące wśród Włochów.

– Wyglądasz czarująco – mówi, po czym raz jeszcze przygląda mi się, nie kryjąc zachwyty. – Wspaniała suknia.

– Dziękuję. – Jego komplement wywołuje mój radosny uśmiech, bo przynajmniej w części rozwiewa mój brak pewności siebie. I nie, nie chodzi o to, żebym poszukiwała u innych uznania i zachwyty. Wręcz przeciwnie. Mimo że wiem, iż wyglądam całkiem znośnie, z moją delikatną figurą, szaroniebieskimi oczyma i czarnymi włosami, których dziś wyjątkowo nie związałam, uwagi na temat mojej urody wprawiają mnie raczej w zakłopotanie. Być może dlatego, że w życiu jest przecież tyle ważniejszych rzeczy niż ja i to, jak wyglądam. Tym razem jednak jego pochwała mnie cieszy, ba, nawet bardzo, i odruchowo spoglądam w stronę potężnego mężczyzny o ciemnoblond włosach, przez którego czuję onieśmienie.

Ale jego nie ma tam, gdzie widziałam go jeszcze przed chwilą, i nigdzie nie mogę go dostrzec. Jestem trochę rozczarowana. Miałam wielką ochotę zapytać, kim właściwie jest.

Andrew z całą pewnością potrafiłby mi odpowiedzieć na to pytanie. Chwyta mnie teraz pod ramię i zaczyna oprowadzanie.

– Okej, obiecałem, że zafunduję ci małą rundkę zapoznawczą, więc nie zamierzam złamać danego słowa – mówi. Przeciskamy się pośród tłumu gości, a ja myślę, że Andrew jest jednym z niewielu ludzi, którzy przywiązują wagę do danych obietnic. Jeśli się do czegoś zobowiąże, to z całą pewnością dotrzyma słowa. Bardzo cenię jego niezawodność.

Wcześniej, kiedy jeszcze mieszkał w Anglii, często gościł u nas w domu. Ja byłam wówczas mała i bardzo lubiłam jego odwiedziny, bo za każdym razem miał dla mnie jakiś prezent – zazwyczaj to, o co poprosiłam go poprzednim razem. Oczywiście były to tylko drobiazgi: bransoletka, klamra do włosów czy tabliczka czekolady, ale za każdym razem gdy obiecał coś przynieść, zawsze o tym pamiętał – naprawdę zawsze.

Dlatego nigdy go nie zapomniałam, nawet kiedy przeniósł się do Włoch i przestałam go widywać. Mimo odległości utrzymywał kontakt z moim ojcem, a kiedy się dowiedział, że chcemy rozszerzyć swoją działalność biznesową na Włochy, natychmiast zgłosił gotowość do pomocy. Od tego czasu, ilekroć sama trafiam na przeszkody, on uruchamia swoje znajomości. W ten sposób dziś wydaje się, że stoimy przed prawdziwym przełomem, za co mu jestem przeogromnie wdzięczna.

– Jak ci się podoba twój hotel? – pyta, kiedy torujemy sobie drogę wśród grupki ludzi, którzy sączą wino albo szampana i rozmawiają. – U państwa Bini wciąż jest tak czysto i przytulnie, jak zapamiętałam?

– O, tak! – zapewniam go. – Signora Bini jest niesamowita! Mam wrażenie, że czyta mi w myślach, bo spełnia wszystkie moje życzenia, zanim je wypowiem, a jej mąż gotuje tak wspaniale, że pewnie dziś po raz ostatni zmieściłam się w tę suknię. Żałuję, że dopiero teraz poleciłeś mi to miejsce.

– Wcześniej nie pytałaś o żaden hotel – odpowiada z uśmiechem, a ja potakuję, bo oczywiście ma rację. W czasie moich poprzednich wizyt wydawało mi się, że znacznie korzystniejsze finansowo i praktyczniejsze będzie wynajęcie pokoju w którymś z tych wielkich hoteli poza ścisłym centrum miasta. Tymczasem polecony mi przez Andrew małecki rodzinny hotel Fortuna w samym sercu zabytkowej części starego miasta, w dzielnicy Monti, okazał się

zaskakująco przystępny cenowo. Na dodatek różnica między raczej anonimowymi masowcami a uroczym, indywidualnie urządzonym hotelikiem jest naprawdę porażająca. Jego cudownie miła atmosfera uprzyjemniała mi pobyt w Rzymie, więc postanowiłam wykorzystać ten czas tak, jak się tylko da. Mogło się bowiem okazać, że zabawię tu bardzo krótko – jeśli Giacomo di Chessa nie zdecyduje się na zlecenie nam sprzedaży swoich zbiorów. W takim wypadku już jutro wracałabym do domu. Wzdycham głęboko na samą myśl o takiej możliwości.

– Niczym się nie przejmuj, Giacomo cię polubi – zapewnia mnie Andrew, domyślając się, co mnie niepokoi. Cały czas prowadzi mnie między gośćmi.

– No nie wiem. – Uśmiecham się sceptycznie i wzruszam ramionami. – Co sprawia, że jesteś tego taki pewny?

– Bo go znam. I dlatego że mi ufa. – Puszcza do mnie oko. – Bądź po prostu sobą, Sophie. Zobaczysz, że wtedy wszystko pójdzie po prostu tak, jak powinno. Słowo.

Wciąż jeszcze nie jestem przekonana, a jego zagadkowa porada niewiele mi daje.

– Mam być sobą? A jaka jestem, że wszystko ma się udać?

Zatrzymuje się i spogląda na mnie, wyraźnie zaskoczony tym pytaniem. Widząc, że nie żartuję, przekrzywia lekko głowę i się zamyśla.

– Jesteś najmilszą dziewczyną, jaką znam. Zawsze serdeczna, ciepła i nieprawdopodobnie pracowita. Do tego mądra i uczciwa – a wszystko to cechy, które czynią z ciebie prawdziwą specjalistkę od handlu dziełami sztuki.

– Aha. – Wciąż jeszcze sceptycznie nastawiona marszczę czoło. Wiem, że to był komplement, ale wolałabym kilka bardziej konkretnych przymiotników niż „miła” czy „pracowita”. – A jakie mam słabe strony? – Może chociaż te będą mniej nudne niż moje zalety, które wymienił.

– Jakie słabe strony? Nie masz żadnych! – zapewnia mnie, szarmancki i ujmujący jak zawsze. – Chociaż nie. Czasem jesteś zbyt poważna – dodaje z uśmiechem i głaszcze mnie po ramieniu. – Ale nie ma się czemu dziwić, kiedy człowiek ma świadomość, jak wczesnie spadła na ciebie taka odpowiedzialność.

Odruchowo przywołuję w myślach bladą twarz mojej matki, jej niewidzące oczy, jak uciekają w głąb, by zaraz znów zapłonąć gorączką. Pospiesznie zagłuszam w sobie budzący się nieutulony smutek. Ma rację, myślę. Jestem znacznie poważniejsza niż inni. Poważna i miła. Niech to diabli.

Cały czas staram się rozgryźć, dlaczego jego ocena tak bardzo mnie dotknęła, a Andrew nie przestaje mówić, jakby w ogóle nie zauważał mojego nagłego smutku.

– W każdym razie nie mam wątpliwości, że ty i Giacomo darzycie sztukę równie gorącym uczuciem – ciągnie, uśmiechając się szeroko. – On to od razu wyczuje, bez dwóch zdań, i będzie potrafił to docenić. Bo wbrew pozorom to zlecenie nie będzie aż takie proste.

Ostatnie zdanie dodaje mimochodem, ściągając z tacy przechodzącego obok kelnera dwa wysokie kieliszki szampana, z których jeden trafia do mnie.

– Co masz na myśli? Co to znaczy, że nie będzie proste? – drązę.

W odpowiedzi upija łyceczek ze swojego kieliszka i rusza bez słowa dalej. Idę za nim, chwytam go za rękaw i zmuszam, żeby się zatrzymał.

– Andrew?

Uśmiecha się do mnie i obejmuje mnie ramieniem, ale tylko po to, żeby popchnąć mnie delikatnie naprzód.

– Najpierw się poznajcie, Sophie. Cała reszta jakoś się ułoży.

Nie mam czasu, by przeanalizować jego słowa, bo Andrew prowadzi mnie przed sobą w stronę ustawionej pod ścianą delikatnej sofy w stylu chippendale, na której miejsca

wystarczyłoby dla dwóch osób. Po prawej stronie siedzi starsza kobieta w przepięknej szerokiej sukni z jedwabiu we wzór, który wydaje mi się znajomy.

Andrew jest wyraźnie zirytowany faktem, że jest tam sama. Marszczy czoło i się rozgląda.

– Jeszcze przed chwilą tu był – wyjaśnia, jakby chciał się usprawiedliwić. W końcu zwraca się do siedzącej kobiety: – Valentina, *carissima, dov'e Giacomo?*

Kobieta – która mimo licznych zmarszczek wygląda naprawdę dobrze, a kiedyś musiała być prawdziwą pięknoscią – się uśmiecha.

– Zaraz wróci – informuje Andrew po włosku, po czym przygląda mi się ciekawie. To wyraźna sugestia, która natychmiast zostaje wysłuchana.

– Valentino, pozwól, że przedstawię: Sophie Conroy z Anglii – mówi, tym razem po angielsku. – Sophie, to Valentina Bertani, przyjaciółka Giacomina.

– Bardzo mi miło. – Starsza kobieta również przechodzi na angielski, który mimo mocnego akcentu jest bardzo poprawny. Podaje mi rękę, którą ujmuję, lecz mija chwila, zanim jej odpowiadam, bo muszę ułożyć sobie to wszystko w głowie. Znam to nazwisko. A wzór materiału, z którego uszyta jest jej suknia...

– Bertani? Czy ma pani może coś wspólnego z Bertaniami, którzy...

– ...produkuja te piękne buty i torebki? – kończy za mnie, jakby się spodziewała, że to pytanie padnie, po czym uśmiecha się radośnie. – O, tak, mam nieco wspólnego. Firma Bertani należy do mojej rodziny, a dziś prowadzi ją moich dwóch wnuków. Zna pani nasze produkty?

– Ależ oczywiście! Tworzycie precudne rzeczy! – zapewniam ją natychmiast i czuję lekkie onieśmilenie. Bo kto nie zna włoskiego koncernu modowego, którego logo przedstawia stylizowaną mewę? Skupiają się na segmencie luksusowym i oferują znacznie szerszą gamę produktów niż tylko buty i torebki. Nazwiskiem Bertani sygnowane są również luksusowe designerskie meble i materiał o charakterystycznym wzorze, który od jakiegoś czasu stanowi znak rozpoznawczy ich własnej kolekcji ubrań. Starsza kobieta na sofie ma na sobie suknię w ten właśnie deseń, dlatego wydała mi się znajoma – obok sztuki mam słabość do designu. A że na tym polu Bertani to bez wątpienia pierwsza liga, nic więc dziwnego, że jestem zafascynowana, że poznałam osobiście kogoś z tego koncernu.

Najwyraźniej signora Bertani uznaje ten temat za odhaczony i skupia na mnie swoje zainteresowanie.

– A cóż panią sprowadza do Rzymu, moja droga?

Od razu wiem, że to nie jest pytanie grzecznościowe. Czeka na szczerą odpowiedź, a jej zielone oczy błyszczą uwagą, co uważam za bardzo miłe. Mam wrażenie, że jest w świetnej formie jak na swój wiek, bo w mojej ocenie na pewno nie ma mniej niż osiemdziesiąt lat.

– Zajmuję się handlem dziełami sztuki – wyjaśniam otwarcie i chcę dodać coś jeszcze, lecz zanim mi się to udaje, Valentina przerywa mi głośno:

– No tak! – mówi. – Oczywiście, Sophie Conroy! – Po czym potrząsa głową, jakby zła na siebie. – Pani jest przecież z tego angielskiego domu aukcyjnego, który ma pomóc Giacomowi uszczuplić jego kolekcję, prawda? Opowiadał mi o swoim pomysle, ale wypadło mi to po prostu z głowy. Proszę mi wybaczyć, starość! – Uśmiecha się przepraszająco i wskazuje miejsce obok siebie. – Proszę, niechże się pani przysiadzie na kilka chwil.

Rozglądam się niepewnie i szukam wzrokiem Andrew, lecz on tymczasem dał się wciągnąć w dyskusję z jakimś mężczyzną. Dlatego korzystam z zaproszenia signory Bertani i zajmuję miejsce na delikatnej sofie.

– Ogromnie się cieszę, że możemy się poznać – zapewnia mnie Valentina Bertani i głaszcze mnie po dłoni. – Po tym wszystkim, czego nasłuchalam się od Andrew, byłam pani

bardzo ciekawa.

Nieco zakłopotana bawię się kieliszkiem szampana.

– Mam nadzieję, że nie mówił nic złego.

Energicznie potrząsa głową.

– Ależ skąd! Wychwalał panią pod niebiosa, a nigdy tego nie robi, jeśli nie jest całkowicie pewien, że ma rację. Dlatego nie mam wątpliwości, że doskonale poradzi sobie pani z obrazami Giacoma.

– Jeszcze nie otrzymaliśmy zlecenia – protestuję, lecz ona macha nonszalancko dłonią, jakby chodziło ledwie o formalność. Potem nachyla się w moją stronę, by nikt inny nie mógł nas usłyszeć.

– Wie pani, dlaczego Giacomo w ogóle chce sprzedać swoją kolekcję?

Potakuję, bo to była pierwsza rzecz, której dowiedziałam się od Andrew, kiedy mówił mi o potencjalnym nowym zleceniodawcy: że Giacomo di Chessa rok wcześniej stracił żonę, a teraz, po przejściu na emeryturę, chce opuścić Rzym i przenieść się do córki, która mieszka z rodziną w Anglii.

Valentina Bertani wzdycha i opada na oparcie.

– On tego potrzebuje, wie pani. Nowego startu. Śmierć Franceski była dla niego strasznym ciosem. Z Anną i wnukami pod bokiem będzie mu znacznie lżej niż tutaj, w otoczeniu wspomnień. Dlatego cieszę się, że się odważył i podjął decyzję, by sprzedać dom i wszystko, co się w nim znajduje. Ale wciąż jeszcze się bije z myślami. No i... – waha się, ale nie kończy zdania. – Nieważne zresztą. Jakkolwiek by patrzeć, dobrze, że wesprze go pani w przeprowadzeniu tego wszystkiego.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zapewniam ją i przesuвам wzrokiem po zdobiących ściany obrazach. Co rusz dostrzegam wśród nich prawdziwe rarytasy. – Doskonale rozumiem, że rozstanie z tymi cudami jest trudne dla signora di Chessy. Jego kolekcja jest naprawdę wyjątkowa.

Signora Bertani się uśmiecha i podąża za moim spojrzeniem.

– O tak, jest wyjątkowa. Domyślam się, że znalazła już pani jej klejnoty, nieprawda?

Potrząsam głową, znów zła na siebie, że po wypadku na schodach zbyt wiele uwagi poświęciłam tajemniczemu Matteowi. Powinnam była skupić się na innych sprawach.

– Niestety, nie miałam jeszcze czasu, by przyjrzeć się wszystkim dziełom. – Wzruszam bezradnie ramionami. – Jednak jeden obraz wpadł mi w oko już na schodach. Muszę przyznać, że bardzo mnie zainteresował, bo wydaje mi się, że to Joseph Severn...

– I nie myli się pani – przerywa mi mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, który – nie wiem nawet kiedy – stanął obok kanapy. Jest niewysoki i stosunkowo szczupły, ma zapadnięte policzki i ogromnie dużo zmarszczek. Jego oczy błyszczą przyjaźnie, ale widać, że jest trochę zmęczony – to wynika chyba ze smutku czającego się w jego spojrzeniu. Nawet uśmiechem nie jest w stanie go zamaskować.

Jeszcze zanim Valentina Bertani wykrzykuje: „Giacomo!”, ja już wiem, że to gospodarz, i momentalnie podrywam się z kanapy. Zająłam przecież jego miejsce.

– Dziękuję – mówi, kiedy odsuwam się na bok, i z wyraźną wdzięcznością, że nie musi już stać, siada na tapicerowanym meblu. Wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości, myślę poruszona. Wiem, że jest po sześćdziesiątce, bo przecież dopiero co przeszedł na emeryturę, lecz oceniając na oko, trudno dać mu mniej niż siedemdziesiąt pięć lat. Jego stan sprawia, że czuję smutek.

– Proszę mi wybaczyć, mam pewne problemy z nogami. Mam nadzieję, że szybko mi się poprawi – mówi zakłopotany.

Andrew również zauważył powrót gospodarza. Żegna się z człowiekiem, z którym przez cały czas prowadził konwersację, i wraca do nas.

– Giacomo, pozwól, że przedstawię: Sophie Conroy, o której ci opowiadałem – mówi, wskazując na mnie.

Przełykam pospiesznie, bo wiem, jak wiele zależy od tego, jak wypadnę w najbliższych minutach.

– Bardzo mi miło, signorze di Chessa – mówię i z uśmiechem wyciągam dłoń.

– Ach, młoda dama z Londynu. – Jak na kogoś, kto wygląda tak krucho, ma niesamowicie mocny uścisk, a i jego spojrzenie jest bardzo żywe i bystre. Skupia swoją uwagę na mnie. Przez dłuższą chwilę przygląda mi się ciekawie, a kiedy zaczynam czuć się nieswojo, na jego ustach wykwita uśmiech, który momentalnie rozświetla jego twarz.

– Pani naprawdę musi coś wiedzieć o sztuce, skoro o razu zauważyła pani obraz Severna. Żeby tak szybko przyporządkować go do autora, potrzeba dobrego oka. – Jego komplement bardzo mnie cieszy i chcę coś odpowiedzieć, lecz nie daje mi dojść do słowa. – Niestety, muszę panią rozczarować, jeśli była pani nim zainteresowana. Obraz Severna nie należy bowiem do dzieł, które będę chciał wystawić na licytację – dodaje z żalem.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Dlaczego?

– Bo przed chwilą sprzedał go mnie – odzywa się ktoś za moimi plecami. Przestraszona odwracam się gwałtownie.

Rozdział 3

Wysoki mężczyzna o ciemnoblond włosach stoi za mną, powiedziałabym nawet, że tuż za mną, i spogląda na mnie swoimi pięknymi bursztynowymi oczyma, przez co moje serce znów przyspiesza.

– Ojej – wyrywa mi się z ust, a że jestem całkowicie zaskoczona, dalej się jąkam.
– Ojej... Jaka... szkoda.

Myśli wirują w mojej głowie jak szalone, a ja nie mam czasu, by je zatrzymać i uporządkować. Rany, ależ on bosko wygląda! Sophie! Zapomnij o tym! Spokój! Poza tym, co się takiego stało, że nagle zaczął się do mnie odzywać? A ja już myślałam, że jestem dla niego persona non grata. No i co to w ogóle za jeden? Dlaczego akurat on kupił ten jeden jedyny obraz, na który zwróciłam uwagę na schodach? I dlaczego wszyscy się do niego uśmiechają, mimo że bez zaproszenia wmieszał się w naszą rozmowę? Czy naprawdę jestem jedyną osobą w tym towarzystwie, która go nie zna?

– Matteo! – wita go Valentina Bertani, nie kryjąc radości, lecz widzę, że nagle staje się spięta i nerwowo przesuwa wzrokiem między mną a nieznanym. – To Sophie Conroy. Andrew polecił Sophie Giacomowi, by pomogła w sprzedaży kolekcji, pamiętasz, prawda?

No dobra, myślę sobie. To by wyjaśniało przynajmniej jedną zagadkę – skąd pan Bursztynowe Oczy zna moje imię i nazwisko. Skoro byłam wcześniej tematem rozmów, dodał po prostu dwa do dwóch i zorientował się, kim jestem, kiedy wspomniałam, że pracuję dla londyńskiego domu aukcyjnego.

– To mój wnuk, Matteo Bertani – dodaje starsza kobieta i przez chwilę promienieje dumą.

Należy zatem do rodziny Bertanich, myślę zaskoczona i marszczę brwi, bo jednocześnie gdzieś w podświadomości pojawia się sygnał ostrzegawczy, nawet bardzo głośny. Niestety, nie kojarzę, czego dotyczy, a wspomnienie jest tak ulotne, że nie udaje mi się go zatrzymać.

– Mieliśmy już przyjemność się poznać, *nonna* – odpowiada Matteo Bertani swojej babce. Znów mówi czystym, pozbawionym akcentu angielskim, co wyrywa mnie z zamyślenia. Kiedy spoglądam na niego oburzona, on uśmiecha się z jeszcze większym zadowoleniem, a mnie natychmiast staje przed oczyma scena, gdy na schodach unoszę się w jego ramionach. Potem nasze spojrzenia się spotykają, co wywołuje u mnie ucisk w żołądku, który na szczęście mija po sekundzie, i odwracam głowę.

Może i ten facet pomógł mi na schodach odzyskać równowagę, lecz tylko fizyczną, bo emocjonalną od początku z lubością wprawia w rozkołysanie. To u mnie wyjątkowo rzadki stan i niestety bardzo, bardzo niepożądany.

– Znasz signora Bertaniego? Nic mi o tym nie wspomniałaś! – wtrąca się Andrew, który najwyraźniej uważa, że takiej wiadomości w żadnym razie nie powinien być przed nim zatajać.

– Nasz kontakt był bardzo przelotny, na początku przyjęcia. Bardzo mu się spieszyło, do tego stopnia, że nie znalazł nawet czasu, by się przedstawić. – Spoglądam nieprzychylnie w stronę Pana Doskonałego. Znamy się! Akurat! Nie raczył nawet powiedzieć, jak ma na imię, zanim sobie poszedł.

Jednak nie odniosłam wrażenia, by Matteo Bertani odczuwał z tego powodu jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Moja uwaga raczej go rozbawiła, bo jego beczelnie atrakcyjny uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Zaraz to naprawimy – oznajmia i podaje mi dłoń. Nie pozostaje mi nic innego, jak ją ująć. – Witamy w Rzymie, miss Conroy.

Dotyk naszych rąk i to, że nagle uśmiecha się do mnie tak szarmancko, wytrąca mnie z równowagi, a po chwili robi się jeszcze gorzej, bo nachyla się i włoskim zwyczajem całuje mnie w oba policzki. Od wczorajszego przybycia do Wiecznego Miasta zostałam już kilka razy wycalowana, lecz w tym przypadku skupiam się na ciepłym dotyku jego policzka na swojej skórze i pobudzającym zapachu jego wody po goleniu. Oddycham z ulgą, kiedy cofa się o krok i puszcza moją dłoń.

– Dziękuję – mówię lodowato.

No bo zaraz, co on sobie w ogóle myśli? Że w mgnieniu oka zmienię się w jego fankę tylko dlatego, że miło się do mnie uśmiechnął? Może w przypadku innych kobiet tak to rzeczywiście funkcjonuje, lecz u mnie z całą pewnością nie. Wręcz przeciwnie. Bo jeśli czegoś szczerze nienawidzę, to z całą pewnością ludzi, którzy zbyt gwałtownie zmieniają swoje nastawienie.

Za to Valentinę Bertani zdaje się bardzo uspokajać fakt, że jej wnuk okazuje mi grzeczność. Uśmiecha się rozluźniona. Pozostali również przyjmują to z wyraźną ulgą – przede wszystkim Andrew, jakby odhaczył kolejny punkt na swojej liście.

Wzdycham w duchu, cały czas uśmiechając się lekko wymuszenie. Matteo Bertani jest jedną z osób, które zamierzał mi przedstawić – jako członek klanu Bertanich jest potencjalnym klientem naszego domu aukcyjnego, a co za tym idzie – wartościowym kontaktem. To oznacza, że muszę być dla niego uprzejma, i wygląda na to, że nie mam za bardzo wyjścia, bo reszta towarzystwa oczekuje, że zamienimy ze sobą kilka słów. Andrew, ku mojej rozpaczy, rozpoczął jakąś ożywioną rozmowę po włosku, zwracając się tylko do Valentiny i Giacomina. Opowiada o mężczyźnie, z którym rozmawiał, zanim do nas dołączył, jakby to było w tej chwili najważniejsze – i chyba jest, bo oboje słuchają go uważnie, przestawszy zwracać uwagę na mnie i Mattea Bertaniego.

Świetnie, myślę sobie lekko spanikowana. Spoko, zostawcie mnie samą z panem Nie-gadam-z-kobietami-zajmującymi-się-sztuką. Tym razem jego instykt ucieczki nie daje o sobie znać, bo stoi tam, gdzie stał, i swoimi bursztynowymi oczyma wprawia mnie w coraz większe zakłopotanie.

Small talk, Sophie! Przypominam sobie. Zapytaj go o cokolwiek. Przecież zwykle nie miewasz z tym problemów. Z drugiej strony moi dotychczasowi partnerzy do rozmów byli znacznie bardziej przewidywalni niż obecny – przy nim nie mam pojęcia, czego się spodziewać.

Odchrząkuję.

– Z tego, co słyszałam, prowadzi pan rodzinny koncern. To chyba bardzo interesująca praca?

Nawet ja czuję, jak bardzo na siłę rozpoczynam rozmowę, ale nie poddaję się i dzielnie się uśmiecham. Zresztą czy mam inne wyjście?

– Interesująca? Z całą pewnością – odpowiada Matteo Bertani. – Jednak obawiam się, że została pani wprowadzona w błąd, bowiem firmą zajmują się moi dwaj starsi bracia.

Widzi, jak zaskakuje mnie jego odpowiedź, i wykrzywia usta w rozbawieniu – przez co na jego policzku pojawia się seksowny dołek. Staram się to ignorować, lecz bez powodzenia.

– A pan? Czym pan się zajmuje? – drążę.

Nienawidzę tego, że jest cały czas o krok przede mną i że pozwala mi się miotać i zgadywać. Wiem już przynajmniej, co sprawia mu przyjemność.

Wzrusza delikatnie szerokimi ramionami.

– Zawsze zajmowałem się tym, co było mi wyjątkowo drogie: sztuką i jej historią – odpowiada, ponownie wywołując niejasne poruszenie w mojej pamięci.

Historia sztuki. Matteo Bertani. Myśl, Sophie, no szybciej!

I wtedy – o wiele za późno – w końcu w mojej głowie przeskakuje jakaś zapadka i niezawodny dotąd mózg pozwala mi przypomnieć sobie o kilku artykułach, które przeczytałam, przygotowując się do przyjazdu do Rzymu, by poznać lokalną scenę sztuki. Przypominam sobie również zachwyty mojej przyjaciółki Sarah, która przed niemal dwoma laty tu studiowała. O Boże...!

– To pan?!

Matteo Bertani! Oczywiście! Był wielokrotnie cytowany w artykułach, które przeczytałam, jako cieszący się międzynarodową sławą ekspert od historii sztuki angielskiej i włoskiej. Młody *professore* o nadzwyczajnym spojrzeniu, głoszący śmiało tezy na temat malarstwa, które tak bardzo przypadły wówczas Sarah do gustu, enfant terrible Instytutu Historii Sztuki La Sapienza. A do tego – czego właśnie się dowiedziałam – członek jednej z najbogatszych włoskich rodzin.

Niech to szlag.

Prominentny kontakt to złe określenie. Łatwiej określić go jako jackpot. Uśmiecha się teraz zadowolony z siebie – do tego stopnia, że najchętniej wpakowałabym mu pięść w jego wytrenowany zapewne sześciopak.

– Czyli co, jednak się znamy! – mówi i kpiąco unosi brwi.

– Nie... ale... to znaczy... ja... słyszałam o panu – jękam się. Kolejna rzecz, która nigdy mi się nie zdarza. Pospiesznie odkasłuję. – Pan pracuje na La Sapienza, prawda? – Najzwyklejsze pytanie, każdy mógł je zadać.

– Jestem tam wykładowcą, zgadza się – potwierdza.

To z kolei brzmi zbyt skromnie. Zgodnie z tym, co wiem od Sarah, jest jedną z gwiazd uczelni, a na jego wykłady z historii sztuki drzwiami i oknami wałęsa tłumy – głównie studentek, przychodzących tam podobno tylko dla niego. A przecież wcale nie musi pracować! W końcu należy do rodziny Bertanich, więc jest bardzo bogaty. Tak bogaty, że może ot tak kupić sobie obraz, na który trzeba wyłożyć znacznie więcej niż kilka funtów. To znów przypomina mi o pytaniu, o którym całkiem zapomniałam spłoszona faktem, że niespodziewanie jednak zaczął się do mnie odzywać.

– Właściwie dlaczego kupił pan obraz Severna?

Mam wrażenie, że to dziwna decyzja – i nie myślę tak jedynie dlatego, że jestem rozczarowana, bo nie będę już miała okazji uważniej przyjrzeć się dziełu. Można powiedzieć, że spotkaliśmy się właśnie pod tym obrazem, więc nie pozbędę się już poczucia, że obie sprawy są jakoś ze sobą związane. Matteo się waha i ociąga z odpowiedzią, co potwierdza moje podejrzenia. Milcząc, unosi do ust kieliszek szampana i upija łyżeczek. Kiedy opuszcza ramię, znów się uśmiecha, lecz już nie tak szeroko, a w jego oczach pojawia się delikatny dystans, ba, niemal chłód.

– Obawiam się, że nie powinienem odpowiadać pani na to pytanie. – Jego spojrzenie wędruje w stronę babki, która dalej rozmawia w najlepsze z Andrew i Giacomem; zupełnie jakby chciał sprawdzić, czy starsza pani może go usłyszeć.

Teraz z kolei ja unoszę brwi.

– Doprawdy? A dlaczegoż to?

– Bo odpowiedź się pani nie spodoba – wyjaśnia, a w jego bursztynowych oczach widzę nieskrywane już wyzwanie.

– Może to ja powinnam to ocenić.

Nie wierzę, żeby poważnie myślał, iż taka wymówka mnie zadowoli! Chcę wiedzieć, na czym polega jego problem. Bo mimo że nagle zmienił się w szarmanckiego młodzieńca, czuję, że jestem dla niego problemem. I jestem gotowa się założyć, że zakup tego konkretnego obrazu był

spontaniczną decyzją.

– Zastanówmy się. To jakoś wiąże się z tym, że go oglądałam, prawda?

Milczy przez dłuższą chwilę.

– Ujmijmy to w ten sposób: pani taksujące spojrzenie przypomniało mi, że już niedługo wszystko dookoła trafi pod młotek. A że obraz Severna jest mi bardzo bliski, uznałem, że lepiej będzie go uratować, zanim zaczniesz pani wyprzedawać rzeczy Giacoma.

Obejmuję całą dłoń kieliszek i wpatruję się w mężczyznę z niedowierzaniem, przestraszona złością, jaka przebija z jego tonu. On jednak nie zwraca na to uwagi i ciągnie dalej:

– Proszę nie brać tego do siebie, panno Conroy. Tutaj nie chodzi o panią. Należę po prostu do osób, którym nie podoba się pomysł Giacoma, by opuścić Rzym. Dlatego też ostrzegam panią: na moją pomoc w kwestii tej całej hecy z aukcjami proszę nie liczyć, a jeśli pojawi się szansa, by temu zapobiec, może być pani pewna, że ją wykorzystam.

W jego bursztynowych oczach płonie ogień, ale w porównaniu z płomieniami w moich to naprawdę nic wielkiego. Co ten gość sobie wyobraża?!

– Ależ oczywiście, signorze Bertani, że wezmę to do siebie. Należę po prostu do osób, które nie znoszą braku uprzejmości – wyjaśniam z przesłodkim uśmiechem, którym nieudolnie maskuję wściekłość. – Poza tym, o ile wiem, signor di Chessa osobiście wyraził życzenie zmniejszenia swojej kolekcji, a że wszystkie dzieła sztuki są jego własnością, a to jest wolny kraj, może robić z nimi, co mu się żywnie podoba. I nie potrzebuje do tego pańskiego pozwolenia. Zaś co się tyczy naszego domu aukcyjnego: Conroy's należy do najbardziej renomowanych firm na rynku. Przed nami nie trzeba nikogo ani niczego ratować, a jeśli coś trafia u nas pod młotek, to zapewniam, że przy zachowaniu najwyższych standardów. Działamy zawsze zgodnie z wytycznymi naszych klientów, a w sprzedaży aukcyjnej osiągamy najwyższe ceny za powierzone nam dzieła sztuki. – Muszę przerwać, żeby nabrać powietrza. – Poza tym wcale go nie taksowałam, tylko przyglądałam się z zainteresowaniem, bo przez przypadek Joseph Severn należy do twórców, których bardzo lubię – dodaję jeszcze, gotując się z wściekłości.

Matteo Bertani, całkowicie niewzruszony moją płomienną przemową, unosi kącik ust, a jego krzywy uśmiech ma w sobie coś protekcyjnego. Robię się jeszcze bardziej zła – o ile to w ogóle możliwe.

– A nie mówiłem, że odpowiedź się pani nie spodoba? – przypomina mi wyniośle. – Poza tym Giacomo i bez pani pomocy dostał za ten obraz naprawdę dobrą cenę. Może mi pani wierzyć.

– Wspaniale, pozostaje mi się tylko cieszyć jego szczęściem. Jeśli zamierza pan kupować wszystkie dzieła sztuki, które dziś będą oglądała, to ten wieczór może się dla pana okazać bardzo kosztowny – bo mam zamiar otaksować wszystko, co zobaczę. Ach, i jeszcze jedna sprawa, a właściwie ostrzeżenie, żeby pana ego nadmiernie nie ucierpiało: proszę robić, co pan uzna za stosowne, jednak jeśli Conroy's dostanie to zlecenie, na pewno nie będziemy zwracać się do pana o pomoc.

Zmuszam się, żeby rozluźnić dłonie, które wcześniej zacisnęłam w pięści, i nie odwracam wzroku. W oczach Mattea na chwilę pojawia się zaskoczenie – choć może tylko to sobie ubzdurałam, bo nagle uśmiecha się szeroko. Po raz pierwszy tego wieczoru odnoszę wrażenie, że zrobił coś szczerze, a nie z wyrachowania.

– *Touché*, miss Conroy. Ale jak już mówiłem...

– Matteo, chyba nie próbujesz się kłócić z panną Conroy? – pyta nagle Valentina Bertani, a my, niemal z wyrzutami sumienia, odskakujemy od siebie. Nawet nie zauważyłam, że w trakcie gorącej dyskusji stanęłam tak blisko niego, że dzieliło nas ledwie kilka centymetrów!

Rozglądam się i widzę, że Valentina, Giacomo i Andrew przerwali rozmowę

i przyglądają się nam uważnie – przy czym signora Bertani i signor di Chessa z troską, a Andrew z dużym zainteresowaniem.

– Ależ skąd, *nonna*, tylko rozmawiamy – zapewnia ją Matteo bez mrugnienia okiem, a na jego twarzy znów pojawia się ten szarmancki, wyjątkowo radosny uśmiech. Najwyraźniej nie chce jej denerwować, tym bardziej że starsza pani zbladła.

Dlaczego zadała takie pytanie? Łamię sobie głowę, o co może jej chodzić. Wygląda to tak, jakby spodziewała się kłótni między nami. Rozumiem też, że jej wcześniejsze spojrzenie wyrażało troskę, jak jej wnuk i ja zareagujemy na siebie. Pewnie wie o jego nastawieniu i obawiała się, że może dojść między nami do kłótni.

Dopiero wtedy się orientuję, że oczy wszystkich skierowane są na mnie, jakby każdy czekał na potwierdzenie tego, co powiedział Matteo. Nie zastanawiam się długo nad odpowiedzią. Ten wieczór nie zaczął się tak, jak sobie wymarzyłam, więc z całą pewnością jedną z ostatnich rzeczy, na jakich mi teraz zależy, jest publiczne wywlekanie utarczek z jedną z najbardziej wpływowych postaci rzymskiej sceny kulturalnej.

– Rozmawialiśmy o obrazie Severna – potwierdzam więc i robię wszystko, co w mojej mocy, by uśmiechać się przekonująco. – I o... zaletach sprzedaży aukcyjnej – dodaję jeszcze, bo nie mogę się powstrzymać, by nie dać Matteowi Bertanemu drobnego werbalnego kuksańca. Spoglądam na niego szybko.

Giacomo di Chessa zauważa to oczywiście, bo nagle uśmiecha się szeroko.

– No proszę! Jeśli udało się pani przekonać Mattea, że to właściwe rozwiązanie, nie pozostaje mi nic innego, tylko jak najszybciej zacząć omawiać z panią interesy, panno Conroy!

Ta uwaga wyraźnie jest nie w smak Matteowi, bo jego uprzejmy uśmiech tężeje i nie jest już taki szczery.

– Nie powiedziałem, że... – zaczyna, ale Valentina nie daje mu dokończyć i podnosi się z kanapy.

– Coś bym przekąsiła – oznajmia rezolutnie i spogląda na wnuka, chwiejąc się nieznacznie na nogach. – Odprowadzisz mnie do bufetu, Matteo?

Opuszcza ręce, które uniósł, by to, czego nie będzie nam dane usłyszeć, wzmocnić wymownym gestem.

– Oczywiście. – Dwoma długimi krokami podchodzi do babci i podsuwa jej ramię, żeby mogła się na nim wesprzeć.

– Jeszcze się dziś spotkamy – zapowiada starsza pani i odchodzi, a ja zastanawiam się, czy to dotyczy również Mattea Bertaniego, który na odchodnym rzuca mi przez ramię ostatnie spojrzenie.

Czy chciałabym tego? Raczej nie, bo ilekroć na siebie wpadamy, rozbija mnie całkowicie i wyprowadza z równowagi. Chyba nie powinnam też patrzeć, jak się oddala, bo zaraz się odwróci i to zauważy. Pospiesznie spoglądam w inną stronę i dostrzegam szeroki uśmiech Giacoma di Chessy.

– Proszę, panno Conroy, proszę, niech pani siada – zaprasza mnie i wskazuje dłonią na miejsce zwolnione właśnie przez Valentinę Bertani. – Mamy sporo rzeczy do omówienia i myślę, że to doskonała okazja, żeby zacząć.

Andrew doskonale rozumie jego sugestię, żegna się z nami, puszcza jeszcze do mnie oko i rusza w kierunku bufetu. Chwilę później zostajemy sami.

Uśmiecham się nieco zakłopotana i spoglądam na starszego pana, który przez wiele, wiele lat kierował Instytutem Historii Sztuki na La Sapienza. Nie wiem, od czego zacząć rozmowę, która najpewniej zadecyduje o tym, czy mój wyjazd do Rzymu okaże się sukcesem, czy porażką. Jestem jeszcze mocno wzburzona tym, co się wydarzyło, lecz na szczęście mój rozmówca też jest

rozemocjonowany.

– Spieraliście się, prawda? Pani i Matteo? – Jego spojrzenie zdradza, że niezależnie od tego, co odpowiem, on i tak wie. Wzruszam ramionami.

– On jest... – Nie mogę znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić, co czuję, więc jedynie wzdycham głęboko.

– Niemożliwy? – kończy za mnie Giacomo di Chessa, a ja potakuję, bo całkiem dobrze oddał to, co myślę.

Mój rozmówca uśmiecha się wyrozumiale, bo chyba znacznie lżej ode mnie traktuje tę sytuację.

– Nie chce, żeby pan wyjeżdżał z Rzymu, prawda? – pytam, bo wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego tak jest.

– Nie. – Giacomo di Chessa potrząsa głową. – Jest przeciwko wszystkiemu, co wiąże się z moją przeprowadzką, a już zdecydowanie przeciwko temu, bym się rozstawał ze znaczną częścią mojej kolekcji.

– Ale to przecież pana decyzja, a nie jego – odpowiadam wzburzona, lecz staruszek jedynie wzrusza ramionami.

– Oczywiście, że tak. Tyle że to nie jest takie proste, miss Conroy. Mnie również trudno rozstać się z tym wszystkim i wyjechać. Po części również dlatego, że wiem, jak ciężko mu się z tym pogodzić.

Spoglądam na niego zaskoczona. Dotychczas tak się dałam zaślepić złości wywołanej niepotrzebnymi i – nie boję się tego powiedzieć – bezczelnymi wypowiedziami Mattea Bertaniego, że nie zaprzętałam sobie głowy powodami, dla których tak bardzo doskwiera mu moja obecność i dlaczego tak gardzi moją pracą.

– Jesteście panowie sobie bardzo bliscy? – pytam.

Giacomo di Chessa uśmiecha się dobrodusznie i nieco tęsknie.

– Można tak powiedzieć. Z Bertaniami znam się, od kiedy pamiętam. Bardzo długo byliśmy sąsiadami – willa obok mojej należy do ich rodziny. I widzi pani, akurat Mattea i mnie bardzo wiele połączyło mimo sporej różnicy wieku. To dla mnie ogromny zaszczyt, ale i sukces, że zainteresowałem go niegdyś historią sztuki i przez całe lata wspierałem. Jestem naprawdę dumny, że odkryłem tak wyjątkowy talent. Jednak ta więź sięga daleko głębiej niż tylko w sprawy zawodowe. Matteo jest dla mnie jak syn. I gdyby to on miał decydować, to nie powinienem ani niczego zmieniać w tym domu, ani się wyprowadzać.

Marszczę czoło, bo nagle zaczynam rozumieć więcej.

– To dlatego z taką złością reaguje na wszystkich, którzy mają panu pomóc z przeprowadzką?

Wzdycha.

– Obawiam się, że tak. Niestety.

Wprawdzie nie usprawiedliwia to paskudnego zachowania Bertaniego, ale przynajmniej wyjaśnia, skąd się ono bierze. Nie skłamał też – to nic osobistego. Na dobrą sprawę nie ma pewnie również nic przeciwko aukcjom jako takim – co byłoby przecież dziwaczne, bo jest historykiem sztuki. I jedynie ta zbliżająca się działa na niego jak płachta na byka, a że padło na mnie, to i na mnie skupiła się jego frustracja, której nigdzie indziej nie mógł rozładować. Niezbyt mnie to pociesza i nie ucisza złości w moim wnętrzu, co nie uchodzi uwagi Giacoma.

– Mówię o tym tylko dlatego, że chcę, by mogła go pani lepiej zrozumieć – wyjaśnia.

– Matteo potrafi być bardzo impulsywny i z zasady nie trzyma się reguł. Nie ma żadnych kompleksów i nie obchodzi go, co myślą inni, a to sprawia, że czasem trudno z nim wytrzymać. Ale to naprawdę wspaniały przyjaciel. Najlepszy, jakiego można sobie wyobrazić. Co oczywiście

w żaden sposób nie tłumaczy jego niegrzecznego zachowania wobec pani...

– Ależ nie, nie ma o czym mówić – zapewniam go pospiesznie, bo kiedy już wiem, jak bliska więź ich łączy, nie chcę ich niepotrzebnie antagonizować. – Nic się nie stało.

Szkoda tylko, że tak łatwo dałam się sprowokować i wytrącić z równowagi. Nigdy taka nie byłam i nie rozumiem, co się stało, ale z całą pewnością to już się nie powtórzy.

– Poza tym... nie dam sobie w kaszę dmuchać – dodaję i uśmiecham się, nadrabiając miną.

Giacomo di Chessa przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– W to akurat pani wierzę – mówi, a w jego oczach pojawia się coś, czego nie potrafię zinterpretować. Potem opiera się wygodniej. – No dobrze. W takim razie zacznijmy rozmowę o interesach, które, być może, niedługo nas połączą, miss Conroy.

Rozdział 4

Andrew miał rację, myślę godzinę później, stojąc z talerzem w dłoni przy bufecie w dalszym z salonów, i zastanawiam się, które z przepysznie wyglądających przekąsek wybrać. Rozmowa z Giacomem di Chessą w rzeczywistości okazała się wyjątkowo miła i mam coraz większą nadzieję, że dostaniemy to zlecenie.

Nie boję się też współpracy z nim, może dlatego, że w jakimś stopniu przypomina mi ojca. Z wyglądu są wprawdzie całkowicie różni – tata jest wysokim mężczyzną o bujnych czarnych włosach, których kolor po nim odziedziczyłam, i fizycznie w żaden sposób nie jest podobny do drobnego, naznaczonego chorobą Włocha. Jednak obaj mają w spojrzeniu jakiś smutek – choć w przypadku mojego ojca jego przyczyna jest zupełnie inna – i to sprawia, że czuję sympatię do Giacomina di Chessy. Jestem przekonana, że doskonale byśmy się rozumieli – dlatego nie potrafię pojąć, dlaczego Andrew uważa, że to zlecenie mogłoby być w jakiś sposób problematyczne.

Po skończonej rozmowie nie znalazłam niestety okazji, żeby go zapytać, co dokładnie miał na myśli. Andrew zrobił naprawdę wiele, by przedstawić mnie jak największej liczbie osób, jednak co chwila zatrzymywał się przy kimś i pogrążał w rozmowie. To jest niestety cena, jaką trzeba płacić za tak liczne znajomości, i jednocześnie powód, dla którego stoję teraz sama przy bufecie.

Nie mogę już dłużej na niego czekać. Ostatni posiłek zjadłam w południe, kiedy szukałam sukienki, i była to jakaś pospiesznie przełknięta kanapka w jednej z licznie odwiedzanych przez turystów kawiarni. Dlatego jestem teraz naprawdę głodna i cieszę się, że mam tak wielki wybór: bruschetta z pomidorami, nadziewane kwiaty cukinii, szaszłyki z krewetek, roladki z bakłażana z szynką parmeńską, pulpeciki, minikanapeczki z pesto i parmezanem – niewielki talerz zapełnia się zadziwiająco szybko, a ja po prostu nie mogę przestać dokładać kolejnych smakołyków. Na szczęście należę do osób, które mogą sporo zjeść i nie przybierają od razu na wadze – traktuję to jak błogosławieństwo i często, w tym również dzisiaj, korzystam z tego daru.

– Proszę koniecznie spróbować rzymskich krokietów ryżowych. To specjalność szefowej kuchni – zagaduje mężczyzna, który stoi obok i uśmiecha się na widok mojej zaskoczonej miny.
– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

– Nie... nie przestraszyłam się – zapewniam go pospiesznie. – Zamyśliłam się tylko.

Przyglądam mu się z zainteresowaniem. Jak na mężczyznę jest średniego wzrostu – na oko może mierzyć niecałe metr osiemdziesiąt. Do tego ciemne, lekko falowane włosy, bardzo zadbane, co widać już na pierwszy rzut oka. Nosi starannie dobrany garnitur idealnie dopasowany do sylwetki. Ma około czterdziestu lat i wygląda całkiem dobrze – może nie da się go przyrównać do Mattea Bertaniego, lecz wszelkie porównania do tego człowieka są po prostu nie fair.

– Dziękuję za radę – dodaję i nakładam sobie kroieta, którego mi polecił. Kątem oka dostrzegam, że cały czas mi się przygląda.

– Pani to Sophie Conroy, nieprawdaż? – pyta, a ja nagle uświadamiam sobie, że celowo rozpoczął tę rozmowę, by mnie poznać.

– Zgadza się. – Uśmiecham się krzywo. – Domyślam się w takim razie, że zna pan Andrew Abbotta? – Byłoby miło, gdyby Andrew uznał za stosowne mnie również poinformować, kogo tu spotkam. Oszczędziłby mi sporo zakłopotania, gdyby nieznanymi mieli nieco mniejszą przewagę nade mną, przynajmniej jeśli chodzi o nazwiska.

– Owszem – wyjaśnia mężczyzna. – I nie tyle wspomniał o pani, ile wręcz nie mógł się pani nachwalić. – Uśmiecha się do mnie sympatycznie, choć może nazbyt śmiało. Nie irytuję się jednak, bo uważam to za miły gest, i odpowiadam w ten sam sposób.

Milczymy przez chwilę, a ja się zastanawiam, czy może to ja powinnam zapytać go o nazwisko. Na szczęście sam zauważa, że nasza dotychczasowa krótka znajomość jest jednak wyjątkowo jednostronna.

– Najmocniej przepraszam! Jeszcze się nie przedstawiłem! Lorenzo Santarelli, zajmuję się handlem dziełami sztuki. Jednak nie posiadam jak pani domu aukcyjnego, tylko całkiem sporą galerię tutaj, w Rzymie.

Właściciel galerii, myślę sobie i z zainteresowaniem wypytyuję o lokalizację – w Tiburtino, całkiem niedaleko uniwersytetu, wyjaśnia z dumą – i o sztukę, którą tam promuje. Okazuje się, że to kolorowa mieszanka stylów, a główny nacisk kładzie na młodych, jeszcze nieznanych artystów, głównie z Rzymu i okolic, ale również z innych części Włoch i całej Europy.

– Wolę myśleć o sobie jako o mecenasie sztuki niż handlarzu, który musi cały czas mieć na uwadze zysk – wyjaśnia, a kiedy już chcę uznać go za egocentryka, dodaje szybko: – Proszę mi wybaczyć, bo zabrzmiało to strasznie arogancko. Jestem po prostu w tej szczęśliwej sytuacji, że nie jestem uzależniony od wysokości marży. Dlatego oczywiście tak łatwo mi to mówić.

Uśmiecha się trochę ze skruchą, lecz ja mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że robi to tylko po to, żeby mnie onieśmielić: daje mi do zrozumienia, że jest bardzo bogaty. Musi to podkreślać, co sprawia, że sporo traci w moich oczach. Z drugiej jednak strony inwestuje swoje pieniądze w promowanie młodych talentów, co bardzo mu się chwali. Nie, Sophie, nic mu nie można zarzucić, myślę, uciszając dziwne uczucie, które nie daje mi spokoju. Koszmarne spotkanie z jednym mężczyzną na początku i przez całe przyjęcie będę w pozostałych doszukiwała się wad. Niedoczekanie.

– Wspaniale, że może pan sobie na to pozwolić – odpowiadam więc, uśmiechając się przyjaźnie, lecz neutralnie. – A poza tym to również może być dobra inwestycja. W biznesie aukcyjnym też wyraźnie widać ten trend rynkowy, czyli sztukę współczesną. – Co czyni z mojego rozmówcy kolejny interesujący kontakt. – Już sobie wyobrażam, jakie to interesujące, oglądać tyle nowych prac – dodaje.

– W rzeczy samej – potwierdza, sięga do kieszeni koszuli i wyjmuję z niej wizytówkę, którą mi wręcza. – Jeśli dłużej zabawi pani w Rzymie, zapraszam do mojej galerii. Z przyjemnością zaprezentuję pani dzieła, które wystawiamy. – Odchrząkuje. – Miss Conroy?

– Och, tak, oczywiście! Dziękuję za zaproszenie! – odpowiadam z przepraszającym uśmiechem i sięgam po wizytówkę. Pozwoliłam sobie na chwilę rozkojarzenia, bo do salonu wkroczył właśnie Matteo Bertani – tego mężczyzny po prostu nie da się nie zauważyć!

– Może pani do nas wpaść, kiedy tylko znajdzie pani chwilę – zapewnia mnie Lorenzo Santarelli po raz kolejny i się rozgląda. Najwyraźniej zauważył, że moja uwaga nie skupia się wyłącznie na nim.

– Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia. – Odstawiam prawie pełen talerz na bufetowy stół (w czasie rozmowy nie miałam okazji, by cokolwiek zjeść) i otwieram torebkę, żeby schować otrzymaną wizytówkę. Wsuwając ją do środka, muskam opuszkami palców telefon i uświadamiam sobie, że już dawno nie sprawdzałam, czy nie przyszły jakieś nowe wiadomości. A pewnie czekają na mnie niezliczone SMS-y od ojca. Kiedy zostaje sam z mamą, zazwyczaj na początku pojawia się cała masa problemów.

Natychmiast czuję wyrzuty sumienia i choć wiem, że to niegrzeczne, wyjmuję komórkę i ją uruchamiam. Jedna nowa wiadomość. Serce bije mi szybciej, lecz błyskawicznie się

uspokaja, bo nie wysłał jej mój tata, tylko Nigel. Domyślam się, co napisał: ponownie pyta, czy szczęśliwie dotarłam na miejsce, jako że na pierwszą wiadomość, wysłaną dziś rano, nie odpowiedziałam. Tyle że teraz nie mam czasu na odpisywanie, więc wyłączam komórkę i wsuwam ją z powrotem do torebki.

W końcu unoszę wzrok i chcę się usprawiedliwić, lecz nieśmiały uśmiech zamiera mi na ustach, bo w tej samej chwili do mojego rozmówcy podchodzi Matteo Bertani.

– Signorze Bertani – odzywa się Lorenzo Santarelli. Obaj mężczyźni witają się skinieniem głów. Ku mojemu zaskoczeniu nie mają sobie nic więcej do powiedzenia. Przyjaźń czy choćby kurtuazja wyglądają zupełnie inaczej niż to, co obserwuję.

– Miss Conroy, czy znalazłaby pani chwilę na rozmowę ze mną w cztery oczy? – prosi Matteo Bertani.

Zaskoczona wpatruję się w jego przystojną twarz i próbuję cokolwiek z niej wyczytać. Nie mam ochoty znów zostać z nim sam na sam, bo w jego obecności czuję nieprzyjemne zdenerwowanie. Jednak pytanie zadał bardzo grzecznym, uprzejmym tonem, więc jako kulturalnej Brytyjce pozostaje mi tylko jedna odpowiedź.

– Oczywiście. Zechce pan nam wybaczyć na moment? – Drugie zdanie kieruję w stronę Lorenza Santarellego, który wciąż się do mnie uśmiecha, lecz już mniej naturalnie, jakby pod przymusem.

– Proszę się nie spieszyć, muszę przywitać jeszcze kilka osób. Było mi bardzo miło poznać, miss Conroy.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam i odprowadzam go kawałek wzrokiem, kiedy odwraca się i odchodzi. W końcu nabieram głęboko powietrza i spoglądam na Mattea Bertaniego.

On jednak nie patrzy na mnie, tylko na mój przeładowany talerzyk, który znów trzymam w dłoni. Widzę, ile mam na nim jedzenia, i nagle czuję się trochę zażenowana. Pospiesznie wskazuję w stronę stolików barowych niedaleko bufetu, gdzie można stanąć i spokojnie zjeść. Jeden z nich jest wolny i chętnie bym z niego skorzystała, żeby nie musieć balansować pełnym talerzem, kiedy i bez tego jestem dostatecznie zdenerwowana.

– Możemy tam podejść? – pytam i jestem dumna, że udało mi się zachować tak spokojny głos. Potem, nie czekając na jego odpowiedź, ruszam przed siebie. On idzie za mną, lecz kiedy znów na niego spoglądam, on cały czas patrzy na mój talerzyk i uśmiecha się rozbawiony.

– Od południa nic jeszcze nie jadłam – mówię i złoścuję się na siebie. To było niepotrzebne, w końcu nie jestem mu winna żadnych wyjaśnień.

– Ależ proszę się nie krępować, smacznego. To bardzo budujące spotkać w końcu kobietę, która odczuwa zdrowy apetyt.

Mówi to szczerze, bardzo pozytywnie, lecz mój umysł natychmiast zaczyna analizować jego ton, doszukując się kpiącej nuty. Czy chce mi powiedzieć, że jestem obżartuchem? Tak, z całą pewnością to miał na myśli. Nie dotykam talerzyka. Jedzenie nie ma w tej chwili zbyt wielkiego znaczenia. Żadnego właściwie. Zjem w spokoju, kiedy skończymy rozmawiać.

Prostuję plecy i łączę łopatki – to odruch, jakbym chciała stawić czoło oddziaływaniu, jakie na mnie wywiera – i napotykam jego spokojne spojrzenie.

– Chciał pan ze mną porozmawiać?

– W rzeczy samej – potwierdza głębokim głosem. – Ale najpierw powinienem chyba panią ostrzec.

Spoglądam na niego podejrzliwie.

– Niby przed czym? Żebym trzymała się z dala od kolekcji dzieł signora di Chessy?

Nie mogę się powstrzymać przed tą uwagą, bo wciąż odbija się we mnie echem nasza

wcześniejsza rozmowa. Matteo Bertani uśmiecha się ze skruchą. A przynajmniej tak to wygląda, choć oczywiście ręki nie dałabym sobie uciąć. W jego przypadku niczego nie można być pewnym.

– Otóż nie. Przed Lorenzem Santarellim – wyjaśnia. – Najprawdopodobniej pani tego nie wie, jednak w kręgach rzymskich miłośników sztuki jego postać jest bardzo kontrowersyjna. Część osób go szanuje, lecz przynajmniej drugie tyle ma o nim jak najgorsze zdanie.

Nietrudno zgadnąć, do której grupy należy Matteo Bertani. Mimo to jestem zaskoczona nie tylko samą informacją, lecz przede wszystkim tym, że poczuł się zobowiązany, by mnie ostrzec. Zdziwiona i zaintrygowana.

– A cóż on takiego kontrowersyjnego robi?

Na twarzy Mattea Bertaniego pojawia się grymas pogardy.

– Nic takiego. A w każdym razie nic, z czego można by uczynić oficjalny zarzut. Jest po prostu ignorantem. To bardzo majątny człowiek, który z nudów kupił sobie galerię sztuki i ubrał się w szaty Matki Teresy od artystów.

– Strasznie negatywna ocena – odpowiadam. Nie dziwię się już, skąd taki chłodny dystans w stosunkach obu mężczyzn. – Domyślam się, że pana zdanie nie jest tajemnicą dla signora Santarellego?

Matteo Bertani wzrusza ramionami.

– Nie należę do osób, które z błędnie pojętej grzeczności ukrywają to, co myślą. I stąd też moje ostrzeżenie dla pani. Bądź co bądź ma pani dobrą opinię, której chce pani zapewne strzec, miss Conroy.

Ta uwaga rozszerza mnie na dobre.

– Doprawdy, nie spodziewałam się, że dobra opinia o mnie będzie leżała panu na sercu! Jeszcze przed chwilą było chyba całkiem na odwrót? Nie miał pan przypadkiem jak najgorszego zdania o mnie, bo wybrałam niewłaściwy zawód i licytuję dzieła sztuki?

– Każdy zasługuje na drugą szansę – wyjaśnia i posyła mi znów ten niesamowicie szarmancki, promienny uśmiech. Jeśli podobny styl bycia ma na uniwersytecie, nic dziwnego, że płeć piękna podbija statystyki przyjęć na kierunku historia sztuki.

Tyle że ja nie ulegnę jego czarowi, tym bardziej że to raczej beczelna uwaga. Koniec końców nie zrobiłam niczego, przez co straciłabym pierwszą szansę i zasługiwała na drugą. Wręcz przeciwnie – to on powinien liczyć na szansę ode mnie, jednak wtedy by się przeliczył. Wykrzywiam usta w raczej protekcyjnym uśmiechu.

– To miło z pana strony. Ale skoro już jesteśmy przy omawianiu kolejnych szans – czy to, co zarzuca pan signorowi Santarellemu, jest naprawdę tak karygodne? Bo jeśli ja miałabym oceniać, to pan robi przecież dokładnie to samo – inwestuje pan pieniądze w sztukę. Czy może się mylę?

Takie postawienie sprawy wyjątkowo nie przypadło mu do gustu. Jego twarz w jednej chwili pochmurnieje, a błyszczące dotychczas oczy wypełnia gniew. I dobrze. Wszystko lepsze niż ten zabójczo ujmujący uśmiech, któremu pewnie żadna kobieta na świecie nie jest w stanie się oprzeć.

– Trzeba mieć dużo złej woli, żeby to porównywać – odpowiada. – Studiowałbym historię sztuki nawet wtedy, gdyby moja rodzina nie miała złamanego centa. I potrafię rozpoznać prawdziwe dzieło, kiedy na nie patrzę. On nie. Dlatego w jego galerii znajdzie pani samych początkujących artystów, którzy czekają na odkrycie. I większość z nich – na szczęście – nigdy się tego nie doczeka.

Coś w tym może być. Mimo to czuję, że powinnam choć trochę bronić signora Santarellego. A może to tylko odruch, z którym nie potrafię lub nie chcę walczyć – kiedy Matteo

Bertani mówi o czymś z przekonaniem, ja po prostu muszę mu zaprzeczyć. To mechanizm obronny, który jest odpowiedzią na niesamowite oddziaływanie, jakie ma na mnie ten mężczyzna. Nie mogę sobie pozwolić, by dopasować jeszcze swój sposób myślenia do jego.

– Ma pan coś przeciwko dawaniu szans młodym twórcom? Poza tym wiele osób nie trawi starych mistrzów i woli kupować sztukę nowoczesną. I nie ma w tym przecież niczego złego.

Twarz Mattea Bertaniego znów zmienia wyraz – tym razem złość ustępuje miejsca rozbawieniu. Ot tak, po prostu. Czuję się lekko zbita z tropu. Ten człowiek jest całkowicie nieprzewidywalny!

– Na pierwszy rzut oka nikt by nie powiedział, że jest pani taka przekorna – stwierdza, a ja nie potrafię odgadnąć, czy chciał mi powiedzieć komplement, czy sprytnie zamaskował obrazę.

A poza tym to całkowita nieprawda, bo na co dzień jestem wcieleniem spokoju i grzeczności i trzeba naprawdę wiele wysiłku, by wyprowadzić mnie z równowagi. Dlatego trudno mi się otrząsnąć po tym, jak niewiele czasu on potrzebował, by doprowadzić mnie do takiego stanu.

– Przecież nie kłócę się z panem – odpowiadam z dumą i unoszę brodę. – Ja mam po prostu... inne zdanie.

Moja uwaga nie wpływa na zmianę jego uśmiechu. Nienawidzę go za to, jak wybija mnie z rytmu.

– Dlaczego właściwie chciał pan ze mną rozmawiać? – Zmieniam temat, by jak najszybciej zakończyć to spotkanie.

Nachyla się i opiera łokcie o blat stolika, przez co nasze oczy znajdują się na jednej wysokości.

– A nie domyśla się pani?

Nie, nie domyślam się, szczególnie kiedy spoglądam w te bursztynowe tęczówki. Nie mam pojęcia. Zazwyczaj moja intuicja działa bez zarzutu, lecz w przypadku Mattea Bertaniego jestem bezradna.

– Proszę mnie oświecić.

– Cóż, chciałem po prostu naprawić nie najlepszy początek naszej znajomości – odpowiada. – Znosi się na to, że w najbliższym czasie będziemy mieli sporo okazji do współpracy, dlatego myślę, że dobrze byłoby się lepiej poznać. Może jakiś obiad?

Jego uśmiech jest niesamowicie ujmujący, lecz na razie daję jeszcze radę.

– W najbliższym czasie będziemy mieli sporo okazji do współpracy? – powtarzam. – Ciekawe, bo jak dotąd nasz dom aukcyjny nie otrzymał jeszcze zlecenia od signora di Chessy.

To dla niego żaden argument.

– Oboje wiemy, że i tak je pani dostanie.

Marszczę brwi i zastanawiam się, co mu odpowiedzieć. Po wszystkim, czego dowiedziałam się o bliskich więziach łączących go z Giacomem di Chessą, może rzeczywiście poprawa stosunków między nami byłaby dobrym pomysłem? Z drugiej strony nie mam pewności, czy to, co mówi, wystarczy mi za przeprosiny. Tak samo zresztą jak nie jestem pewna, czy mogę sobie pozwolić na bliższą znajomość z nim. Już teraz mam problem z chaosem uczuć, które we mnie wywołuje.

Żeby nieco zyskać na czasie, sięgam po *involtini*, roladkę z bakłażana, wsuwam ją sobie do ust... i poniewczasie orientuję się, że popełniłam duży błąd. Mięso w niej jest cieniutkie i zwinięte, ale trudniejsze do pogryzienia, niż myślałam. Muszę je energicznie żuć, a to nie wygląda zbyt elegancko. Zawstydzona zasłaniam dłonią usta i rozpaczliwie szukając jakiegoś wyjścia, spoglądam na ścianę, na obraz najbliższej nas – malowidło przedstawiające Świętą

Rodzinę.

Natychmiast przełączam się na myślenie w kategoriach zawodowych i zaczynam profesjonalną analizę. Włochy, prawdopodobnie XVI wiek. Motyw i technika wskazują na Rafaela, mistrza renesansu. To byłoby...

– Piękny obraz, prawda? – Matteo Bertani zauważa moje zainteresowanie.

Przełykam pospiesznie przeżute *involtini*, co wcale nie jest proste.

– Również należy już do pana? – pytam z nutką ironii w głosie, kiedy w końcu znów mogę mówić.

Śmieje się.

– Nie. A Severna naprawdę kupiłem z powodów sentymentalnych, a nie żeby sprzątnąć go pani sprzed nosa – wyjaśnia i wprawia mnie w jeszcze większe zakłopotanie, bo teraz już naprawdę nie wiem, co o nim myśleć.

– Z powodów sentymentalnych?

– Jestem wielbicielem Johna Keatsa – wyznaje, a ja, gdybym wciąż jeszcze miała pełne usta, zakrztusiłabym się z wrażenia.

– Naprawdę? Ja też! – wykrzykuję, nim zdążę ugryźć się w język, i momentalnie żałuję, że tego nie zrobiłam, bo jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Wygląda więc na to, że przynajmniej w jednej kwestii jesteśmy tego samego zdania.

Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego nagle zaczął ze mną flirtować, lecz to uruchamia wszystkie moje mechanizmy obronne. Dlatego staram się zignorować to, że przez jego spojrzenie robi mi się gorąco, i wskazuję na obraz.

– To Rafael?

Potrząsa głową.

– Nie. To wprawdzie jego szkoła, lecz nie on sam. – Unosi brwi. – Nie dostrzegła tego pani?

Po raz kolejny przyglądam się uważnie dziełu i wtedy się orientuję, że tylko chce mi dokuczyć.

– Takich rzeczy nie da się stwierdzić na pierwszy rzut oka – odpowiadam chłodno.

W jego spojrzeniu pojawia się coś nowego, jakby mieszanina satysfakcji i... podziwu?

– Z ust mi to pani wyjęła. Często po dokładniejszym przyjrzeniu się rzeczy wydają się inne niż na początku.

Patrzę na niego podejrzliwie. Dlaczego tak nagle zaczął szukać mojego towarzystwa i mówi o kolejnych szansach, skoro na początku działałam na niego jak płachta na byka?

To musi mieć coś wspólnego z aukcją, której chciałby zapobiec. I stąd ta nagła chęć, by zjeść ze mną obiad? Pewnie ubzdurał sobie, że flirtując ze mną, zyska nade mną kontrolę. Bo nie widzę innego powodu jego nagłego zainteresowania. Na to jestem po prostu zbyt... zwyczajna. Ktoś taki jak Matteo Bertani nie musiałby przecież flirtować z kimś takim jak ja – on może mieć przecież każdą, a na przyjęciu jest sporo kobiet atrakcyjniejszych ode mnie. Skoro więc jednak to robi, musi mieć jakiś cel.

Nie mam jednak ochoty odkrywać, co to za cel, i mam też serdecznie dość jego niekonsekwentnego zachowania, którego nie potrafię zrozumieć.

– Całkiem możliwe – odpowiadam i staram się, by w moim spojrzeniu znalazło się tyle pogardy, ile tylko możliwe. – Ale wie pan, signorze Bertani, sama dam sobie radę z oceną, co czym jest, a czym nie jest. I nie pójdę z panem na obiad.

Moja odmowa nie pozbawia go rezonu. Ba, wręcz przeciwnie! Uśmiecha się teraz z taką pewnością siebie, że chce mi się krzyknąć!

– Ależ pójdzie pani – zapewnia mnie, a brzmi to tak arogancko, że staram się go

zignorować.

– Proszę mi wybaczyć, muszę poszukać Andrew.

Zabieram talerz – dzięki Bogu pamiętam o tym, bo musiałabym wrócić, a to by zniszczyło cały dramatyzm mojego odejścia – żegnam się skinieniem głowy i zostawiam go samego. Mam odrobinę nadziei, że robię to z godnością, lecz jakkolwiek by patrzeć, to najzwyczajniejsza rejterada.

Policzki mi płoną i przez chwilę mam wrażenie, że on idzie za mną. Lecz kiedy stojąc w przejściu do drugiego salonu, odwracam się – nie potrafię inaczej, a i tak jestem z siebie niesamowicie dumna, że nie zrobiłam tego wcześniej – widzę go pogrążonego w rozmowie z dwiema młodymi kobietami, które spoglądają na niego z zachwytem. Jedna z nich odchyła akurat głowę i śmieje się rozbawiona jakąś uwagą, którą rzucił. Druga wodzi za nim zakochanymi oczyma, czemu się nie dziwię, bo obdarza je tym swoim cudownym uśmiechem, przed którym tak trudno się obronić.

Natychmiast staram się uciszyć w sobie cichutki głosik, który jest rozczarowany, że tak szybko znalazł dla mnie zastępstwo. A przecież powinnam się cieszyć, bo z naszych trzech dzisiejszych spotkań każde kończyło się umiarkowaną katastrofą.

Ten człowiek jest ponad moją wytrzymałość – w każdym wymiarze. A poza tym jest już pewnie zajęty, myślę odruchowo. Wprawdzie nie widziałam już później kobiety w szmaragdowozielonej sukni, lecz przecież nie rozplynęła się w powietrzu. Zresztą nawet gdyby Matteo Bertani był wolny, a my dostalibyśmy to zlecenie, zostałabym w Rzymie najwyżej kilka dni. Dlatego nie ma sensu zaprzętać sobie głowy mężczyzną, którego nigdy więcej nie zobaczę...

– Sophie! – Odwracam się, słysząc swoje imię.

To Andrew.

– Ależ to pysznie wygląda! Nie miałem jeszcze okazji niczego przekąsić. Mogę się poczęstować?

Podsuwam mu talerz, a on wybiera kwiat cukinii i zjada go ze smakiem. Też powinnam była sięgnąć akurat po tę przekąskę, myślę ze złością i również jej próbuję, bo czuję, jak głód wraca. Wcześniej ze strachu zupełnie o nim zapomniałam.

– Tak przy okazji, to macie to zlecenie! – oznajmia Andrew i uśmiecha się promiennie, kiedy tylko kończy jeść.

– Naprawdę?! – W pierwszej chwili wiadomość do mnie nie dociera. – Signor di Chessa tak szybko podjął decyzję?

Andrew częstuje się pulpecikiem.

– Mówiłem ci przecież, że doskonale do siebie pasujecie. Przyjdź jutro rano, żeby ustalić szczegóły, a potem zabieraj się do pracy.

– To cudownie! – Cieszę się niesamowicie, lecz po chwili coś sobie przypominam. – Pamiętasz, co powiedziałaś wcześniej? Że to zlecenie może nie być takie proste? Co konkretnie miałeś na myśli?

Andrew wzdycha ciężko.

– Nie chodzi o to, że będzie trudne. Tylko będziesz potrzebowała sporo cierpliwości.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Co to znaczy?

Wzrusza ramionami.

– Giacomo chce tej aukcji, lecz jeszcze nie zdecydował, które dzieła chce spieniężyć. To będzie wymagało od ciebie zdolności negocjacyjnych i daru przekonywania. No i jeszcze...

– waha się i przerywa.

– Chodzi o problem z Bertanim? – zgaduję i kończę zdanie za niego. Po wyrazie jego

twarzą widzę, że trafiłam w sedno.

– No właśnie. – Znow wzdycha. – Robi wszystko, by odwieść Giacoma od tego pomysłu. Nie sądzę, żeby miał jakieś szanse, lecz to na pewno nie ułatwia Giacomowi podejmowania decyzji. Koniec końców oznacza to... – Znow milknie.

– Co? – pytam niecierpliwie. – Co to oznacza?

– Że nie możesz wrócić od razu do Londynu – kończy. – Musisz przygotować się do dłuższego pobytu w Rzymie, Sophie. Obawiam się, że nie ma innego wyjścia.

Rozdział 5

– Niczym się nie przejmuj, Sophie. Spokojnie możesz jeszcze tam zostać. – W głosie mojego ojca nie słyszę żadnego skrywanego przekazu, brzmi zupełnie szczerze. A jednak zbyt dobrze wiem, jak wygląda sytuacja u nas w domu, by rozumieć, że mam się czym przejmować.

– Wciąż mogę zrezygnować z tego zlecenia, jeszcze nie jest na to za późno – zapewniam go ponownie. – Nie ma mowy, żebym tak długo tu została. To po prostu niemożliwe.

– Córeczko, od miesięcy ciężko pracujesz na to, żebyśmy weszli z interesami na włoski rynek. Ustaliliśmy już wcześniej, że to dla nas wyjątkowo ważny krok. A jeśli kolekcja rzeczywiście okaże się tak wspaniała, jak opowiadasz, to również bardzo lukratywny krok. Nie możesz tego porzucić. Ale... może po prostu mogłabyś nieco przyspieszyć prace?

Z telefonem przy uchu wychodzę na niewielki balkon przylegający do pokoju. Niebo nad Rzymem jest oślepiająco błękitne i bezchmurne – taka pogoda utrzymuje się już od kilku dni. Zamykam oczy i wystawiam twarz na działanie promieni słonecznych; rozkoszuję się ciepłem na skórze. Jednak to pogłębia tylko poczucie winy wobec ojca, który został w Londynie i sam musi się wszystkim zajmować, dlatego podnoszę powieki i spoglądam na ulice poniżej.

– Nie, tato. Nie da się tego procesu przyspieszyć, niestety. Z początku też liczyłam na to, że dam radę, ale Andrew miał rację. Minie trochę czasu, zanim uda mi się obejrzeć i ocenić wszystkie dzieła. Znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy. – Wzdycham i siadam na filigranowym krześle z lakierowanych na biało metalowych pręcików, które czeka na balkonie. Myślę o zleceniodawcy.

Giacomo – od niedawna mam do niego zwracać się po imieniu – uparł się, że chce być obecny przy katalogowaniu swojej kolekcji, by na bieżąco decydować, z którymi dziełami sztuki rzeczywiście chce się rozstać, a które zatrzymać. Jednak z racji złego stanu jego zdrowia – cierpi na poważną anemię – mogę jedynie kilka godzin dziennie, i to zazwyczaj przed południem, spędzać na oględzinach kolejnych przedmiotów. A i przez tych kilka godzin niewiele udaje mi się zrobić, gdyż przy każdym obrazie Giacomo opowiada, gdzie udało mu się go znaleźć i jakie wspomnienia się z nim wiążą.

To z zasady bardzo ważne informacje – im dokładniej da się zbadać historię jakiegoś dzieła i im mniej w niej białych plam, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że trafi się na fałszyfikat. Tyle że jest to bardzo czasochłonne i dlatego powinnam poprosić Giacomę, by skrócił swoje opowieści. Nie mam jednak serca, by to zrobić, bo czuję, że on tak po prostu musi. To jego sposób pożegnania się.

No a poza tym jego opowieści są naprawdę interesujące. Niemal wszystkie dotyczą żony, z którą tworzył swoją kolekcję. Wyjątkowa czułość, z jaką o niej wspomina, bardzo mnie porusza. Musieli tworzyć zgrane i szczęśliwe małżeństwo i stąd moje zrozumienie dla jego rozterek. Giacomo chce przenieść się do swojej córki i jest świadom, że to wymaga od niego rozstania z pewną częścią swojego życia. Jednak czuje z tego powodu ogromny smutek, dlatego w pierwszym odruchu każdą z oglądanych rzeczy chciałby zachować.

– Nie, tego nie mogę sprzedać – mówi i spogląda na mnie w ten smutny, rozpaczliwy sposób, który rozdziera mi serce. Wreszcie, kiedy kończy opowieść o tym, jak dany obraz trafił w jego ręce, zmienia zdanie i pozwala mi go skatalogować i zapakować do wysyłki do Anglii. Lecz jeśli całość ma przebiegać w podobnym tempie, nie da się przewidzieć, kiedy skończymy. Z całą pewnością zdjęcie wszystkich obrazów ze ścian willi i opróżnienie wszystkich witrynek, a potem jeszcze skatalogowanie kolekcji rysunków i grafik w liczbie około dwustu, o których

właśnie się dowiedziałam, potrwa dłużej, niż ktokolwiek zakładał.

Dlatego nagle zaczynam mieć wątpliwości. W założeniu miałam zostać tu ledwie parę dni, które już minęły, a wciąż nie wiadomo, kiedy będę mogła wrócić do Londynu. Jeśli nic się nie zmieni, praca tutaj zajmie mi kilka tygodni, a to już poważny problem. Z drugiej strony równie dużym problemem byłaby utrata tego zlecenia. Tak w każdym razie uważa mój tata.

– To niczego nie przyspieszaj. Zostań tam jeszcze, Sophie. Wszystko będzie w porządku.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Zazwyczaj robi się trudno, kiedy przez tydzień nie ma mnie w domu. Tylko że dotychczas jakoś zawsze dawaliśmy sobie radę, a tak długiej mojej nieobecności nigdy nie braliśmy pod uwagę.

Tata i tak wydaje się zdecydowany.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnia mnie ponownie. – Nigel znalazł mi pomocnika, studenta jeszcze. Nazywa się Simon Boswell. Dzisiaj zaczął i już widzę, że daje sobie radę. On, Albert i pani Davis pomogą mi w organizacji Contemporary Auction w ten weekend. – Wzdycha. – Ten chłopak nie jest w stanie cię zastąpić, Sophie, ale dodatkowa para rąk dużo dla mnie znaczy. Jeśli Simon się sprawdzi, zapytam, czy nie zechciałby popracować u nas nieco dłużej. Jeśli to wciąż nie wystarczy, Nigel z pewnością znajdzie jeszcze kogoś, kto nas wesprze.

Nigel, przypominam sobie przestraszona. Nagle oblewa mnie fala gorąca, bo uświadamiam sobie, że miałam do niego zadzwonić, a nie zrobiłam tego. Obiecałam mu, więc na pewno czeka. Muszę więc pamiętać, by dodatkowo podziękować mu za to, że nie zostawił mojego ojca samego i cały czas go wspiera.

– A co z mamą? – pytam ostrożnie. Bo to właściwie jedyny nasz problem, nie praca.

– Nic się nie zmieniło. – Tata wzdycha, a ja czuję, jak wypełnia mnie bezsilna złość na sytuację, na którą nie mam żadnego wpływu i której mimo wszystko muszę podporządkować całe życie. Thumię jednak w sobie to bezproduktywne uczucie równie szybko, jak się pojawiło. Mama choruje i nic nie poradzi na to, że jest takim obciążeniem. Kocham ją i za nic nie zostawiłabym jej samej. To nie jej wina, że opieka nad nią kosztuje nas dużo wysiłku, lecz czasem trudno dać sobie z tym radę.

– Czy chociaż przyjmuje leki?

– Nie, cały czas odmawia i nie chce niczego brać. – Tata jest załamany. – Wiesz przecież, jaka potrafi czasem być.

O tak, wiem aż za dobrze. Tyle że nie jest taka czasem, lecz przez całe moje życie.

Moja mama jest chora. Cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową, tak to zaburzenie fachowo się nazywa. Cierpi na nią, od kiedy sięgam pamięcią. Zanim została prawidłowo zdiagnozowana, wielu uważało, że po prostu ma humory albo paskudny charakter, a czasem, jeśli – jak w tej chwili – była w jednej z faz, kiedy nie pozwala sobie niczego powiedzieć i odmawia jakiegokolwiek leczenia, dalej mam wrażenie, że tak jest. A wiem przecież, że to należy do objawów jej choroby, że przechodzi fazy maniakalne, kiedy musi działać – niestety, bez względu na wszystko i wszystkich – na zmianę z fazami głębokiej depresji.

Bywały lata, kiedy czuła się lepiej, lecz ostatnio jej stan drastycznie się pogorszył. Fazy depresyjne trwają coraz dłużej, lecz nie to jest najgorsze, bo wtedy akurat łatwiej stosować odpowiednią terapię. Za to w czasie, gdy przechodzi fazy maniakalne – jak teraz właśnie – nie da się do niej dotrzeć. Musimy mieć ją wtedy non stop na oku, żeby nie popełniła żadnego głupstwa, nie zrobiła czegoś szalonego albo niebezpiecznego. Naprawdę, cały czas trzeba na nią uważać i zawsze dzielimy się tym obowiązkiem my i nasza gospodyni, pani Jane. Pod tym względem niewiele lepiej jest w fazach depresyjnych, kiedy również trzeba pilnować, by niczego sobie nie zrobiła.

– Jest jednak dobra wiadomość: zgodziła się spotkać z doktorem Jenkinsem, którego

polecił nam Nigel. Pamiętasz? – ciągnie tata, a ja w jego tonie słyszę, że stara się w ten sposób pocieszyć sam siebie. – Może on będzie potrafił jej pomóc.

– Oby – mówię, choć nie mam nadziei. Dotychczas mama wytrzymywała najwyżej po dwa spotkania u jednego terapeuty i tata dobrze o tym wie.

Odchrząkuje.

– No w każdym razie, złotko, dajemy sobie tutaj radę. Zostań tam tak długo, jak to konieczne. W gruncie rzeczy to nawet mi na rękę, bo mogłabyś coś dla mnie załatwić.

– O, a co takiego? – pytam zainteresowana. To musi być coś ważnego, skoro z własnej woli bierze na siebie tyle obowiązków.

– Pamiętasz może pana Ratcliffa?

Zastanawiam się przez chwilę, lecz w końcu oczyma wyobraźni widzę niewysokiego, przysadzistego mężczyznę z powiększającą się łysiną; poznaliśmy się na jednym z wernisaży na East Endzie, na który zabrał mnie Nigel.

– Oczywiście. To ten prawnik Lindenburghów, prawda? Mieliście się jakoś teraz chyba spotkać?

– Mieliśmy. I spotkaliśmy, konkretnie wczoraj. I muszę ci powiedzieć, że to było bardzo miłe spotkanie. Ratcliff zaproponował mi mianowicie sprzedaż kilku dzieł z kolekcji Lindenburghów, w tym jeden obraz pędzla Enza di Montagny.

– Wow. Wspaniale. – To naprawdę świetna wiadomość. Rodzina Lindenburghów, ekscentrycznych milionerów ze Wschodniego Wybrzeża, ogromną miłością darzyła dzieła starych mistrzów i ponoć przez lata zebrała potężną kolekcję ich obrazów. A dzieła Enza di Montagny, renesansowego malarza współczesnego Rafaelowi i Leonardowi da Vinci, osiągały na aukcjach wyjątkowo dobre ceny. Mając taki obraz w ofercie, można było oprzeć na nim całą aukcję, bo nazwisko bez wątplenia przyciągnęłoby prasę.

Jednak ojciec wzdycha.

– Tak, naprawdę świetnie. Niestety, akurat obraz Enza nie posiada ekspertyzy potwierdzającej jego oryginalność. Badania fizykochemiczne zostały oczywiście przeprowadzone i tutaj mamy pewność, że powstał w XVI wieku, jednak nie mamy jednoznacznego poświadczenia, że jest pędzla Enza, a nie któregoś ze współczesnych mu naśladowców. Lindenburghowie to godni zaufania klienci, lecz sama wiesz, jak to wygląda. Po tych wszystkich skandalach w ostatnich latach chcę mieć stuprocentową pewność, że sprzedaję oryginał.

– A jak ja mogłabym ci pomóc?

– Naprawdę się nie domyślasz, Sophie? – W głosie taty słyszę delikatną zmianę i wiem, że się teraz uśmiecha, bo uważa, że zbyt długo nie mogę skojarzyć. – No nie, nie domyślasz się, bo i jak? – drażni się ze mną. – Tyle rzeczy masz na głowie, że przecież nie możesz śledzić sytuacji na bieżąco.

– Tato, o co ci chodzi? – pytam już lekko poirytowana.

– Ano o to, że człowiek uważany za najważniejszego eksperta w dziedzinie Enza di Montagny mieszka właśnie w Rzymie. I nawet miałaś przyjemność go spotkać. Tak w każdym razie powiedziałaś: że poznałaś go na przyjęciu w willi pana di Chessy.

Czuję mrowienie w żołądku i nieco mocniej przyciskam telefon do ucha. Poza Andrew i Giacomem wspomniałam tacie tylko o jednej jeszcze osobie.

– Matteo Bertani?

– Ten sam. Jeśli dostaniemy od niego ekspertyzę dotyczącą obrazu, jesteśmy czyści, Sophie! W przypadku tego malarza jego słowo jest ostateczne. Dzięki temu nikt by nie mógł podać w wątpliwość oryginalności dzieła. Podeszłabyś do niego i zapytała, czy nie wybrałby się

do Londynu, żeby zbadać obraz? Za odpowiednim wynagrodzeniem oczywiście.

– Do Londynu? – pytam zaskoczona. Zazwyczaj w takich sytuacjach obraz jest odpowiednio pakowany i wysyłany do eksperta, a nie odwrotnie – chyba że transport jest niemożliwy lub niewskazany.

– No właśnie, to kolejna nietypowa sprawa – wyjaśnia tata. – Niestety, ekscentryczność Lindenburghów rozciąga się również na warunki ich polis ubezpieczeniowych. Obraz jest już w drodze do Anglii, lecz do chwili sprzedaży nie może opuścić kraju. Bertani musi więc osobiście się tu pofatygować i obejrzeć go na miejscu. Mogłabyś go przynajmniej zapytać, Sophie. Znasz go przecież.

Zdenerwowana sapię głośno.

– Ależ ja go wcale nie znam, tato! Raz jeden go spotkałam i to wszystko. A tobie opowiedziałam o tym...

– ...bo jest nie do wytrzymania, wiem. Ale kochanie, w tej sprawie nie ma nic osobistego, to czysto zawodowe pytanie i propozycja. Obraz bardzo długo znajdował się w prywatnych zbiorach i dlatego jego historia nie jest wystarczająco udokumentowana. Całkiem możliwe, że sam będzie zainteresowany tym, żeby go obejrzeć.

– Mowy nie ma – próbuję protestować. – Wszędzie pójdę, tylko akurat nie do Mattea Bertaniego!

Moja duma nie pozwala mi nawet rozważyć takiej możliwości, bo od pierwszego spotkania przystojny profesor historii sztuki jest dla mnie kimś w rodzaju przeciwnika. Po przyjęciu u Giacomina nie mieliśmy okazji się spotkać, lecz wiem, że często odwiedza swojego przyjaciela. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiają, lecz mogę się założyć, że omawiają plany przeprowadzkowe signora di Chessy, co bardzo spowalnia całą akcję. Poza tym kiedy widziałam go po raz ostatni, odrzuciłam jego zaproszenie na obiad i teraz miałabym iść akurat do niego i prosić o przysługę?

– Naprawdę nie ma nikogo innego, kto mógłby przygotować taką ekspertyzę? Przecież nie może być jedynym specjalistą od tego malarza!

– Nie, nie jest jedynym specjalistą. Ale za to jest najlepszy. A ty jesteś akurat w Rzymie i go poznałaś. Więc mogłabyś go chociaż zapytać. – Milczę, więc zaczyna drażnić, a w jego głosie jest coraz więcej perswazji. – Oj, Sophie, no dalej, wiesz przecież, że nie lubię wystawiać obrazów, których pochodzenie i oryginalność nie są w stu procentach potwierdzone.

Waham się. Długo. Lecz mój tata wie, że dobre imię naszego domu aukcyjnego jest dla mnie wyjątkowo ważnym argumentem, którego nie potrafię i nie chcę zbić. I nie pozostaje mi nic innego, jak przełknąć tę żabę.

– Niech ci będzie, zapytam go.

– Cudownie! – Tata jest zachwycony. Najwyraźniej moja zgoda wynagradza mu nadmiar pracy, który spadł na jego barki w czasie, gdy ja jestem w Rzymie. – Odezwij się, gdy tylko będziesz miała jakieś wieści, dobrze? A teraz muszę kończyć, bo pędzę zluźować Jane.

Żegnamy się i rozłączamy, a ja stoję na balkonie i opieram się o poręcz, spoglądając w dół, na via delle Quattro Fontane, przy której leży hotel Fortuna. Mam stąd niedaleko do via Nazionale, jednej z głównych arterii centrum. Jest popołudnie i ruch uliczny przesuwa się powoli wąskimi, gęsto zastawionymi ulicami, a od fasad wysokich budynków echem odbija się trąbienie i warkot motocykli i dociera do mnie na czwarte piętro.

Niezależnie od pory dnia jest tu bardzo głośno, znacznie głośniejsze niż w Londynie. Tak mi się w każdym razie wydaje. Hałas nie cichnie nawet nocą, bo Rzym pulsuje życiem przez całą dobę – to mi jednak nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. To właśnie najbardziej lubię w tym mieście. Czuję się, jakbym była w zupełnie innym, znacznie pełniejszym życia świecie.

W świecie, w którym będę musiała zostać dłużej – dość zaskakująca przyjemność – i taką by była, gdyby nie to, że jestem zmuszona po raz kolejny spotkać się z Matteem Bertanim. Wzdycham głęboko.

To, że akurat on jest najwybitniejszym specjalistą od Enza di Montegny, a nam akurat teraz trafia się obraz bez ekspertyzy, to wyjątkowy zbieg okoliczności. Dlaczego takimi sprawami nie może się zajmować miły Lorenzo Santarelli? Albo jeszcze ktoś inny?

Może gdybym nie starła się z nim tak bardzo, łatwiej by mi było poprosić go o taką przysługę. Teraz jednak czuję, że to będzie moja osobista droga do Canossy, i wzdycham ciężko na samo wyobrażenie, jak zareaguje.

Sygnal telefonu stojącego na szafce nocnej koło łóżka sprawia, że wracam do swojego ślicznie umeblowanego pokoju. Polakierowane na biało meble i jasna tapeta w kwiatowe wzory na ścianach nadają mu świeżości i indywidualności, a poza tym sprawiają, że wydaje się większy, niż jest naprawdę. Jednak w połączeniu z przynależną maleńką, lecz równie pięknie urządzoną łazienką oferuje mi wszystko, czego mogę potrzebować w czasie pobytu w Rzymie.

– Tak? – zgłaszam się i siadam na miękkim szerokim łóżku. Tak jak podejrzewałam, to gospodyni.

– Signor Abbott on przybył, signorina Conroy – informuje mnie Daniela Bini łamanym angielskim. Wielokrotnie ją zapewniałam, że może mówić po włosku, lecz ona chyba uważa, że byłby to nietakt, i trzyma się mojego języka. – W podwórze zejść, bo czeka.

Andrew jest punktualny. Umówiliśmy się na czwartą i proszę, jest czwartą, więc czeka. Ale on już tak ma – to ktoś, na kim można polegać.

– Dziękuję, już schodzę!

W maleńkiej łazience po raz ostatni sprawdzam w lustrze swoje odbicie, poprawiam letnią sukienkę w kolorowy wzór i nakładam jeszcze błyszczki. Potem wychodzę i ruszam na parter.

W recepcji czeka na mnie signora Bini i uśmiecha się szeroko. Na moje oko zbliża się już do pięćdziesiątki. Wysoka i szczupła, o krótkich czarnych włosach i zawsze bardzo elegancko ubrana, więc w ogóle nie odpowiada stereotypowemu wyobrażeniu włoskiej matrony. Mimo to troszczy się o wszystkich i wszystko – ze swoim przyjaznym i radosnym usposobieniem jest dobrym duchem Fortuny i dogląda interesu ciemnymi, roześmianymi oczyma zza wąskich rogowych oprawek okularów.

– Signorina Conroy, proszę za mną, *prego*. – Wychodzi zza kontuaru i prowadzi mnie w stronę wąskich drzwi.

Chociaż dobrze wiem, dokąd się udać. Od przeszło tygodnia mieszkam w Fortunie i dobrze znam drogę na wewnętrzny dziedziniec ze śliczną białą fontanną pośrodku – przynajmniej dwa razy dziennie muszę tamtędy przejść, bowiem jadalnia, w której podawane są posiłki, znajduje się po drugiej stronie budynku.

Obok fontanny z białego marmuru – kaskady z trzema stopniami, z których niższy jest szerszy od poprzedniego, z dwiema wysokimi białymi kolumnami po bokach – na podwórzu znajdują się drzewa, w tym jedna wysoka palma, które dają chłodny, przyjemny cień.

Przed jadalnią, w narożniku obrośniętym jaśminem, stoją stoły z parasolami przeciwsłonecznymi i krzesła. Tam można czegoś się napić również poza porami posiłków i tam też czeka Andrew – dziś w jasnym garniturze i orzechowym szalu.

– *Ciao, bella mia!* – wita mnie z szerokim uśmiechem i wstaje, by pocałować mnie w oba policzki. Potem wskazuje na krzesło obok i zamawia u uśmiechniętej radośnie Daniela Bini dwie filiżanki herbaty. Widać nie wszystkie wyspiarskie przyzwyczajenia poszły w zapomnienie, myślę i uśmiecham się pod nosem.

Zajmuję miejsce obok niego.

– Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas.

– Dla ciebie zawsze mam czas, wiesz przecież! – W jego jasnobrązowych oczach błyszczy ciekawość. – Jak ci się układa z Giacomem?

Uśmiecha się leniwie, lecz w jasnym świetle słońca widzę na jego twarzy głębokie zmarszczki – ewidentne ślady jego burzliwej przeszłości. Bo tak jak niezawodny jest Andrew, gdy chodzi o pielęgnowanie przyjaźni, tak nieustatkowany jest w związkach. I jeśli dać wiarę jego opowieściom, ma w życiorysie bardzo burzliwy dwudziestoletni okres. Przez ten czas zdążyły się rozpaść jego trzy kolejne małżeństwa. Zawsze powtarza, że nie został stworzony do życia w związku, lecz jednocześnie nie wydaje się z tego powodu smutny. Wręcz przeciwnie – dla mnie jest kimś, kto po niespokojnym etapie poszukiwań w końcu się odnalazł i pełnymi garściami czerpie teraz z życia.

– Wyśmienicie, ale bardzo powoli – odpowiadam. – Ślimacze tempo, tak jak przewidziałeś.

Andrew robi skruszoną minę, choć przecież nie jest niczemu winien.

– Strasznie mi przykro, naprawdę. Ale warto chyba poczekać, co?

– O tak! – zapewniam go. – Aukcja kolekcji wzbudzi ogromne zainteresowanie, to na pewno. Ma jednego Van Eycka, Andrew! I Williama Turnera! Tylko że nie jest pewien, czy z nim akurat chce się rozstać. Ma też malowidło ze szkoły Rafaela. – Nagle coś mnie zastanawia. – Powiedz mi, jak on mógł sobie pozwolić na zakup tych wszystkich obrazów?

Tak wyjątkowo niedyskretne pytanie mogę zadać jedynie Andrew. Dziwi mnie i zaskakuje, jak emerytowany obecnie wykładowca akademicki może mieszkać w takim miejscu i w takich warunkach, posiadając kolekcję bardzo drogich dzieł sztuki.

Andrew się uśmiecha.

– Jego żona była bardzo bogatą osobą i zawsze wspierała jego pasję. Patrząc na nich, człowiek miał wrażenie, że to jedna z tych par, które dobrały się idealnie. – Wzdycha zamyślony. – Zeszły rok to był bardzo zły czas dla Giacomu. Ale powiedział, że okazujesz mu wiele cierpliwości i nigdy na niego nie naciskasz. I on to bardzo, bardzo ceni, Sophie.

Ten komplement bardzo mnie ucieszył.

– Nie muszę się nawet starać, Andrew, bo szczerze go polubiłam. – Wzdycham. – Gdyby nie to, że tak bardzo jestem potrzebna tacie, nie przeszkadzałoby mi, że to tyle trwa.

Daniela Bini wraca z dwiema filiżankami i stawia je przed nami na stole. Kiedy odchodzi, Andrew sięga po łyżeczkę, miesza swoją herbatę i spogląda na mnie uważnie.

– To korzystaj z tego, że tu jesteś – mówi. – Od zawsze bardzo dużo pracujesz. Może tak będzie dla ciebie lepiej? Może przyda ci się chwila wytchnienia? Potraktuj to jak zrządzenie losu i wykorzystaj tak, jak potrafisz najlepiej.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Ale tata...

– Joseph poradzi sobie bez ciebie, spokojna głowa. Poza tym Nigel cały czas mu pomaga, prawda?

Wzdycham.

– Tak, wspiera go. – Nigel zawsze to robi. W zasadzie sama nie wiem, jak dalibyśmy sobie z tatą radę, gdyby go zabrakło.

– Jak się właściwie między wami układa? – Andrew draży temat i nie spuszcza ze mnie uważnego spojrzenia, przez co czuję się trochę zawstydzona. Potrafi być bardzo bezpośredni – to druga strona jego otwartości, a ja nie jestem do tego przyzwyczajona. Pospiesznie się zastanawiam, co mu odpowiedzieć.

Bo w gruncie rzeczy ja i Nigel nie jesteśmy parą. A w każdym razie jeszcze nie. Nigdy mnie nie ponaglał i do niczego nie zmuszał – i to właśnie cenię w nim najbardziej: jego niekończącą się cierpliwość i zrównoważenie.

Nigdy nie przypuszczałam, że odegra w moim życiu tak ważną rolę. Znamy się od bardzo, bardzo dawna, bo jego ojciec, Rupert Hamilton, był dobrym przyjacielem mojego ojca i często zabierał ze sobą syna, kiedy nas odwiedzał. Nigel jest jednak dziesięć lat starszy ode mnie, więc kontakt między nami był bardzo przelotny – z racji dużej różnicy wieku nie mieliśmy wielu wspólnych tematów. Po śmierci Ruperta straciliśmy go z oczu, lecz rok temu spotkałam go znów na przyjęciu u mojej przyjaciółki Sarah i od tamtego momentu stał się dla nas praktycznie nieodzowny.

Wówczas nasz dom aukcyjny tkwił po uszy w kłopotach. Tata zainwestował sporo pieniędzy, przebudował i rozbudował pomieszczenia wystawiennicze, a kiedy wszystko było już gotowe, niespodziewanie przestaliśmy dostawać zlecenia i całymi tygodniami czekaliśmy na poprawę sytuacji. Znaleźliśmy się na finansowej równi pochyłej, a bank zagroził nam wypowiedzeniem umów kredytowych. Kiedy Nigel w czasie naszego przypadkowego spotkania dowiedział się o tym, natychmiast zaoferował nam pomoc. Po śmierci ojca jego kariera się rozwijała i stał się bardzo szanowanym bankierem. Umożliwił nam przejście do swojego banku na bardzo korzystnych warunkach, dostaliśmy też możliwość długoterminowego finansowania naszej działalności. I to jeszcze nie wszystko: uruchomił swoje prywatne kontakty, żeby Conroy's znów zaczęło działać na rynku aukcji sztuki. Wszystko sprowadza się do tego, że to dzięki jego pomocy pokonaliśmy tamten kryzys. Teraz znów nam się dobrze powodzi i za to będę mu zawsze wdzięczna – za to i za wszystko, co wciąż dla nas robi.

Andrew dalej nie spuszcza ze mnie wzroku i czeka na odpowiedź. Ale też nie mam z nią trudności.

– Lubię go, nawet bardzo – przyznaję z westchnieniem. – Czasem myślę, że to najmilszy człowiek na świecie.

– Wyjdiesz za niego?

Wzruszam ramionami.

– Dotychczas nie poprosił mnie o rękę – odpowiadam wymijająco.

Ale spodziewam się, że w końcu to zrobi. Na początku pomagał nam ze względu na starą znajomość. Lecz teraz nie widzi już we mnie tej małej dziewczynki, którą kiedyś byłam, i czuję, że stara się właśnie dla mnie. Chciałby, żeby nasza znajomość przekształciła się w coś więcej, mimo że w tej chwili opiera się tylko na przyjaźni. I wiem też, że nie będzie na mnie naciskał. To dla mnie oczywiste i mam wrażenie, że tak powinno być. Nie potrafię wyobrazić sobie lepszego partnera niż Nigel i wiem, że ojciec byłby zachwycony, mając takiego zięcia. Dlatego, moim zdaniem, to tylko kwestia czasu.

Andrew uśmiecha się nieco zamyślony.

– Jeśli jest bystry, to powinien się pospieszyć, bo inaczej zanim się obejrzy, ktoś mu cię sprzątnie sprzed nosa.

Rozmowa robi się dla mnie krępująca, więc zmieniam szybko temat. Jest jeszcze jednak kwestia, którą muszę jak najszybciej wyjaśnić.

– Słuchaj, czy tata wspominał ci o obrazie Enza di Montagny?

Andrew często rozmawia z ojcem, więc jego wiedza o bieżących wydarzeniach jest zwykle taka sama jak moja. Jednak ta wiadomość najwyraźniej jeszcze do niego nie dotarła, bo potrząsa głową. Dlatego wyjaśniam, o co chodzi.

– Ekspertyza? Dzieła Enza di Montagny? – Andrew drapie się zamyślony po brodzie.

– W takim wypadku w grę wchodzi tylko Matteo Bertani, co?

Mieszam herbatę i staram się nie okazywać, że na sam dźwięk tego nazwiska robię się nerwowa.

– Tak, tata jest tego samego zdania. Chce, żebym go zapytała, czyby się tego podjął.
– Wzdycham głęboko. – Akurat jego!

Andrew spogląda na mnie ze współczuciem, lecz uważa podobnie jak mój ojciec, że to właściwa osoba.

– Doskonale rozumiem Josepha – mówi. – Matteo jest najlepszy, jeśli chodzi o Enza. Poza tym to tylko pytanie, nic więcej.

– Wiem – potakuję. – Mimo to będę czuła się nieswojo, prosząc go o to, podczas gdy on robi wszystko, żeby obrzydzić mi pobyt w Rzymie i utrudnić Giacomowi pożegnanie z tym miastem.

– Sophie, spróbuj go zrozumieć – mówi Andrew. – Dla Mattea Bertaniego Giacomo jest jak ojciec. Własnego ojca stracił bardzo wcześniej, miał wtedy bodaj piętnaście lat, a Giacomo zawsze miał dla niego czas i okazywał mu wsparcie. Pewnie dlatego jest z nim tak bardzo związany.

Marszczę brwi, bo ten argument do mnie nie przemawia.

– Skoro tak bardzo mu będzie go brakować, przecież zawsze może polecieć do Anglii i go odwiedzić?

– To na pewno – przyznaje mi rację Andrew. – Ale ponoć bardzo niechętnie opuszcza Włochy. Poza tym wiesz, jak to jest – zazwyczaj chcemy mieć blisko tych, na których nam zależy.

O tak, dobrze to rozumiem. Mimo to znacznie bardziej niepokoi mnie wiadomość, że Matteo Bertani niechętnie podróżuje.

– Myślisz, że jest w ogóle sens go o to pytać?

Andrew wzrusza ramionami.

– Nie potrafię ci odpowiedzieć, bo aż tak dobrze go nie znam. Ale na pewno wzbudzisz jego zainteresowanie, więc chyba warto spróbować, co? Wykorzystaj swój czar i wszystko powinno się ułożyć. – Śmieje się, widząc mój grymas. – Czy może to ty uległaś jego czarowi, co, Sophie?

Przestraszona spoglądam na Andrew i macham lekceważąco dłonią.

– To mi akurat nie grozi – zapewniam go. – Jestem całkowicie uodporniona na ludzi takich jak on. – To kłamstwo, przynajmniej jeśli chodzi o Mattea Bertaniego. Ale chętnie rzeczywiście bym była odporna, a dobre chęci też się liczą, prawda? – Jest okropny.

Andrew przygląda mi się uważnie, a w jego oczach pojawia się sceptycyzm. Chyba mi nie wierzy.

– Serio – powtarzam, chyba z przesadnym naciskiem. – Matteo Bertani to ostatni mężczyzna na ziemi, z którym bym się związała.

– Tak, też się tego obawiam – mówi niemal z żalem w głosie, po czym wzdycha i opiera się wygodniej. – Na to jesteś zbyt rozsądna. – W tonie jego głosu słyszę niewypowiedziane „niestety”.

– Brzmisz tak, jakbyś uważał, że to źle.

Uśmiecha się i potrząsa głową.

– Myślę sobie tylko, że życie to życie, Sophie, i nie zawsze człowiek może wszystko kontrolować, nawet jeśli bardzo tego chce.

– Mnie akurat nie musisz tego tłumaczyć – odpowiadam i czuję bolesne ukłucie. Kocham matkę, naprawdę, ale codzienność z nią zmieniła moje życie w chaos, wyjątkowo męczący chaos. I właśnie dlatego nie muszę tracić nad nim kontroli, bo nie mam czego tracić.

– Wybacz, nie chciałem cię zranić – zapewnia mnie. – A co do Mattea Bertaniego, masz najpewniej rację. On nie byłby dla ciebie.

Thumię w sobie wrażenie, że jego uwaga jest dla mnie trochę obraźliwa. Andrew życzy mi jak najlepiej, przypominam sobie.

– Gdzie mogłabym go złapać, jak myślisz? – pytam.

Andrew zastanawia się przez chwilę.

– Najłatwiej będzie ci chyba spotkać go na uniwersytecie. Wykłada w Instytucie Historii Sztuki. Ale poczekaj, mogę dać ci jego namiary. – Wyjmuje telefon, dyktuje mi numer, a ja zapisuję go w swoim telefonie.

– Możesz spróbować teraz do niego zadzwonić, jeśli chcesz. Poczekam – oferuje Andrew, lecz ja kręcę głową.

– Nie, chyba wolę się z nim spotkać i porozmawiać osobiście. Podjadę zaraz na uniwersytet i zobaczę, czy jest albo kiedy go zastanę.

– Jak chcesz.

Moja decyzja chyba go mocno zdziwiła. Ale i tak nie zamierzam dzwonić do Mattea Bertaniego – w ten sposób znacznie łatwiej byłoby mu odmówić. Poza tym nie przyzwyczaiałam się jeszcze do takiej ilości wolnego czasu i trudno mi radzić sobie z wyrzutami sumienia, że pracuję tylko pół dnia. W tym mieście jest wiele miejsc, które koniecznie chcę odwiedzić – poprzedniego dnia byłam na przykład na idyllicznie położonym małym protestanckim cmentarzu w Testaccio i widziałam groby Johna Keatsa i Josepha Severna. Mimo że moja lista jest jeszcze bardzo długa, będę się lepiej czuła, mając coś konkretnego do roboty.

Najprawdopodobniej nie zastanę Mattea Bertaniego, lecz to mi w zasadzie nie przeszkadza. Nawet lepiej, jeśli zyskam trochę czasu, by przygotować się na spotkanie z nim twarzą w twarz.

Andrew dopija herbatę.

– Czy to prawda, że Giacomo ma jeszcze kolekcję rysunków? Nie miałem o tym pojęcia!

Jeszcze przez chwilę dyskutujemy o zbiorach Giacomina, lecz ja już nie potrafię się skupić, bo myślami jestem przy tym, co powiedział Andrew. I kiedy pół godziny później żegna się i pędzi na kolejne spotkanie, ja zostaję na podwórzu i zamyślona wpatruję się w pień palmy.

Co mógł mieć na myśli? Dlaczego Matteo Bertani nie jest dla mnie? Wiem, że to idiotyczne, bo przecież powtarzałam wielokrotnie, że nie jestem nim zainteresowana, jednak fakt, że Andrew wyraził się tak kategorycznie, burzy mój spokój. I jednocześnie budzi zainteresowanie.

Wstaję energicznie z krzesła i ruszam do pokoju, by przygotować się do wyjazdu na uniwersytet i trochę posurfować w sieci. W końcu na pewno nie zaszkodzi zdobyć trochę dodatkowej wiedzy.

Pytanie tylko, czy mi to coś da, myślę, uruchamiając wyszukiwarke w netbooku. Po chwili na ekranie pojawia się zdjęcie Mattea Bertaniego. Niezależnie od tego, jak dobrze się przygotuję, spotkanie z tym mężczyzną nie będzie należało do łatwych.

Wzdycham, odrywam wzrok od zdjęcia i zaczynam czytać artykuł, do którego jest dołączone.

Rozdział 6

Dobłą godzinę później wysiadam z taksówki przed wejściem do *Città Universitaria*, miasteczka uniwersyteckiego La Sapienza. Dziś jest czwartek, a więc dzień powszedni i zajęcia powinny odbywać się normalnie, lecz zbliża się już osiemnasta i nie wiem, czy jeszcze kogokolwiek uda mi się spotkać. Ale też nie nastawiałam się na nic, jadąc tu w ciemno, myślę, płacąc taksówkarzowi, po czym wchodzę na teren uczelni. Nie mam planu tego miejsca, jednak jestem pewna, że gdzieś powinnam trafić na tablicę z mapką i opisanymi budynkami, dzięki czemu wiedziałabym, gdzie powinnam się kierować. Znalezienie Instytutu Historii Sztuki nie może przecież być szczególnie trudne, prawda?

A jednak, jak się po chwili okazuje, może być dość problematyczne. Bo kiedy opuszczam teren zaraz przy wejściu, rozpościera się przede mną rozległy obszar zabudowany monumentalnymi budynkami, stojącymi jeden przy drugim. To miejsce jest jak miasto w mieście, myślę i rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś mapki. W gruncie rzeczy nie ma się czemu dziwić, bo La Sapienza, z ponad setką bibliotek, muzeów, instytutów naukowych i wydziałów rozrzuconych po całym Rzymie, uchodzi za największy uniwersytet w Europie. Podobno jest też najstarszą częścią Rzymu, choć ten akurat fragment miasta, *Città*, zdecydowanie nie należy do zabytkowych. Mussolini zlecił jej budowę w latach trzydziestych dwudziestego wieku, zapewne po to – jak zauważam z niesmakiem, rozglądając się po terenie kampusu – by masywne kłocowate bryły zabudowań obudziły w studentach pokorę. Ale prawda jest też taka, że nie znoszę architektury lat trzydziestych XX wieku.

Choć jest już późne popołudnie, zajęcia wciąż muszą się odbywać, bo dostrzegam wielu studentów i studentek. Giną wprawdzie na rozległym terenie, lecz widzę, jak wysypują się z kolejnych budynków, siadają na ławkach czy bezpośrednio na trawie i rozkoszując się wieczornym słońcem, prowadzą ożywione dyskusje. W jednym miejscu dostrzegam całą grupę z wykładowcą, który zorganizował zajęcia na wolnym powietrzu. Dlatego pewniejsza siebie idę dalej, bo jestem przekonana, że kiedy znajdę Instytut Historii Sztuki, ktoś mi wyjaśni, gdzie i kiedy Matteo Bertani prowadzi seminaria i wykłady, żebym mogła się z nim spotkać.

Z ciężkim westchnieniem zastanawiam się, czy powinnam chcieć zastać go już dziś. Bo jakoś nie chce mi się wierzyć, że go spotkam – to byłby zbyt wielki zbieg okoliczności – lecz gdyby jakimś cudem się udało, miałabym to przynajmniej za sobą. I, być może, udałoby mi się tyle o nim nie myśleć.

A nie mogę przestać, od kiedy skończyłam internetową kwerendę w poszukiwaniu materiałów na jego temat. Jej wyniki bardzo mnie zaskoczyły.

Nie wiem dlaczego, ale myślałam, że dotychczasowe życie spadkobiercy fortuny rodu Bertanich było lekkie, łatwe i przyjemne. I że poznał jedynie jego dobre i słoneczne strony, o czym – w moim przekonaniu – świadczą uwodzicielski uśmiech i spokojna pewność siebie.

Okazało się jednak, że wcale tak nie było. Jak wspomniał Andrew, Matteo miał piętnaście lat, kiedy stracił ojca, który zmarł na powikłania po przeciągającej się ciężkiej grypie. Jego matka, Angielka z pochodzenia – to od niej zapewne nauczył się tak doskonale mówić po angielsku – trzy lata wcześniej opuściła rodzinę i nawet po śmierci męża nie zdecydowała się wrócić do Włoch. Dlatego Matteo – najmłodszy z braci i jedyny niepełnoletni w tamtym czasie, został oddany pod prawną opiekę babci, Valentiny Bertani.

Kiedy to czytałam, czułam ucisk w gardle. Wiem doskonale, jak to jest, kiedy matka zawodzi. Moja wprawdzie nie opuściła rodziny, lecz nigdy nie mogła się nią zajmować, bo przez

chorobę zajmowała się tylko sobą. Ale ja przynajmniej miałam tatę. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak straszna byłaby to strata, gdyby zmarł jak ojciec Mattea Bertaniego – i to w czasie, kiedy ten bardzo go potrzebował.

Możliwe, że właśnie dlatego tak wcześnie się ożenił. Miał ledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy stanął na ślubnym kobiercu z prześliczną blondynką o imieniu Giulia, córką znanego włoskiego aktora. Natychmiast stali się ulubieńcami włoskiej prasy plotkarskiej i najbardziej rozchwytywaną parą Rzymu. W internecie znalazłam niezliczoną liczbę zdjęć z różnych przyjęć i uroczystości, na których uśmiechali się szczęśliwi do kamery. Po pewnym czasie zainteresowanie nimi przycichło nieco, głównie dlatego, że Matteo skupił się na karierze naukowej i mniej czasu spędzał na nocnych imprezach, za to jego żona pojawiała się czasem sama na zdjęciach. Potem wydarzyła się straszna tragedia: Giulia, pilotka amatorka i właścicielka niewielkiego samolotu, leciała z nauczycielem pilotażu nad morzem, kiedy wydarzyła się katastrofa i oboje runęli w fale, ginąc na miejscu.

Wypadek wydarzył się sześć lat temu. Po nim Matteo Bertani jeszcze energiczniej zabrał się za pracę naukową i tak się na niej skupił, że już w wieku trzydziestu dwóch lat znalazł się wśród najczęściej cytowanych historyków sztuki w kraju. Wyglądało na to, że również prywatnie jest bardzo rozchwytywany, bo w internecie krąży cała masa jego zdjęć z różnymi kobietami. Nie zdecydował się jednak na żaden trwały związek, przez co przywarła do niego łątka playboya i kobieciarza – najprawdopodobniej dlatego Andrew uznał, że nie jest dla mnie odpowiednim mężczyzną.

Ale ja go przecież i tak wcale nie chcę, przypomniałam sobie. I nie, nie zmieniałam zdania: jest arogancki i okropny, niezależnie od tego, przez co przeszedł w przeszłości. I wciąż nie podoba mi się myśl, że muszę się z nim spotkać, tym bardziej że nie potrafię przewidzieć, jak zareaguje na moją prośbę.

Mijam kilka budynków i niespodziewanie otwiera się przede mną plac. Zatrzymuję się przed wielkim gmachem, wspaniałym białym budynkiem z wysokimi kolumnami przy wejściu. Jeśli dobrze zrozumiałam i zapamiętałam wyblakły plan wiszący na którymś z wcześniejszych budynków, powinnam teraz skręcić w prawo, by dotrzeć do Wydziału Nauk Humanistycznych i Społecznych, gdzie znajduje się również Wydział Historyczny. I rzeczywiście, niedługo potem znajduję właściwe wejście. Ruszam szerokimi schodami w górę, w stronę drzwi prowadzących do tej części uniwersytetu.

Wewnątrz, od ściany do ściany, rozpięte są dwie żółte taśmy ostrzegawcze: jedna na wysokości kolan, druga nieco ponad moją głowę. Przyczepiono do nich dodatkowe fragmenty, które zwisają luźno i sprawiają wrażenie, że to żółta sieć. W pierwszej chwili jestem przekonana, że to prawdziwa blokada, lecz w końcu dostrzegam przejście pośrodku. Orientuję się, że to akcja protestacyjna studentów, którzy chcą wywalczyć lepsze warunki studiowania. Za taśmami, zebrana wokół stolika, stoi grupka młodych ludzi i kiedy mija mnie jakiś student i przechodzi ponad ławą do pokonania przeszkodą, zaraz zbliża się do niego jeden z protestujących i podaje kolorową ulotkę, lecz nie próbuje go zatrzymać. Robię więc dokładnie to samo i przekładam nogę nad taśmą. Muszę przy tym delikatnie unieść swoją spódniczkę i pokazać trochę ciała, co wywołuje pełen uznania gwizd – to gwizdże ciemnowłosy student. Podchodzi do mnie i chce mi wręczyć kolorową ulotkę, lecz odmawiam mu z uśmiechem, potrząsając głową, tym bardziej że po lewej stronie zauważyłam coś, co przyciąga moją uwagę.

Niedaleko na ścianie wisi bowiem tablica ogłoszeniowa, na której błyszczą złote litery *Dipartimento di Storia dell'Arte*. Tutaj musi się mieścić Instytut Historii Sztuki, myślę i uśmiecham się do siebie. I to dokładnie tutaj, na parterze. Przynajmniej ta część mojego dzisiejszego zadania okazała się dziecinnie łatwa.

Podchodzę do tablicy, żeby przejrzeć wywieszane ogłoszenia i zorientować się, dokąd mam iść dalej. Liczę na to, że może znajdę rozpisany plan wykładów i zajęć albo – co byłoby jeszcze lepsze – trafię na informację, gdzie i kiedy mogę spotkać Mattea Bertaniego.

– *Dove vai?* – Chłopak ma może ze dwadzieścia lat, jest wysoki i szczupły. Prawdopodobnie odgadł, że czegoś szukam, a jego uśmiech zdradza, że jest zainteresowany nie tylko tym, żeby mi pomóc, ale również małym flirtem. Ja jednak nie jestem w nastroju, bo moje myśli krążą wokół czegoś zupełnie innego. Ale nieznajomy może oszczędzić mi długich poszukiwań, więc na uśmiech odpowiadam uśmiechem.

Muszę się zastanowić, jak sformułować pytanie po włosku, i już po chwili bardzo grzecznie staram się dowiedzieć, czy wie, gdzie mogę zastać Mattea Bertaniego.

W odpowiedzi chłopak przewraca oczyma. Najwyraźniej nie jest zachwycony, że szukam akurat tego wykładowcy.

– Prosto i w prawo – mówi, wskazując na szeroki korytarz przed nami, który biegnie kawałek prosto, po czym rozchodzi się na obie strony. – A potem drugie drzwi po lewej. Ale seminarium, które akurat prowadzi, jest bardzo oblegane i nie wiem, czy w ogóle tam wejdiesz – wyjaśnia bez entuzjazmu i przybity wraca do znajomych.

– *Grazie!* – odpowiadam jeszcze i ruszam korytarzem. Muszę przepychać się przez tłum studentów, którzy idą w przeciwnym kierunku. Nie mogę uwierzyć, że znalezienie Mattea Bertaniego poszło mi tak łatwo.

Jednak teraz pojawia się kolejny problem, bo w zasadzie nie przemyślałam nawet, jak powinno brzmieć pytanie, które chcę mu zadać. Na szczęście przynajmniej się przebrałam i zmieniłam kolorową letnią suknię we wzorek na zieloną spódnicę z bluzką, które znacznie lepiej pasują do bądź co bądź biznesowego spotkania. Złe dobrana garderoba sprawiła, że w czasie pierwszego spotkania z Mattem Bertanem wpadłam w tarapaty, dlatego tym razem nie chciałam ryzykować.

Kiedy z dziko bijącym sercem wychodzę zza rogu, widzę, że drugie drzwi po lewej są otwarte. Nagle dociera do mnie, że tłum, przez który się przedzierałam, mógł oznaczać tylko jedno: przed chwilą zakończyły się jakieś zajęcia. A z tego, co powiedział nieznajomy student przy wejściu, raczej na pewno było to seminarium prowadzone przez Mattea Bertaniego. Mimo że jeszcze chwilę temu łamałam sobie głowę, co powinnam mu powiedzieć, przyspieszam kroku i rozglądam się, bo nie chcę się z nim minąć.

Niestety, wygląda jednak na to, że tak się właśnie stało, bo kiedy wchodzę do sali, w środku nie ma prawie nikogo. Przy katedrze stoją jedynie trzy studentki i rozmawiają, dwie kolejne siedzą w jednej z ławek, a przy oknie jakiś młody chłopak opiera się o parapet i bawi się komórką. Okna otworzono, bo w powietrzu unosi się zaduch, a większość krzeseł jest bezładnie poodsuwana od ławek. W środku musiał panować naprawdę niezły tłok, myślę. I tylko szkoda, że nie mogę nigdzie dostrzec Mattea Bertaniego. Czy aby na pewno trafiłam do właściwego pomieszczenia?

Dziewczyny przy stoliku prowadzącego zauważają mnie i przerywają rozmowę. Wszystkie trzy mają ciemne włosy i noszą eleganckie, ale dość kuse spódniczki i topy, a jedna z nich ma na sobie kombinezon. Oprócz pełnych torebek trzymają również skoroszyty przyciśnięte do piersi, jakby jeszcze musiały ich użyć... jakby na kogoś czekały.

– *Scusi, dov'è il professore Bertani?* – pytam z przyjaznym uśmiechem. Lecz one nie reagują, tylko wbijają we mnie wzrok – one i pozostałe dziewczyny, jakby dopiero teraz mnie zauważyły.

No dobra, myślę. Co zrobiłam nie tak? Wiem, że mój włoski nie jest pozbawiony brytyjskiego akcentu, ale bardzo się staram. Chłopak przy wejściu nie miał problemu ze

zrozumieniem mnie, więc o co chodzi? Dlaczego wszyscy patrzą na mnie, jakbym miała nierówno pod sufitem?

Jedna z trzech studentek przy katedrze uśmiecha się w końcu, choć wygląda, jakby chciała okazać mi współczucie. Potem wskazuje dłonią na korytarz.

– *Direttamente dietro di te* – mówi. I rzeczywiście, w tym samym momencie zauważam, że ktoś za mną stoi, i odwracam się przestraszona.

Matteo Bertani opiera się o framugę i na pewno stoi tam od jakiegoś czasu. Musiał już tam być, kiedy pytałam o niego studentki. Dlatego patrzyły na mnie jak na wariatkę.

Spoglądam na niego i nie mogę nabrać powietrza; zapomniałam już, jak cholernie dobrze wygląda. Ma dziś na sobie jasną dopasowaną koszulę i spodnie od garnitur, bez najmniejszych wątpliwości szyte na miarę, bo zbyt dobrze leżą jak na ciuchy szyte masowo. Nie włożył marynarki ani krawata, a rękawy podwinął, odsłaniając opalone i umięśnione przedramiona. Pozwolił sobie na to z racji gorąca i hordy studentów, którymi musiał się zajmować. Pasują do tego jego włosy – nie są tak starannie ułożone jak w czasie naszego poprzedniego spotkania. Musiał przeczesać je kilka razy dłonią, ale to mu niczego nie ujmuje, bo wygląda po prostu świetnie, z nutą nonszalancji i niedbałości. Bo w gruncie rzeczy to, że się tak ubiera – z naturalną elegancją i luzem – odpowiada oczekiwaniom stawianym najmłodszemu spadkobiercy dynastii włoskich projektantów. Biaława blizna zaczynająca się na jego szyi jest w zasadzie jedynym elementem, który nie pasuje do tego idealnego obrazu, a ja nie mogę się powstrzymać, by nie zadać sobie pytania, skąd ją ma.

– Panna Conroy. – Jego głęboki głos wrywa mnie z zamyślenia i dopiero wtedy zauważam, że uśmiecha się zadowolony. – Już zacząłem się zastanawiać, kiedy w końcu się pani pojawi.

Nieważne, jak wcześniej wyobrażałam sobie nasze spotkanie – tego zdania nie było w żadnym ze scenariuszy. Potrzebuję trochę czasu, by się otrząsnąć i stłumić złość, która pojawia się w reakcji na jego bezczelną uwagę. Czyżby naprawdę uważał się za kogoś, komu żadna kobieta się nie oprze?!

Tylko spokojnie, Sophie. Chcesz czegoś od niego, więc nie daj się wyprowadzić z równowagi.

– Czy moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności? – pytam najbardziej naturalnym głosem, na jaki mogę się zdobyć, i się uśmiecham, lecz krótko i profesjonalnie, by zrozumiał w końcu, jak mało sobie robię z jego sposobu bycia.

– Ależ oczywiście. Proszę dać mi chwilę – odpowiada i odpycha się ramieniem od framugi, o którą się opierał. Wciąż jeszcze uśmiechnięty wchodzi do sali i podchodzi do pulpitu, na którym zostawił kilka teczek. Dopiero teraz je zauważam. Poza tym stoi tam również rzutnik i kilka skrzynek z przeźrocami. Najwyraźniej tuż po zakończeniu zajęć musiał wyjść – nieważne dokąd – a teraz wrócił po swoje rzeczy.

Patrzę na niego i nie mogę przestać myśleć, jak atletycznie jest zbudowany i jak dużo musi trenować, by zachować taką sprężystość ciała. Ale nie muszę tego wszystkiego podziwiać – tę część wzięły na siebie studentki, które wodzą za nim rozanielonymi spojrzeniami. Obskakują go, zadając pytania jedna przez drugą – wszystkie pięć, bo tamte dwie z ławki wstały i dołączyły do czekających przy katedrze. Za to chłopak spod okna dalej zajmuje się swoją komórką, jakby w ogóle nie zauważał poruszenia w sali. Pewnie zapomniał, gdzie jest.

Z piątki dziewcząt trzy skąpo ubrane wykazują się największym zaangażowaniem. Koncentrują się na prowadzącym zajęcia, który wyuczonymi ruchami chowa rzutnik do kartonu i zamyka w szafce w narożniku. Mam wrażenie, że nie dadzą mu spokoju. Docierają do mnie jedynie strzępki ich rozmów – chodzi o jakiś kurs, który dopiero się rozpoczął, a one koniecznie

chcą wziąć w nim udział, lecz nie ma już wolnych miejsc. One jednak nie chcą się z tym pogodzić, dlatego muszę czekać znacznie dłużej niż chwilę, o którą poprosił mnie Matteo Bertani.

A jednak nie zapomniał, że stoję i czekam, bo w końcu unosi głowę i wykorzystuje mnie, by pozbyć się nachalnych studentek: tłumaczy, że musi już iść, bo ma spotkanie. Dopiero wtedy dają mu spokój, lecz wyraźnie niechętnie i nie kryjąc rozczarowania.

– Proszę mi wybaczyć – mówi Matteo, kiedy taszcząc pudełka z przezroczami i papiery, podchodzi do mnie. Po krótkim spojrzeniu przez ramię na studentki, które wodzą za nim ponurym wzrokiem, przepuszcza mnie przodem i wychodzimy na korytarz. – Może lepiej chodźmy do biura, bo tutaj nie będziemy mieli spokoju.

Prowadzi mnie w stronę wyjścia z budynku, lecz tylko kawałek, bo po lewej i prawej stronie znajdują się klatki schodowe, które zauważyłam, kiedy go szukałam. Wybiera schody po prawej i kiedy podążam za nim na piętro, dociera do mnie, jak wiele par oczu nas obserwuje. Studentki z sali wyszły na korytarz i odprowadzają nas wzrokiem, tak samo jak grupa protestujących studentów zebrana wokół stolika przy wejściu do budynku. Wszystkich zdaje się bardzo interesować, kogo Matteo Bertani zaprasza do swojego biura.

Piętro wyżej szklane drzwi wiodą na korytarz, wzdłuż którego znajduje się wiele pomieszczeń. Za czwartymi po prawej stronie mieści się jego gabinet. To niewielki pokój z regałami pełnymi książek i biurkiem, a meble wyglądają tak jak na większości uniwersytetów: są stare i zużyte. Kiedy on odkłada na miejsce swoje papiery i chowa pudełka z przezroczami, ja siadam na krześle dla gości i myślę, że nie tego się po nim spodziewałam. Takie miejsce nijak nie pasuje mi do bogatego spadkobiercy wielkiego koncernu. Najwyraźniej jednak on nie ma z tym żadnego problemu, czym, nie ukrywam, robi na mnie wrażenie.

Po chwili siedzimy w milczeniu naprzeciwko siebie, a ja uświadamiam sobie niespodziewanie, że jesteśmy tu sami. Odruchowo się prostuję.

Czekam, aż coś powie. On uznał chyba, że to ja powinnam zacząć, bo spogląda na mnie wyczekująco i milczy. Po jakimś czasie odchrząkuję.

– Signorze Bertani, potrzebowałabym pana pomocy.

– Aha. – Opiera się i krzyżuje ramiona na piersi. Za nic nie potrafię zinterpretować błysku w jego oczach, lecz tym razem się nie uśmiecha, co sprawia, że czuję się niepewnie. Dlatego pospiesznie mówię dalej, wyłuszczając mu powód, dla którego zdecydowałam się go odwiedzić:

– Do naszego domu aukcyjnego zgłosił się klient z obrazem przypisywanym Enzowi di Montagnie i chce go wystawić na sprzedaż. Badania fizykochemiczne zostały już oczywiście przeprowadzone i tutaj nie ma wątpliwości, że dzieło pochodzi z czasów, gdy di Montagna tworzył, jednak żeby wystawić obraz na aukcji, potrzebna jest ekspertyza potwierdzająca jego autorstwo. I dlatego szukamy eksperta, który by ją wykonał. – Przetykam ślinę, bo nagle czuję suchość w ustach. – Czy byłby pan gotów rozważyć podjęcie się tego zadania?

Nerwowo czekam na jego odpowiedź i widzę, że – w końcu! – kąciki jego ust wędrują w górę. Lecz grymas, który pojawia się na jego twarzy, nie jest radosny, tylko jednoznacznie wyniosły.

– Czyli jednak nie jest pani w stanie sama ocenić, co czym jest, a czym nie jest, panno Conroy?

Natychmiast sobie przypominam, że to są słowa, które rzuciłam na odchodnym, zostawiając go samego na przyjęciu. Czuję, że robię się czerwona.

– Nie – przyznaję, niemal zgrzytając zębami, i złoszczę się, że dałam się mu sprowokować do tego wyznania. Powinnam była przewidzieć, że mając taką okazję, wykorzysta moje słowa przeciwko mnie.

– Poza tym powinna pani była od razu zaznaczyć, że wykonanie tej ekspertyzy wiązałoby się z wyjazdem do Londynu – mówi, czym jednocześnie wyrывa mnie z zamyślenia i przeraża.

– Bo o ile wiem, obraz nie może opuścić Anglii, prawda?

Wpatruję się w niego całkowicie zaskoczona i rozbita.

– Skąd...

No oczywiście, myślę sobie. Nie muszę nawet patrzeć na jego przesadnie pewny siebie uśmiech, żeby zrozumieć, że od początku wiedział, po co przyszedł. Jest ekspertem od Enza di Montagny i kiedy na rynku pojawia się nowy obraz mistrza, dowiaduje się o nim jako jeden z pierwszych. Najprawdopodobniej wiedział również, że został zaoferowany do sprzedaży właśnie nam – musi mieć bardzo szerokie kontakty i równie szeroką siatkę informatorów, którzy przekazują mu najnowsze wiadomości. Dlatego moje pojawienie się na uniwersytecie go nie zaskoczyło. I naprawdę czekał, kiedy przyjdę.

Niech mu będzie, myślę, i na jego zadowolony uśmiech odpowiadam spojrzeniem oznaczającym gotowość do starcia. Ostatecznie tylko ułatwił mi sprawę.

– Szczegóły zostawiłam na koniec, żeby omówić je w odpowiednim czasie. Ale zgadza się, musiałby pan udać się do Londynu, przy czym my, oprócz pana wynagrodzenia, pokrylibyśmy oczywiście koszty podróży. Lecz domyślam się, że skoro już wcześniej pan o wszystkim wiedział, zastanowił się pan, czy podejmie się wykonania ekspertyzy.

Nie odpowiada mi od razu, tylko odwraca głowę i spogląda przez okno na zachodzące słońce. Zafascynowana przyglądam się złotym refleksom, które powstają na blond włosach Mattea Bertaniego... i szybko przywołuję się do porządku, zanim znów na mnie popatrzy.

– Przemyślałem to i nie sądzę, bym miał się zgodzić – odpowiada.

Czuję, że twarz mi tężeje. Byłam gotowa się zmierzyć z wieloma różnymi scenariuszami, ale nie z tak jednoznaczną odmową. Spodziewałam się, że będzie mnie prowokował jak na początku naszej znajomości, na przyjęciu. Albo że postawi niemożliwe do spełnienia żądania, na przykład żebym zarzuciła pracę nad zleceniem od Giacomina di Chessy i przerwała katalogowanie jego obrazów. Ale do głowy by mi nie przyszło, że mógłby ot tak po prostu odmówić mojej prośbie.

Mój Boże, myślę sobie, lada chwila wystawię na sprzedaż dzieło malarza, w którego twórczości on się specjalizuje, i oferuję mu, by obejrzał je i zbadał jako pierwszy. To jest przecież, do cholery jasnej, jeden z elementów jego pracy! Jako specjalista i ekspert powinien wystawiać ekspertyzy również dla tych, których – jak się spodziewam – nie lubi równie mocno jak mnie.

Ale wtedy sobie uświadamiam, że to właśnie odróżnia Mattea Bertaniego od przeciętnego pracownika naukowego w zapyziałym uniwersyteckim kantorku – on nic nie musi. Jeśli coś robi, to z pasji, a nie dlatego, by dorobić do pensji. I dlatego może wybierać, jakich zleceń zechce się podjąć, a jakie odrzucić. A mnie nie zamierza robić żadnej przysługi.

– Och. – Z moich ust mimowolnie wydobywa się jęk zawodu. – W takim razie... nic tu po mnie.

Podnoszę się spiesźnie z krzesła, bo nagle czuję potrzebę, by szybko przerwać tę scenę. Z całą pewnością znajdziemy jakąś alternatywę, pocieszam się i staram się zagłuszyć szybko wzbierającą falę rozczarowania. Mam wrażenie, że najzwyczajniej w świecie zostałam odprawiona z kwitkiem. Bo tak jest. I powinnam była to przewidzieć. W przypadku człowieka pokroju Mattea Bertaniego należy być przygotowanym na każdą ewentualność...

– Tak łatwo daje pani za wygraną? – Ton jego słów sprawia, że się zatrzymuję i spoglądam mu w oczy, w których dostrzegam wyzywające błyski. – Myślałem, że jest pani bardziej uparta.

- Powiedział pan, że nie jest zainteresowany – usprawiedliwiam się, siadając jednak z powrotem na krześle. Czego on ode mnie chce? Jeśli liczy, że będę go błagać, to się przeliczy.
- Bo nie jestem. – Unosi znacząco brwi. – Chyba że...
- Chyba że co? – pytam zniecierpliwiona, bo mam wrażenie, że się mną bawi. Nachyla się nad biurkiem.
- Chyba że zgodzi się pani zjeść ze mną kolację, Sophie Conroy.

Rozdział 7

Siedzimy w jego biurze i mierzymy się wzrokiem, oddzieleni jedynie biurkiem. Powoli zaczynam rozumieć jego zachowanie.

– Czy to warunek? – Potrząsam oburzona głową. – Podejmie się pan sporządzenia ekspertyzy, jeśli pójdę z panem na kolację?

Znów opiera się wygodnie i zakłada ramiona na piersi.

– Przynajmniej rozważę propozycję.

A przepowiadał, że pójdę z nim coś zjeść, myślę prawie przestraszona, wspominając słowa, którymi pożegnał się ze mną na przyjęciu u signora di Chessy. Czyżby już wtedy wiedział o obrazie di Montagny? Wiedział, że Lindenburghowie zaproponują nam jego sprzedaż? Czy po prostu jego przerośnięte ego i nadmierna pewność siebie były mu gwarancją, że i tak się z nim spotkam w restauracji? Choć raczej nie ma przerośniętego ego, myślę po chwili otrzeźwienia, bo ktoś taki jak on raczej rzadko dostaje kosza.

Jakkolwiek by patrzeć, ma w tej chwili w ręku znacznie mocniejsze karty i doskonale o tym wie, co zdradza jego uśmiech.

– Zawsze pan w ten sposób postępuje? – pytam, z trudem maskując agresywny ton.

– Ale że jak? Zmuszam kobiety, żeby się ze mną umawiały? – Śmieje się. – Nie, zasadniczo nie.

Potrząsam głową.

– To dlaczego mnie pan zmusza?

– Może dlatego, że inaczej nie zgodziłaby się pani ze mną spotkać? – odpowiada. I trudno nie przyznać mu racji.

– A nie przyszło panu do głowy, że mam powód, żeby się z panem nie spotykać? – pytam oschle, na co on unosi brwi.

– Powód, by nie zjeść ze mną posiłku? Prawdę mówiąc, nie potrafię sobie takiego wyobrazić.

– A jednak – wypalam natychmiast i podaję mu pierwszy i najważniejszy, jaki przychodzi mi do głowy: – Pańska dziewczyna, na przykład. Ona mogłaby mieć coś przeciwko.

– Moja dziewczyna? – Spogląda na mnie i marszczy czoło, lecz ja jestem gotowa odświeżyć mu pamięć.

– Pańska towarzyszka z przyjęcia u Giacomina. Miała zieloną suknię i czekała na pana przy schodach.

– Paola! – mówi natychmiast, dalej całkowicie odprężony, i nie ucieka przed moim spojrzeniem, jakby w ogóle nie miał wyrzutów sumienia. – To żona mojego brata – wyjaśnia.

– Luca wyjechał do Mainland, dlatego Paola przyszła tam sama, a że wiedziała, że mnie spotka, czekała na mnie przy wejściu. – Uśmiecha się zadowolony. – Tak więc bardzo mi przykro, panno Conroy, ale nie wykręci się pani zazdrosną dziewczyną.

Boleśnie zażenowana zaciskam usta.

A więc to była jego bratowa! Kiedy słyszę jego wyjaśnienie, wszystko wydaje mi się oczywiste. Nie zachowywali się przecież jak para, tylko ja to tak zinterpretowałam – na wyrost. Byli blisko ze sobą, lecz brakowało w ich relacji zażyłości... Czuję... ulgę? Przestraszona własną reakcją odrzucam uczucie, które jako pierwsze pojawia się po jego słowach. Nie, jestem zła. Wkurzona. Bo skoro nie ma dziewczyny, ja tracę argument, by mu odmówić i nie musieć zgadzać się na jego warunek.

Mimo to w pierwszym odruchu nie chcę się z nim umawiać. Nabieram nawet powietrza, by powiedzieć, że nigdy i pod żadnym pretekstem nie pójdę z nim na kolację, lecz wtedy przypominam sobie głos swojego ojca i to, jak bardzo mu zależy na tej ekspertyzie. Chce koniecznie, by to Matteo Bertani ją przygotował, więc nie mogę zaprzepaścić tej szansy.

– Ale potrzebowalibyśmy tej ekspertyzy możliwie szybko – mówię więc i nie unikam jego spojrzenia. Skoro on może stawiać warunki, to ja również.

Wzrusza jedynie ramionami.

– W takim razie chodźmy na kolację jeszcze dziś wieczorem. Znam bardzo fajne miejsce. Spodoba się pani.

Spoglądam na niego i marszczę czoło. Długo rozważam wszystkie opcje, jakie mi zostały. Tak długo, że Matteo w końcu przeczesuje dłonią włosy i wzdycha, tym razem głośno i wyraźnie.

– To przecież tylko zwykła kolacja, miss Conroy. – W jego głosie słyszę delikatne rozbawienie i niedowierzanie. – Czego się pani obawia?

No właśnie, myślę sobie. Czego? Ma w końcu rację, to nie żadna niemoralna propozycja, tylko warunek, który bez problemu mogłabym spełnić. Nie wiem jedynie, do czego on właściwie zmierza, i to sprawia, że jestem podejrzliwa. A na dodatek jestem też trochę onieśmielona i zawstydzona, bo od dawna się z nikim nie umawiałam – z nikim poza Nigelem.

Nie chodzi o to, że nie mam żadnych doświadczeń z mężczyznami – co to, to nie. Było ich w moim życiu kilku. Jednak nasze związki, jeśli w ogóle można mówić o związkach, nie trwały z zasady długo. Pewnie bardziej chodziło mi o to, by zaspokoić swoją ciekawość w sprawach seksu. Szybko dowiedziałam się, o co chodzi, i mimo kilku podejść uznałam, że to strasznie rozczarowujące. Moim zdaniem seks jest stanowczo przereklamowany.

Jednak to nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Matteo Bertani nie zaproponował mi kolacji, by zaciągnąć mnie do łóżka. Musi mieć jakiś inny cel, którego się nie domyślam, bo kiedy przypomnę sobie te wszystkie wybitnie piękne kobiety, które widziałam w jego towarzystwie na zdjęciach w internecie, zdaję sobie sprawę, że nie jestem w jego typie.

On za to jest w twoim, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny – ostrzega mnie głosik z tyłu głowy, który natychmiast staram się uciszyć. Bo jeśli nawet uznamy, że jest atrakcyjny, to ja w mężczyźnie cenię inne walory. Wiarygodność. Zrównoważenie. Pewność. Wszystko to, czego tak boleśnie brakowało w moim dotychczasowym życiu. Patrząc z tej perspektywy, nieobliczalny Matteo Bertani odpada już w przedbiegach.

Nabieram głęboko powietrza.

– Zgoda – potakuję. – Skoro nie ma innego wyjścia, pójdę z panem dziś wieczorem na kolację.

Ale będę bardzo ostrożna. Bo przecież musi mieć jakieś swoje plany, jestem o tym przekonana, dlatego nie dam mu się zmanipulować. Wręcz przeciwnie. Może uda mi się odwrócić proporcje sił i dowiedzieć się czegoś więcej o nim samym. Na pewno nie zaszkodzi, zważywszy na to, że dotychczas robił wszystko, by storpedować moją pracę.

– Nie ma innego wyjścia – powtarza i przez chwilę na jego twarzy maluje się zaskoczenie. Najwyraźniej nie codziennie zdarza mu się spotkać z tak niechętną zgodą. Szybko jednak odzyskuje rezon, wstaje z fotela i uśmiecha się szeroko. – W takim razie ruszajmy może w drogę, mamy przecież plany na wieczór.

Z oparcia zdejmuję marynarkę, którą musiał zostawić tam przed zajęciami, zza biurka podnosi skórzaną torbę – wyjątkowo elegancką, wyprodukowaną zapewne przez koncern należący do jego rodziny – i chowa do niej swoje papiery. Przyglądam mu się, kiedy to robi, i jestem tak pogrążona w myślach, że podskakuję przestraszona, kiedy nagle podnosi wzrok

i widzę skierowane na siebie bursztynowe oczy.

– Przyjechała pani taksówką?

Potakuję i również wstaję, bo zmierza już w stronę drzwi.

– Dlaczego pan pyta?

– Odwiozę panią do hotelu – mówi, puszczając mnie przodem, po czym sam wychodzi na korytarz i zamyka za sobą drzwi. To nie jest pytanie, tylko niemal polecenie, co znów budzi mój sprzeciw.

Marszczę czoło.

– Jak mnie pan odwiezie, skoro nie wie pan, gdzie mieszkam?

Uśmiecha się delikatnie, przez co znów widzę cudowny dołeczek w jego policzku.

– A gdzie pani mieszka?

– W Monti – odpowiadam, kiedy zmierzamy korytarzem w stronę wyjścia. Zatrzymuje się przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową i otwiera je dla mnie

– No proszę, co za zbieg okoliczności. Ja również – mówi z zadowolonym uśmiechem.

– Czyli nawet nie nadłożę drogi.

Zaskoczona oglądam się przez ramię. Podejrzewałam, że ktoś taki jak on wybierze raczej Awentyn albo jakąś inną elegancką dzielnicę Wiecznego Miasta, a nie okolice uchodzące jeszcze całkiem niedawno za robotnicze i wciąż jeszcze niecieszące się dobrą sławą. Może w ogóle powinnam przestać robić jakiegokolwiek założenia, jeśli chodzi o Mattea Bertaniego, myślę, schodząc na parter.

– Mimo to nie musi się pan kłopotać – tłumaczę. – Nie chcę pana niepotrzebnie obciążać.

Uśmiech na jego twarzy zmienia się wyraźnie, teraz widzę na niej rezygnację.

– To żaden kłopot. Oszczędzi mi pani sporo czasu, jeśli pojedzie pani ze mną, więc możemy przyjąć, że odda mi pani przysługę.

No dobra, myślę zbita z tropu. Do czego teraz pije? Zapominam go o to zapytać, bo właśnie docieramy na parter i przygotowuję się na ponowne spotkanie z tłumem studentów, którzy będą się mi przyglądali. A jednak szeroki korytarz jest całkowicie pusty. Po grupie protestacyjnej został tylko pusty stolik pod ścianą i instalacja z taśm ostrzegawczych. Tutaj również nikt na nas nie czeka.

– Prowadziłem dzisiaj ostatnie zajęcia – wyjaśnia Matteo Bertani, widząc moje zaskoczenie. – Potem budynek pustoszeje.

Przekracza blokadę z taśmy, po czym wyciąga dłoń, żeby mi pomóc.

To tylko grzeczność i dobre wychowanie, uspokajam się w myślach i po krótkim wahaniu przyjmuję wsparcie. Lecz kiedy dotykam jego dłoni, wiem, że popełniłam błąd. Przesuwa delikatnie kciukiem po moich palcach w chwili, kiedy przekraczam taśmę, a jego dotyk przeszywa mnie niczym impuls elektryczny i czuję go aż w podbrzuszu. Na moment tracę oddech.

Mój Boże, Sophie! Weź się w garść! – karczę się w myślach i puszczam jego dłoń, ledwie staję po drugiej stronie barykady. Robię to szybko, jakby jego skóra parzyła. Moje serce bardzo powoli zwalnia do normalnego rytmu.

Nie potrafię sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek dotyk kóregokolwiek ze znanych mi mężczyzn tak silnie na mnie zadziałał. Na wszelki wypadek postanawiam zachowywać bezpieczny odstęp. Co może być problematyczne, kiedy będziemy siedzieli obok siebie w samochodzie.

Przez chwilę walczę z myślami i zastanawiam się, czy jednak nie odmówić i nie zrezygnować ze wspólnego wyjścia. Jednak nie chcę stawiać się w takiej sytuacji, moja duma mi na to nie pozwala. Dlatego wychodzę z nim na dwór przez szklane drzwi, które dla mnie otwiera,

i w milczeniu schodzę obok niego szerokimi schodami.

– Zaparkowałem tam, z przodu – mówi i wskazuje na czarne sportowe alfa romeo. To kabriolet i to dość wiekowy, już youngtimer, w żadnym razie nie nowe auto. Jest za to w doskonałym stanie i bardzo zadbane. Ten samochód świetnie do niego pasuje i wbrew sobie jestem pod dużym wrażeniem, że nie kupił sobie rzucającej się w oczy bryki. Jego wóz podkreśla indywidualność właściciela i jego świetny gust, myślę.

Im bliżej jesteśmy miejsca parkingowego, tym więcej ludzi widzę wokół samochodu. I wszyscy wpatrują się wyczekująco w Mattea Bertaniego. Dostrzegam tam również trzy skąpo ubrane dziewczyny, które widziałam wcześniej w sali po zajęciach.

– Oni wszyscy czekają na pana? – pytam zniecierpliwiona.

– Najprawdopodobniej tak. Ale muszę odwieźć panią do domu, więc nie mam czasu na długie dyskusje. – Puszcza do mnie oko, a ja nagle rozumiem, dlaczego zależało mu na tym, bym zgodziła się na wspólny powrót: potrzebował mnie jako pretekstu, by pozbyć się licznych wielbicieli, które nie dałyby mu inaczej spokoju.

Już zaczynam być na niego zła, kiedy nagle zauważam, że w czekającej grupce są również chłopcy, a w ich oczach nie ma zachwyty, tylko pełne nadziei oczekiwanie. Jednak Matteo Bertani burzy nadzieje wszystkich czekających, bo unosi obie dłonie i potrząsa przecząco głową.

– Ogromnie mi przykro, ale wielokrotnie powtarzałem, że nie ma już szans. Wszystkie miejsca, jak zapewne wiecie, zostały zajęte, dlatego nikogo więcej nie mogę przyjąć. Poza tym bardzo się dziś spieszę, więc wybaczone mi, proszę – dodaje zdecydowanym tonem i jednocześnie wskazuje na mnie głową.

Większość robi strasznie smutne miny i odchodzi ze spuszczonej oczyma. Przy aucie zostają tylko trzy uparte studentki, które poznałam wcześniej.

– Prosimy, *professore!* Naprawdę nie mógłby pan zrobić dla nas wyjątku? Ten jeden, jedyny raz? Przecież dopiero pan zaczął, więc opuściłybyśmy tylko jedno zajęcie. – Dziewczyna w kombinezonie niemal przesadnie trzepie długimi rękami i patrzy na niego spojrzeniem bezbronnego szczeniaka i seksownego wampa jednocześnie. Żaden mężczyzna nie potrafiłby się oprzeć, myślę. A już na pewno nie jej głębokiemu dekolto. Lecz nawet dla niej *professore* nie zamierza robić wyjątku.

– Bardzo mi przykro, Beatrice. To po prostu niemożliwe – wyjaśnia przyjaznym, ale zdecydowanym głosem i otwiera mi drzwi od strony pasażera.

– Mogłabym też pozować – proponuje rozpaczliwie. – Może chociaż w ten sposób?

Matteo Bertani potrząsa głową.

– Nie. A teraz wybaczone mi, proszę.

Zatrząskuje drzwi, obchodzi samochód i siada za kierownicą, po czym zawraca i mija trzy dziewczyny na chodniku.

Kiedy zbliżamy się do zakrętu długiej drogi, która wyprowadzi nas poza teren uniwersytetu, obracam się i widzę, że studentki nie ruszyły się z miejsca i odprowadzają nas wzrokiem. Również studenci, którzy w milczeniu przyjęli odmowę, patrzą na nas zainteresowani, kiedy ich mijamy.

– Wow – mówię. Jestem pod wrażeniem. – To było prawie jak obłączenie.

– Nie prawie. To było prawdziwe obłączenie. – Wyciąga ramię w moją stronę, a ja wstrzymuję oddech... lecz on jedynie otwiera schowek na rękawiczki i wyjmuje z niego okulary przeciwsłoneczne, po czym je zakłada. – Zazwyczaj po pierwszych zajęciach sytuacja wraca do normy, ale i tak muszę być konsekwentny. Gdyby się rozeszło, że zrobiłem dla kogoś wyjątek, rozpełtałoby się piekło.

– A co to za kurs? – pytam zainteresowana. – I dlaczego uniwersytet nie zorganizuje drugiego, skoro jest takie zapotrzebowanie?

Docieramy do bramy *Città*, bardzo szybko pokonujemy zakręt i płynnie włączamy się do ruchu.

– Bo to nie jest kurs uniwersytecki, tylko taki, który organizuję sam, prywatnie – wyjaśnia. – I tylko dla wybranych. Jest dziesięć miejsc, ani jednego mniej, ani jednego więcej. Obecnie wszystkie są zajęte – kończy i wzdycha. – Najwyraźniej nie każdy jest w stanie to zaakceptować.

– Organizuje pan prywatne kursy z historii sztuki? – pytam zaskoczona. – To tak można?

Uśmiecha się, nie odrywając wzroku od ulicy, a na jego policzku znów pojawia się ten zabójczo pociągający dołeczek.

– Prawdopodobnie nie. Dlatego zajęcia odbywają się w piątki wieczorem, u mnie w domu, dzięki czemu nie kolidują z wykładami i ćwiczeniami na uniwersytecie. Poza tym nie tyle skupiamy się na historii sztuki, co na różnych technikach. Na warsztat bierzemy malarstwo, kolorystykę, kreatywność środków ekspresji...

Teraz jestem pod wielkim wrażeniem. To brzmi wyjątkowo elitarnie i nieprawdopodobnie interesująco. Nic dziwnego, że ustawiają się kolejki chętnych.

– Czy to znaczy... że pan również sam maluje? – pytam i chwytam się kurczowo klamki, bo kolejny zakręt pokonujemy z zawrotną prędkością. Jeździ jak prawdziwy Włoch!

Nie od razu odpowiada, bo najpierw spogląda przez ramię, czy może zmienić pas. Potem przez chwilę patrzy na mnie, by w końcu znów skupić się na drodze. Niestety, ma na sobie okulary przeciwsłoneczne, więc nie potrafię odczytać wyrazu jego oczu.

– Powiedzmy, że lubię eksperymentować. A że malarstwo to moja specjalność, więc chyba nie powinno nikogo dziwić, że najchętniej eksperymentuję na tym polu.

Nie tłumaczy, jak wyglądają te eksperymenty, a ja zastanawiam się, czy jego zamiłowanie do próbowania nowych rzeczy rozciąga się również na inne dziedziny jego życia. Nie mam pojęcia, dlaczego o tym pomyślałam – może przez sposób, w jaki to powiedział? Tak czy inaczej czuję się głupio, kiedy uświadamiam sobie, co mi przychodzi do głowy.

– A o co chodziło tej Beatrice, kiedy proponowała, że może pozować? – pytam, by wypełnić jakoś ciszę.

Wzrusza ramionami.

– Czasem potrzebuję modelkę, kiedy malujemy akty. Ale nigdy nie angażuję do tego studentek. I ona doskonale o tym wie. – Odwraca lekko głowę i przygląda mi się, a z jego twarzy nie schodzi szeroki uśmiech. – Pani by się nadawała. Ma pani idealne proporcje, wie pani? Byłaby pani wymarzoną modelką.

Przełykam gwałtownie ślinę, bo nie spodziewałam się z jego ust takiego komplementu. Poza tym musiał mi się bardzo uważnie przyglądać, skoro z taką pewnością wypowiada się na ten temat. Na myśl o tym, że przesunął po mnie wzrokiem, kiedy nie patrzyłam, robi mi się gorąco, czuję, że pąsowieją mi policzki. On to oczywiście również zauważa, bo uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Musi mi pani zdradzić adres swojego hotelu – mówi, a ja pospiesznie recytuję go z pamięci. Jestem zła, że znów dałam się wyprowadzić z równowagi, i żeby go ukarać, do końca jazdy nie zwracam na niego uwagi, tylko patrzę prosto przed siebie. Nie trwa to jednak długo, bo już po kilku minutach docieramy do *via delle Quattro Fontane*.

Taksówce droga zajęła znacznie więcej czasu, lecz nie dziwi mnie to, biorąc pod uwagę prędkość, z jaką Matteo Bertani gnał przed siebie, i jak doskonale zna tutaj każdą uliczkę. Gdyby nie wyszło mu z historią sztuki, mógłby zarabiać krocie jako *tassista*, myślę poirytowana. Czy

naprawdę jest coś, czego ten człowiek nie umie?!

Miejsca parkingowe przed hotelem są zajęte, więc zatrzymuje się na ulicy, a ja jestem tak zdenerwowana i spięta, że pospiesznie wyskakuję z samochodu, bo nie chcę, by znowu powiedział coś, czym wprawi mnie w zakłopotanie.

– Będę po panią o ósmej – oznajmia, a ja sobie przypominam, że mam spędzić z nim jeszcze cały wieczór. Potem rusza i odjeżdża, a ja po raz kolejny, od kiedy go poznałam, w milczeniu odprowadzam go wzrokiem. Kiedy to sobie uświadamiam, odwracam się na pięcie i wchodzę do hotelu.

To tylko niewinna kolacja, Sophie, powtarzam sobie w myślach. Jeden wieczór, raptem parę godzin. Nic więcej. Potem zajmie się tą cholerną ekspertyzą, a ja nie będę musiała go więcej oglądać. Lecz kiedy stoję i czekam na windę – trwa to sporo czasu, bo maszynieria ma już swoje lata – czuję, że serce i tak bije mi znacznie szybciej, niż powinno.

Rozdział 8

Jest punktualny. Kiedy schodzę chwilę przed ósmą, czeka już przy recepcji. I tym razem włożył garnitur, lecz jasnoszary, z białą koszulą i kamizelką. Nie założył krawata, a marynarkę trzyma przewieszoną luźno przez ramię. Wygląda przy tym tak doskonale, że Daniela Bini kiwa z uznaniem głową, kiedy się orientuje, że przyszedł właśnie po mnie.

– *Buon divertimento!* – życzy mi, po czym znika w pomieszczeniu za recepcją, prawdopodobnie po to, by nam nie przeszkadzać. Tymczasem wolałabym, żeby została i wsparła mnie swoją obecnością. Przebywanie sam na sam z Matteem Bertanim sprawia, że staję się strasznie nerwowa, tym bardziej że na powitanie całuje mnie w oba policzki. Czy on sobie w ogóle nie zdaje sprawy, jakie wrażenie robi na kobiecie, kiedy tak bardzo się do niej zbliża?

– Jest pan przed czasem – mówię szybko, by zamaskować burzę emocji. Poza tym jestem naprawdę zła, że zawsze mu się udaje jakoś mnie ubiec.

– Pani za to świetnie wygląda – odpowiada.

– Dziękuję. – Jego komplement sprawia mi przyjemność, choć robię wszystko, by tego nie okazać.

Na szczęście nie ma pojęcia, że dopiero w ostatniej chwili podjęłam decyzję, co na siebie włożyć. Po długich dywagacjach i przymierzaniu – a mam tutaj bardzo ograniczony wybór – zdecydowałam się na najbardziej przewiewną z moich sukienek etui z błękitnoszarego jedwabiu, sięgającą do kolan i z delikatnym marszczeniem w talii. Uznałam, że nie jest przesadnie uroczysta, ale wystarczająco elegancka, i z ulgą zauważam, że pasuje do jego garderoby.

Ale przecież nie idę na żadną randkę, powtarzam sobie w myślach. Udaję się na spotkanie biznesowe z Matteem Bertanim.

I tak też przedstawiłam sprawę Nigelowi, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Był wprawdzie nieco zaniepokojony, ale koniec końców uspokoił i siebie, i mnie, że eksperci od sztuki, podobnie jak wielcy artyści, bywają ekscentrykami. Podobnego zdania był mój ojciec, kiedy nieco później relacjonowałam mu najnowsze wiadomości dotyczące ekspertyzy, o którą mnie poprosił. Dla niego zresztą liczyła się tylko ona, a myśl, że lada chwila dostanie to, czego potrzebuje, wystarczyła, by był zachwycony. Poza tym starał się wytłumaczyć mi, jak wartościowa może okazać się znajomość z Matteem Bertanim w przyszłości. Wiem, że ma rację, więc nie protestowałam i zrobiłam wszystko, żeby stłumić własne obawy.

Mimo to nie czuję się wcale, jakbym szła na kolację omawiać interesy, kiedy u boku Mattea Bertaniego opuszczam hotel; tym bardziej że serce wali mi jak szalone. W porównaniu z tym, jak się teraz czuję, moje wyjścia z Nigelem wydają się niewinnym relaksem. Co pewnie wynika z faktu, że przy nim czuję się bezpieczna. Nigdy nie robi niczego, co mogłoby mnie zaskoczyć, a ja bardzo to doceniam.

Matteo Bertani wręcz przeciwnie – jest jaskrawym zaprzeczeniem wszystkiego, co cenię w Nigelu. I rzeczywiście, jeszcze dobrze nie ruszyliśmy, a już czeka mnie pierwsze zaskoczenie: rozglądam się, lecz nigdzie nie widzę czarnego kabrioletu.

– Gdzie pan zaparkował?

– Pod domem – wyjaśnia i uśmiecha się rozbawiony, widząc moją zdziwioną minę. – Nie mamy daleko do restauracji, do której panią zabieram, więc pomyślałem, że się przejdziemy. Co pani na to? Jeśli woli pani jechać, mogę wezwać taksówkę.

– Nie, nie, w porządku. Może być piechotą – zapewniam go pospiesznie. Spacer na

świeżym powietrzu to może być właśnie to, czego potrzebuję, by uspokoić skołatane nerwy, myślę i daję mu się prowadzić wzdłuż szeregu witryn sklepów z pamiątkami, których w centrum jest prawdziwe zatrzęsienie. Kiedy docieramy do szerokiej via Nazionale, coś sobie niespodziewanie uświadamiam: skoro przyszedł do hotelu piechotą...

– Pan mieszka gdzieś w pobliżu, prawda?

Kiwa głową.

– Kilka ulic od pani. Przejdziemy prawie pod moimi oknami – odpowiada i spogląda na mnie. – To całkiem praktyczne – dodaje ze znaczącym uśmiechem.

– W jakim sensie? – dopytuję natychmiast i posyłam mu ostre spojrzenie. Gorączkowo się zastanawiam, co mógł mieć na myśli. Czyżby mu się wydawało, że dzięki niewielkiej odległości, w jakiej mieszkamy, uda mu się wywrzeć na mnie większy wpływ? A może jest przekonany, że będzie mu łatwiej mnie „zdobyć”, skoro dzieli nas tylko kilka ulic... Czy to możliwe, że...

– To praktyczne, bo do obiadu lubię wypić kieliszek wina, a dzięki temu i taksówka jest zbędna – wyjaśnia, wrywając mnie z zamyślenia. Drżą mu kąciki ust. – Proszę się odprężyć i uspokoić, miss Conroy. Podkopuje pani moje poczucie własnej wartości, patrząc na mnie, jakby samo wyjście ze mną na kolację było dla pani zagrożeniem.

Wyraz jego bursztynowych oczu nie współgra z szerokim uśmiechem; stara się to ukryć, ale jest już trochę poirytowany moim nastawieniem. I nie ma się co dziwić: jego dotychczasowe partnerki najpewniej okazywały mu jedynie zachwyty. Co znów sprawia, że zachodzę w głowę, jakie są jego prawdziwe intencje, które kazały mu namawiać mnie na wspólną kolację.

– Może byłabym spokojniejsza, gdybym wiedziała, co pan sobie obiecuje po naszym wspólnym posiłku, signorze Bertani.

Stoimy przy przejściu dla pieszych i czekamy, by móc pokonać szeroką ulicę, a że prócz nas sporo osób czeka na to samo, musimy stać bliżej siebie. Znów uświadamiam sobie przez to, jaki jest wysoki. A przecież założyłam sandały na wysokim obcasie – najwyższym, jaki miałam; pomyślałam, że kilka dodatkowych centymetrów na pewno mi nie zaszkodzi. Lecz on i tak jest ode mnie wyższy o tyle, że muszę zadzierać głowę, kiedy na niego patrzę.

– Myślałem, że to oczywiste. – W jego oczach pojawiają się błyski. – Czy nie tłumaczyłem tego pani na przyjęciu u Giacoma? Chcę panią bliżej poznać.

Wszystkie zmysły podpowiadają mi chórem, że ten człowiek gra ze mną w grę, której jeszcze nie udało mi się przejrzeć.

– Po co?

Unosi brwi.

– A cóż może być zdrożnego w tym, że chcę panią bliżej poznać?

– Coś jest! – wymyka mi się, zanim zdążę ugryźć się w język. I skoro już tyle powiedziałam, w naturalny sposób kończę i tłumaczę swoją nieufność: – Coś jest nie tak, bo jestem przekonana, że mnie pan nie znosi. Sam pan to zresztą powiedział, kiedy spotkaliśmy się na przyjęciu: że wolałby pan, żeby mnie tu nie było. I że zrobi pan wszystko, żeby utrudnić mi pracę. Dlatego nie mogę uwierzyć w nagłą zmianę zdania i pańskie zainteresowanie.

Takiej odpowiedzi raczej się nie spodziewał, bo na jego policzku widać grę mięśni.

– Ależ jest pani pamiętliwa.

Muszę się pilnować, żeby nie prychnąć nieelegancko.

– Za to pan ma słabą pamięć.

Na szczęście w tym samym momencie światło zmienia się na zielone, więc ruszam przodem, by zwiększyć dystans między nami i uspokoić nerwy skołatane kolejną konfrontacją. Świetnie, myślę sobie. Jeszcze nie dotarliśmy na miejsce, a jemu już się udało doprowadzić mnie prawie do zawalu! Zapowiada się całkiem miły wieczór, nie ma co...

– Niech pani poczeka! – Kiedy przechodzę na drugą stronę, chwytam mnie za ramię, zmusza, żebym stanęła, i obraca twarzą do siebie.

W jego oczach widzę coś, czego wcześniej tam nie dostrzegłam, a z jego ust zniknął uśmiech.

– Naprawdę nie ma w tym absolutnie nic dziwnego – powtarza. – Zgoda, na początku wydawało mi się, że pani nie lubię. Ale wtedy jeszcze nic o pani nie wiedziałem – nic, poza tym, że jest pani piękną kobietą w nieco przydługiej sukni.

Musiał więc zauważyć, dlaczego spadłam ze schodów wprost w jego ramiona. A potem jego słowa docierają do mojej świadomości, zaczynam je rozumieć i robi mi się gorąco. Czy on naprawdę powiedział, że jestem piękną kobietą?

– Wtedy jeszcze nie mogłem przypuszczać, że jest pani kimś, kto mnie tak zainteresuje – ciągnie. – To, co powiedziałem wtedy na przyjęciu, było zupełnie szczere, Sophie. Naprawdę chciałbym panią lepiej poznać. Lecz z własnej woli nigdy by mi pani na to nie pozwoliła, jak sama pani przyznała.

Nie wierzę w jego słowa, bo gdybym uwierzyła, byłyby dla mnie wielkim komplementem, a tak mile połączona stałabym się całkiem bezbronna. Poza tym zwrócił się do mnie po imieniu, co uważam za przejaw tupetu i bezczelności, bo nie zaproponowałam mu przecież, byśmy przeszli na taki poziom spoufalenia.

– Jak mnie poznać? Lepiej?! – Wzburzona potrząsam głową. – Przecież pan mnie w ogóle nie zna!

Uśmiecha się szeroko.

– To nie do końca prawda. Ma pani dwadzieścia pięć lat, jest pani jedynaczką, mieszka w Londynie w South Kensington, bardzo blisko waszego domu aukcyjnego. Na uniwersytecie londyńskiej studiowała pani historię sztuki, którą skończyła pani z wyróżnieniem dwa lata temu. Poza tym pracuje pani oficjalnie od szesnastego roku życia i od początku w domu aukcyjnym ojca, który specjalizuje się w sztuce europejskiej, jednak już wcześniej pani tam pomagała...

– Zaraz, zaraz... – przerywam mu i się zatrzymuję. – Skąd pan to wszystko wie? – Po chwili zaczynam rozumieć. – Giacomo? – pytam i spoglądam na niego zaskoczona i rozbita. – Wypytywał pan go o mnie?

Wzrusza ramionami.

– Nie musiałem. On sam bez przerwy o pani mówi, Sophie. Mogę zwracać się do pani „Sophie”? I proszę mówić mi po prostu „Matteo”, nie jestem zbyt wielkim fanem tych wszystkich grzeczności...

Znów uśmiecha się w ten urzekający sposób, jednak na szczęście udaje mi się zachować powagę i dalej jestem na niego wściekła.

– W takim razie po co jeszcze ta kolacja, Matteo? – Celowo podkreślam jego imię. – W końcu i tak wie pan o mnie wszystko.

Wybuchają śmiechem.

– Ależ to wciąż stanowczo za mało! Chodźmy, tutaj prosto – mówi i prowadzi mnie w wąską uliczkę, via del Boschetto.

Weszliśmy do centrum dzielnicy Monti; domy tutaj są stare i od dawna nieremontowane, co jednak w połączeniu z wydeptanym brukiem, który często można tu spotkać, nadaje okolicy wyjątkowej malowniczości i uroku. Jest tu wiele sklepów ze starociami i sztuką i lokali, które wystawiają stoliki na wąskie uliczki, zapraszając miejscowych i turystów, których przychodzi tu sporo.

Nie mamy już daleko, bo Matteo prowadzi mnie wprost do niewielkiej winiarni pod wdzięczną nazwą La Barrique, przed którą stoją trzy stoliki schowane pod rozłożystymi

parasolami przeciwsłonecznymi, oddzielone od ruchu masywną długą donicą. Na jednym z dwuosobowych stolików stoi tabliczka *Riservato*, co jednak nie powstrzymuje Mattea, bo niewzruszony odsuwa dla mnie krzesło – najwyraźniej jest pewny, że rezerwacja dotyczy właśnie nas.

Chwilę później siedzimy naprzeciwko siebie i podchodzi do nas kelnerka – drobna kobieta o krótkich ciemnych włosach. Uśmiecha się do niego serdecznie i podaje nam karty.

Matteo od razu zamawia wino – musi bywać tu częściej, bo bez zaglądania do menu wie, jaki rodzaj i z którego rocznika wybrać. Kelnerka potakuje, a ja udaję, że przeglądam kartę. W rzeczywistości jednak jestem jeszcze tak bardzo zajęta naszą wcześniejszą rozmową, że nazwy dań, na które patrzę, nie mają dla mnie żadnego sensu.

Nie, ja go po prostu nie rozgryzę. Jest mną szczerze zainteresowany, nie mam już wątpliwości. I chce wiedzieć o mnie więcej. Pytanie tylko, po co? Co naprawdę nim kieruje? Czego rzeczywiście ode mnie chce?

Kiedy kelnerka odchodzi, podnoszę głowę i napotykam jego czujne spojrzenie. Splótł ramiona na piersi, nachylił się lekko i oparł o stół. Na jego ustach majaczy delikatny uśmiech, lecz nie potrafię odczytać wyrazu jego bursztynowych oczu.

Obiektywnie patrząc, są po prostu przepiękne. Można się w nich zatracić, i to zatrwając szybko, szczególnie gdy błyszczą tak jak teraz.

I chyba taki cel mu w tej chwili przyświeca. Mam wrażenie, że chce w ten sposób wytrącić mi broń z ręki i osłabić każdą próbę zajrzenia w głąb jego duszy.

Przypominam sobie, co jeszcze przeczytałam o nim w tym artykule w internecie – o tym, co go spotkało. Odruchowo zaczynam się zastanawiać, co bym zobaczyła w jego oczach, gdyby pozwolił mi zajrzeć za fasadę, za którą się skrywa. Bo jestem przekonana, że tym właśnie jest jego uśmiech – może dlatego, że sama jestem całkiem dobra w ukrywaniu tego, co w sobie noszę? Tak czy inaczej, nie powinnam zbyt głęboko spoglądać w te bursztynowe oczy, myślę i łapię się na tym, że cicho wzdycham.

To wywołuje na jego ustach kolejny uśmiech.

– Czy to naprawdę aż taki dopust boży, spędzić ze mną wieczór?

– Cały czas się nad tym zastanawiam – wyjaśniam już spokojniejszym głosem i się uśmiecham, choć bardzo delikatnie.

– W takim razie miejmy nadzieję, że dojdiesz do rozsądnych wniosków, Sophie.

– Dołączek na jego policzku pogłębia się, a on skinieniem przywołuje kelnerkę.

– Jeszcze trochę wina?

Matteo wyjmuję butelkę z pojemnika – przezroczystej plastikowej torebki o kwadratowym spodzie wypełnionej wodą z kostkami lodu – i spogląda na mnie pytająco.

To już druga butelka niesamowicie pysznego białego wina ekologicznego o interesującej pomarańczowo-żółtej barwie, które zamówił, a moje policzki są już lekko zaróżowione od alkoholu. Mimo to podsuwam mu kieliszek.

– Może jeszcze odrobinę – mówię i patrzę, jak nalewa.

W zasadzie dość już wypiliśmy, ale myślę, że z pełnym kieliszkiem będziemy musieli jeszcze chwilę zostać. I choć mam przeświadczenie, że popełniam błąd, nie chcę, żeby ten wieczór już się kończył.

– Dziękuję. – Upijam łyceczek, a kelnerka, która akurat jest na dworze, zbiera ze stolika nasze puste talerze.

Jedzenie było przepyszne. Pulpeciki ze sztokfisa z kremem miętowo-paprykowym na

przystawkę, a potem *fettuccine* ze szparagami i świeżym łososiem oraz filet z dorady z owocami cytrusowymi i pieczonym groszkiem – wszystko polecane przez Mattea i wszystko zachwycająco smaczne, tak samo jak wino.

Poza tym wszystko pasuje idealnie. Wieczór jest ciepły i przyjemny, w powietrzu unosi się zapach jaśminu gwiazdkowego, który rośnie przy ścianie obok wejścia do restauracji, ludzie przy sąsiednich stolikach są szczęśliwi i rozluźnieni, latarnie dawno już oświetlają ulicę, a ich żółtawe światło nadaje wszystkiemu delikatną miękkość. Jediną rzeczą nieco niepasującą do okoliczności są auta, które co pewien czas pędzą z warkotem ulicą, tuż obok donicy oddzielającej nas od ruchu. Jednak poza tym jest... idealnie!

Wzdycham z rozkoszą, opieram się i przyglądam się mężczyźnie, który od dwóch godzin siedzi naprzeciwko mnie i jest odpowiedzialny za moje zaskoczenie w wielu sprawach.

Wbrew temu, czego się spodziewałam, nie wykorzystał kolacji, żeby ze mną flirtować, a w każdym razie nie w nachalny, nieporadny sposób, któremu potrafiłabym się przeciwstawić.

Zamiast tego poświęcił mi całą swoją uwagę. Niezależnie od tego, ile kobiet na niego spoglądało i jak przyglądała mu się kelnerka, a zdarzało się to przez cały pobyt w restauracji, on był skupiony tylko i wyłącznie na mnie i im dłużej to trwało, tym trudniej było mi pamiętać, że miałam być przecież nieufna.

To jednak okropnie trudne, nawet kiedy nie robi nic, o co mogłabym być zła. Ani razu nie zadał mi zbyt osobistego pytania, takiego, na które nie chciałabym odpowiedzieć. O nie, i choć przez cały czas nasza rozmowa dotyczyła mnie – naszego domu aukcyjnego, studiów, moich ulubionych malarzy, nie poruszyliśmy żadnego tematu, którego nie chciałabym poruszać. Wręcz przeciwnie: cieszyłam się, że mogę mu o wszystkim opowiadać i dyskutować na tematy, które nam obojgu tak bardzo leżą na sercu. O sztuce. Dyskutowaliśmy tak zapamiętane, że w pewnej chwili całkowicie straciłam z oczu powód, dla którego w ogóle wyszliśmy razem coś zjeść.

Jednak ilekroć spoglądałam mu zbyt głęboko w oczy, szybko wraca mi pamięć. To jakiś mechanizm obronny, który nie pozwala mi utracić resztek kontroli. I właśnie teraz też się włącza, bo oboje spoglądamy na siebie znad kieliszków wina. Kieruję więc rozmowę na temat związany z autorem, przez którego się tu znaleźliśmy.

– Dlaczego akurat Enzo di Montagna? – pytam i upijam łyk wina. Od dłuższego czasu łamię sobie nad tym głowę, bo malarz, którym Matteo zajmuje się jako ekspert, jest postacią wzbudzającą kontrowersje. Żył nieco później niż Rafael i malował precudne obrazy Madonn, wciąż jednak popadał w konflikty z autorytetami. Zmarł jeszcze przed trzydziestką, w ramionach jednej ze swych licznych kochanek. – Co cię tak w nim fascynuje? Czy to, że...

Że tak podobał się kobietom – tak chciałam zakończyć pytanie, lecz w porę gryzę się w język. To miała być maleńka uszczypliwość, lecz uświadamiam sobie, że gdybym powiedziała to na głos, zorientowałby się, że prześledziłam w internecie jego życie, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

On chyba się domyśla, co chodzi mi po głowie, bo uśmiecha się i unosi rozbawiony brwi.

– Że on co?

– Że był buntownikiem? – kończę pytanie i staram się wyglądać tak, jakbym od początku chciała to wiedzieć.

Matteo opiera się wygodniej.

– Podobają mi się jego obrazy i to jest najważniejsze, ale nie mniejsze znaczenie ma jego postawa, to, że nigdy nie szedł na kompromis – potwierdza. – Lubię ludzi, którzy się nie podporządkowują.

Takich jak on sam, myślę odruchowo. Nie kontynuował rodzinnej tradycji i nie szedł śladem swoich braci, tylko wybrał własną drogę. I nigdy nie kieruje się tym, czego inni od niego

oczekują – również na uniwersytecie. Zgodnie z tym, co wyczytałam w internecie, w ostatnich latach nieraz był w konflikcie z koryfeuszami historii sztuki, lecz zawsze wychodził z dyskusji obronną ręką. To umocniło jego pozycję naukową, ale również przysporzyło mu rzeszy krytyków. I nieszczęśliwie go to martwi. Zatem on również nie lubi trzymać się zasad, co potwierdzają słowa Giacoma, wypowiedziane w czasie przyjęcia. Czarujący buntownik, który z uśmiechem stawia czoło wszelkim przeciwnościom. Również mnie, myślę niespokojnie i zastanawiam się, czy jego ostatnia uwaga nie dotyczyła przypadkiem także mojej osoby.

– W takim razie ja muszę być strasznie nudna, bo traktuję swoją pracę poważnie i swoim życiem nie łamię żadnych zasad? – pytam i tym razem nawet nie próbuję ukryć rozczarowania i smutku.

Uśmiecha się.

– Nie, w żadnym razie. Już od dawna nie spotkałem nikogo, kto byłby równie interesujący.

To bardzo nieoczekiwany komplement. Gorączkowo szukam w jego spojrzeniu jakiegokolwiek znaku, czy mówi poważnie. I to prowadzi niestety do sytuacji, że bardzo długo wpatrujemy się sobie w oczy. Dopiero kiedy on poważnieje, a ja czuję, że oddycham szybciej i płycej, pospiesznie opuszczam głowę i odwracam wzrok – zatrzymuję go na bliźnie, biegnącej od jego szyi w dół, aż pod koszulę.

– Co... – Przełykam głośno ślinę, bo głos odmawia mi posłuszeństwa. – Po czym ta pamiętka?

Nie pierwszy raz zadaję to pytanie, lecz dotychczas robiłam to zawsze w myślach, stąd pierwsze przychodzi mi do głowy, kiedy gorączkowo myślę, jak przerwać kłopotliwą ciszę. Lecz natychmiast widzę, że to był zły wybór. Nie powinnam była go zadać, bo jego twarz w jednej chwili się zamyka i tężeje.

– To nic takiego – mówi i wzrusza ramionami, bo pewnie sam się domyśla, że i tak nie uwierzę. – Wypadek – dodaje, ale bardzo niechętnie i przez chwilę w jego oczach pojawia się dziwny błysk... czyżby złość?

Gwałtownym ruchem odchyła głowę i wypija potężny łyk wina, a kiedy znów na mnie spogląda, w jego oczach nie ma już tego dzikiego wyrazu. Znów uśmiecha się uroczo, lecz nie tak udatnie jak wcześniej.

– Ile jeszcze czasu zajmie wam katalogowanie kolekcji Giacoma? – pyta, po czym opuszcza głowę i bawi się kieliszkiem.

To oczywista próba zmiany tematu – coś, co teoretycznie ma dotyczyć faktów i informacji. Nie mógł mi dosadniej przypomnieć, że nie siedzimy tu dla przyjemności, lecz spotkaliśmy się w sprawach zawodowych, bo wciąż szuka możliwości, by przeszkodzić mi w pracy i utrudnić wykonanie zlecenia. Znacznie bardziej interesuje mnie jednak to, że ucieka przed moimi pytaniami. Nie chce mówić o tym wypadku, to jakiś jego czuły punkt... i właśnie dlatego chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej. Jednak jest już jasne, że z jego strony niczego więcej nie wyciągnę, dlatego przystaję na zmianę tematu.

– Giacomo nic o tym nie wspomniał? Myślałam, że sporo o tym rozmawiacie.

Matteo unosi głowę i spogląda mi głęboko w oczy.

– Twierdzi, że jeszcze kilka tygodni.

Udaję obojętność i wzruszam ramionami.

– Możliwe, że uwinę się szybciej.

To oczywiście nieprawda, bo zdecydowanie potrzebuję jeszcze sporo czasu, lecz chcę go jakoś sprowokować i sprawić, by się otworzył. Bo, o ile prawidłowo go oceniam, tego właśnie się boi: że szybko skończymy katalogowanie i wyznaczmy termin aukcji.

I mam rację, bo parska niezadowolony.

– Miejmy nadzieję, że nie – mówi niespodziewanie ponurym głosem, a ja zaczynam dostrzegać, jak bardzo go to dotyka. Naprawdę nie chce, żeby jego przyjaciel opuścił Rzym.

– Skąd właściwie aż tak zdecydowana niechęć do planów Giacoma? – Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie zadać tego pytania i również nie potrafię powstrzymać delikatnej złości wywołanej jego uporem. Widać ją na mojej twarzy. – Czy to nie egoistyczne?

Mruży oczy.

– W jakim sensie?

– Nowy początek w Anglii, w pobliżu rodziny... to chyba najlepsze dla Giacoma. Kto jak kto, ale przyjaciel powinien to wiedzieć.

Spogląda na mnie złotymi oczyma, w których pojawia się hardość, i uśmiecha się z kpiącym rozbawieniem.

– I tak łatwo to poznać po zaledwie kilku dniach znajomości?

– To podpowiada mi zdrowy rozsądek – ripostuję podminowana. – Bliskość rodziny pomoże mu skupić się na czymś innym, da nowy impuls. To dla niego szansa, bo inaczej może nie poradzić sobie z żałobą.

– No cóż... ja mam akurat inne zdanie – zaprzecza, a ja uświadamiam sobie, że znów nawiązuje do moich słów z przyjęcia. To mniej więcej powiedziałam w czasie naszego pierwszego spotkania – ma świetną pamięć. – To wszystko dzieje się zbyt szybko – mówi. – Dobrze mu tutaj i uważam, że to błąd, ot tak, porzucić wszystko, na czym mu dotychczas zależało. Nie będzie miał do czego wracać, nawet jeśli będzie chciał, bo pali za sobą wszystkie mosty... i to mnie martwi.

– Ale...

Unosi dłoń. Przerywa mi, a w jego oczach widzę płomień. Świdruje mnie wzrokiem, a na jego ustach nie ma już śladu uśmiechu.

– Giacomo się myli, okej? Inni też się mylą. W tym i ty. Wyjazd do Anglii niczego nie naprawi.

– A skąd ta pewność? – pytam przestraszona jego wybuchem.

Upija kolejny łyk wina, niemal opróżnia kieliszek i odstawia go głośno na stół.

– Bo nie da się uciec przed wspomnieniami – mówi gorzkim tonem. – Stąd.

Rozdział 9

Patrząc na niego osłupiała. Jest tak wzburzony, że po raz pierwszy tego wieczoru pozwala mi bez przeszkód zajrzeć w głąb swoich bursztynowych oczu, a intensywność buzujących w nim emocji mnie przeraża.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie mówił o Giacomo, a o sobie samym. A to dlatego, że przeszedł przez to samo co przyjaciel będący mu ojcem: dopiero teraz kojarzę te dwa wydarzenia i gdybym mogła, złapałabym się za głowę. On był wprawdzie żonaty trzy lata, a nie czterdzieści kilka jak Giacomo, lecz obaj stracili żony w tragicznych okolicznościach. A ja, idiotka, szczebiocę coś o radzeniu sobie z żałobą!

Lecz ból, który widzę w jego oczach, jest inny. W spojrzeniu Giacoma dostrzegam jedynie żal, u Mattea za to złość. Nie potrafię powiedzieć, przeciwko czemu skierowaną, ale to na pewno złość, gotuje się płytko, tuż pod powierzchnią. W pewnej chwili nie może powstrzymać westchnienia, które brzmi jak głęboki, umęczony jęk.

Chwilę potem jest już po wszystkim. Jego oczy się zmieniają; przyjmują ten sam trudny do odczytania wyraz, a ja widzę w nich już tylko swoje odbicie i nic więcej.

– Przepraszam – mówi i wykrzywia usta w uśmiechu bliskim wyrzutom sumienia. – Ten temat działa na mnie jak płachta na byka.

O tak, myślę. Tylko że powodem tej złości na pewno nie jest troska o Giacoma. Nie chcę mu zarzucać, że tak naprawdę nie dba o przyjaciela, bo na pewno tak nie jest, jednak czuję, że za chęcią zatrzymania go w Rzymie kryje się coś jeszcze. Coś, co ma związek właśnie z nim i z tą jego stroną, której istnienia dotychczas jedynie się domyślałam, a od teraz już wiem, że się nie pomyliłam. Ze stroną, która w niewytłumaczalny sposób bardzo mnie porusza.

– Nie ma powodu do przepraszania – mówię i odruchowo kładę dłoń na jego dłoni.

Chcę go pocieszyć, nic innego nie mam na myśli, lecz kiedy nasze dłonie się dotykają, wszystko nagle znika i czuję już tylko jego ciepłą skórę na własnej. Ma rękę znacznie większą od mojej, a promieniujące z niej gorąco płynie moim ramieniem i wypełnia moje ciało. Nie mogę nabrać oddechu. To był głupi pomysł, Sophie, karcę się w myślach i chcę cofnąć rękę, ale on obejmuje moją dłoń palcami i przytrzymuje. Czas zatrzymuje się na chwilę, a my patrzymy sobie w oczy.

– Chyba już rozumiem, co Giacomo tak w tobie ceni, Sophie – mówi miękkim głosem i gładzi wnętrze mojej dłoni. Jego dotyk budzi emocje, które wstrząsają moim ciałem jak wybuch fajerwerków.

Nigdy bym nie przypuszczała, że tak delikatne muśnięcie może wywołać we mnie tak gwałtowne odczucia. I choć ogarnia mnie strach, nie potrafię się ruszyć. Jak zaklęta spojglądam mu w oczy, bezradna, z rozchylonymi ustami...

Tuż obok donicy oddzielającej nasz stół od jezdni przejeżdża jakiś samochód i warkotem silnika wyrzywa mnie z transu. Z trudem dochodzę do siebie. Przerazona cofam dłoń i przyciskam ją drżącą do ud, by znów go przez przypadek nie dotknąć i nie wpakować się w jeszcze większe tarapaty. Mimo to nie mogę pozbyć się wspomnienia jego dotyku; jest jak ślad wypalony na skórze. Bardzo powoli udaje mi się uspokoić oddech i przyspieszone bicie serca.

O Boże. To nie było nic dobrego.

– Chyba... chyba powinnam już iść. Zrobiło się późno – mówię i żałuję, że nie znam magicznego sposobu, by w jednej chwili przenieść się z powrotem do mojego małego pokoiku w hotelu Fortuna. I to już teraz, natychmiast. Bo przestałam sobie ufać. Bo jeśli tak

krótki i delikatny dotyk może wywołać tak ogromne podniecenie, to co się stanie, jeśli...

Z bijącym wciąż dziko sercem unoszę ostrożnie wzrok i widzę, że Matteo odchylił się na oparcie. Ma lekko zamglone spojrzenie, a uśmiech błakający się po jego ustach zupełnie mi nie pomaga w odzyskaniu równowagi.

– Jeszcze nie ma nawet wpół do jedenastej – mówi. – Dla mieszkańców Rzymu wieczór dopiero się zaczyna.

Czy tylko mi się wydaje, czy może rzeczywiście jest trochę zdezorientowany? Nie, na pewno nie. Pewnie codziennie zdarza mu się zawrócić w głowie jakieś kobiecie. Jediną osobą, która ma tutaj problem, jestem ja.

– Jutro muszę wcześniej wstać – przypominam mu, z trudem łapiąc oddech. Słyszając to, marszczy czoło.

– Doprawdy? Dlaczego? Giacomo wspominał, że zaczynacie pracę o wpół do dziesiątej? Niech to szlag. Zapomniałam, że często rozmawiają.

– Wcześniej... muszę coś jeszcze załatwić – wymyślam na poczekaniu jakieś kłamstewko i z ulgą widzę, że je przyjmuje i woła kelnerkę. Kobieta musiała czekać na jego sygnał, bo w jednej chwili staje koło stolika, lecz uśmiech znika z jej twarzy, kiedy słyszy prośbę o rachunek.

– Już nas państwo opuszczają? Bez kawy? – pyta po włosku, a w jej głosie rozczarowanie miesza się z zachwytem.

– Moja towarzyszka jest już zmęczona – odpowiada Matteo i wzrusza przepaszając ramionami. Kelnerka spogląda na mnie z niedowierzaniem. Najwyraźniej sama myśl, że ktoś mógłby się poczuć zmęczony w towarzystwie Mattea Bertaniego, jest dla niej świętokradztwem. W końcu się uśmiecha, lecz tym razem z zazdrością. Zakłada chyba, że moje zmęczenie jest jedynie wymówką, by pójść gdzie indziej i zająć się zgoła innymi rzeczami. Myśl o tym sprawia, że w mojej głowie pojawiają się obrazy, których nie chcę widzieć. Przeganiam je pospiesznie.

Odprowadza nas wzrokiem, kiedy wychodzimy z restauracji, a ja jestem tak bardzo zajęta tym, co się wydarzyło, że dopiero po dłuższej chwili zauważam, że Matteo prowadzi mnie zupełnie inną drogą niż ta, którą tu dotarliśmy; zamiast wracać idziemy dalej prosto.

– Nie powinniśmy iść tam? – pytam zaskoczona i wskazuję kierunek, z którego przyszliliśmy.

– Chodźmy tędy, nie nadłożymy zbyt wiele – proponuje, a ja nie protestuję, bo w końcu to on lepiej zna Rzym.

Ramię w ramię idziemy wzdłuż via del Boschetto, na której życie tętni bardziej niż poprzednio. Chyba miał rację, kiedy twierdził, że Rzym dopiero teraz zaczyna się budzić.

Matteo wyjaśnia mi, że jesteśmy niedaleko Koloseum. Wiem o tym, bo wcześniej spojrzałam na mapę, którą Daniela zostawiła w moim pokoju. Cieszę się jednak, że nie proponuje mi oglądania tego zabytku, tylko skręca w następną uliczkę w lewo. Narożny dom porasta jakieś pnącze o bardzo dużych zielonych liściach. Pokrywa całą fasadę i nawet latarnię przed budynkiem. Wygląda jak zasłona rozciągnięta nad niewielkim barem, który znajduje się w środku domu.

Ludzie w barze i mijający nas przechodnie śmieją się i rozmawiają; też bym chciała cieszyć się spokojnym wieczorem.

Na to jednak nie ma już szans, gdyż spokojna, niezobowiązująca atmosfera, która panowała między nami w restauracji, zniknęła nieodwracalnie. Zastąpiło ją napięcie, które potęguje się, ilekroć przez przypadek dotkniemy się, idąc chodnikiem. A zdarza się to co kilka chwil, bo kiedy wąską uliczką przejeżdża samochód, ludzie tłoczą się z boku i spychają nas na siebie.

W pewnej chwili mijają nas duża grupa turystów – akurat podpitych Anglików – którzy rozochoceni alkoholem zajmują całą szerokość przejścia, Matteo obejmuje mnie ramieniem, jakby chciał mnie ochronić, i przyciąga do siebie, aż znów mamy wolną drogę. Serce bije mi po tym tak szaleńczo szybko, że kiedy tylko mogę, odsuwam się od niego pospiesznie. Inaczej niż kiedy szliśmy na kolację, teraz kroczymy obok siebie w milczeniu.

Tak się dalej nie da, myślę i zaczynam gorączkowo szukać jakiegoś tematu, o który mogłabym go zapytać – chcę się czymś zająć, by nie zastanawiać się bezustannie, co by było, gdyby wziął mnie teraz w ramiona...

– Nie wyglądasz jak typowy Włoch. – To pierwsze, co przychodzi mi do głowy. – Cała wasza rodzina ma blond włosy?

Poza tym ma absolutnie nadzwyczajne oczy i nie chce mi się wierzyć, żeby ich kolor odziedziczył po matce Angielce. Kobieta na zdjęciach, które znalazłam wcześniej w internecie, była gładkowłosą brunetką o zielonych oczach.

Uśmiecha się.

– Nie, jestem jedyny. *Nonna*, to znaczy Valentina, zawsze powtarza, że bardzo przypominam jej mojego pradziadka, który pochodził z północnych Włoch.

W takim razie jego pradziadek musiał być niezwykle przystojnym facetem, dodaję w duchu. Matteo narzucił na siebie marynarkę i idzie z rękoma niedbale wsuniętymi w kieszenie spodni. Choć próbuję, po prostu nie mogę przestać mu się przyglądać.

– Nie jesteś podobny do braci?

– Oni wyglądają inaczej i są zupełnie inni. – Wzrusza ramionami i uśmiecha się krzywo.

– Jestem trochę czarną owcą rodziny, albo raczej blond owcą.

– Ale dobrze się rozumiecie?

Marszczy czoło, ale nie przestaje się uśmiechać.

– Czyżby coś się zmieniło w naszych ustaleniach? To ja miałem zadawać pytania.

Po raz kolejny skręcamy w lewo. Ta ulica jest nieco szersza i nie jest wyłożona brukiem, za to po obu stronach, wzdłuż chodników, rosną rzędy pięknych starych platanów.

– O mnie zostało już powiedziane wszystko, co było do powiedzenia, dlatego byłoby fair, gdybym mogła dowiedzieć się również czegoś o tobie – tłumaczę i się uśmiecham. Mam tylko nadzieję, że moja mina nie zdradza, co się dzieje z moimi uczuciami. Ciepła, bezchmurna noc, dach zielonych liści nad nami i nieprawdopodobnie przystojny mężczyzna obok – to wszystko tylko pogłębia stan, w jakim się znalazłam. Dlatego wolę spoglądać pod nogi niż w jego kierunku. Dlatego przebiega mnie dreszcz strachu, kiedy niespodziewanie czuję jego dłoń na ramieniu. Zatrzymuje mnie.

– Proszę bardzo. Jedną z informacji na mój temat jest na przykład to, że tutaj mieszkam – mówi i wskazuje brodą na dużą bramę w wysokim murze otaczającym sporą willę. Widzę jedynie, że ma wysokie okna, lecz ani jej koloru, ani architektury nie mogę dostrzec, bo jest zbyt ciemno.

– Piękny dom – mówię i czuję, że mam przyspieszony oddech.

– Może chcesz go zobaczyć z bliska?

Wciąż jeszcze trzyma dłoń na moim ramieniu, dlatego mam kłopoty z logicznym myśleniem, ale jedno wiem na pewno: to byłby bardzo niemądry pomysł!

– Nie. – Z moich ust zamiast głosu wydobywa się ledwie szept, który nawet mnie wydaje się zgodą.

Matteo nachyla się tak bardzo, że jego twarz ginie w cieniu i nie mogę dostrzec, co mówi jego mina. I tylko jego włosy błyszczą złotem w świetle ulicznych latarni. Po chwili mam wrażenie, że w ciemności widzę błysk w jego oczach.

– Dlaczego nie? – pyta niskim, cichym głosem. – Boisz się czegoś, Sophie?

Z trudem udaje mi się potrząsnąć głową. Nie potrafię nabrać powietrza, choć wiem, że mam delikatnie rozchylone usta. Nic poza nim zdaje się nie istnieć.

– Czego się boisz? – Jego głos jest zachrypnięty. – Tego, że zrobię to?

Po czym kładzie dłonie na moich biodrach i przyciąga mnie, powoli, tak powoli, że teoretycznie mogłabym zaprotestować, lecz ja nie stawiam oporu, aż jego twarz znajduje się tak blisko mojej, że nasze oddechy się mieszają.

– Albo to? – szepcze, wsuwa palce w moje włosy, przyciąga moją głowę... i całuje mnie.

Wiedziałam, że to robi, jednak dotyk jego ust jest dla mnie zaskoczeniem. Są miękkie, a ja się nie bronię, kiedy pocałunek staje się głębszy, a jego język szuka drogi do moich ust.

Przez chwilę stoję ogłuszona jego bliskością i czuję jego ciało przy swoim. A potem nagle ogarnia mnie coś, co każe zapomnieć o wstydzie. Zarzucam mu ramiona na szyję, przywieram do niego i odpowiadam na jego pocałunek, bezwstydnie i z dzikością, jakiej nie znałam.

Ulatuję. Zapominam, dlaczego tu jestem, i czuję, że pożądam go z siłą, o jaką nigdy bym siebie nie podejrzewała. Chcę go czuć, smakować, drzeć pod dotykiem jego dłoni poznających moje ciało. Chwyta mnie za pośladki i przyciska do siebie, aż czuję przez cienki materiał spodni jego twardą erekcję. Z mojego gardła wydobywa się jęk. Ten gest jest tak jednoznacznie erotyczny jak żaden, jakiego dotychczas doświadczyłam. Podnieca mnie jego władczość i siła, chcę się z nim zespolic. Pożądliwie odpowiadam na jego pocałunek, który z każdą chwilą robi się coraz gorętszy... aż nagle Matteo odrywa swoje usta od moich.

– Chcę cię, Sophie – szepce mi do ucha i znaczy na mojej szyi ślad gorących pocałunków. Palą mnie, promieniują gorącem wzdłuż kręgosłupa i sprawiają, że tracę hamulce. O Boże, też go chcę, myślę i nie próbuję go powstrzymywać, kiedy jedną ręką unosi mi sukienkę, a drugą zaciska na piersi i przez cienki materiał drażni moje naprężone, czułe jak nigdy sutki. O nie, jest wręcz przeciwnie – poddaję się mu pożądliwie, nie mogę nasycić się jego bliskością i pragnę jego dotyku – cała płonę. Z chęcią mu się oddaję, kiedy powraca do moich ust i kontynuuje przerwany pocałunek, sprawiając, że znikają ostatnie wątpliwości, czy to, co robię, jest właściwe.

Aż nagle słyszę czyjeś głosy i zbliżające się kroki.

Musi jednak minąć trochę czasu, zanim się orientuję, co to oznacza: ktoś się zbliża. Matteo reaguje szybciej, przerywa pocałunek i wciąga mnie w cień bramy.

Stoję tam bezradnie i czuję pod plecami chłodny mur, a obok siebie jego ciepłe ciało, którym mnie osłania. Przechodnie – mężczyzna i kobieta, którzy rozmawiają, chyba się o coś kłócąc, nie zwracają na nas uwagi. Kiedy nas mijają, Matteo, który dyszy równie ciężko jak ja, chce wrócić do tego, co przerwaliśmy. Lecz ten moment wystarczył, bym ochłonęła i odzyskała zdrowy rozsądek. Dlatego opieram dłonie na jego piersi i odsuwam go kawałek.

– Nie. Nie – protestuję zachrypniętym głosem. Obcym głosem. I podejrzenie rozedrganym. – Nie chcę... cię całować.

Unosi brew.

– Doprawdy? To nieźle udawałaś.

– Nie... nie chcę cię więcej całować. Tak... tak nie można.

Wzburzona i zawstydzona odsuwam się jeszcze kawałek i z trudem się powstrzymuję, by nie przycisnąć dłoni do płonących policzków.

Cholera, Sophie! Co ty wyprawiasz? Co z twoimi własnymi słowami, że Matteo Bertani to ostatni mężczyzna, z jakim byś się związała?

Nie zamierzam się z nim wiązać ani zadawać, uspokajam się. Poszliśmy na kolację i trochę... trochę się zapędziliśmy. Ale sama sobie nie wierzę. Ten pocałunek był zbyt gorący.

Niepewnie podnoszę wzrok, lecz z jego twarzy nie potrafię odczytać, o czym myśli.

Tylko spojrzenie jego oczu, którymi mnie świdruje, stało się mroczniejsze.

– Dlaczego tak nie można? Masz chłopaka, który byłby rozczarowany, gdyby się dowiedział, że nie byłaś mu wierna? – W jego głosie niespodziewanie pojawia się nutka pogardy. Widzę, że zacisnął pięści. Czuję, że spodziewa się potwierdzenia, co jeszcze bardziej mnie zaskakuje. Czy naprawdę pomyślał, że dałabym się tak całować, gdybym była z kimś w związku?

– Nie, nie mam nikogo. – Nigel i ja nie jesteśmy przecież parą, w każdym razie jeszcze nie. Lecz mimo to nie powinnam całować Mattea Bertaniego. Zrozpaczona obejmuję się ramionami, bo chcę bronić się przed naporem uczuć, które budzi we mnie jego spojrzenie. – Chcę do hotelu.

Nabiera głęboko powietrza, po czym wypuszcza je głośno – gwałtowniej, niż się spodziewałam.

– Okej. Jak chcesz. – Wskazuje na ulicę, a kiedy ruszam, idzie za mną.

Nie mamy już daleko do via Nazionale, a stamtąd jest tylko kilka kroków do hotelu. Mimo tego to najdłuższe minuty w moim życiu.

Matteo kroczy obok bez słowa. Nie jest już tak wzburzony jak wcześniej – jest raczej wyluzowany i zdystansowany, czego nie mogę powiedzieć o sobie. Dlatego unikam jego wzroku. Najpierw muszę zrozumieć, co między nami zaszło – dopiero wtedy odważę się spojrzeć mu w oczy.

Na samo wspomnienie, jak bezwstydnie i dziko odpowiedziałam na jego pocałunek, chcę się zapaść pod ziemię. Teraz jestem jednocześnie podniecona, przestraszona, zagubiona i wściekła. Na niego. Ale przede wszystkim na siebie. Dlaczego nawet nie próbowałam go powstrzymać? Przecież dałabym radę! A może...? Może chciałam, żeby mnie pocałował? Może on po prostu wyczuł, czego pragnęłam?

Po kilku chwilach, które wydają mi się wiecznością, docieramy do hotelu Fortuna, przejścia prowadzącego do szklanych drzwi, za którymi znajdują się recepcja i Daniela Bini.

Zatrzymuję się niepewnie i po raz pierwszy od pocałunku przed jego domem spoglądam mu prosto w oczy. Zaraz sobie pójdzie, myślę rozdarta między ulgą a bezdennym rozczarowaniem. Jednak zanim to się stanie, musimy sobie wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. Odchrząkuję.

– Co z Enzem? Obejrzyj go?

– Jeszcze nie podjąłem decyzji.

– A kiedy masz zamiar ją podjąć? – pytam i nie bronię się przed złością, która nagle przyćmiewa wszystkie inne uczucia. Wszystko jest lepsze niż chaos, który panował w mojej głowie.

– Jutro przed południem jestem umówiony z Giacomem. Kiedy skończysz, spędzisz ze mną popołudnie. Wtedy zobaczymy.

Nie mogę powstrzymać sapnięcia.

– To... to niemożliwe.

– A jednak, całkiem możliwe – mówi zdecydowanym głosem. – To ty chcesz czegoś ode mnie, Sophie. A ja chcę więcej czasu z tobą. To mój warunek.

Nie jestem w stanie zareagować, bo nagle się nachyla i jeszcze raz mnie całuje. To tylko krótkie muśnięcie, nasze usta dotykają się przez chwilę, a jednak przechodzi mnie dreszcz. Gdyby ten pocałunek potrwał trochę dłużej, znów byłabym bezbronna, zdana na jego łaskę. Po jego uśmiechu poznaję, że dobrze o tym wie.

– Do jutra – rzuca i odchodzi. Nie odwraca się już, a ja stoję pod hotelem i smakuję wspomnienie dotyku jego warg. Staram się nie myśleć o tym, że poza złością na jego nadmierną pewność siebie – Boże, ten mężczyzna ma tupet! – czuję też ekscytację.

Rozdział 10

– Uwaga! Sophie! Ostrożnie! – krzyczy Giacomo, a jego ostrzeżenie przychodzi w ostatniej chwili. Zamierzałam właśnie unieść obraz, który trzymałam w dłoni – krajobraz pędzla Silvestra Legi, włoskiego malarza realizmu – i przenieść go obszernym łukiem na stół, lecz nie zauważyłam, że na mojej drodze stoi krzesło z wysokim oparciem, o które – niewiele brakowało! – prawie rozbiłabym ramę. Udaje mi się wprowadzić uniknąć zderzenia, lecz mimo to dzieło ląduje dość brutalnie na stole. Na szczęście na blacie leży gruby obrus, dzięki czemu nie zarysowuję czereśniowego drewna szlachetnego mebla.

– Przepraszam – mamrocę i z nieszczęśliwą miną spoglądam na Giacoma, który pytająco unosi brew.

Bo to nie pierwsze moje potknięcie tego dnia. Dotychczas udawało mi się wprowadzić uniknąć aż tak drastycznych scen, za to kilkakrotnie wpisałam dane w niewłaściwe tabelki na liście przedmiotów, którą wspólnie tworzymy. Na szczęście Giacomo w porę zauważył moje błędy. Na dodatek upuściłam szklankę wody, która wysunęła mi się po prostu z dłoni, kiedy chciałam się napić, i rozprysnęła na tysiące kawałków.

Nie zwróciłby pewnie na to uwagi, gdybym na co dzień była taką niezdarą. Jest jednak inaczej i nigdy takie rzeczy mi się nie zdarzały, więc patrzy teraz na mnie zaskoczony, a ja doskonale rozumiem zdziwienie w oczach mojego klienta.

– To się już więcej nie powtórzy – mówię i złoścę się na siebie w duchu, lecz on nie daje się tak łatwo przekonać i nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Zróbmy może przerwę – proponuje. – I tak prawie skończyliśmy.

Siedzi przy długim stole jadalnianym, przy którym wystarczyłoby miejsca dla przynajmniej piętnastu osób. Tam mogę mu pojedynczo pokazywać obrazy – części nie można kłaść na blacie, bo są na to zbyt delikatne – i rozmawiać z nim o nich. Dlatego kiedy pracujemy, siada właśnie tam. Często miewa nieobecny wyraz twarzy i wydaje się zagubiony, siedząc sam przy ogromnym stole, lecz nie dziś. Od rana jest bardzo żwawy i pełen energii. I od rana przygląda mi się uważnie, co zauważam dopiero teraz. Byłam po prostu zbyt zajęta sobą, by wcześniej zwrócić na to uwagę.

Kładzie rękę na krześle obok.

– Proszę, niech pani podejdzie i usiądzie przy mnie, Sophie.

Robię to, o co mnie prosi, po czym niepewnie gładzę dłońmi wzorzysty materiał mojej sukienki. Dziś znów ją włożyłam, bo powoli zaczyna mi brakować wyboru, a poza tym bardziej mi się podoba niż poprawne do bólu biznesowe zestawy. Jakaś część mnie bardzo się cieszy z chwili przerwy – mam naprawdę wielkie kłopoty z koncentracją – ale mam też wyrzuty sumienia. Opóźniam wszystko przez swoją nieporadność, i to akurat dzisiaj, kiedy chcieliśmy nadgonić trochę z pracą, gdyż przez weekend nie będziemy mogli się spotkać – jutro i pojutrze Giacomo gości swoją córkę, zatem kolejne spotkanie odbędzie się dopiero w poniedziałek rano. Z obrazów, które mieliśmy dziś skatalogować, na swoją kolej czeka wprowadzić już bardzo niewiele, lecz właśnie minęło wpół do drugiej, a więc jest znacznie później niż zazwyczaj.

Giacomo oczywiście dostrzegł moją nerwowość – co mnie nie zaskakuje – a ja boję się pytania, które zawisło już w powietrzu, gdy poprosił mnie, bym usiadła obok.

– Co się dzisiaj z panią dzieje, Sophie? Wszystko w porządku?

Jego gospodyni Rosa, drobna szczupła kobieta w okolicach pięćdziesiątki, wchodzi w tym momencie do salonu i podaje nam świeżo zaparzoną kawę. Nie mówi zbyt wiele, lecz ma chyba

jakiś szósty zmysł i wyczuwa, kiedy czegoś potrzebujemy. Już wcześniej przyniosła nam zupe, akurat kiedy zgłodniałam, a teraz zjawia się dokładnie w porę, by dać mi chwilę na złapanie oddechu i zastanowienie się, jakiej udzielić odpowiedzi.

Czy wszystko jest w porządku? Nie, nie wydaje mi się. Nie jest. Od wczorajszego wieczoru czuję się, jakbym jechała rollercoasterem, i dlatego jestem dziś tak roztargniona. Bo nie mogę przestać myśleć o pewnym pocałunku. I o mężczyźnie, który mnie pocałował, a dziś mimo zapowiedzi nie pojawił się u Giacomina.

Przez pół nocy nie mogłam zmrużyć oka i przewracałam się z boku na bok, odtwarzając w myślach, minuta po minucie, cały wieczór z najdrobniejszymi szczegółami: spojrzenia Mattea, jego miny, uśmiechy i każde jego słowo. I każdą chwilę naszego pocałunku – jego usta na moich, jego smak, jego dłonie poznające moje ciało...

Staralam się sobie wmówić, że szukam jedynie odpowiedzi na pytanie, czego ode mnie chce. Co w tym pocałunku było wyrachowanego i fałszywego. Nie znalazłam niczego: był cudownie szczery. I jedyny wniosek, do jakiego doszłam, to taki, że nie wiem, co myśleć. I że jeśli jeszcze kiedyś przyjdzie mu do głowy mnie pocałować, będę miała poważny problem.

Wprawdzie powiedziałam mu, że tego nie chcę, ale nie jestem pewna, czy to prawda. A to sprawia, że jestem zagubiona.

Nigdy jeszcze nie miałam romansu z kimś, z kim wiązałyby mnie interesy. W ogóle dokładniej rzecz biorąc, od dawna z nikim nie byłam związana. I prawdę mówiąc, zupełnie za tym nie tęsknię. Wolę skupić się na pracy, która dotychczas wydawała mi się bardziej ekscytująca niż krótkie miłostki w czasie studiów. Oczywiście zdarza się, że któryś z kupujących czy zleceniodawców próbuje ze mną flirtować, lecz nigdy nie doszło do sytuacji, w której próbowałabym odpowiedzieć tym samym, nie mówiąc już o żadnych dalszych krokach. Również w mojej przyjaźni z Nigelem – jak dotąd całkowicie pozbawionej pasji i namietności – niczego mi nie brakowało. Nie jestem taka, myślałam.

A potem zjawia się ten zabójczo przystojny Włoch i jednym pocałunkiem stawia na głowie wszystko, co zdawałam się wiedzieć o cielesnym pożądaniu między mężczyzną a kobietą. Byłam pewna, że jestem ponad to i bez problemów kontroluję swoje uczucia. A potem nagle tracę nad sobą kontrolę, akurat tutaj, w Rzymie, setki kilometrów od domu, w towarzystwie człowieka, którego słowa – wciąż na wspomnienie jego „chcę cię” cała drzę – nie mówią nic o tym, czy chciałby mnie potem jeszcze spotkać.

I zamiast cieszyć się, że nie muszę go dziś widzieć, od dwóch godzin się zastanawiam – wspomniiał, że pojawi się w okolicach południa, czyli między jedenastą a pierwszą – kiedy w końcu przyjdzie. I nie chodzi mi wcale o ekspertyzę. Nie zapomniiałam oczywiście, że to ona była pretekstem do spotkania z Matteem. Jednak z całą pewnością nie przez nią teraz podskakuję i spoglądam w stronę drzwi, ilekroć rozlega się dzwonek – a miało to miejsce dzisiaj już dwukrotnie – czekając z walącym dziko sercem, kogo Rosa przyprowadzi. Dotychczas był to listonosz i agent, który ma się zająć sprzedażą willi. Po Matteo ani śladu – Giacomo również nie wspomniiał o nim ani słowem.

Może to była tylko gra, myślę i czuję, jak ogarnia mnie rozczarowanie, które od jakiegoś czasu tli się w moim sercu. Oczywiście, że tak – chciał jedynie sprawdzić, czy okażę przy nim słabość. Z całą pewnością testuje tak wszystkie kobiety. Nic to jednak nie zmienia, bo dalej mam ściśnięty żołądek i karuzelę myśli w głowie – karuzelę, którą wprowadził w ruch swoim pocałunkiem.

Co za bydlak! Nie mam nawet pojęcia, czy nasza dziwaczna umowa dalej obowiązuje, czy raczej fakt, że go nie ma, oznacza, że nie przygotowuje ekspertyzy. Bardzo mnie to złości. Co mam teraz powiedzieć tacie? Gdybym chociaż...

– Sophie? – Giacomo spogląda na mnie znad filiżanki z kawą. Wyrwana z zamyślenia orientuję się, że swoją również wzięłam już do ręki, a wciąż nie odpowiadałam na jego pytanie, przez co jeszcze uważniej na mnie patrzy. – Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? – pyta ponownie.

– Tak, wszystko dobrze – odpowiadam pospiesznie. – Jestem tylko... trochę zmęczona.

– Wyszła pani wczoraj z Matteem, prawda?

Nieco zbyt gwałtownie odstawiam filiżankę na spodek, po czym całość umieszczam ostrożnie na stole, bo nie chcę niczego więcej dzisiaj zbić. Skąd wie?

Muszę mieć zaskoczoną minę, bo Giacomo uśmiecha się serdecznie, ale szybko poważnieje.

– Matteo dzwonił do mnie wcześniej – wyjaśnia, zanim udaje mi się zadać głośno pytanie.

– Nie zapowiedział się przypadkiem z wizytą na dzisiaj? – odruchowo wypowiadam słowa, które krążą mi po głowie, choć wolałabym się ugryźć w język. Ogarnia mnie wstyd, bo sama słyszę, że mój głos jest pełen nadziei. – Tak... wczoraj o tym mówił – dodaję pospiesznie i staram się, żeby zabrzmiało to naturalnie. Twarz mojego rozmówcy pozostaje jednak poważna.

– Właśnie w tej sprawie dzwonił. Spóźni się, bo pojechał odwiedzić Valentinę do Castel Gandolfo.

Zdezorientowana marszczę czoło.

– Zawozi babcię do papieża?

Giacomo jest wyraźnie rozbawiony moją uwagą, bo odchyła nawet głowę i się śmieje.

– W Castel Gandolfo rzeczywiście znajduje się rezydencja papieska, to prawda, ale nie tylko. Ona tam mieszka, Sophie, więc wraca po prostu do domu.

To coś nowego.

– Myślałam, że jest pańską sąsiadką – wyjaśniam. Przecież sam mi powiedział, że rodzina Bertanich mieszka po sąsiedzku.

– Siedziba rodowa Bertanich rzeczywiście znajduje się tutaj, na Awentynie – potwierdza.

– Jednak w tej chwili mieszka tam Luca, najstarszy z rodzeństwa, z żoną i dziećmi. Reszta się przeprowadziła. Michele przeniósł się z rodziną do Mediolanu, Matteo do Monti, a Valentina już od lat mieszka w letniej rezydencji Bertanich w Lago Albano, niedaleko Castel Gandolfo.

Wow, wzdycham w duchu, przejęta ilością rzeczy, o których nie mam pojęcia. A myślałam, że przeszukując internet, dotarłam do wielu szczegółów!

– Matteo prosił, żeby poczekała pani na niego u mnie – dodaje Giacomo. – Przyjedzie po panią, wracając z Castel Gandolfo.

Spoglądam na niego zaskoczona. Telefon dzwonił dziś tylko raz – przynajmniej od kiedy ja tu jestem – a było to godzinę temu. Giacomo wyszedł wtedy porozmawiać do drugiego pokoju, więc nie mogłam słyszeć, co takiego mówił. Jeśli więc to był Matteo, wiadomość od niego czeka już na mnie trochę.

– Dlaczego... dlaczego wcześniej nic mi pan nie powiedział? – pytam.

Giacomo upija kolejny łyk kawy. Kiedy znów na mnie spogląda, w jego oczach widzę troskę.

– To z jego powodu jest pani dzisiaj taka podenerwowana i rozkojarzona, prawda?

– Otwartość Giacomo mnie zaskakuje. W jego spojrzeniu jest taka pewność, że nie próbuję nawet zaprzeczać, bo wiem, że to nie jest w gruncie rzeczy pytanie, na które oczekuje odpowiedzi. On ją i tak zna i wzdycha ciężko. – Wie pani, Sophie, mówi się, że z wiekiem przychodzi mądrość. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, ale mogę powiedzieć, że do mnie nie przyszła i pewnie już nie przyjdzie. Za to na starość nauczyłem się naprawdę dobrze oceniać ludzi w swoim otoczeniu.

I właśnie dlatego trochę się boję.

Dlaczego mówi zagadkami?

– Co ma pan na myśli?

Giacomo opiera się wygodniej i odpowiada mi również pytaniem.

– Co panie wie o Matteo?

Czuję, że to, co chce mi powiedzieć, jest ważne. Dlatego staram się być szczerą.

– Tylko tyle, co można wyczytać w internecie. Że wcześniej stracił ojca. I... i że jego żona zginęła w wypadku lotniczym.

Potakuje z nieobecny wyrazem twarzy. Najwyraźniej chodzi mu o coś innego.

– W takim razie przeczytała pani na pewno, że jest playboyem, prawda?

Splatom palce i przyciskam dłonie do brzucha.

– A jest?

Giacomo przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a po wyrazie jego twarzy widzę, że intensywnie myśli. Chce mi coś powiedzieć, ale walczy z sobą, bo z jakiegoś powodu ma problem, by ubrać to w słowa. W końcu niemal przepaszając wzrusza ramionami.

– Prawda nie zawsze wygląda tak, jak przedstawiają ją gazety. Często jest znacznie bardziej... skomplikowana – mówi bardzo powoli, starannie dobierając słowa. – Jedno jest za to pewne: śmierć Giulii bardzo go odmieniła... i nie na lepsze, niestety. Nie jest wcale taki kochliwy, jak przedstawiają go brukowce. Nigdy taki nie był. Wręcz przeciwnie. I właśnie dlatego, że taki nie jest, wszyscy starają mu się przypisywać takie zachowania. – Giacomo potrząsa głową i ponownie wzrusza ramionami na widok mojej zaskoczonej miny. – Brzmi to trochę bez sensu, co?

Zupełnie nic z tego nie rozumiem. Kręcę głową, bo naprawdę nie wiem, do czego zmierza.

– Czy to znaczy, że pana zdaniem nie powinnam się z nim spotykać?

Uśmiecha się delikatnie.

– Jest pani dorosłą kobietą, Sophie. Może pani robić, co chce i z kim chce. Ale myślę, że Matteo...

Nie udaje mu się dokończyć zdania, bo przerywa mu dzwonek do drzwi. Drzę, słysząc głośny gong, a serce zaczyna mi bić szybciej. Chcę, żeby Giacomo szybko dokończył, na wypadek gdyby to był Matteo.

– Co z nim?

Starszy pan robi nieszczęśliwą minę i kręci głową.

– On nie jest właściwą osobą dla pani, Sophie.

Docierają do nas przytłumione głosy – Rosa musiała właśnie otworzyć drzwi w holu na parterze i wpuścić gościa do środka. Po chwili słyszę szybkie kroki na schodach i sekundę później w drzwiach do tylnego salonu, w którym pracujemy, staje Matteo. I nie idzie dalej.

Cieszę się, że siedzę, bo moje kolana mogłyby się poddać po całym poranku i połowie nocy myślenia o nim właściwie bez przerwy.

Jest ubrany w stylu, który już znam; tym razem to zestawienie jasnych spodni z koszulą w interesującym kolorze, czymś pomiędzy jasnoniebieskim a turkusowozielonym. Wyróżnia się w tym bardziej niż zwykle. Gdyby nie zżerał mnie wstyd na samą myśl o tym, westchnąłabym tęsknie, bo tak cholernie dobrze wygląda, niezależnie od tego, co ma na sobie.

Dostrzega mnie przy stole obok Giacoma i – chyba się nie mylę – w jego oczach pojawia się błysk ulgi. Potem jego twarz rozjaśnia szeroki, radosny uśmiech, co wywołuje gwałtowny ucisk w moim sercu – niezależnie od tego, jak bardzo staram się zachować rozsądek i dystans do tego człowieka, nawet taka sytuacja wymaga ode mnie nadludzkiej wysiłków.

Nie mam jednak szans, kiedy rusza w naszą stronę.

– *Ciao, Matteo, ti saluto* – wita go Giacomo. Wstał z krzesła, więc i ja się podnoszę, wiedziona mieszaniną radości i chęci ucieczki. Adrenalina buzuje w moich żyłach, a ja widzę już tylko jego, jak w kilku krokach pokonuje dzielącą nas odległość.

Najpierw podchodzi do mnie, kładzie mi dłoń na ramieniu i całuje mnie w oba policzki, zanim udaje mi się odsunąć. Otacza go cudowny zapach; dłonią, którą unoszę i (chyba!) w obronnym odruchu opieram o jego pierś, czuję gorąco jego ciała. To jednak zbędny gest, bo nie odpycham go, tonąc w kotłujących się we mnie uczuciach.

Od wczorajszego wieczoru staram się z nimi walczyć, ale nie mam sił, by je pokonać. Jestem na to zbyt słaba.

– *Ciao, Sophie.* – Dźwięk jego głosu wywołuje we mnie drżenie i przez chwilę nie marzę o niczym innym, tylko o tym, by znów mnie pocałował. Tak prawdziwie, jak poprzedniego wieczoru. Jestem tym tak przerażona, że z gardła wydobywam jedynie ciche „witaj”, po czym cofam się kawałek.

Matteo dostrzega to i marszczy czoło. Potem przypomina sobie o Giacomie i wita się z nim serdecznym uściskiem.

– Do Castel Gandolfo i z powrotem w godzinę? Jak tego dokonałeś? Samolotem? – pyta staruszek i spogląda na niego z przyganą. Najwyraźniej dawno nie jechał z nim samochodem.

– Spieszyłem się – wyjaśnia Matteo i spogląda w moją stronę. – Nie chciałem rozminąć się z Sophie.

W jego spojrzeniu widzę determinację i czuję, że robi mi się sucho w ustach. Dociera do mnie, że on mówi to zupełnie poważnie. Myliłam się, myśląc, że zmienił zdanie. Nie zmienił – dalej chce spędzić ze mną popołudnie. Serce wali mi dziko na myśl o tym, co się wydarzy, kiedy znów znajdę się z nim sam na sam...

– No i? – Matteo jest zniecierpliwiony naszym milczeniem. – Skończyliście na dzisiaj?

– Jeszcze nie – odpowiada Giacomo i zdecydowanym gestem wskazuje na drzwi do swojego gabinetu. – Moglibyśmy zamienić kilka słów w cztery oczy?

Matteo jest wyraźnie zaskoczony tonem jego głosu, w którym słychać pewien wyrzut, lecz wzrusza ramionami.

– Oczywiście – odpowiada i rusza za przyjacielem. W progu obaj się zatrzymują i spoglądają na mnie – Giacomo z troską, Matteo z delikatnym, bezczelnym uśmiechem, który wywołuje falowanie w moim żołądku.

– Zaraz wracamy, to zajmie tylko chwilę – zapewnia mnie Giacomo, po czym obaj znikają w przylegającym do salonu gabinecie, a ja zostaję sama.

Opadam z powrotem na krzesło, bezwładna jak balon, z którego uszło całe powietrze. Wpatruję się w zamknięte drzwi, wdzięczna losowi, że choć przez chwilę nie muszę ukrywać swoich uczuć.

Nie mam pojęcia, o czym tam rozmawiają, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że to ja jestem tematem ich konwersacji. A w zasadzie ja i Matteo. Czy może tylko mi się wydaje? Może to przez Giacomę, który mnie tak tajemniczo ostrzegwał...

Jestem cały czas pod wrażeniem bystrości staruszka, który bezbłędnie zauważył, w jakim stanie ducha jestem i kto jest tego przyczyną. Tyle że jego uwagi na temat Mattea wcale mi nie pomogły.

Co takiego dzieje się więc między Matteem Bertanim a mną? Czy rzeczywiście jestem gotowa rzucić mu się w ramiona, podczas gdy jeszcze wczoraj się zarzekałam, że nic nas nigdy nie połączy? Na pewno nikt nie musi mnie już zmuszać, żebym się z nim spotkała. Jeśli mam być szczerą, nawet wczoraj, kiedy siedzieliśmy w Barrique i cudownie nam się rozmawiało, czułam

się zupełnie swobodnie. Poza tym czy przypadkiem nie byłam rozczarowana i zawiedziona, kiedy wydawało mi się, że nie jestem kimś, kim mógłby się zainteresować?

Lecz dokąd mnie ta droga zaprowadzi? Giacomo twierdzi, że Matteo nie jest mężczyzną dla mnie. Andrew ostrzegł mnie przed nim niemal w identyczny sposób, lecz domyślam się, że z innych powodów. Uznał mnie za zbyt rozsądną i poukładaną, bym mogła się związać z kimś takim jak Matteo, za to Giacomo wie więcej i nie uważa, żeby nasz związek miał jakiegokolwiek szanse. Obaj mają rację. Między mną a Matteem nigdy się nie ułoży, a spędzając z nim coraz więcej czasu, tylko skomplikuję sytuację.

Niestety, mam wrażenie, że nawoływania głosu mojego rozsądku są jak rzucanie grochem o ścianę, bo za nic nie chcę, żeby dzisiejsze wspólne popołudnie nie doszło do skutku. Co jest całkowitym szaleństwem, biorąc pod uwagę, co jeszcze wczoraj o nim sądziłam. Ale to było wczoraj. Jeszcze zanim udało mi się zajrzeć za fasadę uśmiechu, za którą skrywa swoje prawdziwe oblicze. Zanim mnie pocałował...

Nagle drzwi do gabinetu się otwierają, a ja podrywam się jak oparzona. Giacomo pierwszy wraca do salonu, a tuż za nim kroczy Matteo. Widzę, że się kłócili, bo wyglądają, jakby po prostu nie mogli dłużej wytrzymać w swoim towarzystwie. Mają ponure miny i są bardzo spięci, szczególnie widać to po Giacomo. Sprawia wrażenie, jakby całą energię zużył na rozmowę z Matteem, bo idąc, stawia mniejsze i wolniejsze kroki niż wcześniej, a potem osuwa się ciężko na krzesło.

– Sophie, zechciałaby pani przynieść mi odrobinę wody?

– Oczywiście. – Naprawdę się o niego martwię, dlatego pospiesznie zbiegam do kuchni, do Rosy, która błyskawicznie przygotowuje mi tacę z karafką z wodą i szklanką. Wracam na górę. Już na schodach słyszę podekscytowane głosy Giacoma i Mattea. Znowu się kłócą. Mówią wprawdzie po włosku, lecz część rozumiem.

– ...moja sprawa! – To mówi Matteo.

– Ale wiesz, jak to się skończy – odpowiada mu Giacomo ze złością. – A ja nie chcę, żeby...

– Uważaj, wraca – ostrzega go Matteo i kiedy wchodzę z tacą do tylnego salonu, obaj mężczyźni stoją w milczeniu i patrzą na mnie ponuro.

– Dziękuję – mówi Giacomo i odbiera z moich dłoni szklankę, do której przed chwilą nalałam wody. Upija spory łyk.

– To co, wracamy do pracy? – pytam, lecz on potrząsa smutno głową.

– O nie, na dzisiaj mi wystarczy. – Wzdycha głęboko i spogląda na Mattea. Bertani odwrócił się do nas plecami i wygląda przez okno. – Jestem zmęczony i chcę się położyć.

– Może odprowadzić pana na górę? – Zazwyczaj zajmuje się tym Rosa, bo Giacomo potrzebuje kogoś, kto pomaga mu pokonać schody, jednak chcę się poczuć przydatna, więc proponuję, że to zrobię.

– Jeśli to dla pani nie za wiele, to chętnie – odpowiada starszy pan. Wyraźnie się cieszy, że nie musi czekać na gosposię.

Zapewniam, że dam sobie radę, na co on wstaje i chwytając mnie pod ramię. Skinieniem głowy żegna się z Matteem, który na chwilę odwraca się od okna, po czym kontynuuje oglądanie czegoś na zewnątrz. Giacomo czuje się chyba mocno urażony, bo znowu wzdycha, tym razem ze smutkiem, i ruszamy schodami na kolejne piętro willi, gdzie znajdują się pokoje sypialne.

Zatrzymuje się tuż przed drzwiami.

– To tutaj – mówi, cofa rękę i kładzie dłoń na klamce.

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze? Coś przynieść?

Kręci głową.

– Nie, wszystko mam, dziękuję. *Mille grazie*. Do zobaczenia w poniedziałek?

– Tak, oczywiście. – Uśmiecham się lekko zawstydzona, bo jestem pewna, że to o mnie pokłócił się z Matteem i pośrednio przeze mnie tak słabo się czuje. Mam wielką ochotę zapytać, czego konkretnie dotyczyła ich kłótnia i co zarzucił Matteowi, lecz wygląda na wyczerpanego i nie chcę, żeby znów się denerwował.

– Sophie? – woła Giacomo, kiedy jestem już przy schodach. Szybko się odwracam i podchodzę do niego.

Stoi w drzwiach swojej sypialni, z dłonią opartą na klamce, i patrzy na mnie zamyślony.

– Chciałbym... naprawdę, chciałbym, żeby udało się go pani... – Czekam w napięciu na to, co powie dalej, lecz on nagle uśmiecha się z rezygnacją i potrząsa głową. – Nieważne.

Żegna się ze mną ze smutkiem w oczach, po czym wchodzi do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Zostaję sama na korytarzu.

Przez chwilę wpatruję się miejsce, gdzie przed chwilą jeszcze stał Giacomo, i zastanawiam się, co chciał powiedzieć. Co miało mi się udać z Matteem? Miałam go zrozumieć? Zostawić w spokoju? Zapomnieć? Strasznie trudne zadania, myślę, schodząc do salonu.

Matteo stoi wciąż jeszcze przy oknie i wygląda na zewnątrz. Odwraca się, usłyszawszy moje kroki, a moje serce znów zaczyna walić jak szalone. Żaden mężczyzna nie powinien wyglądać tak diabelnie dobrze, myślę sobie i zatrzymuję się kilka kroków od niego.

– Jak on się czuje? – W głosie Mattea słychać napięcie, kiedy pyta o przyjaciela. Kłótnia musiała go dotknąć mocniej, niż chciałby przyznać, choć znacznie lepiej od Giacoma potrafi to ukryć.

Potrząsam głową.

– Nie wiem. Jest bardzo zmęczony. Musi odpocząć, wtedy na pewno poczuje się lepiej. – Ostatnie zdanie dodaję tylko po to, żeby uspokoić Mattea. A potem do głosu dochodzi moja ciekawość. – Co się właściwie stało?

Matteo wzdycha głęboko i kręci głową. Mam wrażenie, że walczy ze sobą, bo nie wie, czy powinien milczeć, czy opowiedzieć mi o kłótni. Na jego twarzy pojawia się w końcu złość.

– Nic takiego – mówi zdecydowanie tonem, który ucina dalszą rozmowę na ten temat. Choć teraz nie mam już najmniejszych wątpliwości, że ich kłótnia musiała dotyczyć mnie, widzę również, że nie zamierza mnie wtajemniczać w jej szczegóły.

Z całą pewnością nie mogło to być takie „nic takiego”, myślę, przyglądając się jego twarzy. Coś się w niej zmieniło. Nagle jest zupełnie inny. Wcześniej był zdeterminowany i pełen energii, teraz wyraźnie się zastanawia, jakby nabrał wątpliwości, czy to całe spotkanie ze mną to na pewno taki dobry pomysł. Czy to nie błąd... Giacomo musiał powiedzieć coś, co zmieniło jego podejście. Czy odwoła teraz nasze plany na popołudnie? A jeśli tak zrobi... będę szczęśliwa czy rozczarowana?

W zasadzie powinnam się cieszyć, lecz kiedy na niego patrzę, nie mogę przestać myśleć, jak niesamowicie jest atrakcyjny. I że wbrew wszystkim ostrzeżeniom i zdrowemu rozsądkowi pociągam mnie jak nigdy dotąd żaden mężczyzna.

– Wychodzimy dokądś teraz czy masz inne plany? – pytam, by przerwać nieprzyjemną ciszę, a kiedy potakuje, nabieram głęboko powietrza. Dopiero po chwili dociera do mnie, że westchnęłam z ulgą.

Matteo również to słyszy, a w jego oczach pojawia się błysk, który przepędza napięcie i niezdecydowanie z jego twarzy. I uśmiecha się, co sprawia, że znów widzę ten precudny dołeczek na jego policzku.

– Chcesz tego?

– Ty tego chcesz – przypominam mu, bo czuję się zagoniona w kozi róg i nagle znów bardzo ostrożna. – Taki był twój warunek, prawda? Jeśli z tobą wyjdę, przygotujesz ekspertyzę.

– Tylko dlatego się ze mną umawiasz?

Jego bursztynowe oczy świdrują mnie na wylot, a ja rozpaczliwie i bez sukcesu szukam na jego twarzy jakiegoś zarozumiałego uśmiešku, który by świadczył, że chce mnie tylko sprowokować. Czy może... pyta zupełnie poważnie?

– A jaki mogłabym mieć inny powód? – pytam możliwie jak najchłodniej.

Wzrusza ramionami i uśmiecha się.

– W takim razie ruszamy?

Waham się przez ułamek sekundy, bo rozsądek znów stara się mnie ostrzec przed ryzykiem, lecz zdaję się na swoją intuicję, która podpowiada, że jeśli zrezygnuję, ominie mnie jakieś nieprawdopodobnie ekscytujące doświadczenie.

Dlatego sięgam po torebkę i ruszam za Matteem przez oba salony, które przemierza długim, sprężystym krokiem. Zatrzymuje się dopiero w drzwiach i puszcza mnie przodem.

– Dokąd jedziemy? – pytam i spoglądam w górę. Jego oczy wciąż błyszczą.

– To niespodzianka – odpowiada. Prowadzi mnie do auta, a ja czuję, że dostaję gęziej skórki.

Rozdział 11

Matteo prowadzi w tym samym stylu, co za pierwszym razem. Nie mija więc wiele czasu, a zostawiamy spokojny Awentyn za plecami i mkniemy jego czarnym kabrioletem przez pełne życia śródmieście. Dookoła panuje tłok i jest głośno, a światła co chwila zatrzymują samochody. Jednak on niemal nie zwalnia tempa. Wykorzystuje każdą lukę i ponownie udowadnia, jak doskonale zna Rzym, bo kiedy auta przed nami muszą stanąć, on skręca w jakieś ciasne uliczki i posuwa się naprzód.

Jestem spięta, lecz nie przez nerwy. Czuję raczej coś w rodzaju pełnej oczekiwania ekscytacji. Za to on chyba jeszcze nie przetrwał rozmowy z Giacomem, bo jest zaskakująco milczący, od kiedy wsiedliśmy do auta. Odpowiada wprawdzie na moje pytania, lecz sam nie zadaje żadnych. Przez większość czasu patrzy skupiony na drogę przed nami i rzadko odwraca głowę, by na mnie spojrzeć. Mimo że ma ciemne okulary i nie widzę jego oczu, za każdym razem, kiedy to robi, nie mogę złapać tchu.

Ożywia się, kiedy docieramy do ścisłego centrum. Pokazuje mi niektóre zabytki i ciekawe miejsca, jakąś galerię, którą szczególnie lubi, niewielkie muzeum z bardzo ciekawą ekspozycją – najwyraźniej nie ono jest naszym celem, bo je mijamy – czy mały bar, w którym ponoć serwują najlepsze cappuccino w Rzymie.

– To raczej sprawa indywidualnego smaku – drażnię się z nim, ucieszona, że w końcu przestał być taki milczący.

– Ależ ja mam fantastyczne poczucie smaku – odpowiada i spogląda na mnie w sposób, który świadczy, że nie ma na myśli jedynie kawy. Pod jego spojrzeniem robi mi się gorąco, co wyraźnie go bawi, bo znów uśmiecha się z zadowoleniem.

– Trudno będzie nam tutaj zaparkować, prawda? – pytam, żeby zmienić temat. I rzeczywiście, od dłuższego czasu nie widziałam ani jednego wolnego miejsca, a auta stoją jedno przy drugim.

Zamiast odpowiedzieć Matteo skręca w szczególnie ciasną uliczkę, tak wąską, że ledwie się w niej mieścimy, a po chwili wjeżdża na niewielkie podwórze i tam parkuje.

– Nie, jeśli zna się odpowiednich ludzi, którzy pozwalają ci zostawiać samochód u siebie – wyjaśnia z pełnym tupetu uśmiechem i wysiada.

– A kto tutaj mieszka? – pytam, przyglądając się oknom ładnego starego domu. Wszystkie okiennice są zamknięte, żeby chronić wnętrza przed palącym słońcem, a poza naszą alfą romeo na podwórzu stoi biały, dość nowy model fiata.

Matteo obchodzi samochód i pomaga mi wysiąść.

– Przyjaciółka – wyjaśnia, a ja jestem zła na siebie, że w ogóle zadałam to pytanie. Raczej wolałabym nie wiedzieć, że to kobieta, z którą w dodatku może wiązać go wspólna przeszłość i dlatego pozwala mu zostawiać samochód na prywatnym terenie.

– To dokąd mnie teraz zabierasz? – pytam, żeby nie zgłębiać poprzedniego tematu.

– Tam, prosto – odpowiada i wskazuje przed siebie na wąskie przejście między dwiema kamienicami na końcu uliczki. Widzę, że jeszcze nie chce zdradzić naszego celu. Wychodzimy na ulicę zamkniętą dla ruchu samochodowego, która kawałek dalej rozszerza się i kończy placem. Natychmiast rozpoznaję, gdzie jestem. Zaskoczona i nieco zbita z tropu zatrzymuję się i patrzę na niego.

– To chciałeś mi pokazać?

Stoimy dokładnie przed piazza di Spagna, słynnymi Schodami Hiszpańskimi. Obstawione

donicami z kwiatami i zatłoczone przez rzesze turystów wznoszą się aż do chiesi della Trinità dei Monti, której dwie białe wieże odznaczają się na tle błękitnego włoskiego nieba.

Matteo śmieje się cicho.

– Zawsze jesteś taka niecierpliwa? Poczekaj, niedługo się przekonasz – mówi i bierze mnie za rękę. Prowadzi mnie pewnie, przeciskając się przez tłum turystów, którzy zbierają się przed schodami, patrzą w niebo, robią zdjęcia albo próbują znaleźć coś na mapach. Widzę też policjantów wmieszanych w tłum i domyślam się, że są tutaj, by łapać kieszonkowców, którzy w takich miejscach często szukają ofiar.

Odruchowo przyciskam mocniej torebkę i bez sprzeciwu daję się prowadzić Matteowi. Mam nadzieję, że nie zamierza oprowadzać mnie po najchętniej oglądanych zabytkach Rzymu.

Po chwili już wiem, że nie schody były celem samym w sobie. Zatrzymujemy się przed ładnym beżowożółtym domkiem po prawej stronie i tam puszcza moją rękę. Ależ potrafi mnie rozkojarzyć, myślę zaskoczona, bo kiedy patrzę na budynek, szybko go rozpoznaję i wiem, co się w nim mieści. Nie próbuję nawet ukryć zaskoczenia i radości, że się tu znalazłam.

– Muzeum Keatsa i Shelleya?

Matteo potakuje.

– Pomyślałem, że pewnie chciałabyś je zobaczyć.

Wow, myślę i uśmiecham się do niego promiennie. Liczyłam się ze wszystkim, ale nie pomyślałam, że w Rzymie, mieście tysięcy zabytków, wybierze akurat to muzeum. Placówka poświęcona jest angielskim poetom Keatsowi i Shelleyowi, a także jest pomnikiem romantyzmu w literaturze i sztuce. Mam je oczywiście na liście miejsc, które chciałabym zobaczyć, zanim będę musiała opuścić Wieczne Miasto. Kocham wiersze Keatsa, ba, wiele z nich znam na pamięć, a Matteo musiał mnie uważnie słuchać, kiedy o tym wspomniałam. Znów udaje mu się zrobić na mnie wielkie wrażenie.

– Dziękuję.

Potakuje i otwiera przede mną drzwi do niewielkiej sieni ze ścianami pomalowanymi białą farbą.

– Byłaś tu kiedyś? – pyta, kiedy wchodzimy stromymi wąskimi schodami do małego sklepiku z pamiątkami, w którym znajduje się również kasa z biletami.

Zaprzeczam ruchem głowy i niemal czuję wyrzuty sumienia. Strasznie żałuję, że nie udało mi się wcześniej odwiedzić tego muzeum, choć byłam już w Rzymie kilkakrotnie. Jednak w czasie moich poprzednich wizyt nie miałam ku temu okazji. Zawsze umawiałam spotkania jak najbliżej swojego hotelu, żeby szybko wrócić do domu i pomóc tacie. Może już wcześniej powinnam była zostać dłużej i odpocząć, jednak wydawało mi się to zbyt egoistyczne. Skupiłam się więc na pracy i przestałam się nad tym zastanawiać.

Teraz jednak w końcu tu jestem, myślę. Podobna okazja na pewno szybko się nie trafi. Dlatego postanawiam wykorzystać ten czas.

Ku mojemu zaskoczeniu młoda kobieta w kasie, która sprzedała właśnie bilety dwóm starszym panom, wita nas skinieniem głowy i się uśmiecha, po czym subtelnym gestem zaprasza do środka.

– Kolejna przyjaciółka? – pytam i nie potrafię ukryć nutki sarkazmu w głosie. Od razu jestem na siebie o to zła. – Czy tutaj tylko co druga osoba płaci za wejście?

Matteo śmieje się cicho.

– Ani jedno, ani drugie. Jestem członkiem wspierającym Keats Shelley Memorial Association, które prowadzi to muzeum. Jednym z plusów jest właśnie to, że mogę je zwiedzać, kiedy tylko chcę i z kim chcę – wyjaśnia.

Spoglądam na niego zaskoczona. Jeśli wspiera finansowo angielskie stowarzyszenie

prowadzące muzeum, to znaczy, że musi być naprawdę wielkim fanem poezji Johna Keatsa, co zresztą sam przyznał na początku naszej znajomości.

Przechodzimy przez cztery sale wystawiennicze i oglądamy wszystkie eksponaty. Już w pierwszym pomieszczeniu znajduje się chluba kolekcji, jeden z obrazów Josepha Severna, chyba ten najbardziej znany, przedstawiający Shelleya piszącego na tle ruin.

Kiedy go oglądamy, Matteo staje tuż za mną, a ja czuję ciepło jego ciała przenikające przez cienki materiał mojej sukienki, przez co mam wrażenie, że jestem rozrywana: jakby moje ciało i mój umysł – choć z jednakową intensywnością – chłonęły różne bodźce i wchodziły sobie w paradę. Głową rejestruję wszystko, czego dotyczy wystawa, a ciało koncentruje się jedynie na moim towarzyszu, który przysuwa się jeszcze kawałek, tak blisko, że czuję na szyi jego oddech.

– Piękne, prawda? – pyta i muska płatek mojego ucha ustami, wywołując dreszcz rozkoszy przebiegający przez moje ciało. Mój oddech przyspiesza i staje się płytki, a myśli zaczynają swój szaleńczy taniec, przez co nie potrafię złożyć słów w logiczne zdanie. Dlatego ratunku szukam w pytaniu, które nie daje mi spokoju od chwili, gdy wiem, że Joseph Severn to również jeden z jego ulubionych malarzy, i z trudem je zadaję. Staram się przy tym nie poruszyć, bo chcę dalej jego bliskości, tak wszechogarniającej i podniecającej.

– Co ci się podoba w Severnie? Jako człowieku? – Biografia tego angielskiego malarza jest całkowicie inna niż biografia Enza di Montagny. Severn dożył sędziwego wieku i zmarł, mając osiemdziesiąt pięć lat, co przecież w dziewiętnastym stuleciu nie było takie częste. Dodatkowo był bardzo szanowanym obywatelem i dyplomata, pracującym w Rzymie jako brytyjski konsul, dlatego też został tu pochowany. – On akurat nie był buntownikiem.

Matteo unosi dłoń i odsuwa mi włosy na bok, a dotyk opuszek jego palców na szyi wprawia mnie w drżenie.

– Był za to bardzo dobrym przyjacielem – tłumaczy. Spoglądam na niego szybko, po czym wracam do podziwiania obrazu. Przyjaźń, to dla niego ważne, myślę. Giacomo wspo...

Czuję jego usta na szyi, tuż za uchem, co skutecznie przegania wszystkie myśli z mojej głowy. To tak podniecające uczucie, że przestraszona robię krok w bok... żeby zaraz tego pożałować. Matteo uśmiecha się do mnie, a ja jestem zła, że tak na mnie działa. Mimo to pozwalam, by znów wziął mnie za rękę.

– Chciałabyś może zobaczyć teraz pokoje Keatsa? – pyta i wskazuje na najbliższe drzwi.

Potakuję, bo nie mogę wydobyć z siebie głosu. Oczywiście, że chcę, ale naprawdę mam problem, by myśleć o czymkolwiek poza ciepłym dotykiem jego dłoni, kiedy spokojnym krokiem zmierny dalej, do części muzeum, która opowiada o życiu i śmierci Johna Keatsa. Dlatego w kolejnym pomieszczeniu puszczam jego dłoń, żeby móc choć odrobinę skupić się na wystawie, którą od tak dawna chciałam zobaczyć.

Również tutaj często trafiam na nazwisko Severna, gdyż to właśnie on w 1820 roku przyjechał ze śmiertelnie chorym przyjacielem do Rzymu, wiedziony nadzieją, że ciepły południowy klimat pomoże mu wrócić do zdrowia. I to w jego listach, wystawionych licznie w przeszklonych gablotach, zapisana jest poruszająca historia cierpienia i śmierci Keatsa.

Przyglądam się każdemu z dokumentów, a Matteo widzi, że mnie to interesuje. Idzie za mną w milczeniu i nie robi niczego, co mogłoby mnie rozpraszać. Mimo to czuję na sobie jego wzrok – jestem dla niego znacznie bardziej interesująca niż wystawione tu eksponaty, które pewnie i tak zna na pamięć. Denerwuję się tym bardziej, niż się spodziewałam.

W końcu docieramy do ostatniego pomieszczenia, najmniejszego ze wszystkich. To tutaj zmarł John Keats. Można tu obejrzeć łóżko, w którym spędził ostatnie tygodnie życia, i jego maskę pośmiertną.

– Wielka szkoda – mówię cicho i patrzę zamyślona na woskową maskę.

– Czego? – Matteo stoi obok mnie przy przeszklonej gablocie, lecz na dźwięk mojego głosu podnosi głowę.

– Że tak wcześniej zmarł. – Wzdycham. – I że właśnie on, który tak cudownie potrafił pisać o miłości, z powodu choroby musiał opuścić swoją ukochaną.

Do głowy przychodzi mi wiersz, który Keats napisał do swojej Fanny, z którą dane mu było spędzić ledwie dwa lata w Anglii, zanim śmiertelnie chory wyjechał do Rzymu.

– *Litości – zmiłowania – miłości! – tak, właśnie / Miłości – miłosiernej, takiej, co nie mami / Nie zna, co to wahania, wątpliwości, waśnie / Szczera, jawna, widzialna – a nic jej nie splami!* – cytuję z pamięci. – To naprawdę piękne.

Matteo milczy, więc odwracam się w jego stronę. Nie uśmiecha się, tylko marszczy czoło.

– Zapominasz o zakończeniu tego wiersza. O tym, jak opisuje, co się stanie, jeśli z całego serca nie odwzajemni jego miłości: *Umrę; albo żyć będę w tej niewoli dalej / Lecz zapomnę, przybity poniesioną stratą / Po co żyję – umysłu podniebienie straci / Zmysł smaku, a ambicja wzrokiem to przyplaci*[1]. Moim zdaniem wcale pięknie to nie brzmi.

Spoglądam na niego zaskoczona. On również potrafi z pamięci zacytować ten wiersz? Czyli musiał się nim zajmować równie intensywnie jak ja. Tyle że jego interpretacja jest zupełnie inna niż moja i wyjątkowo ponura jak na osobę, która uśmiecha się równie często, co olśniewająco.

– Tyle że on nie zakłada w ogóle, że tak będzie. On wie, że Fanny go kocha – protestuję. – Ten fragment ma jedynie pokazywać, jak mocne jest uczucie, które ich połączyło.

Matteo nie jest przekonany i potrząsa głową.

– Nikt nie może wiedzieć, czy w ogóle by przy nim została. Pamiętaj, że jego pierwszą i największą miłością było pisanie. I jestem przekonany, że w końcu by się znudziła i zniechęciła, nie będąc dla niego najważniejszą. Poza tym był biedny i nie odnosił sukcesów. Szybko by się przekonała, jakie życie prowadziłyby u jego boku. Umarł, zanim stanęła przed wyborem. Gdyby stało się inaczej, przekonalibyśmy się, że te piękne słowa nie były dla niej zbyt wiele warte.

Tym razem to ja potrząsam głową.

– Jak ktoś, kto podaje się za fana twórczości Keatsa, może być tak niewiarygodnie nieromantyczny?

Chcę się z nim droczyć, lecz on w ogóle się nie uśmiecha. Krzywi się jedynie, przez co wygląda, jakby na jego twarzy pojawił się wyraz pogardy.

– W jego twórczości lubię tę część, która dotyczy piękna i sztuki. Ty, Sophie, inaczej na niego patrzysz? Dla ciebie liczy się romantyzm i wielka miłość?

Patrzy na mnie zaskakująco zdystansowany i zamyślony, a ja czuję, że robi mi się gorąco, bo jego słowa brzmią jak zarzut.

– Nie, nieprawda – wyjaśniam i jestem zła, że w ogóle poruszyłam ten temat. Gdyby mnie znał, wiedziałby, że nie mówię o sobie. Wielkie uczucia cieszą mnie w literaturze, ale w ogóle nie dopuszczam ich do siebie w życiu, z tego wyleczyły mnie emocjonalne huśtawki mojej matki.

– To był tylko cytat. I nie odnosiłam go do siebie, tylko do miejsca, w którym się znajdujemy. To miałam na myśli, mówiąc, że nie jesteś romantyczny.

Matteo marszczy usta, a w jego pięknych oczach pojawia się dziwna powaga. Chyba nie do końca wierzy w to, co mówię.

– Ale masz rację. Jestem całkowicie i nieodwracalnie wyprany z romantyzmu. Nie ma go we mnie nic a nic.

Trudno nie usłyszeć ostrzegawczego tonu w jego głosie. On również nie czeka na wielkie uczucia – czy może już nie czeka? To chce mi powiedzieć?

Tylko że mnie nie trzeba ostrzegać, myślę ze złością. Sława go wyprzedza. Na dodatek

nasze zdania na ten temat są bardzo podobne.

– Uff, to jestem spokojniejsza – zapewniam go i uśmiecham się ironicznie. – Co ja bym poczęła z romantycznym facetem?! Całkowicie i nieodwracalnie nie!

Uśmiech wraca na jego usta, a w oczach pojawia się błysk.

– Doprawdy? Jaki typ faceta byłby dla ciebie interesujący?

Dopiero teraz zaczynam rozumieć, co właściwie powiedziałam. Spoglądam na niego przestraszona, nasze spojrzenia się spotykają i nie mogę już odwrócić głowy. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, szukając jakiegokolwiek mądrej odpowiedzi, takiej, którą bym dowiodła, że to ja kontroluję sytuację... że nie zmieniałabym się w wosk w jego ciepłych dłoniach, gdyby chciał mnie teraz dotknąć... Że potrafię się przeciwstawić požądaniu, które budzi we mnie jego wzrok...

Na szczęście ratunek przychodzi z nieoczekiwanej strony, bo nagle odzywa się jego telefon. Wyraźnie poirytowany sięga do kieszeni i wyjmuje komórkę. Nie jest zadowolony, że ktoś mu przeszkadza. To musi być coś ważnego, bo z jego twarzy znika uśmiech, kiedy dostrzeżę, kto dzwoni.

– Przepraszam, muszę odebrać. Zaraz wrócę – mówi i przesuwam kciukiem po ekranie. Odwraca się i wychodząc, unosi telefon do ucha.

– *Si?*

Pospiesznie znika w korytarzu, a ja odprowadzam go wzrokiem i czuję, że serce wali mi jak szalone.

Usiłuję przywołać się do porządku i powtarzam, że ten facet nie jest w moim typie. Wolę spokojnych i przewidywalnych mężczyzn, a w każdym razie tak dotychczas myślałam. Mimo to wiem, że coś jest między nami, coś, co wywołuje mój niepokój. Ta więź pojawiła się w dniu, kiedy go spotkałam, i cały czas trwa, kompletnie wytrącając mnie z równowagi. Mam wrażenie, jakbyśmy byli dwoma magnesami, które z jednej strony odpychają się mocno, a z drugiej przyciągają z zaskakująco wielką siłą.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz na wspomnienie, jak mocno na niego reaguję. Delikatne muśnięcie ustami wystarcza, bym zaczęła płonąć i nie potrafiła logicznie myśleć. I to akurat ja – osoba, która zawsze twierdziła, że seks nie ma wielkiego znaczenia i równie dobrze mogłabym z niego w ogóle zrezygnować. Teraz nie jestem już tego taka pewna i łapię się na rozmyślaniach, jak by to było, gdybym dała dojść do głosu pragnieniom, które we mnie budzi...

Sophie, która w Anglii, w domu, wszystkim się zajmuje i wszystkiemu daje radę, nigdy by się na coś takiego nie odważyła. Wiedziałaaby, że on swoim czarem i beczelną pewnością siebie przewróciłby do góry nogami jej spokojne uporządkowane życie, na które ciężko pracowała, i już od początku by go unikała. Lecz Sophie, która jest tutaj, w Rzymie, Sophie, która kupuje sobie zbyt długą czerwoną suknię i która czuje to dziwne, nieznane wcześniej przyciąganie, jest gotowa podjąć ryzyko. I jeśli mam być szczerą, moja własna decyzja budzi we mnie olbrzymie zdumienie.

Zmieszana ruszam z miejsca i idę szukać Mattea, bo od dłuższej chwili nie mogę doczekać się jego powrotu. Domyślam się, że wyszedł rozmawiać na zewnątrz, więc schodzę na parter i widzę, że rzeczywiście stoi przy drzwiach. Wychodzę na dwór. Matteo przyciska słuchawkę do ucha i tłumaczy coś zdenerwowany po włosku, gestykułując przy tym energicznie. Rozumiem jedynie, że czegoś chce od swojego rozmówcy, lecz najwyraźniej tego nie dostaje, bo po chwili się rozłącza, a ja słyszę, jak siarczyście przeklina.

– Coś nie tak? – pytam ostrożnie i z troską.

– Niestety, z moim kursem. – Odgarnia dłonią włosy z czoła, lecz one natychmiast z powrotem zsuwają mu się na twarz. Widzę, że jest naprawdę wściekły. – Ann, czyli modelka,

którą wynajęłam dzisiaj do pozowania do aktu, niespodziewanie odmówiła. Ponoć musi lecieć do Paryża, bo ma jakąś rodzinną sprawę niecierpiącą zwłoki. A agencja umywa ręce i twierdzi, że jest już za późno i w tak krótkim czasie nie znajdą mi dla niej zastępstwa. – To chyba powód jego wściekłości. Spogląda na zegarek i potrząsa głową. – Bardzo mi przykro, Sophie, ale musimy zmienić plany na dzisiaj. Gdyby nie ta modelka, miałbym jeszcze czas do rozpoczęcia kursu, ale nie mam wyboru. Muszę poszukać szybko jakiegoś zastępstwa albo pomyśleć o zmianie scenariusza dzisiejszych zajęć.

– Och... – Czuję wzbierające we mnie rozczarowanie. Prawdę mówiąc, byłam przekonana, że spędzimy cały wieczór razem, a perspektywa samotnego popołudnia przepełnia mnie przeraźliwym smutkiem. No tak, ale przecież mówił, że ma ten swój kurs i że zajęcia odbywają się w piątki wieczorem u niego w domu. I nie może ot tak, po prostu odwołać spotkania, skoro uczestnicy stoją w kolejkach, żeby dostać się na listę... Mimo wszystko jest mi smutno.

Matteo spogląda na mnie zamyślony. Waha się, jakby chciał mi coś jeszcze powiedzieć. Może na pożegnanie? Ale ja nie chcę się z nim rozstawać. I nagle przychodzi mi do głowy pomysł.

– Sophie, ja...

– Dlaczego mnie nie poprosisz? – przerywam mu.

Gwałtownie unosi głowę i patrzy mi w oczy. Uśmiecham się do niego.

Pomysł jest szalony, bez dwóch zdań, i w Londynie nawet przez sekundę nie rozważałabym zrobienia czegoś takiego. Tam nie miałabym na to czasu, a poza tym byłoby to sprzeczne z oczekiwaniami, jakie wszyscy wobec mnie mają. W końcu reprezentuję poważny dom aukcyjny, a w ten sposób mogłabym zniszczyć jego renomę...

Jednak teraz jestem w Rzymie, a tutaj jest inaczej. Czuję, jak wzbiera we mnie pragnienie zrobienia czegoś szalonego. Bo właściwie dlaczego nie? Nikt mnie tu nie zna. A poza tym i tak nie mam nic lepszego do roboty.

Matteo nie jest już tak ponury jak w chwili, kiedy otrzymał złą wiadomość, jednak nie wygląda też na specjalnie zachwyconego propozycją rozwiązania jego problemu, którą proponuję. Jest raczej... zaskoczony. Bardzo zaskoczony.

– Sam przecież powiedziałeś, że bym się nadawała – wyjaśniam, dlaczego w ogóle wysłałam z takim pomysłem. Przez jego minę czuję się niepewnie. – No i mogłabym ci pomóc, prawda?

Marszczy usta.

– Robiłaś już to kiedyś?

W jego głosie słyszę dużo sceptycyzmu, co tylko umacnia mnie w decyzji.

– Nie. Ale dam sobie radę.

– Jesteś pewna? – On najwyraźniej nie jest. – Będziemy malować akt, Sophie. To od ciebie będzie wymagało...

– Nagości, tak, wiem – odpowiadam i unoszę podbródek. Czy on naprawdę myśli, że nie wiem, co to jest akt?

W końcu jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Spokojnego siedzenia. To chciałem powiedzieć. Będziesz musiała przez dłuższy czas siedzieć cicho i się nie odzywać. Wielu sobie z tym nie radzi.

– Wielu, owszem. Ale nie ja – zapewniam go pospiesznie i uśmiecham się krzywo, bo nieporozumienie jest dla mnie trochę wstydlive. Poza tym dam sobie radę z siedzeniem bez ruchu choćby z tego powodu, że będę sparaliżowana strachem, czując na sobie wzrok tylu obcych osób. To całkiem praktyczne.

Przez chwilę Matteo nic nie mówi, a ja bez skutku usiłuję odczytać cokolwiek z jego bursztynowych oczu. W końcu unosi dłoń, dotyka mojego policzka i przesuwa kciukiem po dolnej wardze.

– Bardzo byś mi pomogła, biorąc to na siebie. – Delikatna skóra moich ust piecze pod jego dotykiem. Z największym trudem jedynie udaje mi się powstrzymać tęskne westchnienie, kiedy cofa dłoń. – Ale nie mogę cię o to prosić.

Uśmiecham się do niego słabo, bo cała drzę, wciąż jeszcze czując jego dotyk.

– Popatrz na to jak na interes – mówię i sama dziwię się sobie, że udało mi się powiedzieć to tak spokojnym głosem. – Ja zrobię coś dla ciebie, a ty coś dla mnie – podejmiesz się przygotowania tej ekspertyzy obrazu Enza. Wtedy będziemy kwita.

Teraz mój pomysł podoba mi się jeszcze bardziej, bo udało mi się znaleźć logiczne uzasadnienie, by to zrobić. Nie muszę się już obawiać, że igram z ogniem. Matteo reaguje jednak zupełnie inaczej, niż się spodziewałam. Odwraca głowę i spogląda na schody. Przez chwilę mam wrażenie, że dostrzegam na jego twarzy wyrzuty sumienia. Ale pewnie tylko mi się wydaje, bo kiedy znów na mnie spogląda, jest raczej zamyślony.

– Matteo?

Potakuje nieobecny, lecz zanim udaje mi się go zapytać, czy to zgoda na nasz interes, chwyta mnie za rękę i ciągnie za sobą.

– W takim razie chodź, nie mamy zbyt wiele czasu.

Rozdział 12

Od piazza di Spagna do domu Mattea nie jest daleko. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, wyjmuję ze schowka na rękawiczki małego pilota i otwiera nim bramę z kutego żelaza. Droga stoi przed nami otworem. Skrzydła bramy zamykają się automatycznie za nami i mam wrażenie, że są przypieczętowaniem czegoś.

Od teraz nie ma już odwrotu, myślę i oddycham głęboko, bo to, co zamierzam zrobić, nie mieści się w schematach mojego dotychczasowego życia, ba, tak daleko poza nie wykracza, że nie mogę opanować nerwów.

A Matteo nie ułatwia mi zadania. Myślałam, że będzie się cieszył, że uratowałam jego zajęcia. Jednak on znów jest ponury i zamknięty w sobie, jak w czasie jazdy od Giacoma do miasta. To sprawia, że nie czuję się pewnie. Czy on choć raz mógłby zrobić to, czego się po nim spodziewam? – myślę zrozpaczona i się rozglądam. Pokonujemy krótki podjazd i zatrzymujemy się przed podwójnym garażem.

Obie bramy są zamknięte, a on nie zaprzęta sobie głowy tym, by je otwierać. Parkuje samochód przed nimi i wysiada, lecz zauważam to tylko kątem oka, bo jestem zbyt zajęta podziwianiem miejsca, w którym się znalazłam. Dom stoi na zadziwiająco dużej działce, w samym centrum zielonego rajy z wybujałą roślinnością i wysokimi palmami, a przed wzrokiem ciekawskich chroni go wysoki mur.

Sam budynek również robi wrażenie. Trzypiętrowy, z wysokimi oknami zwieńczonymi eleganckimi łukami z klinkierowych cegieł. Portyk nad wejściem opiera się na dwóch kolumnach, co sprawia, że dom wygląda stylowo, a nie tandetnie.

– Mieszkaś tu sam? – pytam zaskoczona, kiedy Matteo otwiera mi drzwi i pomaga wysiąść. Dom wydaje się zbyt wielki jak na jedną osobę.

– Przez większość czasu nie – wyjaśnia, a jego odpowiedź zaskakuje mnie tak bardzo, że przez chwilę się waham, zanim znów ruszam za nim w stronę wejścia.

– A kto jeszcze tu mieszka? – pytam ostrożnie.

– Żadna zazdrosna dziewczyna, jeśli tego cały czas się obawiasz – odpowiada i w końcu uśmiecha się szeroko. Bezwstydnie nawet, bo pewnie wciąż jest rozbawiony tym, że wzięłam jego szwagierkę za kogoś znacznie mu bliższego. – Za to codziennie przychodzi moja gospoia i dba o dom.

Wiem, że nie ma powodu, by taka wiadomość przynosiła mi ulgę, ale mimo to kamień spada mi z serca, że Matteo dzieli życie właściwie jedynie z kimś, kogo zatrudnia. Staram się o tym nie myśleć, bo przecież na pewno nie jestem ani pierwszą, ani ostatnią kobietą, którą tu przyprowadza.

– Poza tym zajmuję jedynie górną część domu – tłumaczy dalej. – Na parterze znajdują się pomieszczenia fundacji, która pracuje do południa, i niewielkie mieszkanie, z którego korzysta *nonna*, kiedy jest w mieście, a w domu Luca i Paoli dzieci robią zbyt wiele hałasu.

– Fundacji? – Zaskoczona, ale i zaintrygowana patrzę w okna na parterze i rzeczywiście dostrzegam przez nie regały zastawione segregatorami i stoły, przy których nikt w tej chwili nie siedzi. Potem mój wzrok pada na mosiężną tabliczkę przy drzwiach, które Matteo właśnie otwiera: *LA SPERANZA DI PITTURA – Fondazione per i giovani talenti dell'arte*. Zatrzymuję się zaskoczona i spoglądam to na tabliczkę, to na Mattea. – To ty stoisz za tą fundacją?!

Słyszałam już wcześniej o SPF. Wśród osób zajmujących się sztuką każdy chyba o niej słyszał – funduje stypendia wybitnym studentom kierunków związanych ze sztuką i wspiera

młodych malarzy w całej Europie.

Matteo się śmieje.

– Uznałem, że to dobry sposób na inwestowanie pieniędzy. Los młodych twórców leży na sercu nie tylko Lorenzowi Santarellemu – odpowiada, przypominając mi o znajomości z właścicielem galerii, którego poznałam na przyjęciu u Giacomu.

– Dlaczego wtedy nawet o tym nie wspomniałeś? – pytam trochę obruszona, bo pamiętam jeszcze, jakie wrażenie zrobiła na mnie decyzja Santarellego, by wystawiać u siebie prace jedynie młodych twórców. I trochę się wstydzę, bo wsparcie oferowane przez Mattea w ramach jego fundacji jest o kilka poziomów większe niż Santarellego i z całą pewnością przynosi znacznie lepsze rezultaty.

– Bo robię to z przekonania, a nie po to, żeby się tym chwalić. W przechwałkach inni są znacznie lepsi – odpowiada, otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka.

Na podłodze dostrzegam cudowny wzór z delikatnej czarno-białej mozaiki terakotowej, a schody prowadzące na piętro przyciągają wzrok blaskiem naturalnego kamienia. Nad naszymi głowami wisi żyrandol z czarnej stali, nadając całości bardzo szlachetnej elegancji, która niesamowicie mi się podoba. Po prawej i lewej stronie znajdują się białe drewniane drzwi prowadzące do obu skrzydeł budynku. Są jednak zamknięte.

Matteo się nie zastanawia, tylko rusza w kierunku schodów i na górę, do prywatnej części domu, a ja idę za nim. Tutaj ściany oczywiście również zdobią obrazy, jednak wbrew przyzwyczajeniu nie przyglądam się im uważnie, skupiona na tym, jak mieszka mój gospodarz.

Na pierwszym piętrze znajdują się pomieszczenia mieszkalne; przechodząc, dostrzegam nowoczesnie urządzone i jasno oświetlony salon. Naszym celem jest jednak poddasze. Na końcu schodów znajdują się drzwi, które Matteo otwiera i wpuszcza mnie do przestronnego pomieszczenia rozciągającego się nad całym skrzydłem domu i pozbawionego ścian. To atelier ze świetlikami i dużymi oknami, które zapewniają idealne światło do malowania. Jestem pod wielkim wrażeniem.

Pod ścianą szczytową stoi stara, bardzo szeroka brązowa kanapa obita skórą. Wygląda na nieco wysiedzianą, ale bardzo przytulną i wygodną. Poza nią nie ma tu żadnych mebli, a w każdym razie takich zwykłych, które są w każdym mieszkaniu. Jest za to stół o wysokich chromowanych nogach i białym plastikowym blacie o niespotykanej szerokości, znacznie szerszy niż normalne stoły, przy których spożywa się posiłki. Jest również nieco wyższy. Dookoła niego znajdują się sztalugi i stolki. W tylnej części atelier, pod oknem, dostrzegam kilka regałów, na których, o ile jestem w stanie rozpoznać, stoją farby i inne przybory malarskie. Zupełnie z tyłu znajdują się drzwi, które, jak przypuszczam, prowadzą do drugiej części domu.

– Tutaj odbywają się zajęcia – wyjaśnia Matteo, choć niepotrzebnie, bo przecież już się tego domyśliłam. Nie widzę jednak nigdzie żadnego parawanu czy innej zasłony, co sprawia, że nie czuję się pewnie.

– A... a gdzie będę mogła się przebrać? – Chyba nie oczekuje, że będę się rozbierała na oczach wszystkich?

Matteo się uśmiecha, widząc moją zmieszaną minę, a na jego policzku znów pojawia się ten dołeczek, który tak ubóstwiam i którego najchętniej bym dotknęła, co szybko wybijam sobie z głowy.

– Na dole. Chciałem ci tylko pokazać, gdzie będziesz pozowała – wyjaśnia i rusza z powrotem w stronę drzwi. Sprowadza mnie schodami na pierwsze piętro do jasnego salonu, do którego wcześniej ledwie zajrzałam.

Teraz mam czas przyjrzeć mu się dokładniej. To raczej elegancki pokój dzienny, na którego urządzenie ktoś nie żałował pieniędzy. Podłoga wyłożona jest błyszczącym parkietem,

a dookoła stoją starannie dobrane meble, antyczne i nowoczesne. Pod stolikiem przy kanapie leży miękki biały dywan, a na kanapie widzę narzutę i kilka poduszek z oferty koncernu Bertanich. Ten człowiek ma wycucie stylu, myślę z uznaniem i podziwiam płaski telewizor zawieszony na ścianie, wśród – co nie jest niespodzianką – kolejnych obrazów. Tutaj jest ich tylko kilka, za to wybrane zostały z wielką uwagą i tworzą, podobnie jak meble, interesującą mieszankę nowoczesności i klasyki. Teoretycznie nie powinny do siebie pasować, lecz mimo to wyglądają zaskakująco naturalnie w swoim towarzystwie. Pierwszy, na ścianie naprzeciwko telewizora, od razu przyciąga moją uwagę. To duże malowidło pędzla Enza di Montagny przedstawiające Madonnę z dzieciątkiem. Nie muszę zgadywać, bo widzę sygnaturę z boku płótna.

– Kiedy został namalowany? – pytam. Nie mogę oderwać od niego wzroku.

– W 1510, tutaj w Rzymie. Ten rok to środek najbardziej kreatywnego okresu w twórczości Enza – wyjaśnia Matteo. Nie ukrywa zachwyty dziełem. – I akurat ten obraz sprawił, że zainteresowałem się jego twórczością. To ziarno, z którego wyrosło zainteresowanie mistrzem.

Odwracam się i posyłam mu uśmiech.

– Doskonale cię rozumiem. Jest wspaniały. – Zafascynowana wskazuję na płótno. – Dobór kolorów i podział planu są sprzeczne z ówczesną konwencją, a to, jak matka i dziecko na siebie patrzą... Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że to jeden z największych twórców tamtych czasów.

Matteo milczy. Dlatego odwracam się i unoszę brwi, bo widzę, że patrzy na mnie i kręci głową.

– Co?

Na jego ustach pojawia się uśmiech.

– Jesteś pierwszą osobą, która to dostrzegła. Wszystkim innym musiałem zawsze wyjaśniać, co tak bardzo mi się w tym obrazie podoba.

– Dziwisz się? Jesteś przecież ekspertem, więc nie bądź zaskoczony – odpowiadam i uznaję, że jego słowa powinnam potraktować jako komplement. Nie chcę też roztrząsać, czy mówiąc „wszystkim innym”, miał na myśli kobiety, które przyprowadzał tutaj przede mną. Uśmiech zamiera mi na ustach, kiedy widzę jego płonący wzrok. Podchodzi i zatrzymuje się tuż przy mnie.

– Nie wiem, czego właściwie oczekiwałem – mówi cicho, a ja od razu się orientuję, że to nie dotyczy obrazu. – Ale na pewno nie tego.

Wstrzymuję oddech, bo napięcie między nami jest tak ogromne, że prawie mogę je dotknąć. Całe ciało mnie łaskocze, kiedy obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. Potem przesuwa ustami po mojej głowie i muska policzek.

– Z tym się naprawdę nie liczyłem – szepce tuż przy moich ustach, a ja zamykam oczy i drzę pełna oczekiwania.

Umrę, jeśli mnie zaraz nie pocałuje. Ale jeśli mnie pocałuje, też umrę, spalę się jak ćma lgnąca do płomienia świecy, bo uczucie, które pcha mnie w jego ramiona, jest zbyt potężne... ale nie mogę się zatrzymać... muszę...

Ktoś odchrząkuje znacząco. Przestraszona natychmiast otwieram oczy i się rozglądam. W drzwiach do pomieszczenia stoi jakaś kobieta.

Jest ubrana na ciemno i ma brązowe włosy związane w kok, co nadaje jej bardzo matczyzny, zdecydowany wygląd i jednocześnie utrudnia określenie, w jakim jest wieku. Wydaje mi się, że ma około pięćdziesięciu lat, może trochę mniej.

Nie mam pojęcia, skąd tu się nagle wzięła, lecz to, że przyłapała mnie w ramionach Mattea, wprawia mnie w ogromne zakłopotanie. Chcę się od niego odsunąć, lecz on przez chwilę

jeszcze nie chce mnie puścić. W ogóle nie jest zaskoczony jej obecnością, ani tym bardziej nie niepokoí go jej przyjście.

– O co chodzi, Eliso? – pyta po włosku. Dopiero teraz rozumiem, że właśnie poznałam jego gospodynię.

– Dzwonili z agencji – informuje go kobieta. – Prosilí przekazać, że modelka, która dzisiaj...

– Wiem – przerywa jej Matteo dość szybko i wskazuje na mnie. – Problem został już rozwiązany.

Przedstawia mnie Elisie, która bez uśmiechu wita mnie skinieniem głowy. Matteo prosi ją potem, by przygotowała nam jeszcze coś szybkiego do jedzenia (nie precyzuje co, lecz ona chyba dobrze wie, jakie danie podać) i żeby otworzyła studentom, kiedy się pojawią.

– I to by było wszystko na dziś. Kiedy przyjdą, jest pani wolna.

Gospoia potakuje i znika bezszelestnie i równie dyskretnie, jak się pojawiła. Dopiero teraz, kiedy jej już nie ma, uświadamiam sobie, że w ogóle nie była mną zainteresowana. W każdym razie nie przyglądała mi się ciekawsko – może taka po prostu jest, myślę, w końcu wyglądała bardzo profesjonalnie, a jako gospoia jest zobowiązana do dyskrecji. Z drugiej strony mogła się też przyzwyczaić do widoku kolejnych kobiet w ramionach swojego chlebobawcy – do tego stopnia, że nic nie mogło jej zaskoczyć. To wytłumaczenie nie przypada mi do gustu, dlatego zmuszam się, by już o nim nie myśleć, i skupiam się na tym, o czym przypomniało mi jej pojawienie się: lada chwila zaczynają się zajęcia ze studentami!

– Może... może lepiej się przygotuję? – Pocieram dłonią ramię i spoglądam na niego niepewnie, wciąż roztrzęsiona sytuacją sprzed chwili. Gdyby Elisa pojawiła się kilka minut później...

Matteo myśli chyba o tym samym, bo uśmiecha się ze skruchą, choć oczy wciąż mu błyszczą.

– Może lepiej tak... – mówi i się odwraca, po czym gwałtownie rusza w stronę korytarza.

– Chodź, pokażę ci, gdzie możesz się przebrać.

Idę za nim i mijam kilka par drzwi. W końcu Matteo otwiera jeden z pokoi i wpuszcza mnie do środka. To sypialnia.

Nie jego, to pewne, bo nie ma w sobie nic męskiego, ani w sposobie, w jaki została urządzona, ani w wyposażeniu – żadna z rzeczy, które się w niej znajdują, nie należy do męzczyzny. Wszystko jest raczej neutralne, białe, z delikatnie zielonymi akcentami. Brakuje jakichkolwiek osobistych przedmiotów, nigdzie nie leżą książki czy ubrania. Domyślam się, że to pokój gościnny.

Gdy się rozglądam, Matteo podchodzi do szafy i wyjmuje z niej coś, co wygląda jak długa koszula nocna, chyba z jedwabiu. Dopiero po chwili widzę, że to kimono. Dla mnie, bo mi je podaje.

– Możesz skorzystać z łazienki, jeśli chcesz się odświeżyć – informuje mnie. – Znajdziesz tam wszystko, czego możesz potrzebować.

– Ile... – Mam tak sucho w ustach, że muszę przełknąć, zanim cokolwiek powiem. – Ile mam jeszcze czasu?

Matteo spogląda na zegarek.

– Jeszcze dwadzieścia minut. – Przygląda mi się przeciągle. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Znów w jego spojrzeniu dostrzegam ten sceptycyzm. Wciąż nie przekonał się do myśli, że zaraz będę siedziała naga przed jego studentami i studentkami, pozując do aktu.

– Nie musisz tego robić – dodaje, a ja czuję, jak staję się coraz bardziej zła, bo wiem, że

jego wahanie może mieć tylko jedną przyczynę: nie ufa, że sobie poradzę. Dokładnie tak samo, jak Andrew nie wierzył, że potrafię zrobić coś spontanicznego. Nie wiem dlaczego, ale nagle strasznie mnie to drażni, bo uświadamia mi, jaka jestem nudna. Zupełnie jakbym nie potrafiła się odważyć postąpić wbrew zasadom.

– Ale chcę – odpowiadam ostrzej, niż zamierzałam, i patrzę mu prosto w oczy, starając się cokolwiek z nich wyczytać. Lecz widzę w nich tylko ten blask, który od początku w magiczny sposób mnie przyciąga. I nie przestaje. – Chcę – powtarzam ciszej i znacznie delikatniej. Czuję, jak szybko bije mi serce.

Matteo potakuje i uśmiecha się inaczej niż dotychczas. Krócej. Powściągliwiej.

– W takim razie przygotuj się – mówi i odchodzi, nie oglądając się.

Z kimonem w dłoni osuwam się na łóżko i wpatruję się w błyszczący ciemnoniebieski materiał, jakbym mogła z niego wyczytać, czy to, co robię, jest właściwe. Może Matteo ma rację i postępuję wbrew sobie – w każdym wymiarze?

Biorę się w garść i odsuwam od siebie wątpliwości, które czuję od chwili, gdy gniew przeminął, i wstaję energicznie. Zdecydowałam się na ten krok i choćby nie wiem co, nie mogę się teraz wycofać.

Czuję ucisk w podbrzuszu, kiedy zsuwam ze stóp balerinki i ściągam przez głowę sukienkę. Zaraz potem zdejmuję pospiesznie jasnoniebieski biustonosz z koronką i pasujące do niego figi – od zawsze mam słabość do eleganckiej bielizny, mimo że bardzo rozsądnie podchodzę do robienia zakupów. Szybkim krokiem mijam wielkie lustro wiszące na ścianie obok szafy i wchodzę do łazienki, urządzonej równie gustownie jak pozostała część domu. Pysznic biorę krótki, bo z nerwów drżą mi ręce, i korzystam z kosmetyków luksusowych marek, które czekają na blacie. Matteo miał rację, mówiąc, że znajdę tu wszystko, czego będę potrzebować. Mimo to wolę się nie zastanawiać, dlaczego to tu stoi i kto poza mną z nich korzysta. Dopiero teraz czuję się odświeżona i czysta i jestem gotowa stawić czoło swemu odbiciu w lustrze – po to wracam do pokoju.

Drżą mi ręce, kiedy poprawiam włosy, a pierś faluje z ekscytacji.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio stałam naga przed lustrem, ale to musiało być bardzo dawno temu – jeśli w ogóle! Bo jednego jestem pewna – ostatnio na pewno niczego takiego nie zrobiłam. Poza tym, myślę, do niedawna mój wygląd nie miał aż tak wielkiego znaczenia.

Teraz za to ma, dlatego staram się ocenić swoje odbicie w sposób możliwie obiektywny.

Jestem szczupła, ale nie przesadnie, nie do tego stopnia, żeby stracić krągłą linię, którą wyznaczają moje biodra. Skóra ma jasny, niemal biały kolor i w bardzo interesujący sposób kontrastuje z moimi długimi czarnymi włosami, których nie związuję. Pięknie to wygląda.

Biust mam też w zasadzie niczego sobie. Nieszczęśliwie duży i niezbyt mały – raczej normalny. Obejmuję piersi dłońmi i ważę je. Robię to odruchowo, lecz czuję, jak twarde są moje sutki – może dlatego, że jestem tak podekscytowana.

Ten dotyk mnie podnieca i nagle wyobrażam sobie, że Matteo stoi za mną i to jego dłonie leżą na moich piersiach. Przed oczyma widzę obrazy, od których robi mi się gorąco, i czuję jego usta na szyi, jego ciepło na swoich plecach...

Marzenia na jawie przerywa pukanie do drzwi. Oddycham głęboko, żeby się uspokoić, i sięgam po kimono. Jest obszerne i ma sporo luźnego materiału. Okrywam nim swoją nagość, której niespodziewanie jestem bardzo świadoma, i z uczuciem ulgi zawiązuję pasek.

– Sophie? – W głosie Mattea słyszę troskę. Mimo to muszę jeszcze dwa razy nabrać powietrza, żeby odpowiedzieć mu normalnym głosem.

– Wejść – mówię, a on chwilę później stoi już w progu. Przyniósł talerz z jedzeniem.

On również się przebrał i po raz pierwszy widzę go w mniej zobowiązującym ubraniu.

Ma na sobie dzinsy, też na pewno szyte na miarę, bo niemożliwe, żeby jakieś zwykłe ze sklepu tak diabelnie dobrze leżały na jego wąskich biodrach, i ciemnoniebieską koszulkę henley z krótkim rękawkiem, która cudownie podkreśla jego umięśnioną klatkę piersiową. Do tego jasne włosy opadające na czoło – nic dziwnego, że nie można nasycić oczu takim widokiem. Znów wszystko pcha mnie w jego ramiona. Wzdycham więc w duchu i uśmiecham się słabo.

– Ktoś już przyszedł? – Kilkakrotnie słyszałam już dzwonek o przyjemnym dźwięku, więc domyślałam się, że studenci i studentki czekają.

– Kilka osób – potwierdza Matteo. – Ale masz jeszcze dość czasu, żeby coś zjeść.

Podaje mi talerz, na którym czeka na mnie smakowicie wyglądająca panino z pomidorami i rukolą, a ja odbieram ją z wdzięcznością, bo jestem już naprawdę głodna.

Matteo stoi jeszcze kilka chwil w wejściu i niezdecydowany przesuwając wzrokiem po moim ciele, jakby wciąż nie wiedział, co ma sądzić o mnie jako o modelce dla swoich studentów. W końcu odwraca się i wychodzi, a ja jem pospiesznie, częściowo również po to, żeby uciszyć coraz bardziej napięte nerwy.

Nie mija wiele czasu, kilka minut najwyżej, kiedy po mnie wraca. W milczeniu prowadzi mnie przez salon i schodami na poddasze.

Zatrzymujemy się przed drzwiami do atelier. Ze środka dochodzą głosy. Ludzie, którzy tam czekają, rozmawiają i śmieją się głośno, a ja czuję potężny ucisk w żołądku. Dopiero teraz zaczynają się schody, myślę sobie i wsłuchuję się w siebie, czy naprawdę jestem gotowa wystąpić tu dziś w roli modelki. W końcu sobie uświadamiam, że jedyną rzeczą, przez którą jestem spięta, jest obecność mężczyzny obok, który przygląda mi się teraz z wieloznacznym uśmiechem.

– Gotowa? – Matteo trzyma już dłoń na klamce. Potakuję, choć nie mam pojęcia, co mnie czeka. Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Teraz i tak nie mogę już się wycofać, bo nacisnął klamkę i drzwi stoją przed nami otworem.

Tym razem nie puszcza mnie przodem, jak zawsze dotychczas, za co jestem mu szalenie wdzięczna, bo dzięki temu mogę wejść za nim. W atelier zapada cisza. Rozmowy milkną i wszystkie spojrzenia kierują się na nas. Mam gulę w gardle.

Matteo staje z przodu pomieszczenia i gestem wskazuje mi kanapę, zachęcając, bym usiadła i poczekała, po czym zwraca się do studentek i studentów.

Doliczam się pięciu chłopaków i sześciu dziewcząt, wszyscy siedzą na stołkach przy sztalugach. Zaraz, to jedenaście osób, a nie dziesięć, myślę zaskoczona i siadam na kanapie. Serce wali mi jak szalone. Przyglądam się uważnie wszystkim szczegółom – brodzie jednego ze studentów, który wygląda na starszego niż pozostali, czy temu, że jedna ze studentek ma na sobie ekstremalnie krótkie spodenki. Jednak w gruncie rzeczy to dla mnie tylko anonimowe twarze, obcy ludzie, których nigdy w życiu nie widziałam. Myśl, że zaraz stanę przed nimi całkowicie naga, wzbudza we mnie mieszaninę strachu i podniecenia.

Na razie wszystkie spojrzenia skupiają się na prowadzącym. Matteo wita ich na drugich zajęciach i mnie przedstawia. Kiedy mówi, że dzięki Bogu zgodziłam się wskoczyć na miejsce modelki, która w ostatniej chwili odmówiła, rozlegają się krótkie oklaski i wszyscy się do mnie uśmiechają – no dobrze, prawie wszyscy, bo jedna z dziewczyn, szatynka, chyba najmłodsza, taksuje mnie krytycznym wzrokiem. Sposób, w jaki na mnie patrzy, jest niemalże nieprzyjemny i czuję ulgę, gdy na powrót kieruje uwagę na Mattea. Wykładowca wyjaśnia akurat, czego dziś od nich oczekuje. Mają przygotować rysunek, lecz nie skupiać się na proporcjach, tylko na przekazie, na uczuciach, które chcą wyrazić przez swoją twórczość.

– Przypomnijcie sobie, proszę, o czym rozmawialiśmy na ostatnich zajęciach – mówi. – Właśnie po to tu państwo przychodzicie: uczyć się o emocjach, które budzi w nas sztuka, czyli o tym, co jest sensem jej istnienia. Chcę, żebyście sami przeżyli tę magię. Nie ma nic bardziej

pełnego tragizmu i smutku niż perfekcyjny obraz, doskonały w szczegółach, który pozostawia w nas obojętność. Pokażcie więc, co wy widzicie, i przekażcie to!

Unosi ramię i wyciąga je w moją stronę. To wezwanie, żebym podeszła. Z walącym dziko sercem podnoszę się z kanapy i ruszam. To również czas dla studentek i studentów, żeby się przygotowali do zadania, bo słyszę ich rozmowy, szelest papieru, kiedy umieszczają kartki na sztalugach, i stukot kredek i ołówków. W pomieszczeniu czuć napięcie, które przenosi się również na mnie i sprawia, że drży mi dłoń, kiedy kładę ją na dłoni Mattea.

Wtedy właśnie spotykają się nasze spojrzenia, a ja na moment zapominam, że ktoś jest tu poza nami. Kiedy prowadzi mnie w stronę stołu z białym blatem, czuję gorąco jego dotyku, które promieniuje na moje podbrzusze, a stamtąd w mgnieniu oka dociera do każdego zakątka mojego ciała.

Stół znajduje się w innym miejscu niż ostatnio. Matteo przesunął go w stronę kanapy, ale ledwie o tyle, że ze wszystkich stron dalej otaczają go sztalugi. Poza tym teraz leży na nim jakby materac, przywiązany do chromowanych nóg. Zaczynam rozumieć, że to będzie moje miejsce. To na nim mam siedzieć i pozować, żeby lepiej było mnie widać.

Przypominam sobie, że na studiach zajrzałam kiedyś na zajęcia z malarstwa. Wtedy modelka również siedziała między studentami i studentkami, tak że niektórzy patrzyli na nią od frontu, inni z boku, a jeszcze inni od tyłu. Akurat tego ostatniego wariantu Matteo chyba nie przewiduje, bo za mną nie ma żadnych sztalug, natomiast dwójka z przodu, tuż obok stołu, będzie widziała mnie z boku.

Studentki i studenci są mi jednak obojętni – ja zwracam uwagę jedynie na Mattea i patrzę na jego dłonie, które rozwiązują pas mojego kimona.

A potem, zanim zdążę z jakąkolwiek reakcją, rozsuwa poły mojego ubrania. Nabieram gwałtownie powietrza, kiedy czuję opuszki jego palców wędrujące po mojej skórze, jak zsuwają powoli materiał z moich ramion. W końcu przekracza punkt, w którym jedwab sam ze mnie spada i układa się w błyszczący granatowy półksiężyc u moich stóp.

Rozdział 13

Jestem naga, a chłodne powietrze muska moją skórę. Drzę i zamieram w bezruchu, podczas gdy Matteo omiata mnie wzrokiem. Jego twarz jest nieporuszona, lecz kiedy unosi głowę i spoglądam mu w oczy, jestem pewna, że widzę w nich pożądanie.

Oddycham z ulgą, bo najwyraźniej podoba mu się to, co zobaczył. Udaje mi się nawet uśmiechnąć, lecz on nie reaguje. Zamiast tego kładzie dłonie, ciepłe i mocne, na moich biodrach.

– Usiądź, proszę, na stole.

Robię, co mi polecił. Korzystam z jego pomocy, by dostać się na blat. Pewnymi, wyćwiczonymi ruchami ustawia mnie w pozie, którą sobie wymyślił, a ja się staram, by nie zauważył, jak bardzo podoba mi się jego dotyk. Poza tym czy naprawdę tylko przypadkiem musnął moją pierś, kiedy ustawiał mi ramię? I dlaczego tak długo trzyma dłonie na moich kostkach, ustawiając mi nogi? Myśl, że może robić to celowo, wywołuje we mnie falę podniecenia i czuję, jak pąsowieją mi policzki.

Kiedy kończy, siedzę prosto, z założonymi nogami. Lewą ręką opieram się o blat, a prawą trzymam swobodnie na udach.

– Tak będzie dobrze? – pyta, a ja potakuję. To bardzo zmysłowa poza, uważam, a poza tym jest całkiem wygodna. Nie mam wprawdzie pojęcia, jak długo przyjdzie mi tak siedzieć, ale myślę, że wytrzymam.

Jeden ze studentów odchrząkuje. Wyglądam znad ramienia Mattea i widzę, że wszyscy siedzą i czekają, kiedy w końcu będą mogli zacząć. Ich spojrzenia, na które jeszcze nie jestem wystawiona, bo Matteo stoi przede mną i mnie zasłania, są skupione i zmotywowane. Niecierpliwie wyczekują sygnału *professore*.

Lecz jemu się nie spieszy. Przygląda się mi uważnie i po raz ostatni poprawia sposób, w jaki trzymam głowę. W tym celu obejmuje ją dłońmi i przesuwając kciukami po policzkach. To tak przyjemne uczucie, że automatycznie rozchyłam usta.

Jego oczy są ciemne, kiedy na mnie patrzy, a ja widzę w nich wahanie. W końcu wypuszcza powoli powietrze i mruży coś, co wydaje mi się stłumionym przekleństwem po włosku, i cofa dłonie, jakby chciał zrobić to jak najszybciej. Potem się odsuwa.

– Proszę, możecie zaczynać – mówi do swoich studentów i studentek, jednak cały czas patrzy na mnie. – Jestem bardzo ciekaw waszych prac.

W atelier panuje cisza. Słyszeć jedynie odgłosy ludzi, którzy spędzają czas w swoim towarzystwie, ale nie rozmawiają: jakieś chrząknięcia, skrzywienie stołków, kiedy ktoś, kto na nich siedzi, zmienia pozycję, szelesty i oczywiście skrzywienie grafitu i węgla na kartkach.

Milczenie i ciepło panujące w pomieszczeniu mają w sobie coś uspokajającego, lecz mimo to nie potrafię się do końca rozluźnić.

Przy czym problemem nie są studenci, których spojrzenia cały czas na sobie czuję. Wprawdzie wcześniej nie siadywałam nago przed obcymi ludźmi, lecz tutaj zadziwiająco szybko się do tego przyzwyczaiłam, być może dlatego, że ich zainteresowanie jest czysto twórcze. Nawet młoda czarnowłosa dziewczyna, która na początku dziwnie mi się przyglądała, jest teraz całkowicie skupiona na rysowaniu i prawie w ogóle nie podnosi wzroku, jakby w ogóle nie musiała mnie już oglądać. Pozostali patrzą tylko co pewien czas, kiedy podnoszą głowy, ale nie wgapiają się we mnie nachalnie, dlatego pozowanie dla nich nie jest krępujące. Wręcz przeciwnie

– podoba mi się sytuacja, w której nie mam nic do ukrycia, a jednak nikt nic o mnie nie wie.

Jako Sophie Conroy nigdy bym się tak nie otworzyła, ale tutaj jestem kimś innym, tutaj jestem Sophie, młoda kobietą, która zastępuje inną, jestem eksponatem, jestem jedną z wielu. W tym wszystkim nie chodzi konkretnie o mnie i nie będę w ten sposób oceniana. W pewien sposób to... wyzwalające.

Szkoda tylko, że nie dla wszystkich jestem anonimowa. Matteo mnie zna i dlatego jego spojrzenia są zupełnie inne. Dosiegają mojego wnętrza, przebijają się przez tarczę anonimowości i zostawiają mnie bezbroną, co skutecznie uniemożliwia mi odprężenie się.

A on albo stoi z tyłu przy oknie, albo chodzi między sztalugami i przygląda się rysunkom. Nie potrafię ukryć, jaki jest dla mnie seksowny. Podążam za nim spojrzeniem, przesuwam wzrokiem po jego silnych nogach i wąskich biodrach w dopasowanych dżinsach, po jego umięśnionych, opalonych przedramionach, które ma splecione na piersi, i zatrzymuję się na jego twarzy, złotych oczach i jasnych, opadających na czoło włosach... Ten mężczyzna jest zbyt przystojny, by być prawdziwy. To była moja pierwsza myśl na przyjęciu u Giacomina, kiedy spadłam ze schodów wprost w jego ramiona, i od tamtego czasu nic się nie zmieniło. Może tylko poza tym, że wiem już, jak cudownie całuje i że samym dotykiem zmienia mnie w drżący kłębek pożądania...

Chcę, żeby to robił, ale jednocześnie się tego boję. Znowu odzywa się mój rozsądek i mówi mi wyraźnie, że to igranie z ogniem – bo Matteo jest płomieniem – a ja mogę sobie poparzyć palce, jeśli nie będę trzymała ich z daleka. Czy będę w stanie wrócić do swojego dawnego życia, jeśli jeszcze choć trochę bardziej poddam się temu człowiekowi?

Zupełnie jakby słyszał moje myśli, podnosi głowę i patrzy teraz w moją stronę. Nasze spojrzenia się krzyżują, a mnie zapiera dech w piersi. Całe ciało mnie piecze, kiedy to robi, lecz nie trwa to na szczęście długo, bo szybko odwraca się i skupia na swoich studentach i ich pracach. I bardzo dobrze, bo nie wiem, jak długo bym wytrzymała to spojrzenie.

Matteo idzie dalej, aż całkowicie znika mi z pola widzenia – nie mogę przecież poruszać głową – ale słyszę, jak rozmawia półgłosem ze studentem po prawej stronie. Potem znowu zapada cisza i słychać jedynie odgłosy rysowania. Wszyscy pracują w skupieniu, a ja się zastanawiam, jak długo jeszcze będę musiała tak siedzieć, zanim skończą się zajęcia.

Wzdycham, podnoszę lewą rękę ze stołu i przenoszę ją na uda, a potem poprawiam położenie nóg. Nie powinnam tego robić, to dla mnie oczywiste, ale czuję się tak ścierpięta, że dłużej bym po prostu nie wytrzymała. Już wcześniej trochę zmieniałam ułożenie, napinałam mięśnie, pochyliłam się odrobinę albo przesuwalam nogi. Musiałam to robić, żeby całkowicie nie stracić czucia w kończynach. Nikt tego w żaden sposób nie komentował, dlatego uznałam, że tak jest okej. Na szczęście również te bardziej zauważalne ruchy zdają się im nie przeszkadzać. Niektórzy zresztą już skończyli pracę i nie patrzą wcale na mnie, tylko przyglądają się swoim rysunkom. Ale ci, którzy jeszcze rysują, również nic nie mówią.

– Wytrzymasz jeszcze?

Cichy głos Mattea rozlega się niespodziewanie tuż obok mojego ucha. Ze strachu odwracam się w jego stronę. Stoi przy stole tak blisko, że nasze twarze dzieli ledwie kilka centymetrów. Ma zmarszczone czoło.

Czuję niespodziewaną suchość w ustach, więc muszę je zwilżyć językiem.

– A... a jak długo jeszcze?

– Dziesięć minut, może kwadrans. Myślisz, że wytrzymasz?

Ponownie potakuję, lecz nie potrafię powstrzymać drżenia. Zmarszczki na jego czole stają się głębsze. Kładzie dłoń na moich plecach i mnie głaszcze.

– Zimno ci?

W milczeniu potakuję i uśmiecham się słabo, bo jesteśmy w połowie zajęć, więc nie mogę mu powiedzieć, że kiedy mnie dotyka, robi mi się gorąco. Uśmiech zamiera mi jednak na ustach, kiedy widzę jego wzrok coraz niżej na sobie, aż zatrzymuje się na moich piersiach...

Nie mam pojęcia dlaczego – może dlatego, że się już przyzwyczaiłam, ale właściwie dopiero teraz dociera do mnie z całą mocą, że jestem naga i że przez to może zobaczyć, z jaką mocą na mnie oddziałuje: moje sutki są twarde i sterczą, niemal bołą z pożądania, kiedy muska je spojrzenie jego bursztynowych oczu.

Bardzo nieprofesjonalna reakcja jak na modelkę od aktów, myślę i wzdycham w duchu. Czekam, aż uniesie głowę. Robi to chwilę później i mam wrażenie, że zapadam się w jego oczach i spalam w płonącym w nich ogniu. Mam kompletną pustkę w głowie, nie mogę sformułować nawet jednej logicznej myśli, lecz zanim do mnie dociera, co się między nami dzieje, jest już po wszystkim, bo Matteo się odwraca i podchodzi do kanapy. Podnosi z podłogi kimono i mi je przynosi.

– Narzuć je – mówi.

Przez chwilę wpatruję się w niego sparaliżowana i zaskoczona – czy przed chwilą nie wspomniał o kolejnych piętnastu minutach? Potem jednak korzystam z oferty i zmieniam pozycję.

Tym razem nie spotykam się ze zrozumieniem, bo kiedy wstaję ze stołu, rozlegają się pierwsze protesty.

– Ale ja jeszcze nie skończyłam! – mówi jedna z dziewczyn, blondynka. W jej głosie prawie słychać panikę. Pozostali również coś mruczą i mimo że nie rozumiem co, słyszę, że są nieprzyjemnie zaskoczeni. Matteo jednak to ignoruje, pomaga mi włożyć kimono i przytrzymuje mnie, kiedy nogi się pode mną uginają. Nie od razu odzyskuję w nich czucie, musi minąć chwila, żebyśmy mogła normalnie stać. Wraz z czuciem pojawia się nieprzyjemne kłucie, kiedy krew zaczyna w nich krążyć. Krzywię się, lecz jestem zadowolona, że cały czas mnie przytrzymuje.

– Czy ona nie mogłaby jeszcze na chwilę... – zaczyna blondynka z niedokończonym rysunkiem, ale Matteo nie daje jej skończyć.

– Nie, nie mogłaby. Sophie jest tu tylko w zastępstwie, nie jest przyzwyczajona do pozowania. Na dzisiaj wystarczy. – I gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, dodaje głośno: – Dzisiejsze zajęcia dobiegły końca. Proszę, możecie spakować swoje rzeczy. Widzimy się w przyszłym tygodniu.

Znów rozlega się pomruk dezaprobaty, a Matteo odprowadza mnie w stronę kanapy i pomaga mi usiąść. Potem odwraca się do atelier i unosi dłonie.

– Wasze prace omówimy następnym razem. Dopiero rozpoczęliśmy spotkania i muszę was trochę lepiej poznać. Dlatego chciałbym w spokoju przyjrzeć się waszym pracom, żeby w przyszłym tygodniu omówić z wami to, co stworzyliście.

– Ale... – zaczyna blondynka. Nie może się uspokoić, lecz jej twarz nie wyraża złości, a szczerze przekonanie. Najwyraźniej jest pewna, że jej rysunek na obecnym etapie może nie wystarczyć. – Może moglibyśmy jednak...

– Akurat pani rysunek jest nadzwyczaj udany, Raffaello – uspokaja ją Matteo. – Zdążyłem się mu trochę przyjrzeć. – Uroczy i zaskakujący komplement plus cudowny uśmiech sprawiają, że policzki dziewczyny płoną. Już nie protestuje. – Pozostali również nie mają się czym przejmować – dodaje. – Wiem przecież, dlaczego wybrałem akurat was: każdy ma ogromny talent.

Teraz wszyscy się uśmiechają i zabierają się za pakowanie. Nie słychać już protestów. Jedynie najmłodsza czarnowłosa dziewczyna, która na początku tak dziwnie na mnie patrzyła, nie daje za wygraną.

– A co ze mną? – pyta, a ja mam wrażenie, że w jej głosie jest wyzwanie. Chyba się nie myślę, bo do jej tonu pasuje spojrzenie – jest śmiałe i bezczelne, zupełnie inne niż pełne szacunku spojrzenia pozostałych.

Matteo uśmiecha się w odpowiedzi.

– Twoja praca jest specyficzna. Jeszcze będziemy o niej rozmawiać, Adriano – mówi, a ja mam wrażenie, że za tymi słowami kryje się ostrzeżenie. Po sposobie, w jaki się do siebie zwracają, wiem, że łączą ich bliższe stosunki niż z pozostałymi.

Przypominam sobie, że Matteo rzeczywiście zastanawiająco długo stał przed jej sztalugami i wyglądał na zagubionego, jakby zaskoczyło go to, co zobaczył. Nawet teraz potrząsa głową z mieszaniną rozbawienia i irytacji. Adriana nie kryje radości i uśmiecha się szeroko, wyraźnie zadowolona z siebie. W końcu i ona zaczyna pakować swoje rzeczy. Wygląda na to, że zupełnie się nie boi zadzierać z *professore*.

– Mogłabym zabrać swój rysunek i jeszcze nad nim popracować? – pyta blond Raffaella. Musiała się otrząsnąć z szoku wywołanego niespodziewanym komplementem i spogląda teraz błagalnie na Mattea – najwyraźniej jest prawdziwą perfekcjonistką i nie może znieść myśli, że zostawia do oceny coś niedokończonego.

On jednak potrząsa głową.

– Tu naprawdę nie chodzi o to, żebyście poprawiali cokolwiek w domach. Pamiętajcie, proszę, że spotykamy się, żeby się czegoś nauczyć, a nie wytykać sobie jakieś niedoskonałości. – Odbiera jej kartkę z dłoni i odkłada na sztalugę. – Poza tym powiedziałem już pani, Raffaello, że ten rysunek należy do najlepszych. Może mi pani wierzyć.

Potakuje, nieprzekonana, i z płonącymi policzkami pakuje swoje rzeczy, a Matteo odwraca się w moją stronę.

– Zaraz wracam, poczekaj tutaj.

To polecenie, z którym mam nie dyskutować. Ale ja wcale nie zamierzam się sprzeciwiać. W napięciu przyglądam się, jak wszyscy po kolei opuszczają atelier. Ostatnia wychodzi czarnowłosa dziewczyna. Rozmawia półgłosem z Matteem, który śmieje się z jej uwag i głaszcze ją dłonią po plecach. Nie wiem, co o tym myśleć. Wreszcie zamykają się za nimi drzwi, a ja zostaję sama. Słucham ich głosów, jak cichną, w miarę jak studenci schodzą na parter. Po chwili podchodzę do okna i wyglądam.

Matteo nie zachowuje się tak wobec pozostałych studentek, myślę. Ich w ogóle nie dotyka, a już na pewno nie w tak otwarty i oczywisty sposób jak Adrianę. Zna ją lepiej niż pozostałe? Odruchowo przełykam głośno ślinę, bo myśl, że coś ich łączy – albo łączyło? – sprawia mi ból. Czy to możliwe? Wygląda, jakby był po prostu przyjacielski, ale wie, że musi zachować odpowiedni dystans do studentek i nie może ich dopuszczać zbyt blisko. Zdaje sobie przecież sprawę, co czują niektóre z nich, i dlatego wydawało mi się, że bardzo uważa, by nie dawać im żadnej złudnej nadziei. Czyżby dla niektórych robił wyjątki?

Stanowczo zbyt mało o nim wiem. Jedno jest za to pewne: że nie nadaje się do niczego poza przelotnym romansiem. Tak, wiem o tym. Od samego początku to wiedziałam. Tylko że teraz, kiedy stoję w jego atelier, odziana jedynie w jedwabny szlafrok, i gdy niewiele mnie dzieli od stania się jego kolejną miłośką, nie potrafię już tego tak po prostu zaakceptować. Czuję drżenie. Czy moje uczucia wytrzymają tę próbę? Czy może jestem o krok od wpakowania się w naprawdę poważne problemy?

Nie mam czasu, by się dalej nad tym zastanawiać, bo Matteo wraca na poddasze. Zamyka za sobą drzwi, opiera się o nie i patrzy na mnie. A potem odpycha się od nich plecami i rusza w moją stronę, a jego oczy błyszczą determinacją.

Rozdział 14

Pod jego spojrzeniem cała płonę i jednocześnie trzęsę się z zimna. Splatam ramiona na piersi, żeby się zasłonić i żeby przywołać się do rozsądku, bo znów ciągnie mnie do niego z siłą, której nie potrafię pokonać.

Ciało mnie zdradzi pod jego dotykem, co do tego nie mam wątpliwości, ale jestem zbyt rozbita, żeby do tego dopuścić, i nie wiem, co myśleć. Dlatego odsuwam się, uciekam przed nim i podchodzę do jednej ze sztalug. Przyglądam się rysunkowi.

– Naprawdę uważasz, że to jedna z najlepszych prac? – pytam niepewnie, jakby w tej chwili nic więcej mnie nie interesowało. Marszczę czoło. To rysunek blondynki, Raffaelli – wiem, bo pamiętam, gdzie siedziała. Jednak w rzeczywistości niewiele widzę, bo nie potrafię się skupić na niczym poza Matteem. Bardzo powoli idzie w moją stronę. Nie wie, co sądzić o moim zachowaniu, ale mimo to podchodzi i zatrzymuje się tuż za mną. Spogląda mi przez ramię.

– Moim zdaniem w porównaniu do pozostałych Raffaella najlepiej oddała linie i krzywizny między szyją a ramieniem – wyjaśnia zachrypniętym głosem, unosi dłoń i przesuwa delikatnie palcami po mojej skórze w kierunku szyi i z powrotem. To ledwie muśnięcia, lecz budzą burzę odczuć i wyłączają logiczne myślenie. – Znacznie lepiej od pozostałych udało jej się uchwycić proporcje. Pięknie podkreśliła na przykład krągłość twoich bioder.

Przesuwa palcami po mojej szyi, ramionach i z boku klatki piersiowej, aż do miejsca, o którym mówi. Jednak zanim udaje mu się przyciągnąć mnie albo odwrócić, wymykam mu się i podchodzę do kolejnej sztalugi.

– A... a to tutaj? – pytam, żeby zyskać na czasie, i z dziko walącym sercem wskazuję głową na rysunek. Jestem na nim przedstawiona z nieco innej perspektywy, *en face*, i w zupełnie innym stylu niż w pracy Raffaelli, techniką, która przypomina mi raczej zgrubny szkic.

Matteo rusza za mną. Czuję jego oddech na szyi i choć nie patrzę w jego stronę, słyszę uśmiech w głosie, kiedy mi odpowiada.

– Nico dał z siebie wszystko, ale jego wyjątkowość dotyczy czegoś innego. Za to fantastycznie podkreślił jedną rzecz – twoje idealne piersi. – Zapiera mi dech, ale nie protestuję, kiedy obejmuje mnie pod ramionami i przyciąga do siebie. Zgadzam się na to, choć mój zdrowy rozsądek każe mi się opamiętać.

– Matteo, ja...

– Okrągłe, jędrne, jak wyrzeźbione z alabastru, z sutkami stęsknionymi mojego dotyku...
– Przez śliski materiał kimona drażni moje sztywne z podniecenia sutki, a ja nie mogę powstrzymać jęku rozkoszy, bo jego dotyk wywołuje błyskawicę, która swój początek ma w podbrzuszu. Jego bezpośredniość pociąga mnie i jednocześnie przeraża. Tym razem się nie bronię, kiedy odwraca mnie przodem do siebie, wsuwa mi dłoń pod brodę i unosi głowę, bym musiała spojrzeć mu w oczy.

– Chcę to zrobić, Sophie – mówi cicho, a jego wargi muskają moje. – To i jeszcze wiele więcej...

Całuje mnie, zanurza język w moich ustach, a ja momentalnie staję w płomieniach. Przywieram do niego i z gorączkową ochotą odpowiadam na jego pocałunek, a potem jęczę, bo wsuwa rękę pod kimono i czuję, jak ciepłą dłonią obejmuje moją pierś.

O Boże, chcę go, tego właśnie chcę, myślę. Ale wciąż się tego boję, bo uczucie, które mną wstrząsa, jest nieporównywalnie silniejsze niż cokolwiek, co dotychczas czułam do

jakiegokolwiek mężczyzny. Czy mam się na to zgodzić? Czy to dobrze, skoro mam potem szybko o nim zapomnieć? Skoro to ma być tylko przelotna miłostka?

Pospiesznie, by zdążyć, zanim utracę resztki samokontroli, odsuwam go odrobinę, poprawiam kimono i przytrzymuję śliski, zimny materiał, który jest teraz moją ostatnią linią obrony przed tą wszechogarniającą żądzą, która mnie wypełnia. On nie jest dla ciebie, słyszę w głowie swój głos. Ostrzega mnie. Trzymaj się od niego z daleka.

Spoglądamy sobie w oczy i ciężko oddychamy.

– Tak... tak nie można – mówię głuchym głosem. – Nie chcę tego. Jeśli to zrobię, to... to...

To nie będzie dla mnie drogi z powrotem. Ta dziwna, obca część mnie, którą zbudził swoimi pocałunkami, nie będzie mogła zniknąć. I to rodzi moje obawy, tego się boję. To zbyt niebezpieczne. Tylko jak miałabym mu to wytłumaczyć?

Nieszczęśliwa wzruszam ramionami i chcę się odwrócić, ale zbyt mocno mnie trzyma.

– To co wtedy? – Obejmuje mnie i znów do siebie przyciąga. Głaszcze po plecach, wywołując fale drżenia. – Co przemawia przeciwko?

Spoglądam mu w oczy i rozpaczliwie szukam jakiegokolwiek powodu, dla którego powinniśmy przerwać.

– Przyszłam ci tylko pomóc – wyjaśniam w końcu słabo.

Uśmiecha się w ten sposób, który wyłącza w kobiecie instynkt samozachowawczy.

– Ale mi nie pomogłaś – mówi i całuje kącik moich ust. – Torturowałaś mnie, Sophie. Nie masz pojęcia, jak trudno prowadzić zajęcia, kiedy pośrodku pomieszczenia siedzi kobieta, której się pożąda; naga i piękna, i patrzy na ciebie swoimi wielkimi oczyma, a ty nie możesz nawet podejść i jej dotknąć. Nie możesz jej pocałować, choć od samego rana tylko o tym myślisz. Nie mogłem nawet patrzeć w twoją stronę, bo zaczynałem tracić zmysły – niewiele brakowało, a zrobiłbym coś głupiego.

Mój opór topnieje, bo jego słowa uwodzą nie mniej niż dotyk. Ale on taki właśnie jest, myślę i spoglądam w jego bursztynowe oczy. Uwodziciel...

– Chcesz czegoś ode mnie, prawda? – pytam, chwytając się ostatniej deski ratunku, by podtrzymać swój opór. – Chcesz mi przeszkodzić w pracy dla Giacomina. Spowolnić ją co najmniej. Dlatego to wszystko – przerywam i przetykam ciężko ślinę, bo znów gładzi mnie dłoń. – To twój cel.

Matteo się śmieje. Mój pomysł zdaje się go bawić.

– Myślisz, że to by było takie proste? – A potem poważnie. – Sophie, powiedz szczerze, naprawdę w to wierzysz?

– Nie. Tak. Ja... ja już sama nie wiem. – Spoglądam na niego zrozpaczona i szukam logicznego wyjaśnienia dla siły, z jaką na siebie oddziałujemy. – Nie powinniśmy tego robić.

Oddycham ciężko i nie mogę odwrócić wzroku. Moje słowa to kłamstwo, bo wciąż drzę z pożądania. Matteo czuje to samo, widzę to wyraźnie. Potrafi się lepiej kontrolować, lecz jego pierś podnosi się gwałtownie i równie gwałtownie opada, a oczy błyszczą, jakby wypełniało je płynne złoto. Pożera mnie nimi.

– Uwielbiam robić rzeczy, których nie powinienem – chrypi, muska mój policzek opuszkami palców i przesuwa kciukiem po moich wargach. Kolana się pode mną uginają. – Dlaczego tak z tym walczysz?

Nachyla się i mnie całuje. Delikatnie i jednocześnie zdecydowanie drażni językiem moje usta. Otwieram je, spragniona, i smakuję go z rozkoszą. Ale tylko przez chwilę. Potem znów przestaje i cofa dłoń, czym wywołuje jęk pełen protestu.

– Nie będę cię błagał, Sophie. Jeśli naprawdę tego nie chcesz...

Nie pozwalam mu dokończyć, zarzucam mu ramiona na szyję i przyciągam do siebie.

– Chcę... – jęczę i całuję go. – Proszę...

Uśmiecha się tryumfująco. Czuję ulgę, kiedy znów mnie obejmuje. Nagle przestaję rozumieć, co mnie dotychczas powstrzymywało. Pewna jestem tylko jednego: że nie mogę pozwolić mu odejść. Że nie chcę rozmyślać, co się stanie, jeśli nie będę go czuła i nie będę go smakowała. Od początku mój opór był skazany na porażkę. Walka z tym uczuciem była bezsensowna – czyż nie wiedziałam o tym dobrze od chwili, kiedy zamknęły się za mną drzwi willi?

Chcę go. Pragnę tego mężczyzny, jego skóry, dotyku, wszystkiego... nieważne, co będzie jutro. Albo co było wczoraj. Chcę go tu i teraz, natychmiast. Przywieram do jego ciała i bezwstydnie odpowiadam na jego pocałunki, bo pożądanie, które we mnie wzbierało, runęło właśnie przez przerwana tamę.

Matteo odsuwa mnie kawałek, nie przerywając pocałunku, zsuwa mi z ramion kimono i znów mnie do siebie przyciąga. Jego dłonie wędrują po moim nagim ciele, poznają je, chciwie i władczo.

Ale to mi nie wystarcza, chcę więcej, chcę być jeszcze bliżej niego. Dlatego szarpnię jego koszulkę i podciągam ją, żeby widzieć jego skórę, czuć ją, dotykać. Pomaga mi, zdejmuje ją i rzuca byle jak na podłogę. Zachwycona przesuwam palcami po jego piersi. Czuję pod opuszkami twarde mięśnie. Ma perfekcyjnie wyrzeźbione ciało, dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam. Jest prawie idealny, myślę, bo w końcu widzę różową bliznę w całości. Jej poszarpana ścieżka przebiega od szyi przez lewą część klatki piersiowej, aż do ostatniego żebra. Bezpośrednio nad sercem, myślę i odruchowo dotykam ustami miejsca, gdzie jest najszersza.

– Sophie... – jęczy, wplata dłoń w moje włosy, zaciska na nich delikatnie palce i odchyła mi głowę. Całuje mnie, zdobywa moje usta i odbiera oddech. Świat wiruje mi przed oczyma, kiedy drażni mnie na zmianę wargami i czubkiem języka, by w końcu pogłębić pocałunek.

Nigdy jeszcze tak nie było, z żadnym innym mężczyzną nie przeżyłam czegoś takiego. Zgoda, bywało miło i przyjemnie, zazwyczaj w każdym razie, ale bez porównania z tym, co teraz się ze mną dzieje, i z uczuciami, które budzi we mnie Matteo. Tracę oparcie pod stopami i mam wrażenie, że spadam w bezdenną otchłań. Kiedy kończy pocałunek, zwisam bezradnie w jego ramionach i nie panuję nad drżeniem ciała.

W jego oczach widzę czystą, nieposkromioną żądzę. Zaraża mnie nią, a ja nieomal tracę resztki kontroli. Drżącymi dłońmi usiłuję rozpiąć pasek jego spodni, by usunąć ostatnią dzielącą nas barierę. Nie daję sobie z tym rady, bo mam zbyt nieskoordynowane ruchy. W pewnej chwili powstrzymuje mnie i przyciąga do siebie, kiedy z jękiem protestuję.

– Błagam... – szepczę, bo nie chcę przerywać. Lecz szybko się orientuję, że nie mogę już kontrolować drżenia.

– Ciii, spokojnie – szepce i całuje mnie. – Mamy czas.

Podnosi mnie i niesie w stronę szerokiej skórzanego kanapy. Siada na niej i sadza mnie sobie na kolanach, a potem przytula, głaszcze i całuje, dając mi czas, bym się uspokoiła.

– Nie masz pojęcia, jaka jesteś piękna, Sophie. Nie możesz tego wiedzieć – szepce mi do ucha, kiedy w końcu oddycham spokojniej, a jego pieścizny stają się coraz śmielsze. Coraz zachłanniej. – Jesteś idealną muzą dla każdego artysty. Żadna z proporcji twojego ciała nie jest zachwiana, a jego barwy to barwy miłości: czarne błyszczące włosy, w których człowiek chciałby się zatracić, błękitnoszare oczy, które potrafią odrzucić lub zmrozić, ale też można w nich utonąć. I te pełne usta, które tak gorąco i z pasją całują... – Palcem przesuwam po moich wargach, a potem muska moją szyję. – Potrafisz zawrócić w głowie, jeśli w porę człowiek się nie opamięta.

Znów mnie całuje. Przywiera do moich ust, cały czas przesuwając palce po moim ciele, w dół, między piersi. Potem bez ostrzeżenia chwyta jeden z moich twardych, napiętych sutków i obraca nim delikatnie między opuszkami. Wzdycham z rozkoszy i czuję, jak moje podbrzusze się napina.

– Podoba ci się? – Matteo uśmiecha się niemal leniwie i dalej drażni moje sutki. Przygląda się mojej twarzy, a ja czuję, jak dreszcze rozkoszy wstrząsają moim ciałem, raz za razem. Bezradnie zamykam oczy i natychmiast je otwieram, bo niespodziewanie ramię, którym mnie podtrzymywał, wysuwa się spod moich pleców i opadam w tył. Chwilę później obejmuje ustami mój sutek, otacza go językiem i ssie.

Nie jestem już sobą. Jęczę, wzdycham i szlocham, zatapiam dłonie w jego włosach i trzymam, żeby nie dać mu przerwać. Lecz on mimo to unosi w końcu głowę.

– Matteo... – Wiję się na jego kolanach, ale on się tylko uśmiecha.

– Jaka jesteś wrażliwa... – mówi zadowolony i boleśnie powoli przesuwa dłonią po moim biuście, nie dotykając mnie już tam, gdzie tego pragnę, gdzie go potrzebuję – po brzuchu, docierając aż między nogi... Spoglądam w ślad za jego ręką, wstrząśnięta tym, jakie uczucia wywołuje we mnie jego dotyk, ale też zafascynowana, jak podniecający może być widok męskiej dłoni na mojej białej skórze. A potem nie mogę już myśleć, bo jego palec znajduje drogę między moje wargi sromowe i przesuwa się po wilgotnym wnętrzu. Wchodzi we mnie głębiej i głębiej, po chwili dołącza drugi i wypełnia mnie, odbierając mi oddech. – I taka gotowa...

Drżąc z pożądania, obejmuję go ramionami i chcę poruszać się na jego dłoni, chcę chłonąć to uczucie, które szumi mi w głowie. Lecz on znów mnie powstrzymuje i odsuwa. Wzdycham rozczarowana, na co on się tylko uśmiecha.

– Nie spiesz się... miałem przeszło godzinę na myślenie, co z tobą zrobię, Sophie, dlatego chcę się teraz delektować. Poza tym zasłużyłaś na karę, bo zniszczyłaś moją reputację.

– Ja... zniszczyłam... nie rozumiem? – pytam urywanie, bo znów wsuwa we mnie palce i masuje delikatnie najczulsze miejsce mojego ciała. Tonę w jego oczach, złotych jak płynny miód.

– Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się skończyć zajęć przed czasem. Ale co zrobić... jeszcze trochę i wziąłbym cię na tym cholernym stole przy wszystkich w sali. – Wzdycha, a w jego głosie rzeczywiście słychać nieco frustracji. – Niewiele brakowało.

Uśmiecham się do niego i nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia, bo mówi, jakbym rzeczywiście była dla niego kimś bardzo specjalnym. Lecz resztki mojego zdrowego rozsądku, które jakimś cudem nie dały się uciszyć wszechogarniającemu pożądaniu, nie pozwalają mi tak myśleć. To tylko seks. Wyjątkowa sytuacja. Dla mnie, nie dla niego. Dla niego to chleb powszedni. Dlatego jest tylko tu i teraz, tylko ten wieczór i noc, a potem będzie po wszystkim. Krótki romans i nic więcej. Tylko...

Matteo wstaje ze mną w ramionach, odwraca się i kładzie mnie na kanapie. Przyjemny chłód tapicerki na skórze. Niesiona pożądaniem i rozkoszą unoszę ramiona nad głowę i odsuwam od siebie wszystkie myśli o tym, co będzie dalej. Liczy się tylko to, co jest teraz i co zamierza ze mną zrobić. Nie mam pojęcia, co takiego, ale nie będę protestować – przynajmniej dopóki nie zechce przerwać.

Lecz potem potrząsam głową, bo widzę, jak klęka przy kanapie, przyciąga mnie do siebie i rozkłada mi nogi.

– Nie – szepczę i unoszę się na łokciach. Nie mam jednak szans zewrzeć na powrót nóg, bo Matteo mocno je trzyma i zaczyna całować wewnętrzną stronę moich ud. Powoli, zmysłowo przesuwa się naprzód. Przygryzam usta, bo to niewiarygodnie erotyczny widok, jak posuwa się coraz wyżej, coraz bliżej mojego pulsującego, wilgotnego ciała. Robi mi się coraz goręcej, gdy

w końcu kciukami rozchyła moje wargi sromowe, i potrząsam głową, gdy spogląda na moją nagość bursztynowymi oczyma.

– Nie...

Boję się, że to zbyt wiele, lecz on się jedynie uśmiecha.

– A jednak, Sophie. Nie walcz z tym. Rozkoszuj się – mówi i się nachyla. Sekundę później muska językiem najdelikatniejsze miejsce na mapie mojego ciała.

O Boże! Jęcząc chrapliwie, opadam na poduszki, wbijam zakrzywione palce w skórzaną tapicerkę i unoszę biodra, czując, jak w moim ciele wędrują płomienie. To wszystko, co mogę zrobić, bo Matteo nie daje mi szans uciec przed tą rozkoszną torturą i drażni mnie, z początku delikatnie, a potem coraz mocniej i regularniej. Czuję, jak moje podbrzusze kurczy się falami i jak wzbiera we mnie napięcie, które musi przynieść orgazm. Ale to najpotężniejszy żywioł, jakiego kiedykolwiek doświadczyłam, całkowicie inny niż blade przeżycia z moimi dotychczasowymi partnerami łóżkowymi – jest niczym arcydzieło w porównaniu do dziecięcych bazgrołów. Drzę i staram się wytrzymać, aż jestem już o krok, by rozpaść się na tysiące drobnych fragmentów. Chcę tego, tęsknię do tego momentu, lecz Matteo niespodziewanie przerywa, czeka, aż się uspokoję, i zaczyna od nowa, wzbudzając nową, jeszcze wyższą falę rozkoszy, która unosi mnie w stronę orgazmu.

To uczucie, jakby moje ciało całkowicie przejęło kontrolę nad duchem. Nie ma już wstydu ani powstrzymywania się. Jestem czuciem, a jedyna myśl, jaka uchowała się w mojej głowie, to dotarcie na szczyt. Lecz napięcie wciąż się wzmaga, jest coraz mocniejsze. Matteo nie zna litości; liże mnie i wsuwa we mnie palce, pchając mnie w stronę kolejnego szczytu, lecz nie daje mi na nim stanąć.

– Matteo! – szlocham w końcu, po godzinach albo minutach tych męczarni, i potrząsam głową. Moje ciało jest napięte jak struna i nie mogę powstrzymać drżenia. – Proszę!

On jednak potrząsa głową, wstaje i przez chwilę myślę z przerażeniem, że to była jedynie ponura gra. I że chce mnie teraz zostawić, samą, z niezaspokojonymi pragnieniami. W pewnej chwili nasze spojrzenia się krzyżują, a ja widzę na jego twarzy napięcie. Nie, nie kontroluje się tak bardzo, jak wskazywałyby jego pieszczoty. Jest równie podniecony jak ja.

– Chcę być w tobie, kiedy dojdiesz – mówi zachrypniętym głosem, a jego ręce drżą, kiedy rozpiną pasek od spodni. Potem opuszcza je i zrzuca na ziemię, tak samo jak wszystkie inne części garderoby, które jeszcze ma na sobie. Na koniec podaje mi dłoń i pomaga mi wstać.

Z bijącym dziko sercem przesuwam wzrokiem po jego doskonałym ciele. Nie ma problemu, żeby stanąć przede mną nago, ale też i nie ma powodu, by czuć wstyd, bo naprawdę wygląda jak jedna z tak licznych w Rzymie marmurowych rzeźb. I tylko ta część ciała, która najczęściej jest obtłuczona albo zakryta figowym listkiem, sterczy dumnie wyprężona. Jego skóra połyskuje złoto w promieniach zachodzącego słońca, tak samo jak jego włosy i oczy. Przesuwam dłonią po jego płaskim, silnym brzuchu i czuję, jak pod moimi palcami prężą się mięśnie.

– Schwyć mnie – prosi i jęczy, kiedy zaciskam dłoń na jego zaskakująco dużym, dumnie wyprężonym członku. Skóra na nim jest gorąca i bardzo delikatna, stanowiąc kontrast z jego brutalną twardością. Kocham go tam dotykać. Nie czuję najmniejszego wstydu, mimo że tak naprawdę nie wiem, co czynię. To dla mnie coś nowego, ale instynktownie robię wszystko jak należy, bo Matteo jęczy z rozkoszy.

I nagle przewagę zyskuje ta nierozsądna, spontaniczna i odważna Sophie, która chce w życiu spróbować wszystkiego, bo nigdy nie ma się pewności, czy później będzie jeszcze szansa. Ta Sophie, która wciąż jeszcze wydaje mi się dziwna i obca, ale bez wątplenia jest częścią mnie. Dlatego osuwam się na kolana i nie cofając dłoni, unoszę wzrok i patrzę mu w oczy.

Te ciemnieją, ale Matteo nie powstrzymuje mnie, kiedy rozchylam wargi i przesuwam nimi po czubku jego penisa, a potem biorę go do ust. Ostrożnie przesuwam dookoła niego językiem i uśmiecham się, słysząc, jak Matteo gwałtownie nabiera powietrza.

Tego też nigdy nie robiłam – sama myśl o tym jeszcze wczoraj by mnie odrzuciła. Ale teraz chcę się zrewanżować za słodkie tortury językiem, przez które prawie straciłam zmysły. Biorę go jeszcze głębiej do ust i ssę.

– Sophie. – Matteo wplata dłonie w moje włosy, kiedy znajduję rytm i drobnymi ruchami bioder wychodzi mi naprzeciw. Rozkoszuję się, wzmagając jego podniecenie. Nie przeszkadza mi, że mnie wykorzystuje, by samemu poczuć rozkosz – wręcz przeciwnie! Pożądliwie spoglądam w górę, oglądam jego napięte ciało i czuję, że wstępują we mnie nowe siły. Ogarnia mnie szalone poczucie władzy, bo udaje mi się doprowadzić tego nieprawdopodobnie atrakcyjnego mężczyznę na skraj szaleństwa. To podnieca go równie mocno jak mnie i czuję nową falę wilgoci między nogami, w miarę jak jego ruchy stają się coraz gwałtowniejsze.

Rośnie jeszcze w moich ustach. Słyszę urywany oddech Mattea i biorę go głębiej i mocniej, bo chcę więcej niż czuć na języku tylko pierwsze, słone kropelki jego pożądania. Lecz on nagle cofa dłonie z mojej głowy i się odsuwa, podnosi mnie i dzikim pocałunkiem zagłusza mój protest. A potem popycha mnie przez pomieszczenie.

– Boże, Sophie... – jęczy mi do ucha. – Już dawno nikogo tak nie pożądałem, jak ciebie.

Unosi mnie, a ja instynktownie oplątam go nogami. Czuję, że jest bardzo silny, bo mój ciężar nie robi na nim żadnego wrażenia.

– To mnie weź – odpowiadam mu szeptem, wciąż jeszcze śmiała i odważna. – Chcę poczuć cię w sobie.

W jego oczach pojawia się błysk, lecz na twarzy pojawia się jakiś cień, jakby wahanie.

– Powinniśmy najpierw...

– Proszę – jęczę i widzę, że pożądanie odbiera mu zdolność do myślenia. Czuję, że opuszcza mnie powoli, aż czubek jego penisa rozchyła mi wargi sromowe. Wzdycham z rozkoszą, kiedy jego potężna męskość wsuwa się we mnie i wypełnia mnie bez reszty.

Przez chwilę trwamy tak bez ruchu i patrzymy sobie w oczy, rozkoszując się poczuciem zjednoczenia. Potem Matteo robi kilka kroków naprzód, przechyla mnie i nagle czuję pod plecami coś miękkiego – kładzie mnie na stole, na którym pozowałam dla jego kursantów.

Teraz jest nade mną, unosi mnie, wysuwa się ze mnie i wchodzi ponownie, lecz tym razem powoli, zaciskając zęby. Wiele wysiłku kosztuje go zachowanie kontroli nad sobą, choć ja tego nie chcę. Dlatego oplątam jego biodra nogami i nabijam się na niego – chcę więcej. On potrząsa jednak głową.

– Nie możemy tak, Sophie – mówi z umęczonym wyrazem twarzy i sam sobie zaprzecza, bo znów wbija się we mnie głęboko. – Muszę zbiec na dół po prezerwatywę.

Pionowa zmarszczka na jego czole oznacza, że jest zły na siebie, że nie pomyślał o tym wcześniej. Mógł przynieść ją, wracając na górę, a teraz nie chce przerywać, a musi się powstrzymać.

Ulga jest tak wielka, że robi mi się słabo. Uśmiecham się do niego.

– Nie musisz... – wyjaśniam mu. – Nic się nie stanie. Chyba że... coś jeszcze cię powstrzymuje?

Spoglądam na niego pytająco i przyglądam się, jak zareaguje na informację, że biorę środki antykoncepcyjne i dzięki temu nie grozi mi niechciana ciąża. Powoli zaczyna rozumieć, co do niego mówię. Lekarz przepisał mi je z powodów medycznych, by jakoś ujarzmić całkowicie nieregularną miesiączkę. Nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa z tego powodu. Wstrzymuję oddech, bo widzę w jego oczach ogień, który z takim wysiłkiem starał się kontrolować, i patrzę.

– Nie, nie ma nic więcej – mówi. – O Boże, Sophie, tak bardzo chcę dojść w tobie!

Obejmuję go ramionami i całuję równie dziko, jak on mnie. Teraz nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy dali się ponieść żądzy i pragnieniom, których nie da się już zatrzymać. Których nie chcę zatrzymywać.

Matteo wbija się we mnie mocnymi pchnięciami, a ja jestem jak pijana; odchylam głowę do tyłu i z chęcią przyjmuję go w siebie, poddaję się jego mocy, która pcha mnie ostatecznie w stronę orgazmu, na który i tak zbyt długo już czekam. Krzyczę. Czuję, jak zaciskają się moje mięśnie wokół jego sztywnego członka, kiedy znów się we mnie wsuwa, i eksploduję bez ostrzeżenia. Niepowstrzymane fale rozkoszy wędrują przez moje ciało, porywają wszystko swoją potęgą, docierając do każdego zakątka. Matteo dołącza do mnie chwilę później; tężeje i jęczy moje imię, po czym również dochodzi. Czuję, jak we mnie wytryskuje, rozkoszuję się każdym drgnieniem jego męskości, każde jego napięcie wywołuje kolejne fale obezwładniającej rozkoszy. Drzę, nie mogąc się powstrzymać, a łzy szczęścia spływają po moich policzkach.

Nie wiem, jak długo tak leżymy, nim oboje się uspokajamy. Ale na pewno długo. W końcu Matteo się porusza, podnosi głowę i spogląda na mnie, a ja widzę, że jego również zaskoczyła potęga tego, co się między nami stało. Ma zamglone spojrzenie i znów musi minąć trochę czasu, zanim to się zmienia. W końcu jednak jego oczy znów błyszczą, a ciało zaczyna słuchać poleceń z mózgu. Podnosi się ze mnie.

– Sophie.

Uśmiecham się słabo i czuję żal, kiedy się ze mnie wysuwa, przerywając naszą jedność. Pomaga mi się podnieść i mnie przytula, oparty o stół, bo oboje mamy problem, by po tym wszystkim ustać na nogach.

– Nie tak to miało wyglądać – mówi głuchym głosem i całuje mnie we włosy. Wciąż jeszcze ciężko oddycha. Słyszę, jak wali mu serce, i czuję ciepło jego ciała na skórze.

Nie chcę myśleć, jednak rzeczywistość przenika nieubłagane przez otaczający mnie miękki welon odczuć.

Nie, nie tak to miało wyglądać. To było... znacznie lepsze. Intensywniejsze. Porywające. Naprawdę nie wiem, jak ja to wytrzymałam. Dlatego fakt, że natychmiast chcę to powtórzyć, z całą pewnością nie wróży niczego dobrego.

– Nie wytrzymałam. – Słyszę w jego głosie zaskoczenie i niedowierzanie. Najwyraźniej nieczęsto zdarza mu się stracić kontrolę nad sobą. Odsuwa się ode mnie kawałek, przygląda mi się i dopiero teraz zauważa łzy na moich policzkach. Wyciera je palcem. – Sprawilem ci... ból?

W milczeniu kręcę głową. Po prostu wciąż jeszcze nie mogę wydobyć z siebie głosu, nie mówiąc w ogóle o znalezieniu słów, by opisać, co przeżyłam. Nie dociera do mnie to wszystko. Obejmuję go za szyję, kiedy znów mnie podnosi i rusza zdecydowanym krokiem do wyjścia, a potem znosi schodami na piętro.

Fizycznie czuję się całkiem dobrze, myślę, może poza napięciem między nogami, gdzie cały czas jeszcze czuję jego męskosc. Mam wrażenie, że zrobił mi coś, co zmieniło mnie już na zawsze, dlatego czuję ucisk w klatce piersiowej i nie wiem, czy powinnam śmiać się, czy płakać. Trzymam się go słabo, przywieram twarzą do jego szyi i wciągam jego zapach.

– Dokąd mnie niesiesz? – Bogiem a prawdą, jest mi to całkowicie obojętne, bo jedyne, czego pragnę, to być przy nim. Nie chcę, żeby mnie puszczał. Chcę cieszyć się jego bliskością, zanim pęknie kolorowa bańka mydlana, w której się unosimy.

Nie odpowiada, za to czuję, że zapadam się w miękki materac. To tak niespodziewane, że zaskoczona otwieram gwałtownie oczy.

Leżę na szerokim łóżu w pokoju większym jeszcze od tego, w którym się przebieierałam.

Stoją tu meble z ciemnego orzechowego drewna, a na stojaku przed szafą wisi ubranie, które Matteo miał na sobie w czasie naszej wycieczki do muzeum. W takim razie to musi być jego sypialnia.

Matteo nachyla się nade mną i opiera ręce na wysokości moich ramion, po czym patrzy mi w oczy, a w jego wzroku ponownie budzą się płomienie. Poszarpana blizna na jego idealnie wyrzeźbionej klatce piersiowej dodaje mu dzikości. Nie mogę się nasycić jego widokiem; tonę w jego oczach, w których czai się mieszanina zadowolenia i odradzającego się pożądania.

– Tam gdzie mieliśmy się znaleźć, zanim do tego stopnia zawróciłaś mi w głowie, że nie dałem już rady – odpowiada na pytanie zadane jeszcze na schodach i płynnym ruchem kładzie się obok mnie, po czym bierze mnie w ramiona i kładzie na sobie. – A to znacznie przytulniejsze miejsce opuścimy, dopiero kiedy skończę robić z tobą wszystko, co sobie zaplanowałem.

Moim ciałem wstrząsa drżenie, kiedy uświadamiam sobie, że wieczór i noc jeszcze się dla mnie nie skończyły. A kiedy Matteo bez wysiłku przekręca się dalej i przyciska mnie swoim ciężarem do materaca i zaczyna całować, z radością witam powracające pragnienie, które pozwala mi zapomnieć, że to tylko ta chwila, że to moment słabości... i nic więcej. W tym nie może być niczego więcej. Słońce właśnie zachodzi, a kiedy rano wstanie, znów będę rozsądna i poważna. Muszę...

Matteo całuje mnie coraz głębiej, a ja obejmuję go ramionami i definitywnie przestaję myśleć.

Rozdział 15

– Spędziłaś noc z Matteem Bertanim? Serio?! – Sarah otwiera szeroko oczy i spogląda na mnie tak zaskoczona, że nie mogę powstrzymać śmiechu, choć wcale nie jest mi wesoło. To przecież bardzo poważna sprawa. Choć Sarah najwyraźniej tak nie uważa, bo kiedy otrząsa się z pierwszego szoku, uśmiecha się szeroko i radośnie. – Ale nawywiјаłaś, dziewczyno! Szaleństwo!

– No właśnie, obawiam się, że to oddaje powagę sytuacji. – Krzywię się, bo powiedziała to wszystko na głos. – I nie krzycz tak, bo jeszcze usłyszysz nas twoja szwagierka – upominam ją, ale Sarah macha uspokajająco dłonią.

– Nic się nie bój, kochana. Grace powiedziała, że idzie obudzić Jonathana, więc jest w górnej sypialni, a my jesteśmy w kuchni, dwa piętra niżej, więc z całą pewnością nic do nich nie dotrze. – Chichocze. – Posiadanie tak wielkiej willi, jak ta mojego brata, ma swoje zalety, szczególnie jeśli chodzi o zachowanie sfery prywatności.

Odpowiadam na jej uśmiech i czuję, że robi mi się lżej na sercu. Tak dobrze ją zobaczyć! Boję się odwrócić głowę i oderwać wzrok od jej twarzy na ekranie mojego niewielkiego netbooka, bo mogłaby jeszcze zniknąć. Ktokolwiek wymyślił Skype'a, powinien dostać jakiś medal, tak uważam, bo znacznie fajniej jest widzieć znajomą twarz, niż tylko słyszeć czyjś głos. Szczególnie, kiedy jest się daleko od domu, w oku emocjonalnego cyklonu, i koniecznie potrzebuje się przyjaciółki. Sprawę komplikuje jedynie fakt, że Sarah jest w gościach u swojego brata i jego żony.

– Ale kiedy wróci, szybko zmienisz temat i rozmawiamy o czymś innym, okej? – pytam błagalnym tonem i boję się, że nie będzie miała dla mnie dość czasu, akurat teraz, kiedy tak strasznie potrzebuję jej rady. Sarah zna bowiem Mattea jeszcze z czasów, kiedy sama studiowała w Rzymie. Poza tym to jedyna osoba na świecie, której mogę powiedzieć, co mi leży na sercu.

– Spokojnie, Grace tak szybko nie wróci – uspokaja mnie. – Z całą pewnością da nam trochę czasu na rozmowę, tym bardziej że wie, iż pomożesz jej rozwiązać jej problem.

Bo w gruncie rzeczy po to właśnie zadzwoniłam na Skype do Sarah. Jej szwagierka chciała mnie o coś poprosić, a w zasadzie nie tyle poprosić, co złożyć u mnie oficjalne zamówienie. Zgodnie z jej życzeniem, mam zająć się znalezieniem odpowiedniego prezentu urodzinowego dla jej męża. Jonathan, brat Sarah, bo to o nim mowa, jest miłośnikiem sztuki nowoczesnej, a ja mam znaleźć dla niego coś odpowiedniego. Czym oczywiście zajmę się z przyjemnością. Lubię Grace, mimo że tylko kilka razy miałyśmy okazję się spotkać; to bardzo miła dziewczyna. A skoro teraz daje mi czas sam na sam z moją najlepszą przyjaciółką, uwielbiam ją jeszcze bardziej, myślę i wzdycham ciężko.

Za to Sarah uśmiecha się szeroko, słysząc moje westchnienia, i zaczesuje palcami ciemne włosy za ucho – to charakterystyczny dla niej gest, często tak robi, od kiedy znów nosi włosy do ramion. Jej głęboko błękitne oczy błyszczą z rozbawienia.

– Na pierwszy rzut oka widać, że gwałtownie potrzebujesz rozmowy – mówi. – A Grace jak mało kto potrafi wczuć się w twoją sytuację. Ona coś wie o trudnych mężczyznach, pamiętaj, że wyszła za mojego brata.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, bo znam tę historię z opowiadań Sarah. Ale prawdę mówiąc, nie wiem, jak miałabym porównać swoją sytuację do tego, co się działo między nimi.

– Tylko że u mnie jest zupełnie inaczej – protestuję. – Między Grace a twoim bratem chodziło o wielką miłość, a Matteo i ja to...

To tylko przelotny romans, chciałabym dokończyć, ale nie udaje mi się wykrztusić tych słów. Tym bardziej że nie wiem, czy w ogóle można to tak nazwać. Bo na romans trzeba chyba kilku wspólnych nocy więcej. A na to znowu ja nie mogę się zgodzić.

– ...to bardziej skomplikowane – kończę i wzruszam ramionami.

– U nich też nie było tak prosto, jak można wnioskować ze skróconej relacji, możesz mi wierzyć. – Sarah śmieje się serdecznie. – Ale dobrze, mów teraz, co się dzieje. Tylko konkretnie, bez pomijania szczegółów, okej?

Szybko opowiadam jej wszystko, czego jeszcze nie wie – bo o naszym pierwszym spotkaniu na przyjęciu u Giacomina i o tym, że Matteo ma wykonać dla nas ekspertyzę obrazu Enza, powiedziałam jej już wcześniej, nie wiedząc jeszcze, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi. Pomijam oczywiście pikantne szczegóły. Poza tym i tak nie miałybyśmy teraz czasu. Na dodatek ta bezwstydną, bezpruderyjną Sophie, którą odkrył we mnie Matteo, wciąż jest dla mnie trochę obca – na tyle, że nie potrafię o niej mówić. I to nawet z Sarah, moją najbliższą przyjaciółką.

Nasza przyjaźń nie należy wprawdzie do najdłuższych, bo znamy się w zasadzie ledwie dwa lata, ale od tego czasu stała się dla mnie bardzo ważną osobą. Po raz pierwszy spotkałyśmy się tuż przed jej ślubem z Alexandrem, jej obecnym mężem, dla którego szukała – podobnie jak Grace dzisiaj – odpowiedniego prezentu. Od razu przypadłyśmy sobie do gustu, lecz przyjaźń pojawiła się dzięki temu, że jako jedna z niewielu osób wykazała zrozumienie dla mojej sytuacji. Nigdy nie musiałam jej się tłumaczyć, dlaczego często nie mam czasu, i nie miała mi za złe, kiedy w ostatniej chwili odwoływałam spotkanie, bo przeszkodziły mi obowiązki zawodowe albo sytuacja z mamą. Inni w pewnej chwili się poddawali, bo nie wytrzymywali nerwowo, dlatego wiele z moich dawniejszych „przyjaźni” wygasło albo nigdy nie wyszło poza określone stadium. Jednak Sarah ma w sobie tę serdeczną wytrwałość, kiedy chodzi o nasze spotkania. Zawsze z anielską cierpliwością wydzwaniała, żeby ustalić nowy termin, aż w końcu udaje nam się zobaczyć, za co jestem jej niewypowiedzianie wdzięczna. Bez niej, szczególnie w ostatnim, bardzo dla mnie trudnym czasie, byłabym strasznie samotna. W zasadzie poza nią nie mam nikogo, z kim mogłabym podzielić się problemami. A już na pewno nie tak dziwnymi problemami jak ten, który teraz mam z Matteem. Takie sprawy mogę omawiać tylko z nią i teraz liczę na jej radę. Jakkolwiek by patrzeć, zna go z czasów, kiedy studiowała w Rzymie.

Sarah jest na dodatek świetną słuchaczką. Poświęca mi całą uwagę i skupia się na każdym słowie, które wypowiadam, aż w końcu dochodzę do tej części relacji, gdzie zostajemy z Matteem sami w atelier.

– No i co potem? – pyta, kiedy kończę.

Wzdycham.

– Potem zniósł mnie do swojej sypialni, gdzie zrobiliśmy to jeszcze raz.

Bogiem a prawdą, to przeogromny skrót tego, co się tam wydarzyło, bo Matteo dotrzymał słowa i porwał mnie na erotyczną eskapadę, której jeszcze nie przetrwałam. Mam opuchnięte usta i całe ciało sprawia mi ból – ale przyjemny. Dodatkowo czuję dziwną wilgoć między nogami... czyli to nie był sen, choć cały czas wydaje mi się, że też nie rzeczywistość...

– Okej – mówi Sarah przeciągle i wrywa mnie z zamyślenia, bo na chwilę zanurzyłam się we wspomnieniach. – To wytłumacz mi tylko, proszę, dlaczego nie wylegujesz się teraz odprężona obok niego w łóżku, tylko siedzisz sama w swoim pokoju hotelowym? – Nagle robi zatroskaną minę. – Chyba nie dlatego, że chciałaś zadzwonić do Grace, tak jak się umówiłyście?

Potrząsam głową i robię nieszczęśliwą minę.

– Musiałam po prostu wyjść rano.

Wieczorem zasnęliśmy w końcu, całkowicie wyczerpani, ale, tak teraz myślę, spanie w ramionach mężczyzny było tak nowym przeżyciem, że obudziłam się bardzo wcześnie. I kiedy

zobaczyłam Mattea tuż obok siebie – jego ciemnoblonde włosy zmierzwił na czole i rozluźnioną, przystojną twarz – od razu wiedziałam, że za nic nie mogę zostać.

Sarah z niedowierzaniem unosi brwi.

– Aha. A co on na to powiedział?

– Nic. Nie miał zresztą jak, bo wyszłam, kiedy jeszcze spał – wyjaśniam bliska łez.

– Co?! Wymknęłaś się po kryjomu?

Zżerają mnie wyrzuty sumienia, bo trafiła w punkt.

– No tak... – potwierdzam. Choć w zasadzie nie do końca mi się to udało. Miałam naprawdę wielką trudność, by zrezygnować z jego bliskości i dotyku ciepłej skóry i wstać tak, żeby go nie obudzić. A kiedy stałam już obok łóżka i po raz ostatni na niego spoglądałam, niewiele brakowało, a położyłabym się z powrotem w jego ramionach. Jakoś się jednak opanowałam, odwróciłam się i po cichu poszłam do salonu, gdzie szybko się ubrałam.

Kiedy chciałam wyjść na ulicę, okazało się, że brama jest zamknięta, i przez chwilę myślałam, że i tak będę musiała obudzić Mattea. Ale na szczęście jedna z pracownic fundacji zapomniała jakichś dokumentów i wróciła po nie do biura, dzięki czemu udało mi się opuścić posesję. Niedługo potem byłam już w hotelu, gdzie po krótkiej rozmowie z tatą położyłam się na łóżku i leżałam, wpatrując się w sufit. Dopiero po długim czasie sobie przypomniałam, że obiecałam Sarah porozmawiać dzisiaj z Grace, o co poprosiła mnie wcześniej przez telefon.

Bezradnie unoszę ramiona, bo Sarah wpatruje się we mnie, jakbym miała nierówno pod sufitem.

– Nie patrz tak na mnie, naprawdę nie mogłam tam zostać – usprawiedliwiam się. – Bo inaczej całkowicie straciłabym nad sobą kontrolę i jeszcze raz bym się z nim przespała. A to przecież nie ma perspektyw. Zaraz muszę wracać do Londynu. – I muszę o nim zapomnieć, dodaję w myślach. Choć możliwe, że z tym sobie nie poradzę...

Sarah zdaje się nie rozumieć problemu.

– No i? Właśnie dlatego powinnaś wykorzystać czas, który masz. – Wzdycha ciężko, widząc moje nieszczęśliwe spojrzenie. – Rany, Sophie, tylko pomyśl. Poznajesz jednego z najgorętszych facetów Rzymu i łądujesz z nim w łóżku – coś, za co większość moich koleżanek ze studiów byłaby gotowa zabić – a potem uciekasz, zanim masz szansę się przekonać, jak to się rozwinie? – Potrząsa głową. – Nie mów tylko, że to przez tego nudnego Nigela, z którym przecież nawet nie jesteś w związku?

Spoglądam na nią zaskoczona.

– Uważasz, że Nigel jest nudny?

– Żeby tylko! On jest śmiertelnie nudny! – odpowiada z ciężkim westchnieniem. – Nieraz już sobie wyrzucałam, że akurat u mnie musiałaś go spotkać i odnowić z nim znajomość. Ależ tego żałowałam! Nie wiedziałam, że się wcześniej znaliście, ale gdybym choćby podejrzewała, że nie spławisz go od razu, przekonałabym Aleksa, żeby go w ogóle nie zapraszał.

Nagle czuję prawdziwe przerażenie.

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że go nie lubisz?

Wzrusza ramionami.

– Bo nie pozwoliłabyś powiedzieć o nim złego słowa. Ale ja to dobrze rozumiem, bardzo wam pomógł, kiedy tego potrzebowaliście, więc spotkanie go było prawdziwym szczęściem i tyle. Poza tym wcale nie jest tak, że go nie lubię. Jest całkiem w porządku – ale jest za miękki jak na faceta dla ciebie, Sophie. Znać się już dobrze ponad rok, nie licząc oczywiście waszej dziecięcej znajomości, i mimo że miał tyle czasu, nie osiągnął nawet połowy tego, co Matteo Bertani w kilka dni. – Uśmiecha się znacząco, a potem wzdycha rozmarzona. – Swoją drogą, doskonale cię rozumiem. Niech to diabli, facet, którego złowiłaś, to marzenie. Gdybym nie była

szczęśliwą mężatką, też by mi się robiło słabo na jego widok.

– Ej, wcale go nie złowiłam! To się po prostu... stało – protestuję.

– Takie rzeczy nie dzieją się ot tak, po prostu. A w każdym razie nie tobie – upiera się Sarah. – A wracając do twojego pytania, musisz tam wrócić. Chcesz w końcu, żeby zrobił dla was tę ekspertyzę, czy już ci na niej nie zależy?

Wzdycham ciężko.

– Ta sprawa sama się już wyjaśniła. Tata dał mi znać, że Enzo znalazł nabywcę.

Wiadomość nawet dla mnie była kompletnym zaskoczeniem, bo jeszcze nigdy nie doszło u nas do sytuacji, żebyśmy wycofali obraz, który został już zapowiedziany do sprzedaży na licytacji, bo nie jest to ani w naszym interesie, ani w interesie właściciela, który zleca jego sprzedaż. Najwyraźniej jednak lord Ashbury, jeden z naszych najwierniejszych klientów, był tak oczarowany płótnem, że spontanicznie zaproponował nad wyraz sową sumę, nie zapominając oczywiście o prowizji dla nas. Tata przekazał zapytanie Lindenburghom, mając wzgląd na wieloletnie związki lorda Ashbury'ego z naszym domem. Nie zakładał nawet, że właściciele obrazu przystaną na tę propozycję. Tak się jednak stało, tata dostał zielone światło i interes doszedł do skutku. W ten sposób obraz Enza di Montagny zniknął z rynku, jeszcze zanim się na nim na dobre pojawił, a my nie potrzebujemy już ekspertyzy Mattea – ku niezadowoleniu mojego ojca, który mimo wszystko wolałby mieć pewność. Matteo Bertani nie musi więc wybierać się do Londynu, a ja nie mam powodu, by się z nim spotykać. Mogę wymazać go ze swojego życia, nawet ryzykując niedowierzanie i niezadowolenie taty, że nie chcę już korzystać z tego kontaktu. W obecnej sytuacji nie mam jednak innego wyjścia i muszę zakończyć tę znajomość. Co niniejszym czynię. I słusznie. A w każdym razie tak to sobie tłumaczę. Staram się ignorować ból w piersi, który nie chce minąć.

Sarah nie uważa, żeby to było właściwe rozwiązanie, widzę to po sposobie, w jaki na mnie patrzy. Jednak kiedy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, coś odwraca jej uwagę, bo nieruchomieje, rozgląda się i przez chwilę nasłuchuje.

– Wydawało mi się, że słyszę Jonathana i Grace. Pewnie schodzą do mnie. – Nachyla się do kamery i spogląda mi prosto w oczy. – Mimo wszystko musisz do niego wrócić, rozumiesz? Musicie sobie wyjaśnić, co się między wami dzieje.

Zdecydowanie potrzebuję głowę, bo mam wrażenie, że ona po prostu nie chce mnie zrozumieć.

– Między nami nic się nie dzieje, Sarah. To był tylko seks i nic więcej. Wieczór bez znaczenia i następstw. – Wzruszam ramionami.

– Nie gadaj głupot – protestuje. – Oczywiście, że to miało i ma znaczenie. Coś jest na rzeczy, jeśli moja rozsądna i zrównoważona przyjaciółka niespodziewanie postanawia spędzić całkowicie nierozsądną i szaloną noc z najbardziej pożądanym kawalerem Rzymu... Co ja mówię, najgorętszym kawalerem całych Włoch. Przy okazji, bo możesz tego nie wiedzieć, mimo sławy łamacza serc Matteo jest uważany za bardzo wybrednego człowieka. Tymczasem tobie nie zajęło długo zmiękczenie go. Poza tym gdyby to była noc bez znaczenia, nie byłabyś teraz w takim stanie, prawda? – Patrzy na mnie w sposób, jakby po prostu to wszystko wiedziała. Czuję, że budzi się we mnie sprzeciw.

– Ale Matteo...

– ...nie wiąże się z nikim na stałe od śmierci żony, tak, wiem. Natomiast zdarzają mu się niezobowiązujące przygody – słyszałam plotki. Tylko kto powiedział, że dla ciebie nie zrobi wyjątku? Wszyscy wiedzą, że bardzo niechętnie opuszcza miasto. W gruncie rzeczy, ponoć w ogóle tego nie robi, tymczasem dla ciebie był gotów wybrać się do Londynu. To coś znaczy, możesz być pewna.

Mimo wszystko dalej nie jestem przekonana.

– Ty tego nie rozumiesz, Sarah. Nigdy niczego z tego nie będzie. Choćby przez mamę nigdy nie będę mogła zostawić Londynu, a Matteo mieszka i pracuje tutaj, w Rzymie. Poza tym w ogóle do siebie nie pasujemy. Jesteśmy jak... Sarah! Co ty wyprawiasz? – Obraz zakłócił się i zamigotał, bo Sarah sięgnęła po tablet, który dotychczas miała oparty o coś przed sobą.

– Czekaj, coś ci chcę pokazać – słyszę jej głos, a kamera kołysze się na boki i pokazuje fragmenty jadalni, gdzie w końcu, kiedy Sarah przytrzymuje nieruchomo tablet, widzę Jonathana i Grace. Odruchowo myślę, że są naprawdę cudowną parą, ona z delikatną urodą i rudoblond włosami, on potężny i czarnowłosy. Muszą być bardzo zakochani, bo stoją jeszcze na ostatnim stopniu schodów, którymi zeszli do jadalni, i się całują. Kiedy kończą, ruszają przed siebie i zatrzymują się kilka kroków dalej. Rozmawiają, a Jonathan kładzie dłoń na brzuchu Grace, który wyraźnie się zaokrąglił. Jest w piątym miesiącu ciąży, czym się nie bez dumy pochwaliła, a dziecko jest obecnie u nich tematem numer jeden, co nietrudno zauważyć.

– Widzisz? – pyta Sarah. – I oni tak bez przerwy. Obściskują się jak wariaci, normalnie jakby zakochali się wczoraj, choć są małżeństwem tak samo długo, jak ja i Alex.

– Przecież wy też się przytulacie – protestuję i słyszę jej śmiech.

– Zgoda. Ale nigdy nie było z nami tak źle, jak z nimi. Czasem mam wrażenie, że nie mogą bez siebie wytrzymać. Na dodatek będą mieli dzidziusia i chociaż wcześniej mój brat nie chciał mieć dzieci, zamęcza nas teraz nadopiekuńczością. To... – Słyszę, jak przetyka ślinę. – Czasem nie mogę po prostu uwierzyć, jak to możliwe, że aż tak się zmienił. Przez całe lata nie dopuszczał do siebie absolutnie nikogo. Aż pewnego dnia pojawiła się Grace i wszystko się nagle odwróciło. Nikt, kto go znał, nie postawiłby złamanego grosza, że cokolwiek między nimi będzie, bo przecież zupełnie do siebie nie pasują...

Odwraca tablet, odstawia go na stół, a kiedy obraz się uspokaja, nachyla się w stronę kamery i mówi półgłosem, żeby w sąsiednim pomieszczeniu nie było jej słychać.

– Wiesz już, co chcę przez to powiedzieć? Że powinnaś dać szansę sobie i Matteowi. Zastanów się, co, poza śmiertelnie nudnym Nigelem, miałabyś do stracenia?

Uśmiecha się, a ja chcę zaprotestować i stanąć w obronie Nigela, ale akurat w tej chwili do kuchni wchodzi Jonathan i Grace i w ten sposób moja rozmowa w cztery oczy z przyjaciółką dobiega końca.

Sarah nagle bardzo się spieszy.

– Chcieliśmy pojechać z Alekssem do mojego taty do Lockwood, więc musimy zaraz ruszać. Zadzwoń do ciebie niedługo, okej? I przemyśl to, co ci powiedziałam.

Potakuję i zmuszam się do uśmiechu. Sarah puszcza do mnie oko i macha mi na pożegnanie. Potem przerywa połączenie, ekran robi się czarny i znowu zostaję sama.

Przez dłuższą chwilę leżę na łóżku i wpatruję się w ekran netbooka i w nieprzyjemny sposób zaczynam zauważać panującą dokoła ciszę, mimo docierającego z parteru szumu samochodów.

Byłam tak święcie przekonana, że Sarah mnie zrozumie. I wzmocni moje postanowienie, bym pod żadnym pozorem nie wracała teraz do Mattea, bo nie poznaję się, od kiedy go spotkałam. Bo wszystko, co dotychczas miało dla mnie znaczenie, nagle robi się coraz mniej ważne. To nie może oznaczać niczego dobrego. Zaskoczyła mnie strasznie tym, że widzi wszystko inaczej niż ja. Jestem jeszcze bardziej rozbita. Nigdy się tak nie czułam.

Jakaś część mnie – ta, która dziś rano została w jego łóżku – chce posłuchać rady przyjaciółki i dać Matteowi szansę. Koniecznie nawet. Dlaczego nie zrobić czegoś całkowicie lekkomyślnego i przekonać się, jak to się skończy? Jak potoczą się nasze losy, kiedy będę musiała wrócić do Londynu?

Oddycham głęboko i czuję ponownie ucisk w piersi, jakby spoczywało na niej coś naprawdę ciężkiego. Ryzyko jest jednak zbyt wielkie, myślę zrozpaczona. Pewnie Andrew miał rację i ja po prostu nie jestem stworzona do romansów. Matteo wytrzyma nawałę uczuć; ja natomiast nie jestem pewna, czy dałabym sobie radę. Zgadza się, Sarah miała rację – nigdy wcześniej nie działałam tak nieprzemyślenie, bo nie mogę sobie na to pozwolić. Jak miałabym wrócić do Londynu, do swojego dawnego życia, tego sprzed wyjazdu, jeśli straciłabym tutaj serce? A wrócić muszę, tu nie ma żadnej dyskusji, bo nie mam alternatywy. Moi rodzice mnie potrzebują. Czy w takim razie powinnam pakować się w coś, co nie ma przyszłości? Raczej nie.

Zamykam oczy, chcę przestać myśleć. Nie potrafię. Natychmiast widzę twarz Mattea. Czuję go. Mam wrażenie, że znów trzyma dłonie na moich biodrach, jego usta muskają moje usta, a jego ciało jest tuż przy moim, jakbym wciąż leżała wtulona w niego w jego łóżku.

Skóra pamięta dotyk, myślę i wzdycham ciężko. To cytat przypisywany Johnowi Keatsowi; zawsze bardzo go lubiłam. Lecz dopiero teraz, kiedy byłam dotykana w ten specjalny sposób, zaczynam rozumieć jego znaczenie. Wystarczy, że o tym pomyślę, by fale drżenia przeszły moje ciało. Wczorajsza noc wypaliła się w mojej pamięci i nie sądzę, bym kiedykolwiek mogła ją zapomnieć. Czy mogłabym zapomnieć Mattea...?

Dlatego wyszłam rano. Bo jeśli teraz odejdę, być może będę miała jeszcze szansę. Może jeszcze uda mi się uratować serce i wrócić do starego życia, do punktu, w którym je przerwałam, kiedy tu przyjechałam... może...

Wstaję i na miękkich nogach ruszam do małej łazieneczki wziąć prysznic. Lecz nawet potem, kiedy przebrana i z mokrymi jeszcze włosami siedzę w jadalni na śniadaniu, ciągle mam wrażenie, że czuję zapach Mattea. Towarzyszy mi w każdej minucie i sprawia, że nerwowo zaczynam szukać zajęcia, które pozwoliłoby mi się skupić na czymś innym. Lecz niezależnie od tego, co robię – chodzę po sklepach, rozmawiam z Danielą Bini, spotykam się z Andrew, który na szczęście ma czas na spontaniczną filiżankę herbaty, jeszcze raz telefonuję do taty i w spokoju przeglądam listę dzieł z kolekcji Giacomina – Matteo cały czas tkwi w mojej głowie i nie daje mi spokoju. Jeszcze nie zdążę zamknąć oczu, już widzę go w wyobraźni, a jeśli się niedostatecznie pilnuję, zaczynam się zastanawiać, co by powiedział na jakiś temat albo jak by się uśmiechał. Wytrzymuję do wczesnego popołudnia i tyle. Dalej już nie dam rady.

Sarah ma rację, muszę do niego wrócić, myślę. Nie mogę tak tego zostawić – jestem mu przynajmniej winna wyjaśnienie, co dalej z ekspertyzą. Powinnam to zrobić osobiście, a nie przez telefon. To ważne, bo chcę spojrzeć mu przy tym w oczy, choć boję się, że zobaczę w nich obojętność. Pewnie tak, bo minęło już wiele godzin od mojego wyjścia, a on nie dał znaku życia. Gdyby za mną tęsknił, odezwałby się, prawda? Chcę mieć pewność, myślę i oddycham głęboko. To lepsze, niż przez cały czas żyć w dręczącej niepewności.

Od kiedy podjęłam decyzję, nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę, i pół godziny później stoję w jasnozielonej sukience bez ramiączek, którą kupiłam w czasie porannej wycieczki po sklepach, przed bramą Willi Mattea. Serce wali mi jak szalone. Mur, który otacza posesję, wydaje mi się wyższy niż wczoraj i przez krótką chwilę chcę zawrócić i uciec. Tylko myśl, że przez cały wieczór i noc dalej będę się tak samo męczyła, nie pozwala mi tego zrobić. Dlatego podchodzę do furtki w murze, którą wskazała mi zapomniana pracownica fundacji. Jest niedaleko bramy, też z kutej stali, i jest bardzo masywna, niemal odpychająca. To mi nie pomaga. Zmuszam się jednak i naciskam dzwonek. To powoduje zapalenie się na domofonie światełka otaczającego obiektyw kamery. Dzięki temu właściciel domu widzi, kogo wpuszcza.

Niepewnie spoglądam w szklane oko. Nie mam pojęcia, czy Matteo jest na miejscu, bo równie dobrze mógł wyjechać na weekend. Może, jak wielu mieszkańców Rzymu, dni wolne od pracy spędza na wybrzeżu albo z Valentiną, w Castel Gandolfo. A może... może jest w domu, ale

i tak nie otworzy, bo widzi, kto przyszedł...

Rozlega się buczenie elektrozamka, a mnie przeszywa dreszcz. Serce wali mi jak oszalałe, lecz mimo to popycham furtkę i wchodzę na teren posesji, ściskając niepewnie dłonią pasek torebki. Ruszam szeroką żwirową ścieżką w stronę domu i czuję strach, który lada chwila zamieni się w okropny ucisk w żołądku.

To z całą pewnością gospodyni, powtarzam sobie, to ona mi otworzyła. W ten sposób staram się uspokoić nerwy. A może to ktoś z fundacji, tak jak dziś rano.

A jednak to on. Matteo stoi w drzwiach i czeka na mnie. Jest bosy, ma na sobie dżinsy i prosty biały T-shirt, jakby nie zaprzętał sobie głowy dzisiejszą garderobą, tylko włożył to, co pierwsze wpadło mu w ręce. Ciemnoblonde włosy opadają mu jak zawsze na czoło, a na policzkach połyskuje młody zarost, lecz nawet z tym nietypowym dla siebie „zaniedbanym” wyglądem jest dalej niezmiernie atrakcyjny. Tak bardzo, że z wrażenia odruchowo przełykam ślinę.

Sposób, w jaki opiera się o framugę – prawym ramieniem, z lewą ręką na klamce – jest pełen swobody i nie pozwala mi odczytać, co sądzi o mojej wizycie. Również jego twarz, na której nie dostrzegam śladu uśmiechu, nie daje się zinterpretować. Jednego za to jestem pewna – nie jest to obojętność, bo w jego oczach czai się błysk, który, im bliżej jestem, tym jest wyraźniejszy.

Kiedy jestem już blisko, bez słowa cofa się o krok, otwiera przede mną drzwi i wpuszcza mnie do holu. Staje jednak w miejscu, przez co muszę przeciskać się obok niego. Kolana się pode mną uginają, a nogi prawie odmawiają posłuszeństwa, kiedy czuję jego zapach – zapach, który tak dobrze poznałam zeszłej nocy.

Zamyka za mną drzwi i opiera się o nie. Odwracam się i patrzę mu w oczy. Staram się sobie przypomnieć, po co w ogóle tu jestem.

– Matteo, ja... – Co chciałam mu powiedzieć? Mam pustkę w głowie i mogę myśleć jedynie o tym, jak strasznie za nim tęskniłam, choć przecież na dobrą sprawę nie minął nawet cały dzień. – Chciałam...

W jego oczach pojawiają się iskierki, które w jednej chwili przeskakują na mnie i wywołują pożar. Stoję cała w płomieniach i bezradna, kiedy on rusza w moją stronę, unosi dłonie i mnie do siebie przyciąga.

A potem jego usta są na moich ustach. Całuje mnie, jak nikt nigdy mnie nie całował.

Rozdział 16

Jego pocałunek nie ma w sobie niczego uwodzicielskiego, niczego zmysłowego, jak wczoraj wieczorem. Tym razem to czyste pożądanie. Jest tak potężne, że zwała mnie z nóg, dosłownie nawet, bo nagle unoszę się w powietrzu, a kiedy znów dotykam ziemi, czuję też pod plecami chłodną ścianę, do której mnie przyciska, ani na chwilę nie przerywając pocałunku.

Ale nie chcę, żeby się odsuwał. Potrzebuję go, nagle i gwałtownie, tak bardzo, że nie wiem nawet, jak w ogóle bez niego wytrzymałam. Drżącymi rękoma sięgam pod jego koszulkę i zadzieram ją jak najwyżej. On odrywa się ode mnie tylko na tyle, żeby zdjąć ją przez głowę i rzucić gdzieś na ziemię. Chciwie gładzę go po nagiej skórze, dotykam blizny, której poszarpana linia czyni go tak wyjątkowym, a myśl, że gdybym nie przyszła, mogłabym już nigdy tego nie zobaczyć, zmusza mnie do jeszcze zachłanniejszych pocałunków. Wzdycham zrozpaczona, kiedy przerywa i się odsuwa, żeby na mnie spojrzeć.

Nasze twarze dzieli kilkanaście centymetrów. Oboje oddychamy ciężko, zniewoleni napięciem, które wciąż między nami rośnie i które da się rozładować w jeden tylko sposób...

Oczy Mattea są ciemne, prawie czarne, a niepowstrzymana żądza, którą w nich dostrzegam, sprawia, że cała drzę. Bezradnie pozwalam, by złapał mnie za nadgarstki i uniósł moje ramiona nad głowę. Jego ciało jest tuż obok, tak we mnie wtulone, że czuję jego gorąco. Ale wciąż dzieli nas zbyt wiele materiału, co zdaje się mu bardzo przeszkadzać, bo przesuwając dłońmi po moich ramionach w dół, aż sięga gorsetu mojej sukienki. Jest dobrze dopasowany i przylega równo do skóry. Matteo jest zbyt niecierpliwy, by go ze mnie zdejmować, więc chwytając materiał, zaciska na nim palce i rozdziera go jednym silnym szarpnięciem. Jęczę z rozkoszy. Chłodne powietrze omiata moje nagie piersi i sprawia, że wypełnia mnie zaskoczenie i podniecenie. Po krótkiej chwili to drugie uczucie zwycięża i chcę się wtulić w jego ramiona.

Lecz on mnie nie puszcza. Trzyma moje ręce w górze, przyciśnięte do ściany, i powoli opuszcza głowę. Wiem, co zamierza, i przygryzam wargi, by nie krzyknąć, oczekując ciepłego dotyku jego ust na sterczących z podniecenia sutkach. Mglenie oka później zamyka wargi na mojej piersi i zaczyna ssać, a ja wiem, że nie wytrzymam, bo to uczucie jest znacznie potężniejsze, niż myślałam. Opieram głowę o ścianę i rozkoszuję się swoją bezradnością – jestem zdana na jego łaskę i niełaskę. Nic nie mogę zrobić, by przeszkodzić, ale też nie chcę tego i bezwstydnie podaję mu swoje piersi. Każda pieszczota, każde muśnięcie językiem trafia prosto w moje najdelikatniejsze miejsce. Pulsuję tam cała, tak bardzo podniecona, że czuję ból. Chcę więcej, chcę go mieć, chcę, żeby wypełnił pustkę między moimi nogami. Nie może przestawać ani przerywać, dlatego wzdycham ze strachem, kiedy to robi, a potem z rozkoszą, kiedy jego gorące usta zamykają się wokół drugiego sutka i kontynuują słodką torturę, aż prawie dochodzę...

– Matteo. – Mój głos jest ledwie słyszalny, jest błaganiem, bo nie mogę już wytrzymać. W końcu puszcza moje nadgarstki. Obejmuję go za szyję i poddaję się jego pocałunkowi, który tym razem jest jak rozkaz. Niecierpliwy. Bezlitosny.

Ręce trzęsą mu się tak samo jak mnie, kiedy unosi materiał mojej sukienki. Wsuwa palce pod moje majtki, jednym silnym szarpnięciem zrywa je ze mnie i odrzuca gdzieś na bok. Potem rozpina swoje dżinsy i uwalnia penisa, którego widok budzi we mnie ogromne pożądanie.

Żadne z nas nie może się już doczekać, a kiedy unosi mnie i jednym silnym ruchem we mnie wchodzi, dosięgają mnie fale pierwszego orgazmu. Matteo warczy gardłowo z zadowolenia, bo czuje, jak pulsuję na jego członku. Bierze mnie mocno i dziko, wbija się we

mnie bezlitośnie i cały czas całuje, chciwie, niemal brutalnie, jakby był na mnie zły, że nie potrafi tego kontrolować. Szczyt osiąga niedługo po mnie, odrywa usta od moich warg, odchyła głowę i wbija się jeszcze głębiej. Z zamkniętymi oczyma wtulam się w niego, przywieram ustami do jego ramienia i smakuję językiem jego pot, kiedy wytryskuje we mnie głęboko. Wywołuje tym kolejne słodkie skurcze mojego podbrzusza, a ja z rozkoszy odchodzę od zmysłów.

Moje ciało uspokaja się bardzo powoli, lecz kiedy przebrzmiewają ostatnie fale orgazmu, nie puszczam jego szyi, tylko przytulam się jeszcze mocniej, przywieram do niego, cały czas z zamkniętymi oczyma, i czuję bicie jego serca i słyszę jego oddech, który pieści moje ramię. Chcę, żeby we mnie został, chcę trwać tak w niesłychanie spokojnym stanie, pełna odprężenia i pozbawiona trosk. W końcu nie muszę myśleć, co to oznacza, że jestem gotowa oddać mu się bezwarunkowo.

Może podświadomie się spodziewałam, że tak właśnie będzie, i w tym miał źródło instynktowny strach przed nim? Pociąga mnie tak silnie, że zatracam się w nim cała, a mój świat chwieje się w posadach. Nic już nie jest takie, za jakie je miałam, i na tym właśnie polega problem. Bardzo poważny problem.

Dla kogoś takiego jak Matteo taki stan może nie być niczym nadzwyczajnym, dlatego kilka dni dzikiego seksu nie robią na nim wielkiego wrażenia, podczas gdy moje życie staje na głowie. Dla mnie nic już nie jest normalne, myślę pełna niepokoju i czuję, jak unosi głowę. Nasze spojrzenia się krzyżują i czuję, że topię się w jego uśmiechu, spokojnym i zadowolonym. Całuje mnie, tym razem czule i bez pośpiechu, lecz z ogromnym uczuciem, jakby chciał pokazać, że należę już tylko do niego i do nikogo innego. I ma rację, niestety, bo nie potrafię mu się przeciwstawić i chętnie odpowiadam na jego pocałunek. Kiedy odrywa usta od moich warg, jego spojrzenie jest czyste i poirytowane.

– Tracę przez ciebie rozum, Sophie! – mówi i porusza się we mnie, daje mi poczuć, że wciąż jesteśmy zjednoczeni. – Nie było zbyt wiele kobiet, z którymi nie dawałem rady dotrzeć do łóżka.

Jego słowa wywołują we mnie drżenie, bo brzmią, jakbym naprawdę nie była jedną z wielu, a takich rzeczy słucham bardzo chętnie, mimo toczących mnie wątpliwości. Dlatego opieram policzek na jego ramieniu i wdycham cicho.

Matteo opacznie rozumie mój gest. Najwyraźniej myśli, że nie czuję się swobodnie, bo wysuwa się ze mnie i stawia mnie delikatnie na podłodze. Potem poprawia spodnie i moją sukienkę, przynajmniej na tyle, na ile się da. Kładzie dłoń na moim policzku i patrzy mi uważnie w oczy.

– Wszystko w porządku?

Uśmiecham się słabo.

– Ze mną tak – mówię i spoglądam z udawanym wyrzutem na zniszczony materiał sukienki. To, że była nowa, nie ma dla mnie znaczenia – przeżycie, na którego ołtarzu została złożona, było zbyt intensywne i piękne, jednak brak ubrania stanowi pewien problem. – Jak ja mam teraz pokazać się w tym na ulicy?

– A kto mówi, że masz się tam w ogóle pokazywać? – Matteo uśmiecha się szeroko, ale w jego spojrzeniu jest też bardzo dużo zdecydowania. Bez wahania bierze mnie na ręce i niesie schodami na piętro, jakby chciał mieć całkowitą pewność, że się nie odwrócę i nie odejdę. Wchodzi do swojej sypialni, lecz nie planuje tego, czego się z początku spodziewam, i mijają łóżko. Odstawia mnie na podłogę dopiero, kiedy znajdujemy się w przylegającej do pokoju łazienki.

– Pewnie będziesz chciała się odświeżyć – mówi, a kiedy dostrzegam swoje odbicie w lustrze, zaczynam rozumieć, co ma na myśli. W podartej sukience wyglądam dramatycznie

niedbale, co jednak nie powstrzymuje Mattea przed kolejnymi pocałunkami. – A ja w tym czasie wróć do robienia pasty, którą przygotowywałem, zanim przyszłaś.

Spoglądam na niego zaskoczona i marszczę czoło. On potrafi gotować?

Moja mina jest chyba bardzo jednoznaczna, bo zaczyna się śmiać.

– Elisa przychodzi do pracy w dni powszednie, a w weekendy jestem zdany tylko na siebie.

Jakże praktyczne, myślę i oblewam się rumieńcem, bo dopiero teraz sobie uświadamiam, co by się stało, gdyby ktoś wszedł przed chwilą do domu...

– Jesteś głodna? – pyta, a ja potakuję, zaskoczona, że jest tak zupełnie inny, niż się spodziewałam. Ale dotychczas za każdym razem wprawiał mnie w zdziwienie, myślę i uwalniam się z porwanej sukni.

Mam trochę wrażenie, że pozbywam się w ten sposób ostatniej tarczy, która miała chronić moje serce przed Matteem Bertanim. To wywołuje we mnie strach, bo wciąż nie wiem, jak długo będę mogła tu zostać. I czy on w ogóle tego chce, bo przecież na razie nie powiedział na ten temat ani słowa.

Teraz i tak jest już za późno, myślę. Jedyne, co mogę zrobić, to posłuchać porady Sarah i czekać, żeby zobaczyć, co z tego będzie.

Kiedy wychodzę z łazienki, zaczynam się zastanawiać, co mogę na siebie włożyć. Mogłabym pójść do pokoju gościnnego i poszukać kimona, bo pewnie trafiło tam z powrotem z atelier, jednak nie zastanawiam się długo i spontanicznie sięgam po koszulę zawieszoną na wieszaku na drzwiach od szafy. Jeśli przygotował ją na jakąś specjalną okazję, to cóż, ma pecha. Poza tym ja też nie chciałam wyrzucać tej sukienki po jednym założeniu. Matteo jest mi winien coś w zamian, przynajmniej na teraz. No i ten zapach... jego zapach...

Koszula jest dla mnie stanowczo za duża. Sięga mi do połowy ud. Muszę podwinąć rękawy, żeby się w niej nie utopić, a kiedy potem spoglądam na siebie w dół, zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, że ja, rozsądna i opanowana dziewczyna z Londynu, mam na sobie koszulę mężczyzny, który chwilę wcześniej zdarł ze mnie sukienkę. Wow. Kto by pomyślał, myślę zawstydzona. A to przecież nie wszystko, bo moje majtki również padły ofiarą tej gorącej chwili i pod koszulą jestem zupełnie naga. Matteo widział mnie przecież bez ubrania, więc nie przejmuję się tym za bardzo, ba, ma to w sobie coś szalonego, co podoba się tej nowej, niespokojnej Sophie. Dlatego poprawiam po raz ostatni włosy i ruszam na poszukiwania gospodarza domu.

Nietrudno go znaleźć – wystarczy, że kieruję się smaczkowym zapachem i bezbłędnie trafiam do kuchni. To duże, nowoczesnie urządzone pomieszczenie, z wyspą z polerowanego betonu pośrodku, potężną lodówką i szarozielonymi szafkami. Bardzo mi się tu podoba, bo króluje tu minimalizm, stanowiąc kontrpunkt dla pozostałej części domu. Widać tu też życie – wszystkie potrzebne przybory poustawiane są pod ręką: noże, akcesoria kuchenne, doniczki ze świeżymi ziołami, półmiski z pomidorami i cebulą – widać, że ktoś często tu przebywa.

Matteo stoi przy wyspie. Wsypuje akurat posiekane zioła do garnka, z którego wydobywa się smaczkowy zapach, będący moim drogowskazem do kuchni. Potem miesza w większym garnku obok, w którym najpewniej gotuje się makaron, a na koniec jeszcze raz sprawdza sos. Jest tak skupiony na przygotowywaniu jedzenia, że nie zauważył mojego pojawienia się. Dlatego mogę go w spokoju obserwować. Dłuższą chwilę patrzę zafascynowana. Dalej jest bosy, a koszulka poło z krótkim rękawkiem, tym razem zielona, bardziej mu pasuje niż wcześniej biały T-shirt, który leży pewnie jeszcze porzucony na podłodze w przedpokoju. Jest odprężony, jakby poczuł się lepiej, bo znów ma jakieś zadanie do wykonania, jakiś cel... Najwyraźniej doskonale wie, co robi, bo ma pewne, niemal automatyczne ruchy. Musi mieć duże doświadczenie

w kuchni, myślę i znów jestem pod wrażeniem.

Mój ojciec nie umie gotować, podobnie jak Nigel, a w każdym razie żaden z nich nigdy tego nie robi. Dlatego widok mężczyzny, który w kuchni, przy garnkach porusza się pewnie i swobodnie, jest dla mnie czymś zaskakującym. Ale to przecież nie wszystko – wcześniej byłabym gotowa się założyć, że ktoś taki jak Matteo Bertani na pewno nie przygotowuje sobie sam posiłków – w końcu może sobie pozwolić na zatrudnienie personelu, który przez całą dobę dbałby o dom i kuchnię. A jednak sam się tym zajmuje, co pasuje do obrazu, jaki dotychczas oglądałam. Koniec końców, Matteo mógłby nie pracować, a jest wykładowcą na uniwersytecie. Może pcha go do tego potrzeba niezależności, którą tak ceni? Jestem o tym przekonana i coraz bardziej go za to szanuję.

Ale nie tylko to – wszystko mi się w nim podoba, przyznaję się przed sobą i cicho wzdycham. Mam wrażenie, że coraz głębiej zatracam się w uczuciu, którego powinnam za wszelką cenę unikać. Wtedy Matteo orientuje się, że przyszedłam, podnosi wzrok i patrzy na mnie, a ja czuję ucisk w żołądku. Uśmiecha się do mnie w ten cudowny sposób, dzięki któremu na jego policzku pojawia się słodki dołeczek. I znów zatracam się odrobinę głębiej. Przesuwa po mnie wzrokiem, a w jego oczach pojawia się błysk, kiedy się orientuje, że mam na sobie jego koszulę.

– Na mnie nie wygląda tak sexy – twierdzi, a ja uśmiecham się mimowolnie. Co on tam wie!

Rozkładałam ramiona, spoglądałam po sobie i krzywię się delikatnie.

– Tylko że to nie rozwiązuje mojego problemu – mówię. – Bo w tym i tak nie mogę wyjść na ulicę.

– Nie będziesz musiała – mówi, wyraźnie niezadowolony, że znów poruszam ten temat. – A nawet jeśli, dam ci coś Adriany. Zostawiła ostatnio jakieś ciuchy, które będą w sam raz na ciebie. Jesteście przecież prawie tego samego wzrostu. – Mówiąc to, podnosi z kuchenki garnek z makaronem, podchodzi do zlewu i przelewa zawartość garnka do sitka. A ja wpatruję się stężona w jego plecy.

– Co? – Jestem tak oniemiała, że mam zachrypnięty głos. Ruszam w stronę wyspy, żeby móc się o coś oprzeć, bo jego słowa wywołują we mnie potężną i niespodziewaną falę zazdrości. Adriana, młoda czarnowłosa studentka, która patrzyła na niego tak wyzywająco, zostawia u niego swoje rzeczy? A on uważa, że to tak naturalne, że wspomina o tym mimochodem? – Byłeś... jesteś... – Nie wiem, w jakim czasie zadać to pytanie. – Jesteście... razem?

Odwraca się i marszczy czoło, jakby nie rozumiał, co mam na myśli. Dopiero kiedy widzi mój wstrząśnięty i przerażony wyraz twarzy – nie, nie potrafię tego ukryć – zaczyna do niego docierać, w czym tkwi problem. A jednak nie jest tym w ogóle zakłopotany, tylko uśmiecha się szeroko.

– Nie, nie jesteśmy razem na stałe, jeśli o to pytasz, ale od czasu do czasu jesteśmy tu razem. – Moja mina wyraża jeszcze większe zagubienie, jeśli to w ogóle możliwe, a Matteo uśmiecha się jeszcze szerzej. – I to od dawna. Od jej urodzenia, Sophie. To moja bratanica. Przepraszam, powinienem był cię przedzić.

Jestem jak ogłuszona. Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Twoja... bratanica? Ale... nie jest za duża?

– Pamiętaj, że jestem najmłodszy z rodzeństwa. Luca jest cztery lata starszy, a ja miałem dziewiętnaście lat, kiedy urodziła im się Adriana. To się zdarza – dodaje z uśmiechem, a potem wraca z odcedzonym makaronem do kuchenki, a do mnie zaczyna docierać, co powiedział.

– Czyli... ona nie jest twoją studentką?

Potrzęsa głową.

– Chodzi jeszcze do szkoły średniej. Ostatnia klasa. Ale ma ogromny talent plastyczny.

Staram się wspierać ją w rozwoju, dlatego może przychodzić do mnie na zajęcia, jeśli ma ochotę.
– Dodaje makaron do sosu i na szczęście nie widzi, że jestem czerwona ze wstydu.

O rany, ale wtopa. Czuję się strasznie, że po raz kolejny posądziłam go o bycie z kobietą, która należy do jego rodziny. Nie mogę już cofnąć wypowiedzianych słów, więc wzruszam ramionami i próbuję się usprawiedliwić.

– Wydawało mi się, że jesteście bardzo blisko, dlatego pomyślałam...

– ...że kręcę ze studentkami? I to w dodatku tak młodymi jak Adriana? – pyta, nie podnosząc głowy znad garnka z sosem z makaronem, w którym miesza łyżką, a w jego głosie słyszę irytację. W końcu odwraca głowę i spogląda na mnie przez ramię. – Z wieloma kobietami jestem blisko, a jednak nic mnie z nimi nie łączy, Sophie. Prawdę mówiąc, pod tym względem jestem cholernie wybredny.

Czuję dreszcz wzdłuż kręgosłupa, bo nie do końca rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Czy to był komplement? A może ostrzeżenie?

– Czy mogę... czy mogę ci jakoś pomóc? – pytam, żeby zmienić temat, na co on podaje mi dwie serwetki z zawiniętymi w nie sztuccami i butelkę czerwonego wina, którą wcześniej odkorkował.

– Proszę. Poza tym wszystko jest już gotowe i czeka na stole na zewnątrz – mówi. Rozglądam się zaskoczona i chcę coś powiedzieć, ale zauważam przeszklone drzwi na końcu pomieszczenia. Są otwarte i prowadzą na duży balkon wychodzący na ogród. Jest tu bardzo dużo miejsca, bo taras ciągnie się przez całą długość domu, dzięki czemu obok terakotowych donic z roślinami stoi tu duży stół i kilka wygodnych foteli, a cień zapewnia zarośnięta pergola. W promieniach zachodzącego słońca – dopiero teraz uświadamiam sobie, że musi być już sporo po ósmej – dostrzegam wygodną ławę wyłożoną poduszkami. Stół przykrywa piękny obrus w kolorach Bertanich, a zapalone świece mają zapewniać światło, kiedy zabraknie słońca. Poza sztuccami, które układam przy talerzach, wszystko zostało już przygotowane do posiłku.

Wow, myślę i nie mogę otrząsnąć się z zaskoczenia. Kiedy mu zależy, potrafi zadać sobie naprawdę wiele trudu. Mężczyzna marzenie. Sarah miała rację. Ma tylko małą skazę, a mianowicie taką, że kobieta nie zagrzewa przy nim miejsca na dłużej. W tej samej chwili w przeszklonych drzwiach pojawia się Matteo z parującym garnkiem w dłoniach, po czym odstawia go na stół, sięga po butelkę wina i wskazuje na jedno z krzeseł.

– Siadaj, proszę – mówi.

Chwilę później mam przed sobą nie tylko napełniony kieliszek, ale i talerz z parującą i pysznie pachnącą zawartością.

– Penne alla Matteo – odpowiada z uśmiechem na moje pytanie, co będziemy jedli, i wyjaśnia, że to potrawa ze wszystkiego, co miał akurat pod ręką. Uśmiecha się przy tym jakby przepaszająco. – Gdybym wiedział, że nie będę jadł dzisiaj sam, przygotowałbym coś więcej niż makaron. Ale przynajmniej mogę później poczęstować cię czekoladą i kawą.

Ja jestem zdania, że nie ma absolutnie powodów, by się przede mną usprawiedliwiać, bo sos z rukolą, pomidorami, orzeszkami pinii i parmezanem smakuje wybornie – tak wspaniale, że opróżniam talerz do czysta, czemu Matteo przygląda się z serdecznym zadowoleniem. W ogóle mam wrażenie, że jest bardzo rozluźniony i opowiada, że Valentina bardzo wcześnie nauczyła go gotować.

– Pod wieloma względami to bardzo niekonwencjonalna kobieta i w swoich czasach uchodziła za wyjątkowo wyemancypowaną. Kiedy mój ojciec był młody, też uczył się gotowania, a potem w naturalny sposób przyszła kolej na mnie, bo przez jakiś czas z nią mieszkalem – wyjaśnia. – Tylko pamiętaj, że to naprawdę niełatwe zadanie, przyuczyć krnąbrnego nastolatka. Jednak kiedy *nonna* coś sobie wbije do głowy, musi dopiąć swego.

Nie wspomina ani słowem, że babcia uczyła go gotować, bo matka od nich odeszła. Ja to jednak wiem i dopowiadam to w myślach. Wtedy rozumiem, skąd tak bliska więź między nimi. Była zawsze, kiedy jej potrzebował. Widzę po jego uśmiechu, jaka jest dla niego ważna.

– Świetnie jej poszło – chwałę jego umiejętności. – Nie pamiętam już, kiedy jadłam coś równie dobrego.

Matteo, z kieliszkiem w dłoni, opiera się wygodniej, a z jego twarzy znika uśmiech i ustępuje miejsca zamyśleniu.

– Robię też całkiem niezłe śniadania – mówi, a ja w jego głosie słyszę zaskoczenie i pytanie, którego nie wypowiada na głos, a na które nie chciałabym udzielić odpowiedzi. Dlatego opuszczam głowę i staram się nie patrzeć w jego kierunku; nie daję jednak rady, bo dosłownie świdruje mnie wzrokiem. A potem mówi coś, co od dłuższego czasu czeka na ubranie w słowa: – Dlaczego rano poszłaś, Sophie?

Żeby zyskać na czasie, sięgam po kieliszek i upijam łyżeczkę. Czekam, aż wino doda mi odwagi.

– Chciałaś, żebym została?

Zaskakuję go tym pytaniem. Jest nieco poirytowany, bo marszczy brwi i przez chwilę ma inny wyraz twarzy.

– Nie zakładałem, że obudzę się sam w łóżku i nie będę wiedział, co się z tobą stało – odpowiada. – Ale mogłem się tego spodziewać. W końcu to nie pierwszy raz, kiedy mnie zaskakujesz.

Słyszę delikatny wyrzut w jego głosie i niewiele brakuje, bym wybuchnęła śmiechem. Na szczęście udaje mi się ograniczyć do uśmiechu. Ja zaskakuję jego? Proszę, proszę, witamy w klubie, myślę i spoglądam znacząco na koszulę, którą mam na sobie. To pamiątka tego, co się stało.

– I nawzajem.

Jego usta wykrzywia oszczędny uśmiech, lecz szybko poważnieje.

– Jesteś dla mnie zagadką, Sophie. Zazwyczaj w relacjach z kobietami wiem, na czym stoję. Ale z tobą jest inaczej. Nie potrafię cię przejrzeć. I to sprawia... – waha się, czy dokończyć. – Tracę głowę.

Sapie niezadowolony, a ja rozumiem, że to dla niego całkowicie nowe doświadczenie, biorąc pod uwagę, jak wiele kobiet, zaczynając od studentek na uniwersytecie, a kończąc na kelnerce z Barrique, robi do niego maślane oczy. Nawet ja nie mam problemu z odgadnięciem, co się dzieje w ich głowach. Ale to właśnie stanowi problem, prawda? Ma ogromny wybór, ale nie chce się decydować. I pod tym względem nie jestem dla niego wyjątkowa, prawda?

Staram się, by moje kolejne pytanie brzmiało jak najbardziej naturalnie.

– Skoro chciałaś wiedzieć, dlaczego poszłam... czemu mnie nie odwiedziłeś? Wiesz przecież, gdzie mieszkam.

Mruży oczy.

– Bo ja nie biegam za kobietami – mówi, a ja czuję delikatne ukłucie, bo jego głos jest prawie chłodny. Lecz kiedy już zaczyna ogarniać mnie smutek na myśl, że miałam rację, bo ta znajomość nie przerodzi się w nic ponad krótki romans, on potrząsa głową, a w jego oczach nie ma ani odrobiny dystansu. Nie, to raczej... niepewność.

– Poza tym to nawet nie byłoby potrzebne. Wręcz przeciwnie. Zazwyczaj po takiej nocy mam zupełnie odwrotny problem, bo zaczynają się dyskusje i pytania. Większość kobiet potrzebuje perspektywy, informacji, co dalej. – Spogląda mi w oczy ciekawie i przenikliwie, a ja czuję, że serce bije mi coraz szybciej. – Tymczasem z tobą nie musiałem niczego wyjaśniać, bo po prostu zniknęłaś. Przez to sam musiałem zadawać sobie pytania, na które wcześniej

odpowiadałem. Dziwne uczucie. – Na jego ustach pojawia się ironiczny uśmiech. Nie odwzajemniam tego uśmiechu. Patrzę na niego poważnie.

– No i? Do jakich doszedłeś wniosków?

– Do żadnych. – Wzrusza ramionami. – Nie robię dalekosiężnych planów. A w każdym razie już nie – mówi, a ja czuję przez chwilę, że kieruje nim zgorzknienie, które gasi nikły płomyk nadziei, ćmiący się w moim sercu po jego wcześniejszych słowach. Uśmiech przychodzi mi z wielkim trudem.

– Ale ja tak – mówię cicho. – Ja mam plany i jeden z nich przewiduje, że niedługo wrócę do Londynu. – Wzdycham i czuję ukłucie w sercu.

Unosi brwi.

– I dlatego nie zastanawiasz się, co dalej?

Wręcz przeciwnie. Gdybym miała się zastanawiać, co dalej, chciałabym widzieć się u jego boku na dłużej, to byłaby cudowna perspektywa. Ale jestem realistką. Do związku potrzeba dwóch osób. Dlatego wzruszam tylko ramionami.

– Bo dla nas nie ma przecież perspektyw – mówię i z największym trudem udaje mi się ukryć smutek. – Dlatego rano wyszłam. I dlatego... dlatego zaraz też powinnam to zrobić.

A jednak tego nie robię. Siedzę i spoglądam na niego w napięciu. Czekam, co odpowie, nie, boję się, że przyzna mi rację. On jednak milczy. Bardzo długo. W końcu zamyka oczy i niechętnie kręci głową, jakby chciał pozbyć się z niej jakiejś myśli, która mu się nie podoba. Dopiero wtedy jest gotów znów na mnie spojrzeć. Jego uśmiech ma w sobie determinację – wyraz, który dobrze już znam.

– W porządku. Możesz iść. Ale musisz mi oddać koszulę.

Z zapartym tchem spoglądam w jego bursztynowe oczy, w których znów widzę płomienie, i czuję, jak moje ciało reaguje. Zasycha mi w ustach, sutki nabrzmiewają pod jego koszulą. Niczego nie chcę bardziej, niż żeby ją ze mnie zdjął.

– Matteo...

– Chodź.

Wstrząsa mną dreszcz i wiem, że nie powinnam tego robić. Że tylko wszystko pogarszam. Ale nie potrafię inaczej. Dlatego wstaję i z mocno bijącym sercem ruszam w jego stronę.

Rozdział 17

Kiedy jestem już blisko, wstaje z krzesła i czeka, aż zatrzymam się tuż przed nim. Potem unosi dłoń, rozpina najwyższy guzik koszuli, w którą jestem ubrana, i patrzy mi uparcie w oczy.

– Naprawdę chcesz odejść? – pyta zachrypniętym głosem. Zachrypniętym z pożądania.

Nie, myślę i przez chwilę pozwalam sobie poczuć nadzieję, że może jednak jest przed nami jakaś przyszłość. Perspektywa czegoś więcej niż tylko paru godzin w jego ramionach.

Serce bije mi szaleńczo, kiedy Matteo dosięga ostatniego guzika i rozpina go, a koszula rozsuwa się na boki i obnaża piersi. On obejmuje je dłońmi, nachyla się i całuje mnie w ten uwodzicielski sposób, który za każdym razem sprawia, że zmieniam się w miękki wosk.

– Uzależniasz mnie, Sophie – szeptem i delikatnie przygryza płatek ucha, co w połączeniu z jego dłońmi doprowadza moje zmysły do szaleństwa. Nie mogę powstrzymać westchnienia.

– Nie potrafię ci się oprzeć.

Przesuwa dłonie dalej, na moje biodra i na plecy, a potem przyciąga mnie do siebie.

– Zostań, *mia bella*.

To nie jest żadna deklaracja – mógł powiedzieć coś takiego każdej kobiecie. Pewnie nawet często tak mówił. Ale teraz nie chcę w to wierzyć. Teraz chcę słyszeć w jego tonie coś więcej. Wydaje mi się, że jest w nim coś pierwotnego, coś, co znajduje odbicie również w jego oczach, coś, co korzeniami sięga głębiej niż pożądanie. Tak, tam musi być coś więcej. Musi, prawda?

Przywieram do niego, wystawiam się na pieszczoty jego ust i dłoni i odpowiadam na pocałunki z nadzieją, która nagle mnie przepelnia. Jutro coś znajdziemy – przyszłość? Perspektywy? Nieważne. Liczy się to, że mogę z nim być dzisiaj.

Kiedy Matteo chce do końca zdjąć ze mnie koszulę, czuję nagłą obawę i powstrzymuję go.

– Nie! – Wieczór jest przyjemny, nie jest zimno i nie boję się przeziębienia, ale nagle czuję się zawstydzona wizją stania nago na balkonie w środku miasta.

Najwyraźniej bardzo go to bawi, bo uśmiecha się szeroko.

– Nikt cię nie zobaczy, Sophie. Dom jest tak wysoki, że nigdzie z sąsiedztwa nie da się zajrzeć na taras, a poza tym zapomniałaś już, że wczoraj siedziałaś nago przed moimi studentami i studentkami?

– Nie, nie zapomniałam, ale...

Pocałunkiem zamyka mi usta, unosi mnie z podłogi i rusza w stronę ławki na końcu tarasu. Im dalej jesteśmy od stołu ze świecami i od światła padającego przez przeszkłone drzwi kuchni, tym robi się wokół nas ciemniej.

– I co, teraz lepiej? – pyta i siada ze mną na ławce z poduszkami. Są bardzo miękkie i przyjemne w dotyku. Potakuję, a on zsuwa ze mnie koszulę, lecz tylko do połowy. Potem przyciąga mnie do siebie i pocałunkami wędruje po moim obojczyku w stronę szyi. Jego dotyk i pieszczoty tak mnie podniecają, że natychmiast robię się wilgotna.

I nagle nie wiem, nie pamiętam już, dlaczego w ogóle chciałam go powstrzymywać, kiedy mnie rozbierał. Bez wahania zrzucam z siebie koszulę. Dawno się nie kochałam – po raz ostatni na długo przed spotkaniem Mattea – i nie zdarzało mi się to często, a już na pewno nie w tak dziwnych miejscach. No i nigdy nie było tak dziko i pożądliwie, tak szaleńczo, bym zapomniała, gdzie jestem. A kochać się na zewnątrz, czuć na sobie świeże powietrze i widzieć nad sobą niebo – no dobrze, tak jakby widzieć, bo nawet nad ławką jest niewielka markiza – to

wszystko ma w sobie coś ekscytującego. Czuję się odważniejsza, bardziej wyzwolona i w dziwny sposób bardziej świadoma siebie.

Matteo chce mnie, a ja chcę jego. Lecz dotychczas zawsze zdawałam się na jego przewodnictwo, oddawałam się jego pragnieniom. Zupełnie jakby mnie zniewolił, jakby odebrał mi zdolność do decydowania. Ale to nieprawda, wcale tak nie jest. Ja też czuję i mam swoje pragnienia, które chciałabym zrealizować. Chcę, żeby oddał mi się tak, jak ja oddałam się jemu. Dlatego odpycham go delikatnie od siebie, ujmuję jego twarz w dłonie i całuję tak, jak przed chwilą on całował mnie – uwodzicielsko i zdecydowanie. Przesuwam dłońmi po jego plecach, aż dosięgam spodu koszulki. Unoszę ją i ściągam przez głowę. To jednak nie koniec, teraz zabieram się za rozpinanie spodni. Widzę jego zdziwione spojrzenie, więc uśmiecham się i wzruszam ramionami.

– Skoro ja mam być naga, to ty też – mówię. Nie protestuje, ba, pomaga mi zdjąć z siebie spodnie i resztę ubrania. Znow uświadamiam sobie, jaki jest piękny, i jak bardzo podnieca mnie jego widok. Zanim udaje mu się podnieść ramiona, by mnie chwycić, kładę dłoń na jego piersi i odpycham go delikatnie.

Nieruchomieje. Jest niemal niezadowolony, że odbieram mu prowadzenie, lecz ja się dalej uśmiecham. Wstaję i siadam za nim, sięgam pod jego ramionami i obejmuję go. Przywieram bardzo wrażliwymi już piersiami do jego pleców i pieszczę dłońmi jego umięśnioną klatkę piersiową. Moje pocałunki sprawiają, że jego oddech staje się ciężki.

Posuwam się dalej, czując, jak na mnie reaguje. Pocieram naprężonymi sutkami o ciepłą skórę na jego plecach, a dłońmi dalej eksploruję jego ciało. Palcami lewej ręki przesuwam wzdłuż blizny na piersi, a prawą sięgam coraz niżej, aż w końcu chwytam jego twardego, wyprężonego penisa, którego tak bardzo pragnę.

Czuję, jak drży pod moim dotykiem. Przesuwam po nim palcami, poznaję go. Mam zamknięte oczy, lecz nie przestaję całować jego łopatek i ramion i pieszczę je językiem.

Oddycha coraz szybciej i głośniejsze. Mam go w garści, dosłownie i w przenośni. To niesamowicie podniecające i silne uczucie, móc za pomocą dotyku sterować tak wspaniałym mężczyzną. Zsuwam dłoń jeszcze głębiej i obejmuję nią delikatnie jego klejnoty, a nagrodą jest głęboki jęk, jaki wydobywa się z jego gardła.

Właśnie tego chcę – żeby drżał pod moim dotykiem, tak jak ja drżałam pod jego dłońmi. Dlatego znow sięgam wyżej, obejmuję jego członek i zaczynam go pieścić. Czuję pod palcami nabrzmiałą, gorącą żołądź, przesuwam po niej opuszkami, zataczam kręgi i rozkoszuję się jej delikatną skórką.

Matteo chwytą moją dłoń i prowadzi mnie, aż zaczynam rozumieć, jak mam go dotykać, by podniecić go jeszcze bardziej. Potem mnie puszcza, odchyła głowę i zamyka oczy, kiedy powoli zwiększam tempo. Czuję, jak pęcznieje jeszcze bardziej, jak pręży się i drży.

W pewnej chwili jednak to nawet dla niego zbyt wiele, bo przerywa i się odwraca, chwytą mnie, przyciąga do siebie i zanim daję radę zareagować, siedzę na jego kolanach.

Wiem, czego pragnie, bo czuję, jak jego twarde penis napiera na moje wargi sromowe. Chce mnie posiąść, by zaspokoić bliskie eksplozji pożądanie, które sprawia, że oboje drżymy. Ja jednak chcę rozkoszować się jeszcze tą chwilą. Muszę mu pokazać, co to oznacza i że budzi we mnie uczucia, o które nigdy bym siebie nie podejrzewała. Dlatego się uśmiecham i mu umykam. Podnoszę się na kolanach nad jego łędźwiami, na tyle daleko, by nie mógł we mnie wejść, lecz dość blisko, bym mogła go całować. Z początku tylko jego twarz, czoło, policzki, usta i powieki, lecz szybko i delikatnie, by nie zdążył mi odpowiedzieć. Potem przesuwam się dalej, na jego szyję i w końcu na bliznę schodzącą dalej na pierś.

Lecz kiedy muskam ustami biały ślad, tak inny od opalanej skóry dookoła, czuję, że

tężeje. Unosi dłonie, chwytając mnie za ramiona i odsuwa od siebie.

– Nie – mówi zachrypniętym głosem. Jest prawie przestraszony – jakby ta blizna była czymś, czego nie powinnam w ten sposób dotykać, a już na pewno nie wciągać do tego, co się między nami dzieje. Coś zbyt delikatnego, by wytrzymać pieszczoty tego miejsca.

Spoglądam na niego z uśmiechem.

– A jednak – mówię, a w zasadzie powtarzam tylko jego słowa, którymi stłumił mój wczorajszy protest. Potem nachylam się i dalej całuję poszarpany ślad na skórze, ale delikatnie i czule, bo to część Mattea, fragment, który chcę poznać, jak jego całego.

Nie odpycha mnie już, lecz czuję, jak pracują mu mięśnie pod skórą. Kiedy w końcu się prostuję, z dłońmi wciąż na bliźnie, tuż przy jego sercu, dostrzegam, że ledwie nad sobą panuje. W jego oczach szaleje burza, lecz nie czystego podniecenia i pożądania, o nie. To coś głębszego, bardziej pierwotnego. Coś, co sprawia, że jest bezbronny. Wpatruję się w nie przez chwilę i czuję, że oboje spadamy w otchłań.

W końcu zamyka niespodziewanie powieki, chwytając mnie mocno, odwraca się ze mną i przyciska swoim ciałem do poduszek. Trzyma mnie za nadgarstki, tak że nie mogę go objąć, i spogląda na mnie pod sobą.

– Co ty ze mną robisz? – warczy i całuje, lecz jego pocałunek ma w sobie coś z kary, a kiedy znów unosi głowę, jego oczy płoną bólem, który stara się powstrzymać, lecz nie potrafi.

Cierpi, myślę przestraszona. I to ma coś wspólnego z blizną na jego piersi. To zewnętrzny ślad po czymś, co siedzi głęboko w jego duszy. Znak czegoś, co nie daje mu spokoju i nie pozwala oddać się bez reszty uczuciu, które nas połączyło.

Wstrząsa mną drzenie, kiedy spoglądam w jego oczy. Są mroczne, niemal groźne. I choć serce wali mi jak szalone, nie odwracam wzroku. To prawdziwy Matteo, myślę. Ten, którego ukrywa przed światem i z którym czuję się tak bardzo związana, bo wiem, jak to jest, kiedy nie chce się pokazywać innym prawdziwego oblicza. Kiedy ma się świadomość, jak niebezpieczne potrafią być uczucia i jak wyniszczające może być podążanie za nimi.

Dzielę z nim ten sam strach i pewnie dlatego nie potrafię już dłużej ukrywać, co czuję. Jestem bezbronna, nie wytrzymuję. Zatracam się w jego płonących, bursztynowych oczach.

– Sophie. – Nikłym głosem wymawia moje imię. Czuję, jak ucisk na moich nadgarstkach słabnie, a jednocześnie z jego spojrzenia znika złość, ustępując miejsca czemuś delikatniejszemu, bardziej zmysłowemu. Wzdycha i osuwa się na ławkę, unosi mnie i kładzie na siebie. Potem jednym płynnym ruchem we mnie wchodzi, całuje i przyciska do siebie tak mocno, że niemal nie mogę oddychać. Bierze mnie tak, z rozpaczliwą żądzą.

Tym razem już nie walczę. Oddaję się mu z chęcią, bo czuję, że tego potrzebuje. Bo czuję, że ja tego potrzebuję. W pewnej chwili rozluźnia uścisk i pozwala mi na sobie usiąść. Dostosowuję się do jego tempa. Kładzie dłonie na moich udach, a ja zaciskam palce na jego palcach. Czuję każde jego pchnięcie i zachłannie wpuszczam go w siebie głębiej i głębiej, spoglądam mu w oczy i razem szukamy wspólnego rytmu.

Ale czuję, że tym razem jest inaczej. Nie jest taki sam, w nowy sposób zdaje się na mnie i to czyni nasze zbliżenie intymniejszym niż cokolwiek, co dotychczas przeżyłam. Moje serce krzyczy z radości. Wypełnia je to samo uczucie, które wypełnia ciało – to coś, co wymazuje cały świat dookoła i wszystko inne pozbawia znaczenia. Wtedy przekraczam granicę, za którą nie mogę się kontrolować. Czuję, jak napięcie z mojego ciała skupia się w jednym punkcie, gdzie się wszystko zaczyna, gdzie jestem z nim zjednoczona, a potem eksploduję gorącymi falami skurczów, tak silnymi i pełnymi rozkoszy, że drzę cała i szlocham.

Matteo dołącza do mnie sekundę później, zaciska dłonie na moich udach i jęczy. Czuję moment, w którym dochodzi, i widzę ulgę w jego oczach, kiedy raz jeszcze mocno wbija się we

mnie i zalewa falą gorąca. A ja pulsuję na nim i chciwie chłonę wszystko, co mi darowuje.

Wstrząsają mną nieprawdopodobnie intensywne uczucia, które cichną bardzo, bardzo powoli. W końcu padam obok niego zaspokojona, wyczerpana i niezdolna do ruchu.

Wszystko będzie dobrze, powtarzam sobie i nadzieją przepędzam strach, który usiłuje chłodnymi palcami opleść moje serce. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, by być razem. Uda się nam.

O niczym innym nie chcę myśleć.

Coś uderza mnie w ramię. Nie mocno, ale ból wystarcza, by wyrwać mnie ze snu. Słońce wpada do sypialni przez szpary między roletami. Jest go dość, bym rozpoznała ciemne meble – szerokie łóżko, szafę i stojak na ubrania przed nią. Jestem w sypialni Mattea, a on leży obok mnie; czuję jego ciepło.

Coś jednak jest nie w porządku, bo porusza się gwałtownie i jęczy przez sen. Jedna jego dłoń wspiera się na moim ramieniu. Teraz rozumiem, że uderzył mnie przez sen i to mnie obudziło.

Przestraszona siadam, dotykam go dłonią i potrząsam delikatnie, by go obudzić.

– Matteo?

Porusza się błyskawicznie; w mgnieniu oka przyciska mnie do poduszek i unosi się nade mną, tak przerażający, że nie mogę nabrać oddechu. Zaciska dłonie na moich ramionach, a twarz wykrzywia mu okropny grymas. Rozpacz.

– Nie! – rzuca ciężko i powtarza to po chwili. Lecz kiedy wymawia to po raz drugi, jego spojrzenie staje się przytomne, rozpoznaje mnie i zaczyna do niego docierać, że to tylko sen. Z jęknięciem opada na swoją stronę łóżka, chwyta się za głowę i oddycha głęboko. Chyba mu ulżyło, że uwolnił się od koszmarnych obrazów.

Ja jestem jeszcze tak wstrząśnięta jego reakcją, że boję się podnieść. Kiedy się poruszam, spogląda na mnie i dopiero teraz zaczyna mu świtać, co się przed chwilą wydarzyło.

– Przepraszam – mówi, wciąż jeszcze roztrzęsiony. – Ja... przyśniło mi się coś... po raz pierwszy od dawna.

W miejscach, gdzie mnie ścisnął, bołą mnie ramiona. Odruchowo zaczynam je masować.

– To znaczy? – pytam, bo to musiał być cholernie zły sen, skoro doprowadził do takiej sytuacji.

Spogląda na mnie w milczeniu, po czym wstaje z łóżka, podchodzi szybkim krokiem do okna i unosi rolety, jakby światło wpadające gwałtownie do pokoju mogło przepędzić cienie jego koszmaru.

Stoi tak przez chwilę, nagi i piękny, lecz nie mógłby mieć bardziej ponurej miny niż teraz. I jestem pewna, że nie usłyszę odpowiedzi na swoje pytanie.

A jednak. Nagle unosi dłoń za głowę i się krzywi, jakby chciał się pozbyć czegoś, co sprawia mu ból, ale nie może tego zrobić.

– To ten wypadek – mówi głuchym głosem, a ja czuję ukłucie w sercu. – Moja żona... ona...

– Wiem – przerywam mu, żeby nie musiał kończyć. – Czytałam... czytałam o tym w internecie.

Potakuje w milczeniu. Najwyraźniej się przyzwyczył, że ludzie wiedzą o wszystkich szczegółach jego życia, nawet jeśli sam nic o nich nie mówi. Bo w rozmowach ze mną ani razu jeszcze nie wspomniał o tamtej tragedii, ba, nie napomknął nawet, że był żonaty. Ale nie mam się czemu dziwić, skoro ten temat wciąż wzbudza w nim takie emocje.

Ale dlaczego wypadek wraca do niego w koszmarach? Jestem przekonana, że w artykule, który przeczytałam, autor napisał wyraźnie, że w samolocie, który się rozbił o wodę, siedzieli jedynie Giulia Bertani i nauczyciel pilotażu. Jego tam nie mogło być. A może jednak?

– Nie chciałem, żeby leciała – mówi, jakby słyszał, co myślę, i wyjaśniał, o co chodzi.
– Chciałem ją zatrzymać, ale wystartowali, zanim przyjechałem.

Spoglądam na niego zdezorientowana. Co to ma znaczyć? Przecież nikt nie może przewidzieć, czy wydarzy się wypadek.

– Ale... ale przecież nie mogłeś wiedzieć, że coś im się stanie.

Matteo chyba mnie nie słucha.

– Powiniennem był ją zatrzymać. Powiniennem był... – przerywa i zaciska pięści, a potem zamyka oczy i odwraca głowę. Trwa tak przez chwilę w bezruchu, walczy ze sobą. Kiedy unosi powieki i na mnie spogląda, w jego wzroku nie ma już wzburzenia ani rozpacz. Wszystko z niego zniknęło. Wszystko. Jakby rozciągnął zasłonę, oddzielając mnie od swego wnętrza. Uśmiecha się, lecz jest w tym wiele chłodu. Z takiego uśmiechu nie potrafię się cieszyć, bo mnie wyklucza.

– Co to znaczy? – pytam mimo wszystko, wciąż przestraszona. – Co niby mogłeś zrobić?

Matteo potrząsa głową.

– *Lascia perdere*. Nieważne. – Odwraca się i dużymi krokami rusza do łazienki, zamyka za sobą drzwi i po chwili słyszę szum prysznica.

Zaniepokojona opadam na poduszki i zastanawiam się, co miał na myśli. Czy o czymś zapomniałam? W artykule napisano wyraźnie, że Giulia Bertani była pasjonatką latania i właśnie dlatego jej wypadek tak bardzo wstrząsnął opinią publiczną. Tym bardziej że dokładna analiza szczątków maszyny miała wykazać, że samolot był całkowicie sprawny. To ona musiała więc popełnić błąd, a tego Matteo nie mógł przecież przewidzieć.

A może szok spowodowany jej śmiercią był tak potężny, że do dziś sobie wmawia, że mógł ją uratować? Może cierpi jeszcze tak strasznie, że przypisywanie sobie winy to jedyny sposób, by poczuć ulgę?

Moje myśli krążą wokół tej sprawy, ale jedno jest pewne i z ciężkim sercem muszę to przyznać: dzieli nas nie tylko fakt, że lada dzień będę musiała wrócić do Londynu.

Wychodzi z łazienki taki, jakim go Pan Bóg stworzył, bez ręcznika na biodrach, i wyjmując z szafy ubranie, jasne spodnie i ciemnozieloną koszulę, po czym ubiera się szybkimi, wprawnymi ruchami. Jego milczenie jest dla mnie torturą. Nie tak wyobrażałam sobie poranek z nim, kiedy poprzedniego wieczoru zasypiałam w jego ramionach.

– Przygotuję śniadanie – mówi szybko i zostawia mnie samą. I czuję się sama, bo zachował się niemal obco. Długo nie wychodzę spod prysznica. Wmawiam sobie, że może nie jest tak źle, jak myślę. Nocny koszmar wytrącił go z równowagi, ale szybko się uspokoi – teraz ma na to szansę, kiedy jest sam w kuchni.

Kiedy wracam do pokoju, dostrzegam na łóżku rzeczy, które Matteo mi przygotował – dzinsy i różową bluzę z jakimś brokatowym napisem. Ciuchy nastolatki, myślę, i zupełnie nie w moim stylu, więc pewnie jego bratanicy. Rzeczywiście pasują na mnie, mimo że spodnie są nieco za krótkie. Ubrana czuję się lepiej – nie taka bezbronna.

Dlatego zbieram się na odwagę i schodzę do kuchni, gdzie Matteo stoi przy masywnym, bardzo eleganckim ekspresie do kawy. Resztę śniadania przygotował wcześniej i uśmiecha się krótko, kiedy mnie widzi, po czym wskazuje na balkon.

– Idź już, siadaj – mówi. Kiedy wychodzę, wita mnie cudowne majowe słońce. Nie minęła jeszcze dziewiąta, a już jest ciepło. Kolejny piękny dzień w Rzymie – od kiedy tu jestem, pogoda nieodmiennie dopisuje. Lecz mój osobisty barometr wskazuje raczej na spore

zachmurzenie, myślę nieszczęśliwa, bo na krześle, na którym siedziałam wczoraj, leży moja torebka. Zupełnie o niej zapomniałam z chwilą, kiedy odrzuciłam ją wczoraj na podłogę w holu, odpowiadając na pocałunek Mattea. A teraz czeka na mnie tutaj. Jest też suknia, w której przyszedłam, przewieszona przez oparcie. Zupełnie jakby chciał mi powiedzieć, że mam teraz wszystko, z czym przyszedłam. I mogę już iść.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak myślę, bo z drugiej strony wszystko jest równie idealne jak poprzedniego dnia. Na stole czekają dwa talerze z parującą jajecznicą i smażonym boczkiem, do tego ciabatta i masło – to pewnie jego wariacja na temat angielskiego śniadania, myślę. I gdybym choć trochę była głodna, pewnie poleciałaby mi ślinka. Ja jednak czuję ucisk w żołądku.

Matteo wychodzi z kuchni z dwiema filiżankami świeżego cappuccino, podaje mi jedną i siada.

On chyba też nie jest głodny, bo żadne z nas nie tyka jedzenia. Matteo pije jedynie kawę i spogląda na mnie. Jest zamknięty w sobie, jakby mniej dynamiczny i w gorszym humorze niż wczoraj. Nie, nie ma w jego oczach już tej agresji, czy nawet wrogości, jaką widziałam w sypialni, ale jednocześnie zniknęło z nich wszystko, co – mogłabym przysiąc – odkryłam w nich wczoraj.

Gorączkowo szukam właściwych słów, by mu wyjaśnić, co dla mnie oznacza bycie z nim i że naprawdę chętnie spróbowałabym to pociągnąć, od punktu, w którym wczoraj przzerwaliśmy. Lecz w chwili, kiedy otwieram usta, by coś powiedzieć – choćby zacząć od zwykłej prośby o podanie chleba – z mojej torebki rozlega się głośny sygnał, a ja podskakuję.

To moja komórka daje znać o nadejściu SMS-a. Otwieram torebkę i pospiesznie wydaję telefon, bo nie mam w zwyczaju ignorować wiadomości. Mogą dotyczyć mojej matki albo interesów, a ja nie mogę sobie pozwolić, by ominęło mnie coś ważnego. Tak to już jest. Serce bije mi szybciej, mimo że to tylko SMS od Nigela, który chce wiedzieć, co u mnie, i informuje mnie o sprzedaży Enza, o której i tak już wiem.

Zawstydzona podnoszę głowę, bo dopiero teraz uświadamiam sobie, że po to właśnie wczoraj tu przyszedłam – żeby powiedzieć Matteowi o sprzedaży. Przez chwilę patrzę w jego bursztynowe oczy. Unosi brwi.

– Coś ważnego? – pyta, a mnie się wydaje, że w jego głosie czai się podejrzliwość. – Kto to?

– Nigel – odpowiadam odruchowo i najchętniej natychmiast złapałabym się za głowę. Jakby jego imię mogło mu cokolwiek powiedzieć! – Znajomy. – Nie mam pojęcia dlaczego, ale prawie wstydzę się mówić mu o Nigelu. W końcu to Matteo jest powodem, dla którego prawdopodobnie nigdy nie wrócę już do swojej relacji z Nigelem – relacji, która nigdy nie była związkiem. – Przypomniał mi o sprawie, z którą wczoraj do ciebie przyszedłam. Enzo został sprzedany.

– Sprzedany? – To nowość dla niego. Najwyraźniej jego świetnie poinformowane źródła nie dotarły do tej wiadomości.

– No właśnie. Też byłam zaskoczona – przyznaję. – Jeden z naszych stałych klientów był tak zainteresowany tym obrazem, że zaproponował bardzo wysoką cenę, a właściciele się zgodzili i w kilka chwil było po wszystkim. – Przepraszająco wzruszam ramionami. – Dlatego...

– ...dlatego już mnie nie potrzebujesz – przerywa mi i kończy zdanie, nie dając mi na to szansy. Spoglądam na niego nieszczęśliwie.

Strasznie zabrzmiały słowa, które wybrał, by to powiedzieć. Jakbym chciała go teraz zostawić, porzucić, bo nie będzie już dla mnie przydatny. Ale to nieprawda. Wcale tak nie jest. Wręcz przeciwnie.

– To tylko firma nie potrzebuje już twojej ekspertyzy – poprawiam go szybko. – Ale ja...

Milknę przestraszona, bo Matteo wstaje nagle i podchodzi do barierki. Z ramionami splecionymi na piersiach spogląda na ogród poniżej. Ma stąd świetny widok, lecz szczerze wątpię, czy w ogóle go zauważa, bo ma nieobecny minę i najwyraźniej zajmuje się swoimi myślami.

Kiedy znów się do mnie odwraca, po jego ustach błąka się słaby uśmiech – taki, przez który czuję dreszcz.

– I tak bym jej nie zrobił, Sophie. – Oczy mu błyszczą, lecz jego spojrzenie jest lodowate.

– Co... jak to? To znaczy? – pytam, bo mam nadzieję, że czegoś nie zrozumiałam.

– Ekspertyzy – wyjaśnia. – Ani przez chwilę nie rozważałem nawet, że jej się podejmę.

Bardzo powoli zaczynam rozumieć jego słowa. Przełykam ciężko ślinę, zanim uda mi się wydobyć głos z gardła.

– To... czy to była dla ciebie tylko zabawa?

– Nazwij to sobie, jak chcesz. – Wzrusza ramionami. Jego gest jest jak sztylet wbity mi w serce, bo nie wierzę, że może być tak obojętny. Jakby to, że mnie okłamał, nie miało najmniejszego znaczenia.

Choć niestety w zasadzie wcale mnie nie okłamał. Nigdy nie powiedział wprost, że się tym zajmie. Nawet wtedy, kiedy zaproponowałam, że będę pozowała w zastępstwie modelki. Przypominam sobie, że miał wtedy minę, jakby poczuł się czemuś winny. Jakby miał wyrzuty sumienia, kiedy rzuciłam, że zrobię to dla niego, a on zajmie się ekspertyzą. Ból ściska mi serce, bo mówi prawdę. Od początku wiedział, że tego nie zrobi.

Jestem tak rozbita, że nie wiem, co powiedzieć. Ale jakoś muszę to z siebie wyrzucić – chcę go zapytać, dlaczego to zrobił, dlaczego pozwolił mi wierzyć w coś, co od początku nie było prawdą? Kiedy zaczynam, on unosi brwi, a w jego oczach pojawia się kpina.

– I co, chcesz jeszcze teraz o czymś dyskutować? – Jego uśmiech jest obcy. Odrzucający. Arogancki. I raniący. A ja wiem, że robi to celowo. Chce mnie zranić i mnie odepchnąć. Tylko dlatego tak mówi. To jego sposób powiedzenia, że to, co było między nami, nie ma dla niego najmniejszego znaczenia. Że włos, na którym wisiało nasze przedpołudnie, właśnie się zerwał.

Przełykam łzy i czuję palenie w gardle. Robię wszystko, by nie zacząć płakać i podtrzymać uśmiech. To ponad moje siły.

Nie chciałam tego widzieć. Nie chciałam myśleć o tym, że musi być jakiś powód, dlaczego Matteo po śmierci żony nie chce się z nikim wiązać. I musiałam być cholernie naiwna, jeśli mi się wydawało, że akurat dla mnie zmieni swoje podejście.

Co powiedziała Sarah? Że jeśli chce wyjechać z kraju, czego nigdy nie robi, to bardzo dobry znak dla naszego związku. Ale skoro nie miał takiego zamiaru, to nigdy nie było żadnej nadziei, myślę i czuję, jak smutek zabiera mi oddech.

– Nie, możesz być spokojny – odpowiadam, wstaję i sięgam po torebkę i sukienkę. – Nie mamy już o czym rozmawiać.

Mój głos brzmi spokojnie i nawet udaje mi się spokojnie poruszać, ale tylko do drzwi balkonu. Tam się zatrzymuję, odwracam i spoglądam na siebie.

– Co z rzeczami...

– Zatrzymaj je. Kupię Adrianie nowe – odpowiada, a obojętność w jego głosie działa na mnie jak cios obuchem w głowę.

Jakimś cudem udaje mi się potaknąć, a potem wyjść z domu. Żwirową ścieżką docieram do ciężkiej furtki w murze, którą da się otworzyć od wewnątrz. Dopiero kiedy jestem na zewnątrz, opieram się o zimny metal, obejmuję się ramionami i drzę, bo ledwie wytrzymuję ból.

Wiedziałaś, że nic z tego nie będzie, powtarzam sobie, kiedy zaczynam dochodzić do

siebie. Czuję już tylko lodowatą pustkę. Ale będzie dobrze. Na pewno.

To przecież tylko trzy dni i dwie noce. Dam sobie z tym radę.

Lecz kiedy ruszam sztywnym krokiem w stronę hotelu, nie wytrzymuję i łzy ciekną mi ciurkiem po policzkach – łzy, z którymi tak długo walczyłam.

Rozdział 18

– Dokąd, signorina? – pyta taksówkarz, którego cierpliwość wystawiłam na próbę. Podaję mu spiesznie adres w dzielnicy Sallustiano, otwieram tylne drzwi i z westchnieniem ulgi siadam na kanapie.

Jest już piętnaście po dziewiątej. Mam za sobą długi i męczący dzień i prawdę mówiąc, jestem zbyt zmęczona, żeby prowadzić jeszcze jakiś uduchowiony small talk, którego będzie się zaraz ode mnie wymagało. Jednak Lorenzo Santarelli zadzwonił jeszcze dodatkowo po południu, żeby przypomnieć o zaproszeniu na swoje przyjęcie. Dlatego uznałam, że moja obecność jest dla niego bardzo ważna, i obiecałam, że się pojawię.

Bądź szczerą, Sophie, karcę się w myślach i wyglądam przez okno na mijane rozświetlone witryny. Jedziesz tam też po to, żeby uniknąć kolejnego samotnego wieczoru w hotelu, gdzie siedzisz sama jak palec, zadręczasz się i nie możesz przestać myśleć o Matteo.

Wzdycham i zamykam oczy, bo na samą myśl pojawia się w mojej głowie jego obraz – nie mogę się go pozbyć, niezależnie od tego, jak bardzo bym się starała. Zadręczam się tym tak okropnie, że coraz częściej marzę, by mój pobyt w Rzymie dobiegł wreszcie końca.

Jednak nie skończyłam jeszcze zlecenia od Giacomina. Codziennie rano oglądamy i katalogujemy kolejne dzieła, lecz zamiast coraz bardziej przyspieszać, mam wrażenie, że robimy to coraz wolniej. Jeśli to w ogóle możliwe, to jego opowieści o Francesce i o tym, jak szczęśliwe było ich małżeństwo, stają się jeszcze rozwleklesze. Do tego jest bez przerwy zmęczony i przenosi część zadań na kolejny dzień, choć przecież powinien czuć się znacznie lepiej. Tak w każdym razie wynikałoby z opowieści Rosy. Ta kobieta z reguły milczy jak zaklęta, a to, że podzieliła się ze mną wiadomością, wynikało, jak sądzę, z faktu, że dopiero co dowiedziała się od lekarki o cofnięciu się anemii u Giacomina. Jeśli zaś chodzi o niego, to kiedy zapytałam, czy moglibyśmy również pracować popołudniami – nienawidzę mieć aż tyle wolnego czasu, a że po zerwaniu znajomości z Matteem nie mogę się skupić nawet na zwiedzaniu, chciałabym skończyć swoją pracę w Wiecznym Mieście – bez wahania odpowiedział, że to niemożliwe. Rozumiem jego argumenty, bo wytłumaczył, że boi się nawrotu choroby, a jednak nie mogę pozbyć się poczucia, że celowo przeciąga naszą pracę.

Na dodatek ostatnio bardzo często mówi o Matteo; znacznie częściej niż na początku naszej znajomości. I znów mam wrażenie, że coś jest nie tak i że testuje, jak reaguję na jego słowa. I kiedy wczoraj, zupełnie naturalnie, acz bardzo jednoznacznie, dałam mu do zrozumienia, że nie zobaczę się już nigdy z jego przyjacielem – nie muszę się bać, że wpadniemy na siebie przypadkiem, bo Matteo szerokim łukiem omija dom Giacomina, przynajmniej w godzinach, kiedy ja tam jestem – mój zleceniodawca nie miał wcale szczęśliwej miny. Ba, powiedziałabym, że jest smutny i zawiedziony, jakby tego żałował. A przecież sam mnie ostrzegł, że Matteo to nie jest mężczyzna dla mnie.

I powinnam była posłuchać jego ostrzeżenia, myślę i wzdycham ciężko. Znów czuję ukłucie w sercu. Dziś jest piątek, czyli minęło dokładnie pięć dni, od kiedy wyszłam z jego domu, lecz to zbyt krótko, by czas cokolwiek uleczył. Wcale mi się nie polepszyło.

Śnię o nim co noc i codziennie o nim myślę. Lecz nawet kiedy nie siedzi akurat w mojej głowie, czuję ucisk w piersiach, którego nie mogę się pozbyć. Jest tak silny, że sprawia mi fizyczny ból, choć nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Bardzo bym chciała, by istniał jakiś sposób na jego uśmierzenie.

Jedynym rozwiązaniem, jakie przyszło mi do głowy – więcej pracować, jak w domu, kiedy

chcę przestać myśleć o nieprzyjemnych rzeczach – pozwala mi wypełnić kolejne dni, lecz nie ponadto. Potem, popołudniami i wieczorami, spaceruję bez celu po Rzymie, co mi uświadamia, że dłużej się tak nie da. Dlatego dosłownie rzuciłam się na realizację zlecenia od Grace, by znaleźć dla jej męża jakieś dzieło sztuki współczesnej, i postanawiam rozpocząć poszukiwania tutaj, w Rzymie.

Dopiero po jakimś czasie przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Lorenza Santarellego i poprosić go o pomoc – to dlatego, że całkowicie o nim zapomniałam. Lecz kiedy obejrzałam wszystkie galerie, do których skierował mnie Andrew, i mimo to nie znalazłam niczego odpowiednio wyjątkowego, co sobie mniej więcej wymyśliłam, przypomniałam sobie o wizytówce od Santarellego, którą wręczył mi w czasie przyjęcia. Uznałam, że warto choćby spróbować.

Możliwe, że do wybrania jego numeru pchnęło mnie również to, że Matteo tak bardzo mnie przed nim ostrzegał. Przekora. Koniec końców, nie ma już nic wspólnego z moim życiem, a to oznacza, że nie może mi mówić, co mam robić, a czego nie. Lorenzo Santarelli ucieszył się bardzo, że do niego dzwonię. Był dokładnie taki sam, jak na przyjęciu u Giacomina – otwarty, uprzejmy i bardzo przyjazny. Niestety, wizyta w jego galerii nie przyniosła przełomu. Powierzchnia wystawiennicza zrobiła wprawdzie na mnie ogromne wrażenie, bo zajmowała pełne dwa piętra, lecz wśród promowanych tam dzieł nie znalazłam niczego interesującego. W skrytości ducha musiałam przyznać rację Matteowi, bo jakość prezentowanych obrazów była, bardzo delikatnie mówiąc, poślednia.

Mimo to nie żałowałam spotkania, bo Santarelli był bardzo pomocny i z chęcią podał mi listę kolejnych galerii, już poza centrum, w których mogłam kontynuować poszukiwania. No i zaprosił mnie od razu na wieczorne przyjęcie u siebie. Gdybym tylko nie jechała tam aż tak zmęczona...

Z zamyślenia wyrывa mnie sygnał telefonu. Wyjmuję komórkę z torebki i widzę, że to Nigel. Nigel, moja opoka i latarnia. Człowiek, który przed moim wyjazdem do Rzymu odgrywał ogromnie ważną rolę w moim życiu. Bardzo wiele mu zawdzięczam.

Za każdym razem, kiedy widzę na ekranie jego numer telefonu, czuję ogromne wyrzuty sumienia. Gdybym nie wplątała się w romans z Matteem, pewnie zostalibyśmy w końcu parą. Teraz jednak nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić – i choć wiem, że nie jestem mu winna żadnych przeprosin, zdaję sobie sprawę, że bardzo go rozczaruję.

– Sophie? – Kiedy odbieram, w słuchawce rozlega się jego ciepły głos. Uspokajający. Zawsze tak na mnie działał. Wiele bym dała, by na powrót odnaleźć w sobie tamte uczucia, to spokojne zadowolenie, które zawsze wiązałam z jego osobą. Ale to już minęło, nie ma go we mnie.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– W taksówce. Jadę na przyjęcie u Santarellego – wyjaśniam. Dziś rano już o tym rozmawialiśmy. Dzwoni do mnie częściej niż zwykle, jakby przeczuwał, że dzieje się ze mną coś niedobrego, co niekoniecznie pomaga na moje wyrzuty sumienia. Stąd wie o zaproszeniu do bogatego właściciela galerii.

– Myślałem, że nie masz ochoty tam iść – mówi zaskoczony. – Miałas dzisiaj tak wiele rzeczy do zrobienia, że powinnaś teraz trochę odpocząć. Pewnie umierasz ze zmęczenia, co?

Ogromnie dużo wysiłku kosztuje mnie ugryzienie się w język, żeby nie odpowiedzieć mu ostro. Ale tak, ma rację. Jeszcze dziś rano chciałam odmówić i podziękować za zaproszenie. Tylko że to było, zanim Lorenzo – tak, zaproponował mi, żebyśmy mówili sobie po imieniu – zadzwonił do mnie, żeby sprawdzić, czy przyjdę. Miał oczywiście rację – dziś przez całe popołudnie przeszukiwałam kolejne galerie ze swojej listy i po prostu padam z nóg. Jednak

przeszkadza mi, że mówi to tak protekcyjnym tonem, i to mimo że – jestem o tym przekonana – nie ma niczego złego na myśli. Czy robił to już wcześniej, tylko nie zwróciłam na to uwagi?

– To chyba ważne, żebym się tam chociaż pokazała – wyjaśniam mu. – Wiesz, nowe kontakty, potencjalni klienci... Nie chciałabym tracić takich okazji. Co u mamy? – pytam następnie, by nie próbował mi nawet opowiadać, co ma przeciwko takiemu wyjściu.

– Nic się nie zmieniło – odpowiada. – Tęskni za tobą. – Waha się przez chwilę. – Wszyscy za tobą tęsknimy, Sophie.

Szybko zamykam oczy, bo niespodziewanie ciężar na mojej piersi przytłacza mnie tak bardzo, że nie mogę nabrać oddechu.

– Spokojnie, niedługo wracam – odpowiadam i czuję, jak wielka gęstwa rośnie mi w gardle na myśl o powrocie do Londynu i mojego dawnego życia. Jakby nic się nie zdarzyło...

Nagle moja komórka piszczy głośno. Przestraszona odsuwam ją od ucha i spoglądam na ekran, na którym miga ostrzegawczo ikonka baterii. W tej samej chwili za oknem pojawia się zarys potężnej, jasno oświetlonej willi, przed którą się zatrzymujemy.

– Nigel, muszę już kończyć, bateria mi pada. Poza tym jestem już na miejscu – dodaję prawie z ulgą, bo w zasadzie to dobry pretekst, żeby skończyć rozmowę. Nawet jeśli jest niezadowolony, że go spławiam, nie okazuje mi tego, bo zanim przerywa połączenie, życzy mi jeszcze dobrej zabawy.

Taksówkarz – młody człowiek mniej więcej w moim wieku, o bardzo poważnej twarzy – odwraca się i podaje mi kwotę. Płacę, a on wysiada, podchodzi do moich drzwi, otwiera je i podaje mi rękę, by pomóc mi wysiąść. Cieszę się, bo mam na nogach szpilki. Po chwili stoję na podjeździe. Widok domu Lorenza Santarellego pochłania mnie tak bardzo, że dopiero kiedy taksówka odjeżdża, przypominam sobie, że jej kierowca mnie pożegnał. Wow, myślę i ruszam w stronę wielkich drzwi. Spodziewałam się, że właściciel galerii, skoro tyle razy zapewniał mnie, że jest majątny, nie będzie mieszkał w jakimś bungalowu, ale to, co widzę... wow. Nie sądziłam, że zobaczę coś takiego.

Wcześniej, kiedy poprosiłam Danielę Bini o zamówienie mi taksówki i podałam jej adres, pod który miała mnie zawieźć, kobieta powiedziała, że wie, co to za okolica. I że to bardzo elegancka i bogata dzielnica. To może być prawda, bo posiadłości są tu tak wielkie, że nie widzę domów sąsiadów. Każda willa ma długi podjazd ciągnący się od ulicy do głównego budynku – nie myliłam się więc, bo choć byłam zajęta rozmową z Nigelem, w pewnej chwili uznałam, że poruszamy się po zadziwiająco spokojnej drodze.

Jednak nie tylko posiadłość jest niesamowita – dom również robi wielkie wrażenie, choć głównie z racji przepychu. Zupełnie nie przemawia do mnie jego kształt; jest przewymiarowany, a kubistyczne formy jakby posklejanych ze sobą brył nie tworzą wrażenia spójności, do tego emanują chłodem i obcością. Potężna szklana fasada piętra nie poprawia ogólnego wyglądu. Nigdy w życiu nie chciałabym mieszkać w czymś takim, myślę, wchodząc głównymi schodami do drzwi frontowych. Naciskam dzwonek.

Cały dom jest rozświetlony, a z wewnątrz dobiega muzyka i rozmowy. Jest tak głośno, że przez chwilę się obawiam, że nikt mnie nie usłyszy i będę musiała wracać na piechotę.

Lecz nie mija wiele czasu, a drzwi się otwierają i staje w nich uśmiechnięty Lorenzo, zupełnie jakby czekał właśnie na moje przyjście. Wygląda inaczej niż wczoraj w galerii, bo tam miał na sobie bardzo elegancki garnitur z krawatem, tak samo jak na przyjęciu w domu Giacomina. Tym razem jest wyraźnie swobodniej ubrany, a w zasadzie zbyt swobodnie jak na mój gust, bo koszula, którą założył do spodni chino, ma rozpięte górne guziki, tak głęboko, że widać jego mocno owłosioną klatkę piersiową. I nie, nie chodzi o to, że nie jest dobrze zbudowany, bo jest. Ale ten widok jest zbyt obcesowy. Poza tym mam wrażenie, że od wczoraj się nie golił, bo na

policzkach wyraźnie widzę cię zarostu. To do niego nie pasuje, wygląda po prostu nienaturalnie, jakby na siłę chciał wyglądać cool. A może taki właśnie jest, tylko ja wyrobiłam sobie o nim inne, błędne zdanie?

Niezależnie od tego, jak bardzo nie przypadł mi do gustu jego dzisiejszy wygląd, staram się nie dać tego po sobie poznać. Odpowiadam na jego uśmiech, daję się objąć i pocałować w policzek, co mocno drapie.

– Sophie, jak cudownie, że udało się pani dotrzeć!

Jego radość z mojego przybycia jest szczerą i wiele bym dała, żeby potrafić cieszyć się z tego równie euforycznie jak on. Lecz kiedy prowadzi mnie w głąb domu, czuję, że jestem bardziej zmęczona, niż przypuszczałam. Nie mam w ogóle ochoty na imprezę i jedyne, czego chcę, to znaleźć się z powrotem w swoim łóżku w Fortunie. Powinnam była to wcześniej przemyśleć, laję się w myślach i tłumię ziewnięcie.

– Proszę, proszę za mną – mówi Lorenzo i prowadzi mnie przez ogromny hol wejściowy, który ma w sobie coś z muzeum sztuki nowoczesnej. Jego białe ściany ozdabiają pojedyncze ogromne obrazy. Pasuje do reszty domu, myślę, kierując się w stronę źródła głośnej muzyki, bo nawet tutaj dziwnie wygląda ten przepych i... kicz. I to mimo że niektóre obrazy są bardzo ładne. Może nie są to jakieś wielkie dzieła, ale są zupełnie poprawne i na pewno znacznie lepsze niż to, co widziałam w galerii gospodarza.

Część mieszkalną od holu oddzielają wysokie szklane drzwi. Dopiero kiedy Lorenzo je rozsuwa, dociera do mnie, jak potwornie głośno dudni muzyka. Pomieszczenie, do którego wchodzimy, jest naprawdę gigantyczne, znacznie większe niż hol. Zatrzymuję się w progu i rozglądam. Jestem zmieszana i zaskoczona i zastanawiam się, czy przypadkiem czegoś źle nie zrozumiałam.

Andrew nie był zachwycony, kiedy wspomniałam mu o zaproszeniu. Spotkałam się z nim, wracając z galerii do hotelu, i powiedziałam o Lorenzu i jego przyjęciu. Zapewnił mnie wtedy, że sam nigdy nie był na żadnej z głośnych „artystycznych” imprez Santarellego – najwyraźniej podobnie jak Matteo unika tego człowieka – ale słyszał, że ponoć dzieją się tam zawsze jakieś straszne historie. Nie zniechęcił mnie jednak, bo w końcu przez całe życie miałam do czynienia z artystami, więc przyzwyczałam się już do ich ekscentryzmu, dziwnych ubrań i często bardzo krzykliwego stylu bycia. I ze spotkaniem takich gości się liczyłam.

Tyle że to, co widzę... to coś zupełnie innego. Bosko. To, co widzę, ma w sobie coś z orgii. Czy tylko mi się tak wydaje?

Mrugam powiekami, bo się boję, że przez zmęczenie widzę rzeczy, których nie ma. Lecz niestety, dalej jestem przekonana, że niektórzy goście są nader lekko ubrani – i to bardzo delikatnie mówiąc. Otacza mnie sporo nagości, a trudność z dostrzeżeniem szczegółów wynika z migotliwego i słabego światła. Widać natomiast, że w ogromnym salonie świętuje bardzo wiele osób – stoją i siedzą ściśnięci w grupkach, co jest pewnie konieczne ze względu na bardzo głośną muzykę, którą trzeba przekrzykiwać, żeby móc rozmawiać. Mimo to hałas zdaje się nikomu nie przeszkadzać, bo nastroje są bardzo rozluźnione. Ekstremalnie rozluźnione, powiedziałabym nawet. Jest sporo par, które leżą splecione w uścisku na rozstawionych tu i ówdzie sofach – a tych jest kilka. Na innych goście siedzą tak ciasno, że nie da się rozpoznać, gdzie się kończy jeden człowiek, a gdzie zaczyna drugi. Przestraszona i zdezorientowana staram się szybko podjąć decyzję, czy zostać, bo nagle to „artystyczne” przyjęcie zupełnie przestaje mi odpowiadać. Lorenzo popycha mnie jednak dalej, w głąb pomieszczenia, a ja jestem zbyt mało zdecydowana. Wyjście teraz byłoby niegrzeczne, wmawiam sobie, bo przecież dopiero co przyszłam. Dlatego zostaję.

Prowadzi mnie w stronę narożnej sofy, na której są wolne miejsca – a w każdym razie

większość, bo na jednym jej końcu siedzi jakaś para. Mężczyzna i kobieta wyglądają całkiem normalnie i są w miarę kompletnie ubrani – nie licząc jej bardzo głębokiego dekoltu. Oboje trzymają w dłoniach kieliszki z martini. Siadam po przeciwnej stronie, w miejscu wskazanym mi przez gospodarza.

– Cześć! – krzyczy w moją stronę nieznajoma kobieta i przepija kieliszkiem. Chwilę później mogę jej odpowiedzieć, bo Lorenzo przynosi mi kieliszek z zaskakująco niebieskim płynem – najwyraźniej jakiś drink. Upijam szybko spory łyk, żeby uspokoić nerwy.

Dopiero po chwili, kiedy moje oczy przyzwyczajają się do panujących tutaj warunków, widzę, że miałam trochę racji i trochę myliłam się w ocenie. To nie jest żadna orgia, tylko sporo się tu dzieje, jak by powiedział Andrew. Dookoła panuje wyluzowana, pozbawiona pruderii atmosfera. Niektórzy wykonują dzikie ruchy i zapominają się w tańcu w rytm głośnej muzyki, inni całują się zapamiętale, podobnie jak para z mojej kanapy, która zaczyna się właśnie do siebie dobrać. Czuję, że nie są jedyni i że na pewno zrobi się jeszcze pikantniej, w miarę jak impreza będzie się rozkręcać.

Zrozpaczona upijam kolejny łyk z kieliszka – ilość cukru w napoju ma zamaskować zawartość alkoholu – bo czuję, że tu nie pasuję. I to w żadnym wymiarze – poczynając od dopasowanej i zabudowanej sukienki etui, w której pośród roznegliżowanych kobiet czuję się bardzo sztywno. Tak, sztywno, niemal pruderyjnie i nie cool, bo mam wrażenie, że to wszystko jest dla mnie zbyt nachalne, zbyt natarczywe i zbyt głośne.

Spodziewałam się po prostu czegoś zupełnie innego. O nawiązywaniu kontaktów biznesowych mogę najzwyczajniej w świecie zapomnieć, bo muzyka jest za głośna na jakąkolwiek konstruktywną rozmowę. Poza tym większość gości nie wygląda na osoby, które na poważnie zajmowałyby się sztuką, i żadnej z nich nie chcę poznać bliżej. W zasadzie jedyne, czego chcę, to jak najszybciej się stąd ulotnić i gorączkowo szukam wymówki, która pozwoliłaby mi się wymknąć i wrócić do mojego hotelu.

– Ma pani nieszczęśliwą minę – mówi Lorenzo, tak niespodziewanie i tak blisko mojego ucha, że podskakuję przerażona. Stoi za kanapą – mebel umieszczono w oddaleniu od ścian – i opiera się łokciami o oparcie. Nachyla się, żebym mogła go słyszeć. Nie czuję się swobodnie, widząc jego twarz tak blisko swojej, ale w tym hałasie inaczej bym go w ogóle nie rozumiała. – Udany dzień dzisiaj?

Przez chwilę nie mam pewności, czy nie pyta przypadkiem o moje wrażenia na temat jego przyjęcia, ale potem rozumiem, że chodzi o galerie, które mi polecił, a które dzisiaj odwiedziłam.

– Nie, niestety – mówię, a raczej krzyczę.

Wprawdzie widziałam kilka interesujących obrazów – a w każdym razie bardziej interesujących niż w galerii Lorenza, myślę zmieszana – i wysłałam ich zdjęcia Grace na komórkę. Ale dalej nie jestem zadowolona z wyników poszukiwań.

Chętnie opowiedziałabym o szczegółach, choćby i z tego powodu, że nie mam pojęcia, o czym innym mielibyśmy rozmawiać, lecz jest tu tak głośno, że to mija się z celem i jedynie wzruszam ramionami.

– Coś w końcu znajdę – wrzeszczę mu do ucha. – Ale mimo wszystko dziękuję za poradę.

Unoszę kieliszek i upijam duży łyk niebieskiego koktajlu – odruch, żeby zająć czymś rękę, bo alkohol tylko pogłębia moje zmęczenie. Niestety, w tej samej chwili głośniki tak głośno eksplodują basami, że podskakuję przestraszona i niemal zalewam się drinkiem. Chwilę później czuję dłoń Lorenza na swoim ramieniu.

– Może wyjdziemy na chwilę? – proponuje mi prosto do ucha, a kiedy potakuję, podaje mi rękę, którą z ulgą chwytam, i daję sobie pomoc wstać. Chcę jak najszybciej opuścić pomieszczenie pełne tych dziwnych obcych ludzi.

W holu, przy zamkniętych szklanych drzwiach, jest znacznie lepiej. Oddycham z ulgą.

– Proszę mi wybaczyć – usprawiedliwia się Lorenzo. – Na moich imprezach zawsze jest bardzo głośno i tłoczno. Nic nie mogę na to poradzić. W świat poszła informacja, że zawsze można tu liczyć na świetną zabawę, i bezustannie przybywa przez to ludzi.

Uśmiecha się, lecz ja mam problem, by odpowiedzieć mu tym samym, bo na jego twarzy maluje się wyraz przesadnego samozachwytu. Nie, on w ogóle nie żałuje, że jest, jak jest. Wręcz przeciwnie, jest bardzo dumny, że jego przyjęcia zrobiły się tak głośne, i najwyraźniej nie potrafi zrozumieć, dlaczego ja nie bawię się tak dobrze, jak jego pozostali goście.

– Mam za sobą bardzo długi dzień i jestem zmęczona, dlatego nie jestem w nastroju do takiego imprezowania. Chyba będzie lepiej, jeśli już wrócę do siebie – mówię i mam nadzieję, że uzna mnie za nudziarę, którą najlepiej odesłać taksówką tam, skąd przybyła. Niestety, nie robi tego, tylko przygląda mi się uważnie.

– Musi się pani po prostu rozluźnić, Sophie. Byłaby wielka szkoda, gdyby już nas pani opuściła. Proszę, może pokażę pani dom? Jest tu sporo obrazów, które pewnie panią zainteresują, no i odpocznie pani od głośnej muzyki.

– O tak, z przyjemnością – mówię, jak przystało na bardzo grzeczną Brytyjkę, mimo że wariant z taksówką sprawiłby mi znacznie większą radość. Wszystko jest jednak lepsze niż siedzenie w ogłuszającym dudnieniu muzyki.

Willa jest znacznie większa, niż się spodziewałam, i kiedy oglądamy pozostałą część parteru, mam wrażenie, że Lorenzo pokazuje mi to wszystko, żeby się pochwalić. Nie czuję się swobodnie, bo to trochę tak, jakby przechwalał się swoim bogactwem w sposób budzący zażenowanie. Znów sobie przypominam, jak negatywnie oceniał go Matteo. Może było w jego słowach więcej prawdy niż uprzedzenia, myślę sobie. Bo z całą pewnością Lorenzo nie potrafił przestać się chwalić.

Przynajmniej potwierdza się moje przypuszczenie, że obrazy w jego domu są znacznie lepsze od tych, które wystawia w galerii. Ale nie tylko obrazy – posiada na przykład brązową płaskorzeźbę Josepha Beuysa, z której jest bardzo dumny – i ma z czego! – a w kuchni, która jest większa niż całe moje mieszkanie w Kensington, wisi piękny wielkoformatowy obraz Enrica della Torrego. Bardzo liczny personel zajmujący się cateringiem wyczarowuje na półmiskach skomplikowane i kolorowe wzory z jedzenia i nikt nie ma czasu podziwiać dzieła tego włoskiego mistrza abstrakcjonizmu. Dlatego ja wybrałabym inne miejsce, by zaprezentować to dzieło. Nic jednak nie mówię – Lorenzo musi zdawać sobie z tego sprawę, a na dyskusję o właściwym wyeksponowaniu wybitnych prac brakuje mi w tej chwili energii. Ale przynajmniej udaje mi się niepostrzeżenie odstawić kieliszek z koktajlem, który z każdym łykiem wydawał mi się coraz słodszy i bardziej obrzydliwy, a zawarty w nim alkohol coraz bardziej obciążał moją głowę.

Kolejne dzieło della Torrego – Lorenzo przedstawia mi się jako wielki miłośnik tego starego mistrza – wisi na ścianie, na którą spogląda się, wchodząc schodami z holu na piętro. Tam ciągnie się długi korytarz, którego jedną ścianę stanowi przeszklona elewacja budynku. Pamiętam, że już na zewnątrz zwróciłam na nią uwagę. Po prawej widzę szereg drzwi. Korytarzem docieramy do zakrętu, za którym znajduje się dalsza część domu. Zamiast kamiennej posadzki podłogę tutaj przykrywa bardzo gruby i miękki dywan, który zdaje się wygłuszać wszystkie odgłosy. Muzyka dudni oczywiście dalej, ale jest jakby przyjemnie przytłumiona, a dźwięk naszych kroków tonie w miękkich włóknach.

Może dlatego właśnie słyszę jakiś dźwięk zadziwiająco głośno. Zaskoczona spoglądam na Lorenza, który idzie niezrażony dalej, jakby niczego nie zauważył. Uznaję więc, że tylko mi się wydawało.

– A ten cudowny obraz Salvatorego Amiottiego dopiero co kazałem tutaj powiesić

– wyjaśnia i zatrzymuje się przed wąskim, ale bardzo wysokim obrazem, zawieszonym między dwiema parami drzwi. – To młody twórca z Palermo, z którym wiązę bardzo wielkie nadzieje. Niedługo zorganizujemy mu dużą wystawę.

Tylko z największym trudem udaje mi się powstrzymać i zapanować nad miną. Lorenzo niczego nie zauważa, a ja udaję, że pilnie studiuję dzieło. To wyjątkowo wynaturzony akt, o ile w ogóle cokolwiek zrozumiałam z malowidła, ale jednocześnie sztampowy i zbyt plakatowy w stylu. Już sam dobór farb – zbyt krzykliwy – zupełnie mi się nie podoba. Paskudztwo. Nie da się go nawet porównać do obu della Torresów. Jednak Lorenzo tego nie widzi, bo przygląda się obrazowi z mieszaniną zachwytu i wzruszenia. Jakby był w nim zakochany. Znow myślę o Matteo i jego słowach i znow muszę mu oddać sprawiedliwość. Lorenzo jest oszustem i pozerem, jeśli chodzi o znajomość i wycucie sztuki. Nic dziwnego, że w jego galerii wiszą obrazy, które nie powinny znaleźć się nawet w pobliżu takiego miejsca.

– Podoba się pani?

Jego głos rozlega się zaskakująco blisko mojego ucha, a kiedy się odwracam, widzę, że stoi nader blisko mnie. Jednak w przeciwieństwie do bliskości Mattea, jego obecność odczytuję jako zbyt nachalną.

Uśmiecha się, tak samo serdecznie i przyjaźnie jak wcześniej, lecz w jego spojrzeniu widzę coś jeszcze – pewność zwycięstwa, która mnie przeraża. Czyżby mu się wydawało, że uznaję go za atrakcyjnego mężczyznę? Nagle sobie uświadamiam, że równie źle mógł ocenić moje zainteresowanie jego galerią i fakt, że skorzystałam z jego zaproszenia i przyszłam na jego przyjęcie. Dlatego odsuwam się zdecydowanie na bok, żeby podkreślić swoje nastawienie. On jednak nie traci rezonu i dalej się do mnie uśmiecha.

– Ja... bo... – zaczynam, ale nie wiem, jak odpowiedzieć na jego pytanie. Nie potrafię jednak na szybko wymyślić niczego pozytywnego, co mogłabym z czystym sumieniem powiedzieć o tym obrazie. Dlatego kamień spada mi z serca, kiedy rozdzwania się jego komórka, ratując mnie z opresji.

Lorenzo przeprosza mnie i cofa się kilka kroków w kierunku schodów, by tam w spokoju odebrać, a ja zostaję naprzeciwko paskudnego aktu i spoglądam na tę dziwną twórczość, ziewając ze zmęczenia. Zasłaniam usta i na chwilę zamykam oczy – przez co znow widzę przed sobą twarz Mattea.

Odruchowo porównuję z nim Lorenza, a wynik nie zachwyciłby pewnie mojego gospodarza. I tak chyba będzie już zawsze, myślę ze smutkiem. Jak miałabym znaleźć kogoś, kto obronną ręką wyszedłby z porównania z Ma...

Zaskoczona otwieram gwałtownie oczy, bo znow to słyszę – tym razem wyraźnie.

Nie, nie wydawało mi się. Bez wątpienia, niedaleko ktoś jęczy.

Rozdział 19

Jęk dochodzi gdzieś z tyłu, chyba z ostatniego pomieszczenia przed zakrętem korytarza i jedyne, którego drzwi nie są zamknięte, tylko lekko uchylone.

Nie zastanawiając się długo, ruszam w tamtą stronę i już po kilku krokach słyszę rytmiczne posapywanie i szelest. Znów ktoś jęczy, ale tym razem to męski głos. Zaczynam się domyślać, co zaraz zobaczę, ale mimo to się nie cofam, tylko zaglądam przez uchylone drzwi.

Jedynym meblem, jaki dostrzegam w środku, jest szerokie łóżko, pościelone i przykryte narzutą. Łóżko jest puste, jednak za nim, po drugiej stronie, dostrzegam dwóch mężczyzn. Jeden z nich siedzi. Ma dwadzieścia kilka lat, jasne blond włosy i jest ubrany, przynajmniej na tyle, na ile jestem w stanie to dostrzec, bo od pasa w dół zasłania go łóżko. Opiera się plecami o ścianę i ma zamknięte oczy. Nagle wzdycha cicho i się prostuje, jakby nie mógł już dłużej czegoś wytrzymać. Drugi z mężczyzn klęczy kawałek dalej, jest starszy, ma czterdzieści kilka lat i ciemne włosy. Jego klatka piersiowa jest obnażona i mogę się założyć, że niżej również jest nagi, bo ruchy, jakie wykonuje, są bardzo jednoznaczne: skoncentrowany rusza biodrami w tył i w przód w jednostajnym rytmie. To on tak szybko i głośno oddycha.

Mój mózg ma kłopot ze zrozumieniem tego, co widzą oczy, bo brakuje jednego ważnego elementu. Dopiero po chwili dostrzegam głowę z rudopomarańczowymi lokami i krągłość pośladków, które co pewien czas pojawiają się nad krawędzią łóżka, i zaczyna do mnie docierać, że to kobieta. Musi klęczeć między obydwoma mężczyznami, ciemnowłosa bierze ją od tyłu, a ona zaspokaja ustami blondyna, który coraz głośniej jęczy, jakby zbliżał się do orgazmu. Aż w końcu dochodzi – widzę, jak się prostuje i odsuwa od ściany, a jego twarz na chwilę wykrzywia napięcie, by szybko ustąpić miejsca zadowoleniu i spełnieniu. Odprężony opada na plecy i ciężko oddycha.

Jednocześnie drugi mężczyzna porusza się coraz szybciej i mocniej, a przez jego sapanie przebijają się pełne zadowolenia jęki kobiety, której obecność prawidłowo odgadłam. Dziewczyna się nie hamuje, krzyczy coraz głośniej i głośniej. Prosi ciemnowłosego mężczyznę, by brał ją mocniej, i jęczy, że zaraz dojdzie.

Nie wiem dlaczego, ale nie potrafię oderwać wzroku od rozgrywającej się przede mną sceny, choć w zasadzie chcę tego. Stoję jednak jak wmurowana, czując jednocześnie wstyd, podniecenie i przerażenie. To, co robi ta trójka, to nie moja sprawa i nie powinnam się im przyglądać, lecz nie potrafię się odwrócić i odejść, aż w pewnym momencie młody blondyn otwiera oczy i nasze spojrzenia się krzyżują. Opiera się zadowolony o ścianę i nie jest zaszokowany ani przestraszony, widząc mnie w drzwiach. Wręcz przeciwnie – uśmiecha się do mnie. Zaprasza mnie do środka.

To pozwala mi otrząsnąć się z otępienia, w którym trwałam.

Pospiesznie się nachylam, chwytam za klamkę i zamykam za sobą drzwi, a mojemu odejściu towarzyszą dobiegający ze środka głośny krzyk i jęki, które oznaczają, że pozostała dwójka właśnie szczytuje.

To, że blond mężczyzna mnie zobaczył i się do mnie uśmiechnął, wywołuje we mnie wstyd i zażenowanie. Dlaczego się nie odwróciłam i nie odeszłam, kiedy usłyszałam jęki? Przecież wtedy miałam już pewność, co tam się dzieje, a przynajmniej powinnam się była domyślić. Odwracam się i chcę jak najszybciej odejść, lecz widzę, że korytarzem zmierza w moją stronę Lorenzo. Skończył rozmawiać przez telefon i szeroko się uśmiecha.

Przez chwilę się zastanawiam, czy powinnam powiedzieć, co dzieje się za drzwiami tego

pomieszczenia, czy raczej milczeć i udawać, że nic się nie wydarzyło.

Nie muszę jednak podejmować tej decyzji, bo Lorenzo w pewnym sensie robi to za mnie. Obejmuje mnie ramieniem i prowadzi dalej korytarzem. Kiedy mijamy ostatnie drzwi przed zakrętem, słyszę głośne jęczenie – trójka z zamkniętego pokoju wróciła do zabawy – a ja zatrzymuję się wzburzona, bo jestem przekonana, że Lorenzo również musi to słyszeć. On jednak spogląda na mnie zdziwiony.

– O co chodzi? – W jego głosie słychać delikatne rozbawienie.

– O nic – odpowiadam i daję mu się prowadzić dalej, aż mijamy zakręt.

– Chciałem pokazać pani coś naprawdę wyjątkowego – mówi tajemniczo i dziwnie się przy tym uśmiecha. Chociaż może tylko mi się tak wydaje, bo jestem bardzo roztrzęsiona. – To coś piękniejszego, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka, i mam nadzieję, że będzie pani potrafiła to dostrzec. Bardzo chętnie dzieliłbym z panią zachwyty nad tym pięknem.

Okej, myślę i wzdycham ciężko. Co mnie teraz czeka? Kolejny obraz wybitnie utalentowanego Salvatorem Amiottiego?

Czekam, aż Lorenzo otworzy drzwi, lecz on się cofa i zachęca mnie gestem, bym sama weszła do środka.

– Zapraszam. Niech się pani rozejrzy. I proszę, niech się pani otworzy na jego działanie.

Zastanawiające, że nie chce wejść tam ze mną, ale niech mu będzie, robię, co proponuje. Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Światło w pomieszczeniu jest równie słabe i migotliwe jak w salonie na dole.

Obraz, który wisi na ścianie, natychmiast skupia całą moją uwagę i tak stałoby się nawet wtedy, gdybym nie zajmowała się zawodowo handlem dziełami sztuki i nie oceniała odruchowo każdego obrazu, który znajdzie się w zasięgu mojego wzroku. Jest tak wielki, że nie da się go przeoczyć. A jego motyw tak doskonale pasuje do tego, co przed chwilą widziałam w pomieszczeniu przed zakrętem, że stoję oniemiała i zadaję sobie pytanie, czy to wyobraźnia płata mi figle.

Nie jest to dzieło abstrakcyjne, jak wszystkie, które dotychczas oglądałam w tym domu; nie, to bardzo realistyczne przedstawienie seksualnego zbliżenia. Główny plan pokazuje nagą kobietę na ziemi, a jej jasna skóra kontrastuje z ciemnym tłem. Ma zawiązane oczy i ramiona nad głową. Jej ręce spięto stalowymi kajdanami, przymocowanymi łańcuszkiem do sufitu. Za nią stoi – groźny, jak mi się wydaje – mężczyzna. Ma na sobie czarne spodnie, a jego tors jest nagi. W jednej dłoni trzyma koniec łańcucha, którym unosi ramiona kobiety, a w drugiej coś w rodzaju pejsza, nie mam jednak pewności. Jego głowa niknie w cieniu, więc nie da się dostrzec rysów twarzy, natomiast twarz kobiety widać bardzo wyraźnie: jest wykrzywiona żądzą.

Obraz tak bardzo skupia moją uwagę, że dopiero po dłuższej chwili dostrzegam pozostałe przedmioty w pokoju. Na ścianach wiszą jakieś czarne przybory, lecz poza ich kolorem i tym, że część z nich wygląda dość niebezpiecznie, nie mogę niczego więcej dostrzec. Poza tym tuż pod obrazem stoi dziwny mebel, przypominający skrzyżowanie krzesła i ławki, przy czym byłoby niesłychanie trudno zająć na nim jakąś wygodną pozycję. Cały obwieszony jest łańcuchami zakończonymi klamrami i kajdanami. Najwyraźniej mają one służyć do unieruchomienia nadgarstków, kostek i szyi osoby, która zajęłaby miejsce na tym czymś.

Nigdy wcześniej nie widziałam takiego pomieszczenia, jednak mimo to wiem, gdzie się znalazłam – to studio praktyk SM. To tutaj dochodzi do stosunków sadomasochistycznych, takich jak ten przedstawiony na obrazie.

Serce bije mi tak szybko, że mam wrażenie, iż zaraz wyskoczy mi z piersi. Co powiedział Lorenzo? Że chciałby coś tutaj ze mną dzielić?!

Muszę stąd wyjść, myślę spanikowana i odwracam się na pięcie. Wypadam na zewnątrz,

mijam zaskoczono gospodarza i biegnę długim korytarzem w stronę schodów. Potem na dół, do holu, gdzie widzę parę, z którą siedziałam na kanapie. Idą przytuleni w kierunku schodów. Oboje są uśmiechnięci, kiedy się mijamy. Biegnę dalej, w stronę ludzi, a w mojej głowie wszystkie części układanki zaczynają wskakiwać na swoje miejsca.

Para z kanapy zmierzała na górę, prawdopodobnie aby robić to samo, co trójka przyłapaną przeze mnie w jednym z pokoi – kto wie, może nawet planowali do nich dołączyć. W miarę jak impreza będzie się rozkręcała, pewnie będą mogli liczyć na kolejnych chętnych do uczestnictwa w takiej zabawie. Niektórzy trafią do ponurego pomieszczenia z łańcuchami. A Lorenzo o wszystkim wie. Ba, żeby tylko! Najprawdopodobniej będzie im towarzyszył. A z tego, co powiedział, chciałby, żebym z nim została.

Cholera, myślę i drżącymi palcami wydobywam z torebki komórkę. Nie mogę jej jednak włączyć, bo bateria jest wyczerpana i ekran pozostaje ciemny. Cholera. Cholera. Cholera.

Zdyszana popycham szklane drzwi do tej części domu, w której dudni ogłuszająca muzyka. Muszę jakoś wezwać taksówkę, która mnie stąd zabierze, a jestem przekonana, że tutaj znajdę kogoś, kto będzie mógł mi użyczyć swojej komórki.

Rozglądam się uważnie i idę przez tłum. Cieszę się, że ludzie, których mijam, naprawdę tylko rozmawiają i się śmieją. Szybko znajduję jakąś kobietę ze smartfonem w dłoni. Coś pisze. Chcę do niej zagadać i poprosić o pomoc, lecz zanim mi się to udaje, ktoś chwytą mnie za ramię.

Lorenzo.

– Nie chciałem cię przestraszyć – mówi mi prosto do ucha, a kiedy odsuwa się ode mnie, ma skruszoną minę, jakby odczuwał wyrzuty sumienia. To jednak nie wystarczy, żebym została.

– Wezwałby pan dla mnie taksówkę? – odkrzykuję, nieco oddalona od jego ucha. Mam nadzieję, że nie będzie oponował i spełni moją prośbę. Wtedy mogłabym mu nawet wybaczyć, ba, na pewno bym to zrobiła. Każdy powinien mieć prawo szukać szczęścia tam, gdzie mu odpowiada, a skoro on chętnie bawi się w takie rzeczy, to proszę bardzo. Ale beze mnie.

Lorenzo się uśmiecha i wyciąga do mnie dłoń, bierze w palce kosmyk moich włosów i bawi się nim przez chwilę. Potem znów się pochyła.

– Wiesz, jaka jesteś pociągająca? Niesamowicie! – mówi mi na ucho. – I uwodzicielska. Potrafisz uskrzydlić męską wyobraźnię. Sama też możesz zaspokoić swoje potrzeby. Tutaj miałabyś ku temu możliwość. Poddanie się komuś i podporządkowanie się może być naprawdę piękne, uwierz mi.

Puszcza moje włosy, bo widzi, że nie odpowiadam na jego uśmiech, i robi zrezygnowaną minę, bo w końcu pojmuję, że nie jestem zainteresowana jego propozycją poszerzenia swoich horyzontów seksualnych.

– Chciałabym już wracać – powtarzam na wszelki wypadek. Widzę, że wzdycha, bo usłyszeć tego nie mam szans.

– Jak chcesz. Ale napij się ze mną chociaż jeszcze jednego drinka – przekrzykuje hałas. Może ma nadzieję, że alkohol pomoże mi podjąć decyzję, której ode mnie oczekuje? – Poczekaj, przyniosę ci koktajl.

Odchodzi, a ja zaczynam tracić nadzieję, że szybko wrócę do domu. Zrozpaczona zamykam oczy. Wiele bym dała, żeby znaleźć się jak najdalej stąd. Powinnam była posłuchać Andrew, który ostrzegwał mnie przed dekadencjami imprezami dla artystów, organizowanymi przez Lorenza Santarellego. I powinnam była słuchać...

Mattea.

Mam wrażenie, że moje serce zatrzymuje się na kilka chwil, po czym bije znowu, ale w szaleńczym tempie, bo mój wzrok pada na wysokiego mężczyznę o blond włosach, który przeciska się przez tłum. Czyżbym z rozpaczy zaczynała widzieć rzeczy, o których marzę, lecz

które naprawdę się nie dzieją? A może... może to naprawdę on?

Tak, bez dwóch zdań. To Matteo. Ulga jest tak ogromna, że cała drzę i uginają się przede mną kolana, a potem czuję wielką tęsknotę. Najchętniej rzuciłabym się w jego stronę i skoczyła mu na szyję, jednak boję się to zrobić, bo ma wściekłą minę.

Poza tym zupełnie tego nie rozumiem. On, tutaj? Myślałam, że brzydzi się Santarellim.

A potem Matteo staje naprzeciwko mnie i zanim udaje mi się zareagować, kładzie dłonie na moich ramionach i przyciąga mnie do siebie.

– Wszystko dobrze? – krzyczy, żebym go usłyszała, i spogląda na mnie uważnie. Dopiero w tym momencie jestem gotowa przyznać się przed sobą, że nie, nic nie jest dobrze. Jestem zmęczona, otoczona tłumem jakichś dziwnych, obcych osób i naprawdę nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu czuła się tak przeciążona. Dlatego potrząsam głową, a jego twarz robi się jeszcze bardziej ponura i zacięta.

Puszcza mnie i przez chwilę boję się, że odwróci się zaraz i odejdzie, a ja znów zostanę sama. On robi jednak coś zupełnie przeciwnego – otacza mnie ramieniem, jak wtedy na ulicy, by ochronić mnie przed zgrają pijanych turystów, i przeprowadza mnie bezpiecznie przez tłum do holu. Jednak to nie jest jego cel – idzie dalej, na zewnątrz, i prowadzi mnie do swojego samochodu, zaparkowanego na podjeździe. Jego kabriolet tym razem ma zamknięty dach. Matteo otwiera drzwi i wpuszcza mnie na miejsce pasażera. Z wdzięcznością zapadam się w skórzanym fotelu i przyglądam się, jak obchodzi auto i siada za kierownicą. Potem uruchamia silnik, ruszamy i wyjeżdżamy na ulicę.

Dopiero po kilku minutach, kiedy wjeżdżamy w gęściej zamieszkałe okolice, daje znać o sobie szok. Cała się trzęsę. Ta sytuacja mnie przerosła – zbyt wiele rzeczy zdarzyło się naraz. Najpierw dzika impreza, podczas której działy się rzeczy, które – teraz w końcu mogą to przed sobą przyznać – naprawdę mnie przeraziły, a teraz jeszcze niespodziewane pojawienie się Mattea. Właściwie to chyba jego przybycie najbardziej wytrąciło mnie z równowagi.

Myślałam, że już nigdy go nie zobaczę, bo przecież to on mnie odesłał, czym tak bardzo mnie zranił. A potem nagle pojawia się z powrotem i to w chwili, kiedy najbardziej go potrzebuję, niczym bajkowy rycerz na białym koniu, i ratuje mnie z opresji – nieprzyjemnej sytuacji, w którą bym się nie wpakowała, gdybym go posłuchała.

Potrzebuję trochę czasu, żeby się uspokoić. W końcu odwracam głowę i przyglądam się Matteowi. Wciąż ma ponury wyraz twarzy, lecz prowadzi bardzo spokojnie i pewnie przez pulsujące nocnym życiem miasto. Tak właśnie się przy nim czuję – pewnie. A to jest okropnie nie fair, bo jak mam być na niego wściekła, skoro dzięki niemu nagle czuję się znacznie, znacznie lepiej?

– Po co tam poszedłeś? – pytam w końcu, żeby przerwać ciszę. – Myślałam, że nie przepadasz za Lorenzem?

– „Nie przepadam” to mało powiedziane – parska Matteo i odwraca na chwilę głowę, żeby na mnie spojrzeć. W jego oczach dostrzegam złe błyski, lecz nie wiem, czy to z mojego powodu, czy właściciela galerii.

– Ale mimo to chadzasz na jego przyjęcia? – Dalej nie rozumiem, jak to możliwe.

– Nie, nie chadzam. Dzisiaj zrobiłem wyjątek, z twojego powodu – wyjaśnia, czym wprawia mnie w jeszcze większe zaskoczenie.

– A skąd w ogóle wiedziałeś, że mnie tam znajdziesz?

– Od Andrew. Przypadkowo wpadliśmy na siebie u Giacomina i kiedy usłyszałem, że wybierasz się na imprezę organizowaną przez Lorenza Santarellego, pomyślałem, że lepiej rozejrzę się i sprawdzę, czy... – waha się, przerywa i spogląda na mnie w dziwny sposób – ...czy dobrze się bawisz – kończy, a ja czuję, że robi mi się ciepło.

Czyli przyjechał tam tylko dlatego, że się o mnie martwił?

– Nie bawiłam się tam dobrze. Wręcz przeciwnie – mówię. – Dziękuję – dodaję cicho. To jedno słowo nie jest w stanie wyrazić ulgi, jaką czuję, siedząc z nim w aucie, a nie męcząc się w ogłuszająco głośnej willi.

Matteo potakuje, lecz z jego twarzy nie znika poważna mina.

– Czy Santarelli próbował się do ciebie dobrać? – Sama myśl o tym wydaje się go bardzo denerwować.

Kręcę głową.

– Nie, ale... – Trudno mi ubrać w słowa to, co się tam wydarzyło. – Miałeś rację. Ze wszystkim. To pozer i kłamca. A kiedy chciałam wracać i okazało się, że mam rozładowaną baterię w komórce, nie wezwał mi taksówki, choć go o to prosiłam. Powiedział, że najpierw muszę wypić z nim drinka, więc nie wiem, jak długo bym tam jeszcze siedziała, gdybyś się nie pojawił... – Wzdycham i uśmiecham się do niego, lecz on nie odpowiada mi tym samym.

– Po co tam w ogóle poszłaś? Przecież wyraźnie cię ostrzegałem, że powinnaś trzymać się od niego z daleka!

Zmęczona przymykam oczy.

– Nie miałam pojęcia, co to za impreza – tłumaczę swoją decyzję, po czym unoszę powieki i spoglądam na niego, bo nagle coś do mnie dociera. – Ale ty przecież wiedziałeś, prawda?

Nie odrywa wzroku od ulicy, którą jedziemy.

– Raz tam byłem, zgadza się. Wystarczyło, żebym wyrobił sobie zdanie o tym, co Santarelli uważa za rozrywkę – wyjaśnia mi i naciska na hamulec, zatrzymując auto. Potem włącza wsteczny bieg. Odwracam głowę i przyglądam się, jak sprawnie wjeżdża tyłem w niewielką przerwę między zaparkowanymi samochodami. Rozglądam się zaskoczona i widzę, że dotarliśmy już pod mój hotel. Czuję delikatne ukłucie w sercu; wcale mi się nie uśmiecha tak szybki powrót do Fortuny. Stokroć bardziej wolałabym jechać dalej przez noc u jego boku.

Usiłuję się wyprostować i wysiąść i dopiero wtedy zauważam, jak głęboko zapadłam się w wygodny fotel. Matteo jest już na zewnątrz, otwiera drzwi i podaje mi dłoń. Chwytam ją i daję sobie pomóc. Chwilę później stoimy bardzo blisko siebie na chodniku, a ja czuję, że wzbierają we mnie uczucia, których od tygodnia nie potrafię powstrzymać. Kolana się pode mną uginają, a serce wali jak szalone. To dlatego, że znów jest tak blisko. Ale to nieprawda, myślę. To nie tak. To się nie uda. Nie możemy być razem.

Weź się w garść, Sophie! Zmuszam się, by puścić jego dłoń. Nie mogę, ba, nie wolno mi znów pakować się w coś takiego. Odwiózł mnie do domu, co mu się bardzo chwali, ale to jeszcze nie oznacza, że chce wrócić do czegoś, co przerwaliśmy. Nie powinniśmy tego robić, bo oboje dobrze wiemy, że to droga donikąd. Bo już raz tam byliśmy.

Dlatego chcę się od niego odsunąć, lecz kiedy robię krok w tył, trafiam nogą na krawężnik, którego nie zauważyłam, potykam się i tracę równowagę... Sekundę później leżę w jego ramionach, bo znów wykazał się refleksem i schwycił mnie, zanim upadłam.

Zbyt zmęczona, by być rozsądna, czując się, jakby moją głowę spowijała mgła, myślę, że może bycie niezdarą ma też swoje dobre strony. Ale tylko jednemu mężczyźnie na świecie tak chętnie padam w ramiona. Tylko temu jednemu, który właśnie mnie złapał i mocno trzyma.

Nie mam pojęcia, czy z mojej twarzy da się odczytać, co myślę, albo czy Matteo sam się reflektuje, że już kiedyś byliśmy w takiej sytuacji. W każdym razie w końcu się uśmiecha – w końcu! – a jego zmarszczone dotąd czoło się wygładza.

– Może lepiej odprowadzę cię na górę – mówi, a ja wzdycham, bo stawia mnie na ziemi. A potem idzie obok, bardzo blisko mnie, zapewne powodowany obawą, że znów stracę

równowagę. Prowadzi mnie na drugą stronę ulicy i przez szklane drzwi, które się bezgłośnie przed nami rozsuwają, wchodzimy do hotelu. Za kontuarem recepcji nie ma akurat nikogo i choć bardzo lubię signorę Bini, cieszę się, że możemy bez świadków poczekać na windę.

Kiedy w końcu zatrzymuje się na parterze i wsiadamy do środka, dzielą nas ledwie centymetry. Oddycham głęboko i zaciskam pięści. Walczę ze sobą i z pragnieniem, by go dotknąć – bo chcę tego, a kiedy patrzę w jego oczy i widzę ich wyraz, wiem, że on też o tym myśli. Co jeszcze bardziej mnie rozbija.

To byłoby takie proste, myślę. Naprawdę niewiele brakuje. Jeszcze tylko odrobinę bliżej... kawaleczek... Napięcie jest tak wielkie, że lada chwila zaczną przeskakiwać między nami iskry. A wtedy skończy się to tak, jak pragnie moje ciało. Ale moje serce jest bardzo ostrożne.

Matteo raczej nie miałby nic przeciwko, gdybym zaproponowała mu seks bez zobowiązań. I przyrzekła nie rozmawiać potem o przyszłości i perspektywach. Tylko czy sam seks by mi wystarczył? Czy mogłabym dalej żyć, gdyby odszedł?

– Skąd wiedziałeś, że nie będę się dobrze bawić na tej imprezie? – pytam cicho.

– Nie wiedziałem. Chciałem się tylko upewnić – odpowiada, unosi dłoń i odsuwa mi kosmyk włosów z czoła. – Ale przeczuwałem, że to nie jest twoja bajka.

Najwyraźniej obchodzę go jeszcze na tyle, że natychmiast wsiadł do samochodu i pojechał sprawdzić, czy nic mi nie jest. A to oznacza, że nie jestem mu obojętna. To jeszcze bardziej podkopuje moją silną wolę i zdecydowanie.

Winda zatrzymuje się z szarpnięciem na moim piętrze, drzwi się otwierają i kończy się nasza wymuszona bliskość. Tylko kilka kroków dzieli nas od drzwi mojego pokoju. Kiedy stajemy przed nimi i szukam w torebce karty magnetycznej do zamka, czuję, że serce rozpada mi się w piersi na tysiące fragmentów, bo tak ciężko wytrzymać z myślą, że zaraz sobie pójdzie. Chyba że go zatrzymam...

Matteo wyjmuje mi z dłoni kartę, kiedy w końcu ją odnajduję, i przesuwają ją przez czytnik. W głębi duszy jestem mu za to wdzięczna, bo drżą mi palce. Lecz kiedy drzwi zostają otwarte, a on cofa się o krok, ja nie potrafię ruszyć się z miejsca. Muszę zapytać go o jedną rzecz, która nie daje mi spokoju.

– A ty... brałeś udział we wszystkim, co tam się działo? Kiedy byłeś na tej imprezie. Skorzystałeś z możliwości?

Matteo krzywi się delikatnie.

– Jedyne się przyglądałem.

Przed oczyma momentalnie staje mi obraz tamtych dwóch mężczyzn i rudej kobiety w pokoju na piętrze i przypominam sobie, co wtedy poczułam, a nie był to tylko strach. Czułam również podniecenie. Myśl o tym wywołuje znajome mrowienie w moim podbrzuszu. Ale nie, nie chciałam tego, a już na pewno nie z obcymi ludźmi. Za to wyobrażenie, że Matteo mógłby wziąć mnie tak, jak ciemnowłosa mężczyzna brał tamtą kobietę, albo że ja mogłabym go zadowolić tak, jak ona zadowalała blondyna, wywołuje we mnie podniecenie.

Zabawy, których fanem jest Lorenzo, budzą we mnie strach i nie umiem sobie wyobrazić, bym kiedykolwiek potrafiła odczuwać przyjemność i żądzę w sytuacji poniżenia czy zadawania bólu.

– A to pomieszczenie na piętrze, na samym końcu korytarza? – Nie wiem, jak zadać to pytanie, ale Matteo doskonale rozumie, o co mi chodzi.

– Wystarczyło, że tam zajrzałem – mówi i uśmiecha się krzywo. – Dla mnie seks i przemoc nie idą w parze. Oczywiście, że jeśli coś obojgu sprawia przyjemność, to nie można tego zakazywać, ale ja wolę, kiedy obie strony mają równe prawa. Nie potrzebuję uczucia

dominacji, a moja partnerka nie musi mi się podporządkowywać, żebym dobrze się bawił. Wręcz przeciwnie, mnie to kojarzy się z nudą.

Kamień spada mi z serca, bo mamy podobne podejście do tego tematu. Uśmiecham się do niego. Cały czas stoi tuż obok, tak blisko, że wystarczyłoby, bym uniosła dłoń, by dotknąć jego piersi. A kiedy patrzę na niego i krzyżują się nasze spojrzenia, czuję tak silne przyciąganie, tak silny skurcz w brzuchu, że muszę oprzeć się plecami o futrynę, by go nie dotknąć.

I wtedy nagle przychodzi świadomość, że to tak nie działa. Nie mogę dać mu po prostu odejść – nie, jeśli jest szansa, że zostanie przy mnie, choćby tylko na tę jedną noc.

Dawna Sophie – ta dziewczyna, która nie wiedziała, jak cudownie pełne może być zjednoczenie z mężczyzną, zachowałaby się teraz przytomnie i rozsądnie. Bałaby się zatracić w tym potężnym uczuciu, które mogłoby pozbawić ją resztek samokontroli. Jednak nowej Sophie – dziewczynie, która narodziła się dopiero tutaj, w Rzymie, nagle to nie przeszkadza. Nie chce myśleć o tym, co będzie jutro, nie chce myśleć o niczym poza tym, że Matteo jest teraz obok. I o tym, że specjalnie dla niej pojechał do Santarellego, którego przecież nie znosi. I że najwyraźniej jemu też się nie spieszy, bo stoi przy drzwiach i nie ma zamiaru odchodzić.

Uśmiecham się i wsuwam dłonie pod plecy, co sprawia, że wypinam piersi do przodu – drobiazg, lecz po błysku w jego oczach wiem, że to zauważył. No i dobrze, myślę i prowokacyjnie opieram głowę o drewnianą framugę.

– Ale mimo wszystko to lubisz?

– Słucham? – pyta zdezorientowany.

– Dominować – wyjaśniam i nie odwracam wzroku. – A w każdym razie takie odniosłam wrażenie.

Co nie jest wcale prawdą, a w każdym razie nie w tym sensie, w jakim dominację rozumie Santarelli. Seks między nami był za każdym razem dziki i pełen pasji i za każdym razem zostawiał mnie bez tchu. A kiedy chciałam przejąć inicjatywę, Matteo szybko wracał do prowadzenia.

Nie mówię oczywiście, że mi to przeszkadzało, bo tak nie było. Wręcz przeciwnie. Na samą myśl, że znów mógłby to zrobić, czuję rozkoszny skurcz w podbrzuszu. Mówię to wszystko, żeby go sprowokować. I udaje mi się, bo mruży oczy. Opiera dłoń o framugę i nachyla się w moją stronę, aż zaledwie centymetry dzielą nasze twarze.

– Bo tak na mnie działasz, Sophie Conroy. I masz rację, przy tobie tracę nad sobą kontrolę – mówi, a w jego oczach płonie ogień, który tak pragnęłam zobaczyć. – Ale to nie znaczy, że nie potrafiłbym cię wziąć delikatnie i czule. Bo potrafiłbym. Poznawanie każdego centymetra twojego ciała byłoby niesłychaną rozkoszą, aż do chwili, kiedy ty już dłużej nie mogłabyś wytrzymać. Wtedy ty przejęłabyś prowadzenie i mówiła, co mam z tobą robić, *bellezza*. – Jego oddech miesza się z moim, a jego słowa podniecają mnie tak bardzo, że czuję pierwsze dreszcze żądz.

– Może... – Przetykam ślinę, bo wiem, że jestem zgubiona, ale cieszę się z tego szaleńczo. – Może powinieneś mi pokazać, o co ci chodzi, bo inaczej nie uwierzę – dodaję i w duchu krzyczę ze szczęścia, bo ujmuje moje biodra i zdecydowanym gestem popycha mnie do środka.

Rozdział 20

Stoję przed nim drżąca, gotowa na wszystko, co ma zamiar ze mną zrobić. Nie chcę już myśleć, chcę czuć, chcę znów cieszyć się jego bliskością.

Lecz on najwyraźniej bardzo poważnie traktuje moje wyzwanie, bo zamiast mnie objąć i całować, jak bym chciała, przyciąga mnie delikatnie do siebie i pozwala mi poczuć swoje ciepło. Trzyma dłonie na moich biodrach, a serce wali mi jak szalone, bo ta bliskość ma w sobie coś ogromnie podniecającego – stoję naprzeciwko niego i nic na razie nie robimy, ale jest między nami napięcie, zapierające dech w piersiach oczekiwanie na to, co się zaraz stanie.

Ale to ja mam tym razem zdecydować, co dalej, bo kiedy spoglądam na Mattea, on uśmiecha się do mnie i unosi dłoń, by pogłaskać mnie czule po twarzy.

– Co teraz, Sophie? Mów, co mam robić. – Czuję rozkoszny dreszcz pożądania. Pragnę go bardziej, niż myślałam. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę potrafiła odczuwać coś takiego w stosunku do jakiegokolwiek innego mężczyzny, a to, że dobrowolnie oddaje mi prowadzenie i chce, bym to ja decydowała, co dalej, wynosi moje podniecenie na nieznany mi poziom.

– Rozbierz mnie – mówię i przetykam wolno ślinę, bo Matteo obchodzi mnie, staje za moimi plecami i rozpina zamek sukienki. Potem czuję jego dłonie na sobie. Nie miałam pojęcia, że skóra na plecach jest tak wrażliwa.

Matteo zsuwa materiał z moich ramion, aż sukienka opada na ziemię. Nie przestaje mnie głaskać, całuje moje łopatki, kark i szyję i rozpina mi biustonosz, by wysłać go w ślad za sukienką. Potem klęka przede mną i zdejmuję ze mnie majtki.

Kiedy spogląda na mnie w górę, uśmiecha się przy tym bezczelnie i z porywającą pewnością siebie. Wygląda na to, że wypełnianie takich rozkazów zupełnie mu nie przeszkadza. A jednak nie potrafi zachowywać się całkowicie pasywnie, bo unosi dłonie i zaczyna dotykać moich nóg. Z początku przesuwając palcami po moich łydkach i kolanach, ale szybko przechodzi do delikatnych pieszczot czułych wewnątrz moich ud. W jego oczach widzę oczekiwanie, więc się uśmiecham, by mu pokazać, jak bardzo podoba mi się to, co robi. Widząc to, zaczyna szukać i w ślad za dłońmi podąża ustami, pieszcząc linię między moimi biodrami i udami. Posuwa się nią coraz niżej, czuję jego ciepły oddech i koniuszek języka, wędrujący wąską, delikatną szparą pachwiny... Drzę i wplątam dłonie w jego włosy, bo rozkosz jest nie do wytrzymania. Lecz na chwilę, zanim dociera do najczulszego miejsca na mapie mojego ciała, odsuwam go od siebie i patrzę mu w oczy.

– Przenieś mnie na łóżko – polecam, a on uśmiecha się lubieżnie i wiem, że ta gra sprawia mu taką samą przyjemność jak mnie.

Rozpalona jego dotykiem przesuwam dłońmi po swoim ciele i widzę, jak w jego oczach wybuchają płomienie.

– A teraz twoja kolej. Rozbierz się – polecam, a on bez słowa sprzeciwu spełnia moje życzenie, rozpina koszulę i ściąga ją z ramion. Boże, ależ on jest przystojny, myślę, sycąc wzrok jego cudowną sylwetką. Jego blizna odcina się bielą od złotej opalenizny i budzi we mnie pragnienie, by jej dotknąć. Czuję, że jest kluczem do niego. Bez niej byłby kimś innym, nie byłoby w nim tej hardości i nieustępliwości, skrytej za czarującym uśmiechem, którą dał mi już odczuć. Jest jak zbroja, która chroni jego wnętrze, a ja się zastanawiam, czy kiedykolwiek się dowiem, co się pod nią kryje. Czy da mi na to szansę?

Matteo pozbywa się również reszty odzieży, a kiedy staje przede mną nagi, podziwiam

jego piękne ciało. Przesuwam wzrokiem po muskularnej klatce piersiowej, płaskim brzuchu z seksownym sześciopakim i koncentruję się na dumnie wyprężonym penisie. Słabnę z pożądania, gdy go widzę.

– Podejdz – szepcę, bo nie mogę normalnie mówić. Wyciągam do niego ramiona i rozkoszuję się dotykiem jego skóry, kiedy kładzie się obok mnie. Chcę go, muszę go zaraz poczuć, nawet jeśli naprawdę istnieje tylko to, co łączy nas w tej konkretnej chwili, tylko to dzikie pożądanie... Nawet jeśli poranek przyniesie to samo, co już przeżyłam, ta noc należy do nas. Przynajmniej tyle mam, myślę i głaszczę jego klatkę piersiową. Czuję grę mięśni pod jego skórą.

A potem mam już tylko pustkę w głowie, bo Matteo robi to, co zapowiedział jeszcze przed drzwiami, i znaczy pocałunkami i dotykiem każdy centymetr mojego ciała – poznaje wszystkie, każdy zakamarek, od piersi, kończąc na łonie. Oszczędza mnie tam, za to całuje i pieści wszystkie inne miejsca – moje stopy, kolana, brzuch, ramiona i dłonie – i mówi po włosku cichym, zachrypniętym szeptem. Tłumaczy, jaka jestem piękna, jak bardzo go podniecam i tka z tych słów kokon rozkoszy, w którym unoszę się, jakbym nic nie ważyła. Nie sądziłam, że tak może wyglądać zbliżenie z mężczyzną, myślę cudownie rozleniwiona i prężę się przed nim, wystawiam na jego dotyk, zachwycona, jak dobrze wie, co sprawia mi przyjemność. Nie hamuję się, daję mu się podniecać tak bardzo, aż tętnienie między moimi udami staje się tak mocne, że nie mogę go dłużej ignorować. Mam wrażenie, że jestem napięta do granic możliwości, a kiedy dotknie mnie tam, przekroczy granicę i eksploduję. Musi o tym wiedzieć, bo przerywa pieszczoty, podnosi mnie i sadza sobie na kolanach.

– Co teraz, *padrona*? – pyta z zadowolonym uśmiechem. Słyszę w jego głosie nacisk i wiem już, że ta niesłychanie podniecająca gra jego również nie pozostawiła obojętnym.

Pokazuję mu, czego pragnę, i siadam na jego wyprężonym penisie. Biorę go w siebie, gorąca i wilgotna. Jestem gotowa, by wyszedł mi naprzeciw, by wbił się we mnie jeszcze głębiej. Czuję, jak mnie wypełnia i rozpycha. Jęczę z rozkoszy.

– Obejmij mnie nogami – szepce mi ochryple do ucha, a ja robię, o co prosi, i splatam stopy za jego plecami. W ten sposób otwieram się na niego jeszcze szerzej i czuję zupełnie nowy rodzaj napięcia w mojej perlece.

– Oooch... – wrywa mi się z gardła, a ciałem wstrząsa niekontrolowany dreszcz, choć przecież jeszcze nie zaczął się we mnie poruszać. A kiedy to robi, jest bardzo delikatny. Nie wchodzi we mnie głęboko, to raczej kołyszące, okrężne ruchy, które wzmagają napięcie łechtaczki, ale tak delikatnie i rozkosznie, że nie potrafię powstrzymać szlochu, bo na dodatek całuje mnie delikatnie i palcami pieści moje sutki.

W całym ciele czuję ciarki, dostaję gęsiej skórki i nie potrafię być już spokojna. Chwytam go za ramiona i poruszam biodrami, skoncentrowana na tym, co się we mnie dzieje, na uczuciu, które zbiera się we mnie jak gorąca lawa przed erupcją, a potem falami skurczy przelewa się nad krawędzią i obejmuje mnie całą. Szczytuję nie gwałtownie, ale niesamowicie intensywnie, a fale skurczy nie chcą się zatrzymać, wciąż zaczynają się od nowa i porywają mnie ze sobą, a ja bezradnie chwytam się kurczowo jego pleców, bo to jedna pewna rzecz, jaką mam w zasięgu rąk. W końcu opadam na niego wyczerpana i zaskoczona tym, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Że potrafił obudzić mnie na takie doznania.

Dopiero po dłuższej chwili dochodzę do siebie. Znowu mogę się wyprostować i czuję, że wciąż jest we mnie, napięty i sztywny.

– Jeszcze nie doszedłeś – zauważam prawie zaskoczona i dostrzegam kropelki potu na jego czole.

– Nie wiesz nawet, jak trudno się czasem powstrzymać – mówi ze zmęczonym

uśmiechem. Najwyraźniej dotrzymuje słowa i chce mnie słuchać.

Ale tak dalej być nie może. Niezależnie od tego, jak pięknie było przed chwilą, pragnę też tego Mattea, którego poznałam wcześniej. Chcę wszystkiego, co może mi dać. Dlatego puszczam go zdeterminowana i schodzę z jego kolan, co mu się zupełnie nie podoba.

– Dalej będziesz robił, co ci każę? – pytam.

Opiera się na łokciach i uśmiecha.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – mówi.

– To cudownie. – Z bijącym dziko sercem odwracam się do niego plecami, staję na czworakach i spoglądam przez ramię. – W takim razie pieprz mnie od tyłu – mówię i sama się dziwię temu, co powiedziałam.

Ale właśnie dokładnie tego teraz potrzebuję – chcę, żeby zrobił ze mną to, co robił ciemnowłosa mężczyzna z tamtą dziewczyną.

W oczach Mattea pojawia się błysk pożądania. Nie muszę powtarzać zaproszenia: klęka za mną i umieszcza masywną główkę penisa na moich wargach sromowych. O Boże, chcę go! Czekam, aż we mnie wejdzie, aż się we mnie wbije i z rozkoszy zasycha mi w ustach. W końcu robi to – rozpoławia mnie swoim członkiem i wbija się głęboko, a ja jęczę razem z nim, bo czuję go jeszcze intensywniej i jeszcze głębiej niż poprzednio. Już raz brał mnie od tyłu, w czasie pierwszej wspólnej nocy, ale wtedy leżeliśmy na boku. Tym razem jest inaczej. Bardziej zwierzęco. Wzbiera we mnie jeszcze potężniejsza fala podniecenia, bo to jest intensywniejsze niż wcześniejsze zbliżenia.

– O Boże, Sophie! – jęczy Matteo i zaczyna się we mnie poruszać. – Oszaleję przez ciebie!

Jego pierwsze pchnięcia są powolne, ale mimo to zapierają mi dech w piersi. Napinam się i ściskam sobą jego członek, a kiedy przyspiesza, każde pchnięcie wyrywa jęk z mojego gardła. Nie mam już nad sobą kontroli, nie mam kontroli nad swoimi wewnętrznymi mięśniami, które zaciskają się wokół jego wielkiego penisa i pchają mnie w kierunku kolejnego orgazmu. Nie mam już sił podierać się ramionami i opadam twarzą na łóżko. Czuję go przez to jeszcze brutalniej i jeszcze głębiej w sobie. Wbija się we mnie dziko i niepohamowanie, aż zaczynam się bać, że lada chwila mnie wyprzedzi i dojdzie we mnie. A potem nagle sięga pode mnie, odszukuje palcem moją perełkę i zaczyna ją pieścić, podczas gdy drugim kciukiem napiera na moją drugą dziurkę i wchodzi do środka.

– Matteo! – Nieoczekiwany nacisk przerywa tamę. Gwałtownie nabieram powietrza i czuję, jak gwałtowna fala orgazmu porywa mnie ze sobą. Drzę, jęczę i szlocham, a on w tym samym momencie eksploduje we mnie i wylewa się z długim, głębokim jękiem. To zbyt wiele, dla nas obojga. Kiedy jest już po wszystkim, opadamy na poduszki i ciężko dysząc, leżymy obok siebie.

Poczucie rzeczywistości wraca do mnie bardzo, bardzo powoli, ale w końcu jestem w stanie odwrócić się i wtulić w jego ramiona, rozerwana między szczęściem i rozpaczą.

Gdyby przed moim wyjazdem do Rzymu ktoś mi powiedział, że spotkam tutaj mężczyznę, który będzie wywoływał we mnie tak silne, tak gwałtowne uczucia, nigdy bym w to nie uwierzyła. Na taki scenariusz nie było w moim życiu miejsca i cały czas się boję, że teraz już nic nie będzie takie samo. Lecz gdybym znów stanęła przed tą decyzją, bez mrugnienia okiem wybrałabym noc w jego ramionach. Powoli zmęczenie bierze nade mną górę, opadają mi powieki i zasypiam, szczęśliwa, że nie muszę się zastanawiać, co to wszystko dla mnie oznacza.

Budzę się następnego ranka i kiedy otwieram oczy, słońce zalewa pokój przez

niezasłonięte okna. Niemal natychmiast sobie przypominam, co wydarzyło się poprzedniej nocy, i odwracam głowę, bo się boję, że nie zobaczę Mattea. Ale on tam jest, leży tuż obok mnie. Odwracam się do niego, a on przez sen kładzie dłoń na moim biodrze i przyciąga mnie mocno do siebie.

Przyglądam mu się i czuję bolesny ucisk w sercu. Nie potrafię powstrzymać odruchu i sięgam do jego twarzy, głaszczę ją delikatnie i odsuwam włosy z czoła, bo nie mogę uwierzyć, że jest tu ze mną. Kiedy po pierwszej wspólnej nocy obudziłam się w jego ramionach, uczucia, jakie się we mnie pojawiły, przeraziły mnie. Dziś dopuszczam je do siebie i cieszę się nimi.

Nie ma sensu dłużej zaprzeczać, myślę i czuję, jak w gardle rośnie mi gula. Jestem w nim zakochana. A możliwe, że jest znacznie gorzej – możliwe, że fazę motylków w brzuchu mam już za sobą, bo uczucie, które mnie wypełnia, jest tak intensywne, że budzi mój strach.

Myślałam, że miłość to coś trwałego, niemal namacalnego i niezawodnego. Że ma w sobie spokój, jest nienaruszalnym fundamentem, na którym będę mogła oprzeć życie. A nie to całe drżenie, ten chaos, który mnie teraz otacza. Nie chciałam tego, bo miałam przed oczyma ciągle wahania, wzloty i upadki w małżeństwie moich rodziców, a to naprawdę zły przykład. Lecz teraz to bez znaczenia, bo nieważne, jak daleko starałabym się uciec, to uczucie zostanie ze mną na zawsze i będę musiała z nim żyć, balansując cały czas nad przepaścią. Teraz już rozumiem, że nawet jeśli Matteo – tak samo jak ja – nie potrafi oprzeć się temu potężnemu przyciąganiu, z jakim na siebie oddziałujemy, to szanse na to, by zmienił swoje podejście do trwałych związków, są bardzo nikłe. Poza tym moje życie jest w Anglii, w Londynie, i nie mogłabym ot tak, dla swojej fantazji zostawić wszystkiego, co mnie tam trzyma. A to, myślę ze smutkiem, pozbawia mnie tutaj perspektyw.

Matteo czuje mój dotyk, bo porusza się i otwiera oczy. Przez dłuższą chwilę spoglądamy na siebie, a ja boję się oddychać. Przyglądam się mu zafascynowana i obserwuję, jak w jego złotych oczach pojawia się ciepło. Potem uśmiecha się leniwie.

– I? – pyta, a ja marszczę czoło, bo nie mam pojęcia, o co mu chodzi. To sprawia, że jego uśmiech staje się szerszy, a na policzku pojawia się cudowny dołeczek. – Zadowolona z braku mojej dominacji?

Potakuję z entuzjazmem.

– Przekonałeś mnie. – Ale wołę mu nie zdradzać, jak dalece. Tak czy inaczej ma mnie w garści. Uśmiech zamiera mi na ustach, kiedy całuje mnie delikatnie, a potem siada i rozgląda się po pokoju.

– Co robisz? – pytam. Na szczęście nie słyhać w moim głosie strachu, który nagle mnie ogarnia. Zbiera się do wyjścia?

Przez moment właśnie tego się obawiam, bo kiedy odwraca się w moją stronę, nie potrafię rozszyfrować jego uśmiechu. Po chwili jego twarz rozjaśnia ta pełna tupetu, niemal bezczelna mina z wczorajszej nocy. Pada na poduszkę obok mnie i podpira się na łokciu.

– Możesz zdecydować, skoro tak ci się to spodobało. Bo muszę przyznać, że twoje rozkazy bardzo, ale to bardzo mnie podniecają – twierdzi. – Chyba jest już za późno na hotelowe śniadanie, więc może przejdziemy się do mnie? Mógłbym zrobić ci znowu jajecznicę z boczkami? Albo zostanemy w łóżku, śniadanie może przecież poczekać?

Serce wali mi jak szalone, bo obie propozycje dotyczą „nas”. Kamień spada mi z serca. Może nie zawsze trzeba wszystko tak szczegółowo planować, myślę i uśmiecham się do niego promiennie.

– Masz rację, może poczekać – mówię i chodzi mi o coś znacznie więcej niż tylko śniadanie. Obejmuję go ramionami, a on dobrze rozumie, co mam na myśli, bo zaczyna mnie całować.

Rozdział 21

– *Zio*, to ty?

Kobięcy głos dochodzący niespodziewanie z mieszkalnej części willi jest dla mnie zaskoczeniem. Podnoszę gwałtownie wzrok, ale nie udaje mi się cofnąć dłoni i odruchowo naciskam przycisk uruchamiający ekspres do kawy. Młynek zaczyna głośno pracować i mieli ziarna kawy na cappuccino. Krzywię się, bo ktokolwiek przyszedł, już wie, że ktoś jest w kuchni, bo hałas jest dość głośny. Domyślam się, kto to jest, bo słowo *zio* oznacza stryjka, a niewiele osób zwracałoby się tak do Mattea. Prawdę mówiąc, nie podoba mi się myśl, że zaraz zostanę przyłapaną przez Adrianę w kuchni jej stryjka, wcześniej rano, ubrana tylko w płaszcz kąpielowy. Ale nic nie mogę już zrobić i nie mam jak uciec. Dlatego uśmiecham się przyjaźnie i staram się zachowywać na luzie, kiedy chwilę później w progu staje młoda ciemnowłosa dziewczyna.

– O! – Jest wyraźnie zaskoczona moją obecnością, bo słysząc ekspres do kawy, spodziewała się zastać przy nim Mattea. Nie wygląda jednak na przestraszoną, a wręcz przeciwnie – uśmiecha się szeroko, odkłada na bok rzeczy, które ze sobą przyniosła, podchodzi do mnie i wita mnie serdecznym pocałunkiem w policzki.

– *Buon giorno*, Sophie. Ludzie z fundacji otworzyli mi furtkę, a drzwi na piętro nie były zamknięte, więc pozwoliłam sobie wparować tak bez ostrzeżenia. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Doskonale mnie pamięta, tak samo zresztą jak ja ją, lecz nie ma się czemu dziwić, bo bardzo długo mi się przyglądała, kiedy siedziałam na stole w atelier i pozowałam na zajęciach Mattea. Nie spodziewałam się jednak, że przywita mnie jak starą znajomą, w sposób całkowicie naturalny ignorując fakt, że jestem niekompletnie ubrana i zamiast w normalnej garderobie paradyję po kuchni w sporo za dużym szlafroku należącym najpewniej do jej stryjka.

Jest naprawdę ładną dziewczyną, myślę, bo w końcu mam okazję przyjrzeć się jej dokładniej. Dopiero teraz zauważam też podobieństwo rodzinne, mimo że z ciemnymi włosami i ciemnymi brwiami sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie, że nie są z sobą w żaden sposób spokrewnieni. Za to jej uśmiech bardzo przypomina uśmiech stryjka.

– Załapię się na filiżankę? – pyta radośnie i wskazuje na automat. Bez wahania podaję jej kawę, którą przygotowałam dla siebie, sięgam po kolejne naczynie, stawiam je w odpowiednim miejscu i uruchamiam cały proces od początku. Od kiedy Matteo mi pokazał, jak obsługiwać taki ekspres, prawie się uzależniłam od przepysznej kawy, którą się w nim przygotowuje.

Adriana opiera się leniwie o blat kuchenny i zaintrygowana zastanawia się, dlaczego sama się tu krzątam.

– Elisa ma dziś wolne?

Potrząsam głową.

– Cały tydzień. – Co jest mi bardzo na rękę, bo mogę swobodnie poruszać się po domu, wychodzić i wracać. Wcześniej byłam bardzo skrupowana, czując na sobie uważne spojrzenie gosposi.

– A gdzie jest Matteo? – pyta Adriana.

– W łazience – odpowiadam i staram się nie czerwienić. Mój Boże, Sophie, masz dwadzieścia kilka lat! – ganię się poirytowana. Nie możesz się czuć głupio, kiedy ktoś wpada na ciebie rankiem w domu jakiegoś mężczyzny. Adriana ma chyba takie samo zdanie na ten temat, bo uśmiecha się teraz jeszcze szerzej.

– Czyli to prawda... – mówi i upija łyczek aromatycznego napoju.

Marszczę czoło zaskoczona.

– Że niby co jest prawdą?

– No, że częściej tu bywasz.

Tym razem czuję pieczenie w policzkach i wiem, że są zaróżowione, bo nie spodziewałam się, że to, ile czasu spędzam w domu Mattea, może kogokolwiek interesować, a świadomość, że tak jest, nie napawa mnie radością.

– Kto tak twierdzi?

Adriana się śmieje.

– Jeśli stryjek pokaże się więcej niż jeden raz z jakąś kobietą i w dodatku trzymając ją za rękę, to możesz mi wierzyć, taka wiadomość rozejdzie się lotem błyskawicy.

Na szczęście w tym samym momencie ekspres kończy przygotowywać moje cappuccino i mogę się odwrócić, żeby wziąć filiżankę.

– Usiądziemy na zewnątrz? – pytam Adriany i z nieco wymuszonym uśmiechem wskazuję głową na drzwi na taras. Nie mam ochoty drążyć tego tematu, bo dla mnie samej sprawa jest jeszcze zbyt świeża i zbyt krucha.

Przy czym zgadza się, co mówi – od czasu okropnego przyjęcia u Santarellego spędzam tu z jej strykiem bardzo dużo czasu.

Do południa pracuję oczywiście u Giacomą, lecz zaraz po wyjściu z jego willi spotykam się z Matteem i jeśli uda nam się opuścić jego sypialnię – seks z nim jest tak samo cudowny jak wcześniej i nie możemy się sobą nasycić – wychodzimy na miasto i poznaję Rzym. I tak mijają nam dni, jak piękny sen, którym chcę się rozkoszować, zanim się obudzę.

Dlatego komentarz Adriany nie bardzo mi się podoba – przypomina mi, że niestety nie jesteśmy zamknięci w próżni i niedługo znów zderzymy się z rzeczywistością – faktem, że jesteśmy razem tylko na jakiś czas, jeśli ani on, ani ja nie zrobimy jakiegoś kroku, żeby znaleźć rozwiązanie. Na razie żadne z nas nie porusza tego tematu. Matteo unika rozmowy o naszej przyszłości, konsekwentnie od ranka w moim pokoju hotelowym. Ja nie przypominam mu o tym i nie zadaję pytań, spodziewając się, że układa się nam tylko dzięki temu, że nie mówimy o perspektywach.

A jednak mam wrażenie, że ostatnio coś się zmieniło: Matteo stał się bardziej otwarty i przystępny. Tak mi się w każdym razie wydaje. Często bierze mnie za rękę, kiedy idziemy przez miasto, albo zupełnie naturalnie mnie obejmuje – jakbyśmy byli normalną, zakochaną w sobie parą. Za każdym razem czuję ukłucie w sercu, każdy taki gest wzmacnia moje uczucia względem niego, a wraz z nimi pragnienie, by nic się nie zmieniło. Ale to niemożliwe, wiem. Muszę go opuścić, bo zbyt wiele rzeczy czeka na mnie w Londynie, bym mogła je porzucić. Mimo najszczęśliwszych chęci nie pasuje do mojego życia tam – a poza tym zupełnie nie wiem, czy chciałby w ogóle wspólnej przyszłości ze mną. Niespodziewanie ogarnia mnie smutek, kiedy siadam z Adrianą na dworze, pod pergolą.

Dziewczyna się nie domyśla, co się ze mną dzieje, i uśmiecha się radośnie.

– A właśnie, zanim zapomnę. Muszę ci podziękować.

– Mnie? A za co? – Marszczę czoło, bo naprawdę zaczynam się już gubić.

– Za to, że pożyczyłaś moje rzeczy. W zamian za nie Matteo zafundował mi shopping z Aurorą Biasini. – Widząc moje zdziwione spojrzenie, wywraca oczyma, bo nie może uwierzyć, że nie znam tak ważnego nazwiska.

– To bardzo popularna stylistka, chyba najbardziej rozchwytywana w mieście. Gwiazdy ustawiają się grzecznie w kolejce i czekają, żeby zgodziła się im doradzać. A ja miałam okazję spędzić z nią dwie godziny w najdroższych sklepach w Rzymie, żeby dobrać sobie kompletną garderobę. – Z dumną miną prezentuje swoje ramię. – To też ona wypatrzyła. Niezłe, co?

I kolczyki. Obłowiłam się, mówię ci. Mam teraz całą masę świetnych ciuchów. A za wszystko zapłacił Matteo, bo dał ci starą bluzkę i jakieś dzinsy! – Wzdycha radośnie. – Tata jest na niego wściekły. Powiedział, że mnie rozpieszca. Ale ja tak nie uważam.

Uśmiecham się, bo to przecież słodkie widzieć, jak się cieszy. Poza tym to takie podobne do Mattea, że obdarowuje swoją bratanicę czymś tak nieprawdopodobnym – ona z całą pewnością zajmuje w jego sercu bardzo specjalne miejsce, nawet jeśli kocha pozostałych bratanków i bratanice. Bo że Adriana nie jest jedyna, wiem z jego opowieści: Luca, jego brat, ma jeszcze dwie córki, siedmio- i dziewięcioletkę, a do tego pięcioletniego syna. Jego drugi brat, Michele, też jest ojcem, ma córkę i dwóch synów, w wieku od trzech do ośmiu lat. Adriana zajmuje wśród nich bardzo specjalne miejsce – słyszę to, ilekroć o niej mówi. Może dlatego, że dzieli z nim miłość do malarstwa? A może też dlatego, że urodziła się w roku, w którym zmarł jego ojciec...

Mogę się jedynie domyślać, jak mu się powodziło w latach, które przemieszkał u babci. Czasem wspomina o tamtym okresie, ale zawsze w nawiązaniu do Adriany. Za to nigdy nie mówi ani o swojej żonie, ani o wypadku, w którym zginęła, ani o tym, po którym została mu ta blizna na piersi. Nawet jeśli nasza rozmowa przypadkowo zbacza w tym kierunku, natychmiast zmienia temat. A ja tak bardzo chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Jednak, przyznaję się ze wstydem, sama też nie rozmawiam z nim za bardzo o swoim życiu w Londynie. Nie ma zielonego pojęcia, że znam Sarah, i po tamtym SMS-ie ani razu nie wspomniałam o Nigelu, choć ten wydzwaniał do mnie codziennie. Nie powiedziałam mu również o swojej mamie, że jest chora i że nigdy nie mogłabym jej zostawić. To dlatego, że nie mogę się pogodzić z tym, że sam nigdy nie stanie się częścią mojego życia – a musiałabym, gdybym chciała mu opowiedzieć o swojej codzienności, w której nie widzę po prostu dla niego miejsca.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć z powrotem swoje ciuchy – mówię. Zupełnie o nich zapomniałam, bo inaczej już dawno oddałabym je Matteowi.

– Nie, dzięki, możesz je zatrzymać, już ich nie potrzebuję, serio! – zapewnia mnie Adriana, bo chyba się przestraszyła, że będzie jeszcze musiała oddać swoje designerskie ciuchy.

– Adriana! – Na balkonie pojawia się Matteo. Włosy ma jeszcze mokre po prysznicu; wyglądają na ciemniejsze niż zazwyczaj. Jednak poza tym – w przeciwieństwie do mnie! – jest kompletnie ubrany i ma na sobie świetnie dobrane spodnie i koszulę, w której wygląda tak doskonale, że moje serce na chwilę gubi rytm.

Cieszy się, że widzi bratanicę, przytula ją, ale też nie kryje delikatnego zaskoczenia. Poza tym co chwila spogląda w moją stronę, jakby nie był zadowolony, że tak swobodnie rozmawiam z kimś z jego rodziny.

– Co robisz tutaj o tej porze? – pyta. – Nie powinnaś być w szkole?

Dopiero kiedy to mówi, uświadamiam sobie, że ma rację. Przecież w piątek rano nastolatka powinna być na lekcjach! Jednak ona uśmiecha się szeroko i wyjaśnia:

– Wypadły nam dzisiaj dwie pierwsze lekcje, więc pomyślałam, że przypomnę ci o prezencie.

Matteo marszczy czoło, pojawia się na nim głęboka pionowa zmarszczka, którą tak dobrze już znam. Spogląda szybko w moją stronę, co pogłębia moje przekonanie, że coś tu jest nie tak. Coś w fakcie, że porozmawiałam chwilę z Adrianą na osobności, budzi jego niezadowolenie.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy – mówi. – Wszystkim się zajmę.

Wyraźnie jest zirytowany tym, że temat w ogóle wypłynął.

– Napijesz się jeszcze kawy? – pyta dziewczyny.

– Nie, dzięki. – Adriana potrząsa głową. Jest zadowolona z życia i szczęśliwa i w ogóle

nie zauważa, że jej stryjek nagle ma zły humor. Kiedy na mnie spogląda, w jej oczach pojawia się bystry uśmiech, dokładnie taki sam, jak wtedy na koniec zajęć. O nie, myślę, bo nagle zaczynam ją rozumieć. Ona ignoruje jego humory. I robi to celowo.

– Powiedziałeś już Sophie? – pyta.

– Nie, jeszcze nie było okazji – odpowiada. Miarka się przebrała, myślę. Właśnie omija mnie coś ważnego, a ja nie wiem co.

– O czym miałeś mi powiedzieć?

– O urodzinach nonny – wyjaśnia za niego Adrianna. – Obchodzi je jutro. Kiedy usłyszała, że wy... no wiesz, jesteście jakby bliżej, uparła się, że Matteo musi cię przyprowadzić.

– Rozumiem. – Serce wali mi nieprzyjemnie szybko i czuję pieczenie w żołądku, kiedy patrzę na Mattea. Unika mojego spojrzenia. Miałabym pojechać z nim do jego rodziny, a on zapomniał mi o tym powiedzieć?

Adriana ignoruje napięcie, jakie między nami zapanowało, i po prostu mówi dalej:

– Byłoby megafajnie, nic się nie martw – zapewnia mnie, jakby chciała rozwiązać moje obawy, których jeszcze nie wyraziłam. Potem zwraca się do wujka: – Musicie przyjechać, wczoraj jeszcze raz mnie o to poprosiła. Poza tym macie już prezent – przypomina mu, jakby naprawdę brała pod uwagę, że Matteo mógłby zapomnieć i nie pojawić się na urodzinach Valentyny. Nawet dla mnie to oczywiste, że za nic by tego nie zrobił. W końcu jednak zaczynam rozumieć, że mówi to tylko po to, żeby podkreślić, że chodzi o dwie osoby. O niego i o mnie. Adriana wie, że jej stryjek się pojawi – boi się jedynie, że mógłby zapomnieć zabrać ze sobą mnie.

Potem nagle zaczyna jej się spieszyć. Jednym łykiem dopija kawę i odstawia filiżankę.

– Dobra, muszę lecieć! Do jutra! Już się nie mogę doczekać! – żegna się i znika w domu, wcześniej zapewniając Mattea, że sama trafi do wyjścia i on nie musi jej odprowadzać.

Kiedy zostajemy sami, przez dłuższą chwilę panuje między nami milczenie.

– Nie chcesz, żebym jechała z tobą na rodzinną uroczystość? – pytam cicho. Muszę wiedzieć, co myśli.

Świdruje mnie spojrzeniem, bardzo uważnym, które nijak nie pasuje do jego uśmiechu.

– *Nonna* tego chce. A ja nie mogę jej odmówić – odpowiada. – Bardzo by się zdenerwowała, a to niedobre dla jej serca.

To również jest dla mnie nowością.

– Ma chore serce?

Matteo potakuje.

– Lekarze powtarzają, że musi zacząć się oszczędzać, ale ona nie chce o tym słyszeć.

– Wzrusza ramionami. – Powiedziałbym ci, Sophie – dodaje, jakby chciał podkreślić, teraz, kiedy już przypomniał sobie argument, dlaczego to takie ważne, żebym na pewno poszła.

Lecz mnie w tej chwili bardziej interesują wiadomości o Valentinie. Przypominam sobie przyjęcie u Giacomina i troskę, z jaką Matteo spoglądał na babcię, kiedy rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy.

– Musiałeś dać jej wtedy słowo, prawda? Że nie pokłócisz się ze mną na przyjęciu?

– pytam, bo nagle to dla mnie oczywiste. To dlatego go o to zapytała i dlatego zaprzeczył i się zarzekał, że nasza rozmowa przebiegła w przyjaznej atmosferze.

Matteo potakuje. Znów normalnie się uśmiecha. Chyba też przypomniał sobie tamtą sytuację.

– Ale się nie udało. Nie mogłem przecież przypuszczać, jak strasznie jesteś kłótniwa – mówi.

Chcę odpowiedzieć na jego uśmiech, podroczyć się z nim, skoro sam zaczął, i uwierzyć

w to, co połączyło nas przez ostatnich kilka dni, ale nie potrafię. Nie, myślę. To nie miało prawa zadziałać. I na dłuższą metę też nie będzie funkcjonować. Bo nie mogę o to bez przerwy zabiegać, a jemu nie będzie zależało.

Biorę filiżankę, z której już dawno wypiliśmy całą kawę, wstaję i odnoszę ją do kuchni. Umieszczam ją pod dyszą ekspresu, by przygotować sobie kolejne cappuccino. Lecz kiedy młynek głośno miażdży ziarna kawy, ja stoję nieruchomo i pustym wzrokiem patrzę przed siebie. Mam wrażenie, że dotarłam do ściany. Dalej nie zrobię już ani jednego kroku. I nagle drzę przestraszona, bo Matteo niespodziewanie kładzie mi dłoń na ramieniu.

Cofa ją, kiedy się odwracam. Jego twarz wyraża niepewność.

– Chcesz mi towarzyszyć?

Najwyraźniej nie może się zdecydować, jaką odpowiedź wolałby usłyszeć: tak czy nie. Valentina jest mu bardzo drogą osobą, więc prawdopodobnie rzeczywiście powiedziałaby mi w końcu o jej urodzinach. Z jednej strony chciałby spełnić jej życzenie, a z drugiej nie czuje się dobrze, myśląc, że miałby zabrać mnie na rodzinną uroczystość. Dlatego ja też nie mam pewności, czy to w ogóle dobry pomysł.

Jednak co się stanie, jeśli odmówię? Czy nie powinnam wykorzystać unikalnej szansy, by go lepiej poznać, i nieważne, co miałyby się wydarzyć potem?

Przez dłuższą chwilę nie odwracam wzroku i zatracam się w jego cudownych bursztynowych oczach, które chciałabym w końcu zrozumieć, nawet jeśli się boję, czego mogłabym się dowiedzieć.

– A mam inne wyjście? Przecież nie chcę, żeby Valentina poczuła się źle z mojego powodu – mówię i wruszam ramionami, po czym podchodzę do niego i kładę mu dłonie na piersi.

– O której musisz wyjść? – pytam, bo wiem, że zaraz ma jakieś spotkanie na uniwersytecie. Unoszę wzrok i z ulgą zauważam, że nie ma już tej zaciętej zmarszczki na czole, a w oczach znów pojawił się znajomy błysk.

– Jeszcze zostało nam trochę czasu. – Rozwiązuje mi szlafrok i wsuwa pod niego dłonie, a ja odchylam głowę. Odpowiadam na jego płonące spojrzenie i staram się nie myśleć, że zbyt wiele czasu nam już na pewno nie zostało.

Rozdział 22

Jesteśmy prawie godzinę spóźnieni, kiedy zostawiamy za sobą malownicze Castel Gandolfo z krętymi uliczkami i starymi wysokimi budynkami i wjeżdżamy na drogę w stronę Lago Albano. U Valentiny powinniśmy byli być w południe, a właśnie mija pierwsza, co nie pomaga moim skołatanym nerwom.

– Nie będzie zła, że jesteśmy tacy niepunktualni? – pytam Mattea, lecz on tylko wykrzywia usta.

– Nie przejmuj się, nie jest taką formalistką, żeby pilnować czasu co do minuty. Poza tym zaraz będziemy.

Mimo to wolałabym nie przyjeżdżać jako ostatnia, kiedy wszyscy będą na miejscu, żeby mnie oceniać. Na dodatek od rana mam wrażenie, że Matteo w ogóle się nie spieszy. Przyjechał po mnie do hotelu znacznie później, niż się umawialiśmy, a potem musieliśmy jeszcze pojechać do niewielkiego sklepiku, w którym czekał prezent dla Valentiny. Tam znów zmarnował masę czasu na rozmowy z człowiekiem, który wykonał dla niego zlecenie, zupełnie jakby w ogóle nie spieszył się na przyjęcie urodzinowe babki. Jakby wstydził się tam ze mną pokazać, przez co wizja następnych kilku godzin w jego towarzystwie stawała się coraz trudniejsza do zaakceptowania.

Wzdycham, odwracam głowę i spoglądam na zewnątrz, na morze. Tafla wody jest spokojna, a wysokie skalne ściany stanowiące brzeg wyglądają pięknie i majestatycznie. Nie mają jednak tak uspokajającego działania, jak sądziłam.

Czuję się po prostu potwornie rozdarta. Z jednej strony cieszę się, że będę miała okazję spotkać się z Valentiną, która na przyjęciu u Giacomina z miejsca wydała mi się bardzo sympatyczną osobą, i nie mogę się doczekać, by poznać rodzeństwo Mattea i ich rodziny, a z drugiej strony wiem, że jest jeszcze za wcześnie na takie spotkania, bo sami między sobą mamy jeszcze sporo do wyjaśnienia.

Tylko że kiedy, jeśli nie teraz, myślę. Moja praca w Rzymie powoli dobiega końca. I jeśli naprawdę mi zależy na tym, żeby się dowiedzieć, na czym stoję, może taka wizyta nie jest wcale złym pomysłem?

No i przede wszystkim jest już zdecydowanie zbyt późno, by się wycofać. Matteo hamuje nagle i skręca w prawo. Wjeżdżamy na stromy podjazd, prowadzący do bramy, za którą znajduje się wyłożony brukiem plac. Stoi tam już kilka samochodów. Obok parkingu, na zboczu, stoi dom – śliczna dwupiętrowa willa pomalowana na słonecznie żółty kolor, otoczona soczyście zielonym ogrodem i cyprysami, które nadają tutejszej przyrodzie południowy wygląd. Podobnie jak sąsiadujące domy, które widzę w pewnym oddaleniu, willa Valentiny wtapia się elegancko w otoczenie. Nie ocieka przepychem, a jednak swoim wyglądem i położeniem świadczy o tym, że właściciel musi być nieprzeciętnie majątny, by pozwolić sobie na posesję w takim miejscu.

Nasz przyjazd natychmiast wzbudza zainteresowanie, bo ledwie Matteo wysiada z samochodu i rusza, by otworzyć mi drzwi – nie tylko uśmiech ma szarmancki – rozlegają się radosne okrzyki i z domu wypada cała wataha dzieciaków.

– *Zio!* W końcu jesteś! – krzyczy mały czarnowłosy chłopiec, który jako pierwszy dopada nowego gościa, a Matteo unosi go wysoko i kręci się z nim w kółko, na co pozostałe dzieci krzyczą jeszcze głośniejsze. – Co masz dla nas?

– A jak myślisz? – pyta Matteo i odstawia chłopca na ziemię, by przywitać się z pozostałymi. To trzy dziewczynki i jeszcze dwóch chłopców. Domyślam się, że to jego

bratanice i bratankowie, prawie w komplecie. Brakuje tylko Adriany i najmłodszego, trzyletniego syna Michele. Szczęściarz, którego Matteo uniósł w powietrze, ma na oko pięć lat.

– Masz! – krzyczy malec z zachwytem, na co Matteo uśmiecha się szeroko i z tylnego siedzenia samochodu wyjmując dużą torbę, którą wcześniej tam schował. Widziałam ją, kiedy wsiadałam, ale nie sądziłam, że to upominki dla dzieci.

– Naprawdę pamiętałeś, *zio*? – pyta dziewczynka, która jako jedyna nie ma czarnych włosów, tylko kasztanowe, a on podaje jej jako pierwszej pudełko z torby.

– Och! Dziękuję! – krzyczy zachwycona i przyciska podarunek do serca, bo najwyraźniej wie, co jest w środku. Pozostali również dostają swoje prezenty, za które dziękują szerokimi uśmiechami. Ja też nie mogę powstrzymać uśmiechu, bo przypominam sobie, jak Andrew zawsze coś dla mnie przywoził, kiedy byłam mała, i jak bardzo się cieszyłam, kiedy przyjeżdżał. A to dlatego, że w przeciwieństwie do pozostałych znajomych moich rodziców, on dawał mi zawsze poczucie, że jestem wyjątkowym, a nie uciążliwym dzieciakiem.

Czuję wzruszenie, kiedy sobie uświadamiam, jak uważny jest Matteo i jak lubi towarzystwo tych dzieci. Myślałam, że ma taki wspaniały kontakt z Adrianą dlatego, że jest najstarsza i ma talent, ale teraz widzę, że one wszystkie są dla niego bardzo ważne. Z zaskoczeniem stwierdzam, że jest bardzo rodzinnym człowiekiem, tylko że sam nie ma w tym kierunku żadnych ambicji...

– Nie powinieneś ich tak rozpieszczać, Matteo! – gani go ciemnowłosa kobieta, która właśnie wychodzi z domu.

– Miałbym je rozczarować? Niedoczekanie twoje! – odpowiada Matteo i uśmiecha się radośnie. Kobieta nie jest jednak na niego zła i wita się z nim serdecznym uściskiem.

Natychmiast ją rozpoznaję. To Paola – widziałam ją wcześniej na przyjęciu u Giacomu. Jej twarz się rozpromienia, kiedy mnie zauważa.

– Sophie! Jak cudownie, że mogła pani przyjechać! Giacomo nie może przestać o pani opowiadać! – Wita się ze mną pocałunkami w policzki, a potem rozgląda się za dziećmi, które pędzą teraz do domu. Potem zwraca się do szwagra:

– Masz prezent?

W odpowiedzi Matteo nachyla się i sięga po sporą i ciężką paczkę, leżącą na tylnej kanapie kabrioletu.

– Wiecie, że już działacie mi na nerwy tym ciągłym odpytywaniem? – Nerwowo przewraca oczyma. – Najpierw Adriana, a teraz ty! Jakbym ciągle o wszystkim zapomniał!

– Masz teraz inne rzeczy na głowie, więc się nie dziw – odpowiada Paola i puszcza do mnie oko. Lecz mnie z trudem przychodzi odpowiedź na jej uśmiech, bo widzę, że po jej komentarzu spojrzenie Mattea robi się ponure. Jego bratowa nie zwraca na to uwagi, za to bierze mnie pod ramię i ciągnie w stronę domu. Potem otwiera ciężkie drzwi, żeby przepuścić Mattea z prezentem, i razem podążamy za nim.

Dom nie tylko z zewnątrz wygląda absolutnie zachwycająco – jego wnętrze jest równie piękne. Jasny, przestronny i urządzony w stylu bardzo podobnym do willi Mattea, z bardzo interesująco dobranymi antykami i designerskimi meblami, z których większość pochodzi z oferty ich firmy. Również tutaj na ścianach wiszą wspaniałe malowidła. Momentalnie przyciągają mój wzrok i wystarczy kilka spojrzeń, bym sobie uświadomiła, że przecież jestem w domu należącym do jednej z prawdopodobnie najbogatszych rodzin we Włoszech. Dzięki obrazom przestaję na chwilę myśleć o swoim zdenerwowaniu, które z każdą minutą jest coraz większe. Lecz kiedy docieramy do jadalni, w której ma się odbyć główna część przyjęcia urodzinowego, zatrzymuję się zaskoczona i patrząc z niedowierzaniem.

Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się – albo obawiałam – że wszyscy będą siedzieli

grzecznie przy stole i przyglądali mi się ciekawie, ledwie pojawię się w progu. I o ile miałam rację ze stołem, który rzeczywiście czeka na nas przy przeszklonej ścianie z pięknym widokiem na morze, elegancko przybrany i nakryty, to całkowicie pomyliłam się do co reszty. Atmosfera w przestronnym pomieszczeniu jest rzeczywiście bardzo luźna, powiedziałabym nawet, że pełna życia. No i jest bardzo głośno. Valentina siedzi u szczytu stołu i pokazuje coś eleganckiemu mężczyźnie ze starannie przyciętą bródką, który zajmuje miejsce po jej lewej stronie, obok dwóch chłopców, rozpakowujących właśnie prezenty od stryjka Mattea. Po drugiej stronie starszej pani dostrzegam Adrianę. Dziewczyna zachwyca się bluzeczką, którą pokazuje jej jedna z kuzynek. Pozostałe dziewczynki biegają jak szalone dookoła stołu. Dostrzegam jeszcze jednego ciemnowłosego mężczyznę, który chodzi tam i z powrotem z płaczącym dzieckiem na ręku i stara się je uspokoić. W tym samym czasie kobieta o kasztanowych włosach pomaga korpulentnej gosposi wytrzeć z podłogi rozlany sok.

To najczystszy chaos w porównaniu ze spokojnymi herbatkami u moich rodziców czy *dinner parties*, jakie organizuje się u mnie w domu z okazji urodzin, ale od razu mi się tu podoba, bo tak właśnie wyobrażam sobie spotkania rodzinne. Może rzeczywiście jest tak, że człowiek tęskni za tym, czego nigdy nie miał? Jeśli zatem ktoś jak ja wychowywał się bez rodzeństwa, a jego najbliższą rodzinę stanowił jeden stryjek, brat taty, który na dodatek mieszka w Stanach Zjednoczonych i bardzo rzadko przyjeżdżał w odwiedziny, to to, co się tu dzieje, od razu przypomina mi ideał spotkania rodzinnego, jaki stworzyłam sobie w dzieciństwie.

Mniej więcej trzy sekundy po naszym przybyciu zaczynają się głośne i serdeczne powitania, w których biorę udział – jestem automatycznie traktowana jak ktoś bliski i nikt mnie nie pomija, jakby mój udział w takim święcie był czymś absolutnie oczywistym.

Kobieta o kasztanowych włosach przedstawia się jako Vera. To żona Michele, który wita się z nami z dzieckiem na ręku. Jest równie potężny jak Matteo, za to Luca – to ten ciemnowłosy mężczyzna z bródką, który siedział obok Valentiny – ma wyraźnie drobniejszą budowę. Za to obaj mają czarne włosy. Jednak mimo że Matteo wygląda nieco inaczej niż bracia, nie da się przeoczyć łączącego ich podobieństwa, w tym również jeśli chodzi o zachowanie, bo Luca i Michele też mają w sobie to pełne spokoju, ujmujące coś – aurę, która tak mocno działa na kobiety.

– Sophie! Tak się cieszę, że cię widzę! – Valentina podchodzi na samym końcu i wita mnie uśmiechem równie serdecznym jak za pierwszym razem. – Proszę, dosiądź się do mnie! – Klaszcze w dłonie. – Wy też siadajcie, proszę! W końcu jesteśmy w komplecie i możemy zacząć!

W jednej chwili chaos ustępuje miejsca porządkowi. Dzieci wracają na swoje siedzenia, dorośli również, i nawet Marco – najmłodsze dziecko na rękach Michele – uspokaja się i z ciekawością się przygląda, jak służący wnoszą przystawki do urodzinowego obiadu. Na stole ląduje precudnie świeża bruschetta, na którą rzucają się dzieci i z wilczym apetytem pochłaniają, ile tylko mogą. Obok korpulentnej gosposi, którą widziałam wcześniej, Gai, przy podawaniu posiłku uwijają się jeszcze dwie młode kobiety.

To, że nikt z rodziny nie musi biegać między jadalnią a kuchnią, jest obok cudownego widoku z okna, eleganckich mebli i dzieł sztuki jedynym przypomnieniem, że przyjechałam w odwiedziny do domu, w którym pieniądze nie grają żadnej roli. Wszyscy zachowują się całkowicie naturalnie i na luzie, a ja czuję się zaskakująco dobrze w ich towarzystwie. Nie mogę, niestety, włączyć się do rozmowy prowadzonej po włosku, ale chętnie się przysłuchuję, śmieję i odpowiadam na pytania, które co chwila padają po angielsku, bym nie czuła się pozostawiona samej sobie. Na szczęście dotyczą tylko mnie, a nie mojego związku z Mattem.

Chcę mnie ośmielić, myślę sobie i przyglądam się twarzom dookoła. Są takie serdeczne

i otwarte! Tylko Matteo, który zajął miejsce obok mnie, wyróżnia się wśród nich. Uśmiecha się wprawdzie i z dowcipem komentuje słowa swoich braci i bratowych, lecz kiedy nie angażuje się akurat w rozmowę, spogląda na mnie i przygląda mi się uważnie. Brakuje jednak w jego spojrzeniu tej serdeczności i czułości, które widzę, kiedy jesteśmy sami. Spogląda na mnie, jakbym nagle stała się mu obca, jakby moja obecność go irytowała. Kiedy spotykają się nasze spojrzenia, uśmiecha się, ale zazwyczaj szybko odwraca głowę. Za każdym razem czuję wtedy ukłucie w sercu.

Po trzech przepysznych daniach serwowana jest kawa i tort urodzinowy i w końcu pada zdanie, którego obawiałam się, jeszcze zanim tu przyjechałam.

– To był najwyższy czas, Matteo, żebyś w końcu kogoś przyprowadził. – Te słowa padają z ust Luki, ale nie mówi tego, by sprowokować brata. Widzę w jego spojrzeniu, że nie o to mu chodzi. Mam wrażenie, że czuje ulgę, lecz mnie to nie dotyczy i przestraszona natychmiast spoglądam na Mattea, który opiera się na krześle obok.

– Spełniam wyraźną prośbę nonny. Nie mogłem jej przecież odmówić – wyjaśnia z lodowatym uśmiechem. To wiadomość dla mnie i pozostałych, żeby nie próbowali przypisywać mojej wizycie jakiegokolwiek znaczenia. Jestem tu, bo zażyczyła sobie tego Valentina, a nie dlatego, że nagle poczuł potrzebę przedstawienia mnie rodzinie. Bardzo wyraźnie stawia sprawę. Jego słowa dotyczą mnie znacznie mocniej, niż się spodziewałam. Są jak cios obuchem w głowę.

– Jestem bardzo ciekawa, co takiego kryje się pod opakowaniem prezentu od was – mówi Valentina. Uznaje chyba, że nie należy ciągnąć tematu, choć posyła mu pełne dezaprobaty spojrzenie. On go jednak nie widzi, bo prawidłowo je przeczuwszy, odwraca wcześniej głowę.

Na słowo „prezent” wszystkie dzieci zrywają się z miejsc i wspólnymi siłami przynoszą pakunek. Z uroczystymi minami stawiają go przed prababcią na stole, który wcześniej spieszenie sprzątam z Paolą. Bratowa Mattea siedzi naprzeciwko mnie i widzę, jak na mnie spogląda, nachyla się do męża i szeptem mu coś do ucha, znów patrząc w moją stronę. Luca również kieruje na mnie swoje spojrzenie i robi minę, jakby miał wyrzuty sumienia. Domyślam się, że to żona skarciła go za nierozsądną uwagę. Uśmiecha się przepraszająco, na co odpowiadam mu tym samym, choć wołałabym oczywiście, żeby takie słowa w ogóle nie padły.

Uwaga wszystkich skupia się na jubilatce. Valentina z uroczystą miną rozpakowuje prezent, a potem, kiedy widzi, co jest w środku, zaskoczona i uradowana klaszcze z radości w dłonie: to wykonana na zamówienie niewielka witryna, w której zostało wyeksponowanych kilka kopyt szewskich.

– Pamiętaliście! – wykrzykuje, a w jej oczach błyszczą łzy wzruszenia. Prezent przygotowany przez wnuków musiał być dokładnie tym, czego pragnęła.

Znam historię kryjącą się za tymi przedmiotami, bo wcześniej Matteo mi wyjaśnił, o co chodzi: jego pradziadek, Eduardo Bertani, który założył rodzinną firmę, był szewcem, a kopyta pochodzą z jego warsztatu. Valentina przechowywała je przez całe lata jako pamiątkę, a jakiś czas temu wspomniała, że powinny zostać jakoś wyeksponowane, bo stanowią fundament wszystkiego, do czego doszła rodzina Bertanich. A oni dobrze zapamiętali jej słowa.

– To szafeczka tylko dla ciebie – dodaje Luca. – Zleciliśmy wykonanie jeszcze jednej, znacznie większej witryny, w której znajdzie się miejsce na pozostałe kopyta i która trafi do foyer firmy, żeby wszyscy mogli poznać nasze korzenie!

– Jesteście niesamowici!

Zachwycona obejmuje każdego z wnuków, a potem wraca wzruszona na swoje miejsce i nie może oderwać wzroku od zawartości witryny. Co chwila unosi dłoń i dotyka szkła, za którym stoją kopyta.

Dzieci, które nie rozumieją znaczenia tego prezentu i emocji, które one budzą, znów zaczynają być niespokojne. Jeden z chłopców wstaje i ciągnie Mattea za rękaw.

– *Zio*, idziesz z nami na dwór? Pokażemy ci coś w ogrodzie – prosi, a Matteo wstaje i, ku uciesze dzieciaków, bez oporu daje im się wyprowadzić na zewnątrz. Po chwili obskakuje go cała zgraja i pokrzykując radośnie, ciągnie za sobą. Spoglądam za nim i mam nadzieję, że może się jeszcze odwróci i na mnie spojrzy. Ale on tego nie robi. Czuję za to czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Odwracam się i widzę serdecznie uśmiechniętą Valentinę.

– Ja też chciałabym coś pani pokazać, Sophie – mówi i wstaje, a potem bierze mnie pod ramię i prowadzi do salonu graniczącego z jadalnią. Z okien tego pomieszczenia również rozciąga się fantastyczny widok na morze. Pokój, mimo że bardzo przestronny, jest przytulny i miły, a jego sercem jest kominek, przed którym stoi zestaw wypoczynkowy w typowym dla produktów koncernu Bertani stylu. A nad nim, na honorowym miejscu, wisi duży obraz. To portret mężczyzny zaskakująco podobnego do Mattea. W pierwszej chwili wydaje mi się nawet, że to jego portret! Jednak człowiek przedstawiony na płótnie jest znacznie starszy.

Valentina się uśmiecha, widząc moje zaskoczone spojrzenie. Podchodzi do kanapy, siada i wskazuje na miejsce obok siebie, zapraszając mnie, bym usiadła.

– To mój ojciec – mówi, patrząc na obraz. – Niesamowite, jak bardzo Matteo go przypomina, prawda?

Mogę jedynie potaknąć, ale co innego sprawia, że jestem tak zaskoczona. Nie mam pojęcia dlaczego, ale dotychczas byłam przekonana, że Valentina wżeniła się w rodzinę Bertanich. Nie pomyślałabym, że jest córką założyciela firmy. A skoro dalej nazywa się Bertani, to znaczy, że...

Dostrzega moje zaskoczenie i się uśmiecha.

– Nie, nigdy nie wyszłam za mąż. W moim życiu była tylko jedna wielka miłość: Angelo. – Dźwięk tego imienia sprawia, że na jej twarzy pojawia się cień smutku. – Lecz on był już u boku innej kobiety. Żyliśmy w strachu przed skandalem, jaki by się rozpełtał, gdyby nasz związek wyszedł na jaw. Dane nam było tylko kilka niezbyt szczęśliwych lat. Ale mój ojciec nigdy mi tego nie wyrzucał. Nigdy. Był bardzo zdecydowanym i pewnym siebie człowiekiem, niezależnie od tego, co robił. Dla niego rodzina była na pierwszym miejscu. Kiedy zaszłam w ciążę i urodziłam Tommasa, pokochał go od pierwszego wejrzenia, tak samo jak ja, i nikt nigdy nie odważył się powiedzieć o nim złego słowa, ani o nim, ani o mnie! Zawsze byłam mu za to bardzo wdzięczna. – Wzdycha. – Pod tym względem Matteo bardzo mi go przypomina.

Przez chwilę obie w milczeniu przyglądamy się portretowi, a ja się zastanawiam, co tak naprawdę chciała przez to powiedzieć. A potem, zupełnie jakby potrafiła czytać w moich myślach, mówi dalej:

– Pewnie już pani wie, że Matteo jest mi szczególnie bliski. Strata jedyne go syna była dla mnie strasznym ciosem, ale nawet nie chcę myśleć, jak ciężko on to przeżył. Cieszyłam się, że mogę się nim zaopiekować. Dbając o niego, zyskałam zajęcie, które odciągało mnie od żałoby i ponurych myśli. Robiłam wszystko, co mogłam, żeby ułatwić mu pogodzenie się ze stratą. – Wzdycha ciężko. – A jednak czasem się zastawiam, czy mi się to udało. Był wówczas bardzo młody i już wtedy mierzył się ze świadomością bycia porzuconym przez matkę. Dlatego śmierć Tommasa... Dla niego to był koniec świata. A potem, kiedy w końcu się otrząsnął... – Przerzywa i milczy, ale nie musi dalej mówić, bo wiem, że ma na myśli katastrofę lotniczą, w której zginęła jego żona. W oczach starszej pani pojawiają się łzy. – Jedyne, czego jeszcze pragnę od życia, to zobaczyć go kiedyś szczęśliwego. – Chwyta moją dłoń, a jej wzrok robi się przenikliwy. – Dlatego tak bardzo się cieszę, że spotkał panią, Sophie. Już straciliśmy nadzieję, że jakiegokolwiek kobiecie uda się do niego zbliżyć.

Zmieszana odpowiadam na jej spojrzenie, ale nie wiem, czy jej nadzieja nie jest złudna.

– Tylko że ja i Matteo... my nie jesteśmy parą. W każdym razie nie taką, jak pani myśli – dodaję, czerwieniąc się lekko, bo po prostu nie wiem, jak miałabym wytłumaczyć starszej kobiecie, że co prawda łączy nas szaleńczy seks i nie możemy się od siebie oderwać, ale nie mam pojęcia, czy on cokolwiek do mnie czuje. Valentina chyba mnie rozumie, bo uśmiecha się smutno.

– Trudno do niego dotrzeć, ja to wiem – mówi i z westchnieniem ściska moją dłoń. – Ale zdecydowanej większości nawet nie pozwolił spróbować, Sophie. Jest pani wyjątkowa. Wiedziałam to od samego początku, kiedy spotkałam panią na przyjęciu u Giacomina. On się zmienia przy pani. Jest żywszy.

Wiele bym dała, by móc w to uwierzyć.

– To nieprawda. Mnie też nie chce do siebie dopuścić. Jest tak wiele rzeczy, o których nie chce mówić, a ja nie mam o nich zielonego pojęcia. Nie chce mi na przykład wyjawić, skąd ma tę bliznę na piersi. Czasem mam wrażenie, że nie wolno mi nawet jej dotykać.

Valentina blednie gwałtownie. Najwyraźniej to wspomnienie również dla niej jest bardzo nieprzyjemne. Przez chwilę mam wrażenie, że w jej oczach dostrzegam ten sam opór i niechęć, jaki widziałam już kilka razy w spojrzeniu Mattea, gdy poruszałam tę sprawę. Jakby nie można było na ten temat rozmawiać. Albo jakby ona nie mogła na ten temat mówić.

Spuszcza wzrok, walczy ze sobą, aż w końcu podnosi głowę i patrzy mi w oczy.

– Wpadł na szklane drzwi i prawie wykrwawił się na śmierć. Lekarze długo walczyli o jego życie, bo odłamki weszły tak głęboko, że miał jeszcze obrażenia wewnętrzne. Było naprawdę blisko. – Przymyka oczy, wyraźnie poruszona. – Myśleliśmy, że już z tego nie wyjdzie.

Czyli miałam rację – to nie był jakiś drobiazg. Spoglądam na nią z przerażeniem. „Nic takiego”? Akurat.

– Kiedy to się stało?

– Kilka tygodni przed wypadkiem Giulii.

– Jak do tego doszło? – drążę. – Dlaczego to się zdarzyło?

Wciąż nie potrafię zrozumieć, o co w tym chodzi. Bo jeśli to rzeczywiście był wypadek, tak jak twierdzą, to dlaczego nie wolno o tym rozmawiać?

Valentina potrząsa głową i robi smutną minę.

– Musiałam dać mu słowo, że nikomu tego nie zdradzę. Dlatego wybac, nie mogę...

W tej samej chwili podskakujemy przestraszone, bo drzwi do salonu otwierają się gwałtownie i w progu staje Matteo.

– Matteo! – W głosie Valentiny słychać napięcie, choć udaje jej się uśmiechnąć. Ale jeśli nawet ja widzę, że ma wyrzuty sumienia, bo poruszyła w rozmowie ze mną temat, który miał zostać ich tajemnicą, to tym bardziej wnuk ją przejrzę. I mam rację, bo Matteo stoi nieruchomo i mruży oczy.

– Pokazywałam właśnie Sophie portret twojego dziadka – wyjaśnia Valentina, lecz on nadal patrzy na nią w ten sposób. Kobieta podnosi się z wysiłkiem. Ja również natychmiast wstaję, bo odruchowo chcę ją podeprzeć, a także dlatego, że widok Mattea przepelnia mnie strachem. Jest wściekły, nie mam wątpliwości. Jest naprawdę wściekły.

– A teraz wyjdźmy może na trochę do ogrodu, szkoda nie skorzystać z tak pięknej pogody – ciągnie Valentina. Stara się ignorować lodowatą atmosferę, która zapanowała, gdy zjawił się Matteo.

– Bez nas, niestety – mówi jej wnuk i uśmiecha się z wysiłkiem, lecz jego oczy zostają poważne. – Musimy wracać z Sophie do Rzymu. Natychmiast.

Rozdział 23

– Jak to? Już teraz? – Valentina jest wyraźnie rozczarowana i zasmucona. – Ależ to w ogóle nie wchodzi w rachubę! – mówi zdecydowanie. Kiedy ją słyszę, zaczynam rozumieć, jak zdołała Mattea jako krnąbrnego nastolatka nauczyć gotować. Jednak teraz to na nic – Matteo nie znieś ani przez chwilę dłużej przebywania ze mną w gronie swojej rodziny. A że ja też nie mam najmniejszej ochoty znosić jego ponurych spojrzeń, potwierdzam jego oczywiste kłamstwo.

– To prawda – mówię i wzruszam ramionami, kiedy oboje, babcia i wnuk, patrzą na mnie jak na ducha. – Mój błąd. Umówiłam się dzisiaj na ważne spotkanie. Z... właścicielem galerii. Dlatego muszę wracać.

– Z właścicielem galerii? – Valentina przekrzywia głowę i spogląda, jakby nie była pewna, czy ma mi uwierzyć. Pewnie przeczuwa, że wymyśliłam taką wymówkę na poczekaniu. Jestem z natury zbyt uczciwa i w takich sytuacjach nie sprawdzam się najlepiej. Jednak może łatwiej będzie jej pogodzić się z naszym wyjściem, jeśli przyjmie moje wytłumaczenie i uzna, że to moja wina, a nie jej wnuka. A co do wyjścia – zdecydowanie musimy opuścić uroczystość i poważnie porozmawiać.

– Tak mi przykro – przepraszam Valentinę i mówię to zupełnie szczerze. – Bardzo się cieszę, że mogłam tu być. – „Bardzo” to mało powiedziane, bo już teraz wiem, że nigdy tego nie zapomnę. Jednak ta przesympatyczna rodzina, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, nie jest moja – to rodzina Mattea. A ja z każdą minutą, w której muszę wytrzymać jego ponure spojrzenia, mam coraz niklejsze nadzieje, że kiedykolwiek będę do niej należeć.

Valentina się poddaje i nie próbuje mnie przekonywać.

– Szkoda – mówi i wzdycha. – Ale w takim razie nic już nie zmienimy.

Nie, myślę sobie i czuję ucisk w żołądku. Wracamy przez salon do jadalni, a ja czuję na plecach spojrzenia Mattea; nie, nic już nie zmienimy.

Reszta rodziny również żałuje, że musimy jechać, zwłaszcza dzieci nie chcą puścić ulubionego stryjka. Twarze dorosłych wyrażają przede wszystkim troskę – mina Paoli wręcz strach. Ona chyba czuje, że coś jest nie tak, bo kiedy przytula mnie na pożegnanie, przez dłuższą chwilę nie chce mnie puścić.

– Mam nadzieję, że niedługo znów się zobaczymy – mówi, a ja zmuszam się do uśmiechu. Nie wierzę, żeby tak się stało, a w gardle czuję ogromną gulę.

Matteo uśmiecha się, żegnając z rodziną, ba, uśmiecha się nawet, kiedy wyjeżdżamy jego kabrioletem z posesji. Lecz ledwie skręcamy na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża, jego twarz robi się poważna. Nie ukrywa już dłużej złości, której wcześniej starał się nie okazywać.

– Jesteś umówiona z właścicielem galerii? Z kim konkretnie? Z Santarellim? – pyta, nie kryjąc pasji. – Wyrazy uznania, widzę, że kiedy trzeba, kłamiesz jak z nut!

Wyrzuty w jego głosie budzą we mnie złość.

– A jak ty miałaś zamiar jej wytłumaczyć takie nagłe wyjście? Bo ja na przykład nie miałam pojęcia, że tak szybko będziemy wracać do Rzymu. – Potrząsam głową. – Masz jakiś problem, Matteo?

– Co ci powiedziała? – pyta zduszonym głosem, a ja dopiero teraz widzę jego dłonie nerwowo zaciśnięte na kierownicy, tak aż bieleją mu kostki.

– Opowiadała mi o twoim pradziadku, o tym, jakim był człowiekiem – mówię, lecz wiem, że nie o to pyta.

– A co powiedziała ci o mnie? – naciska dalej. Jego głos sprawia, że zaczynam się bać.

Nigdy jeszcze nie był tak wściekły, a w każdym razie nigdy przy mnie.

– Wspomniała o twoim wypadku, przez który masz teraz bliznę – wyjaśniam i podskakuję ze strachu, bo wali wściekle rękę w kierownicę.

– Nie miała prawa! – wrzeszczy i coraz bardziej przyspiesza. Po raz pierwszy boję się siedzieć z nim w samochodzie. Jestem bezradna, nic nie mogę zrobić. I nie chodzi mi tylko o jazdę.

– Powiedziała jedynie, że to było szkło z drzwi i że miałeś obrażenia wewnętrzne – dodaję i nie staram się nawet ukryć frustracji wywołanej jego zachowaniem. – To wszystko.

Znów spogląda na mnie ostro, a że jest niebywale wściekły, nie potrafi się zmusić do uprzejmego uśmiechu. Mimo to widzę, że mu ulżyło. Choć nie zmniejszyło jego wściekłości. Stał się obcy. Niechętny i wrogi. Powoli zaczynam czuć do niego to samo.

– Chociaż chciałabym się dowiedzieć o tobie znacznie więcej niż tylko tyle – mówię oskarżycielsko. – Chiałabym wiedzieć na przykład, co takiego musiało się stać, że za żadne skarby nie wolno mówić o twoim wypadku. Dlaczego uważasz, że nie mogę tego wiedzieć? Matteo? Dlaczego nie chcesz dać mi się poznać?

– Bo są rzeczy, którymi nie chcę się dzielić, okej? – warczy. – Ty też masz swoje sprawy, o których nie chcesz mówić. *E basta, adesso.*

Potrząsam głową, teraz już naprawdę wściekła, bo nie ma prawa zamykać mi ust. Jestem tak wzburzona, że nie myślę już nawet o tym, jak niebezpiecznie szybko jedzie.

– Ty się boisz! – mówię i dopiero kiedy wypowiadam te słowa, zaczynam rozumieć, że to rzeczywiście jest jego problem. – Boisz się, że pozwolisz komuś za bardzo się zbliżyć. Dlatego mnie odpychasz, kiedy się staram. Bo nie potrafisz znieść bliskości.

Śmieje się, lecz wcale nie jest rozweselony.

– Co za głupota. Jest cała masa osób, z którymi jestem bardzo blisko. Najważniejsze z nich przed chwilą poznałaś.

Dobra, tutaj ma rację, myślę. Z rodziną jest bardzo blisko. Poza tym ma jeszcze Giacomę, najwierniejszego przyjaciela, i jestem przekonana, że nie jest on jedyną bliską mu osobą spoza rodziny. Czyli potrafi otworzyć się na ludzi i jest w stanie odczuwać przywiązanie. A jednak kategorycznie wyklucza związek z kobietą oparty na uczuciu. Jakby w takim układzie nie był w stanie wykrzesać z siebie zaufania, do którego jest zdolny w relacjach z rodziną. To musi się jakoś wiązać ze śmiercią jego żony, choć jeszcze nie potrafię zrozumieć jak.

– Skoro już mówimy o bliskości – ciągnie wściekły – to dotychczas jakoś nie odniosłem wrażenia, żebyś była tak chętna do dzielenia się wszystkim ze mną. Wszystkiego, co wiem, dowiedziałem się od Giacomę. A o reszcie wolisz milczeć. No co, może się mylę? Może nie chowasz komórki w torebce, ilekroć dostajesz SMS-y? Albo nie wychodzisz z pokoju, żeby nie słyszał, z kim i o czym rozmawiasz?

Spoglądam na niego przestraszona, bo wiem, że ma rację. Rzeczywiście starałam się ukrywać przed Matteem rozmowy z Nigelem. Ale nagle rozumiem dlaczego. Nie, nie dlatego, że nie chciałam, by o nich wiedział – bałam się każdego kontaktu z Nigelem, bo przypominał mi, że mój związek z Matteem jest od początku skazany na niepowodzenie. A ja cały czas nie chciałam w to uwierzyć. Chciałam znaleźć jakiś sposób, żeby go uratować. Żeby się udało. Dlatego odrzucałam wszystko, co zabijało moją nadzieję.

– Dobrze – mówię po dłuższej przerwie. – W takim razie co chcesz wiedzieć? Opowiem ci wszystko, co tylko chcesz, jeśli ty mi powiesz, co się z tobą dzieje. – Wzdycham. – Tylko wtedy może się nam udać, Matteo.

– A kto powiedział, że chcę o tobie cokolwiek wiedzieć? – Jego słowa są jak cięcie nożem. Ostre i pogardliwe. – Jestem, jaki jestem, Sophie, i nie mam zamiaru się zmieniać. Wierz

mi, jest na świecie pod dostatkiem kobiet, które potrafią z tym żyć.

To zabolalo naprawdę mocno. Jakby uderzył mnie pięścią w splot słoneczny – ból jest nie do opisanego. Odwracam głowę i wyglądam przez okno, żeby nie widział łez, które napływają mi do oczu. I to by było tyle, myślę i milczę, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć.

Ale ma rację. Nigdy nie będzie miał problemów, żeby znaleźć kobietę, która pójdzie z nim do łóżka. Jest na to zbyt pociągający, a jego uśmiech zbyt cudowny, żeby mu się przeciwstawić. Kiedy taka kobieta się zorientuje, że to tylko maska, i prawdziwy Matteo jest zupełnie inny, skryty gdzieś w głębi, nieokazujący, co myśli ani co czuje, on znajdzie sobie nową. A przy próbie zatrzymania go potraktuje ją grubiańsko i podle.

Nagle czuję się bezsilna i wyczerpana – jak za każdym razem, kiedy mama się od nas odwraca. Kiedy nie mogę do niej dotrzeć, bo zamyka się w swojej depresji albo ucieka przed nami w swój maniackalny świat. Kiedy nie potrafię zrozumieć jej zachowania.

Jak w ogóle mogło mi przyjść do głowy, że mogłabym znaleźć szczęście u boku mężczyzny, który jest tak samo nie zrównoważony emocjonalnie jak ona? Którego uczucie nie mogę odczytać, tak jak jej? To się nie może udać i Matteo doszedł chyba do tego samego wniosku. Dowiaduję się jednak o tym, dopiero kiedy w milczeniu podjeżdżamy pod jego dom w Monti. Byłam tak bardzo zamyślona, że nie zarejestrowałam, w której części miasta jesteśmy.

– Myślałam, że odwieziesz mnie do hotelu – mówię zaskoczona, kiedy on z ponurą miną obchodzi samochód, żeby mnie wypuścić.

– Zostawiłaś u mnie swoje rzeczy – mówi i otwiera mi drzwi. – Pewnie będziesz chciała je zabrać. – Zatrząskuje je za mną, odwraca się i nie czekając, rusza w stronę domu.

I to by było wszystko, myślę i czuję, jak jakaś lodowata pięść zaciska się na moim sercu, z każdym krokiem mocniej. Znowu jesteśmy w tym samym miejscu, w którym byliśmy rankiem po drugiej nocy. W punkcie, którego nie mogę pokonać, bo nie chce, żebym się do niego zbliżyła. Za każdym razem będziemy się o niego rozbijali, myślę. Dlatego mój pierwszy odruch był prawidłowy: powinnam była odejść, kiedy jeszcze obyłoby się bez takiego bólu, zamiast rzucać się na oślep w coś, nad czym nie mogłam mieć kontroli. Ale mogę chociaż próbować ograniczyć straty.

Ciężkim krokiem idę za Matteem. Zostawił dla mnie otwarte drzwi, więc wchodzę i ruszam schodami na górę, prosto do jego sypialni. Przez ostatnich kilka dni, które tu spędziłam, zebrało się trochę moich rzeczy. Raz zmieniałam ubranie, kiedy wychodziliśmy na obiad. A potem, skoro wiedziałam, że zostanę u niego na noc, przygotowałam sobie coś na kolejny dzień. Pamiętam, że kiedy ostatni raz je tu widziałam, moje ciuchy wisiały przewieszane na pomocniku. Teraz jednak nie mogę ich znaleźć, dlatego otwieram szafę i nie mogę uwierzyć własnym oczom. Wiszą na wieszakach, obok jego garniturów. Bieliznę znajduję w koszu z brudami, między jego rzeczami. Elisy nie ma, więc to on musiał je tam wrzucić. Okropne uczucie, musieć je teraz rozdzielać. Po co w ogóle to zrobił, myślę ze złością. Dlaczego powiesił moje rzeczy ze swoimi i zmieszał moją bieliznę ze swoją, skoro już wcześniej wiedział, że i tak nie będzie mnie chciał w swoim życiu?

Pakuję wszystko do torebki – robi się nieforemna i wypchana, do tego stopnia, że nie mogę jej zapiąć, lecz jest mi to obojętne. Wracam odszukać Mattea.

Jest w kuchni, przy parującym ekspresie, który parzy tak fantastyczną kawę. Jeszcze mnie nie zauważył. Kiedy tak stoję i przyglądam się jego szerokim plecami, uświadamiam sobie, że pewnie już nigdy nie będę potrafiła napić się kawy, nie myśląc o tej kuchni i mężczyźnie, do którego należy. A że w Anglii nie pije się przecież tylko herbaty, najpewniejszy jest taki scenariusz, że nigdy go nie zapomnę. Niech to szlag.

Nawet przyływ ponurego humoru nie pomaga mi uśmierzyć bólu. Zmęczona czekam, aż

się odwróci. W końcu zauważa mnie stojącą w wejściu do kuchni i na chwilę nasze spojrzenia się spotykają. Zapiera mi dech w piersiach, bo jestem przytłoczona tym, co do niego czuję. To takie podłe, że nie mogę się przed nim obronić! Czuję, że wraca złość; wolę ją niż bezradną rozpacz, która mi towarzyszy, od kiedy mi powiedział, że mam zabrać swoje rzeczy.

– W takim razie to koniec, tak? – pytam i nie mogę powstrzymać drżenia głosu. – Mam sobie pójść, a tobie to nie robi różnicy?

Uśmiecha się w ten uroczy, niezobowiązujący sposób, który mi mówi, że znów ma na sobie maskę i panuje nad emocjami. I że nie mam żadnych szans, żeby przebić się do prawdziwego Mattea.

– Nigdy nie zakładałem, że zostaniesz – mówi, a ja na chwilę zamykam oczy, bo nie chcę, żeby widział, jak okrutnie mnie zranił.

Nie potrafię się z nim pożegnać, ba, nie potrafię już wypowiedzieć ani jednego słowa, bo ból ściska mi gardło, a oczy zachodzą łzami. Ostatkiem sił staram się z nimi walczyć. Dlatego odwracam się i odchodzę. Już dawno powinnam była to zrobić.

Lecz już po pierwszym kroku czuję na ramieniu jego dłoń. Zatrzymuje mnie. Niemal brutalnie odwraca mnie twarzą do siebie i przyciska plecami do framugi.

– Nigdy niczego ci nie obiecywałem – mówi zachrypniętym głosem. Jego usta szukają moich ust, a kiedy znów spogląda mi w oczy, tonę w nich, bo nie są już lodowate; widzę w nich ogień. Wdycham jego zapach i czuję lekki ból, bo cały czas ściska mnie za ramię. Rozpala mnie tak, że natychmiast staję w płomieniach. Nie wiem, czy robi to sam, czy może ja mu pomagam, ale nasze usta łączą się w pocałunku, który prawie pozbawia mnie zmysłów. Gorączkowo przywieram do niego, smakuję go, wsuwam palce w jego włosy i czuję siłę jego ciała i jego rąk, którą tak dobrze znam. Ogarnia mnie podniecenie.

Matteo, jak ja, nie panuje nad sobą. Nie pozwala mi złapać oddechu. Przywieramy do siebie jak tonący i chętnie rozchylam dla niego uda, bo czuję tam jego dłoń. Bez zastanowienia chcę go z przytłaczającą mocą i nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby się z nim zjednoczyć i go w sobie poczuć. Dlatego jęczę przestraszona, kiedy niespodziewanie się zatrzymuje.

Nasze usta prawie się dotykają i oboje ciężko dyszymy. Jedno uderzenie serca dzieli nas od powrotu do namiętności, tym razem bez przerywania.

– To wszystko, co możesz dostać, Sophie – dyszy, a ja przez chwilę chcę się na to zgodzić, chcę mu się oddać i dać się ponieść żądzy, którą we mnie budzi... i zapomnieć, że to się nie może udać. Matteo chce tego samego. W jego spojrzeniu widzę prośbę, błaganie. Jego pocałunki są obietnicą, a pieszczoty ofertą, która ma mnie skusić. Mam zostać. Mam nie odchodzić.

Ale tak się nie da. Nie potrafię. Już nie. Bo to, co przeżywam w jego ramionach, doprowadza mnie na skraj rozpacz. Bo nie jestem stworzona do takich huśtawek emocji. Jest, jaki jest, a ja jestem inna – nie pasujemy do siebie, niezależnie od tego, jak bardzo nas to unieszczęśliwia.

– To mi nie wystarczy – mówię i odsuwam go od siebie. Udaje mi się cofnąć dłonie z jego piersi, po czym odwracam się i odchodzę. Nie, nie odchodzę, biegnę przez salon w kierunku schodów, bo chcę uciec od bólu, który rozrywa mi klatkę piersiową.

Matteo mnie nie goni i nawet nie próbuje mnie zatrzymać, kiedy opuszczam jego dom i wychodzę na ulicę. Im bardziej się od niego oddalam, z tym większym wahaniem stawiam każdy kolejny krok. Coraz mocniej pali mnie w przelyku gula, której nie mogę przełknąć. I nie mogę normalnie oddychać. Na szczęście mój hotel nie jest daleko i znam go na tyle dobrze, że na pewno go nie przeoczę. Cały czas powtarzam w myślach ostatnie minuty w jego domu i nasz

poruszający pocałunek, z którego jeszcze się nie otrząsnęłam. Dopiero sygnał komórki schowanej pod rzeczami w mojej torebce wyrywa mnie z zamyślenia. Dźwięk jest słaby i przytłumiony, ale znam go tak dobrze, że rozpoznaję go mimo ulicznego hałasu. Zatrzymuję się i wyławiam go z samego dna.

To SMS od mojego ojca, z krótką prośbą, żebym odezwała się do niego, kiedy tylko będę mogła. Szybko otwieram książkę telefoniczną i wybieram numer domu aukcyjnego, bo o tej porze tata powinien być jeszcze w pracy. Jestem już na via delle Quattro Fontane. Odbiera, kiedy zbliżam się do wejścia do hotelu.

– Tato? To ja, Sophie. Co się dzieje? – pytam i skinieniem głowy witam Daniellę Bini, która stoi za ladą i pozdrawia mnie radośnie.

Ojciec milczy przez chwilę. Zatrzymuję się gwałtownie w drodze do windy, bo czuję, że coś się stało. Włoski na karku stają mi dęba.

– Tato?

Odchrząkuje i wyraźnie próbuje się opanować, a ja czuję, jak lodowate macki strachu oplatają moje serce.

– Tato? Coś się stało z mamą? Tato, co się dzieje?! Mów!

– Nie, z mamą wszystko dobrze, na razie przynajmniej – odzywa się w końcu. Kamień spada mi z serca i chcę odetchnąć, kiedy on dodaje stłumionym głosem: – Ale mamy inny problem. Co ja mówię, to nie żaden problem. To prawdziwa katastrofa!

Rozdział 24

Promienie popołudniowego słońca oświetlają główny budynek uniwersytetu La Sapienza, nadając masywnej klockowatej bryle, która zupełnie nie przypadła mi do gustu, coś majestatycznego i eleganckiego. Zauważam to jedynie kątem oka, bo za bardzo skupiam się na swoich emocjach, które coraz trudniej mi opanować, im bliżej jestem Instytutu Historii Sztuki.

Na schodach prowadzących do wejścia siedzi kilkoro studentów, tak pogrążonych w rozmowie, że nie zwracają na mnie uwagi. Lecz kiedy znajduję się już w środku, dostrzegam przy drzwiach trzy studentki, które w czasie mojej pierwszej wizyty na uczelni namawiały Mattea, by w drodze wyjątku przyjął je na swój kurs. Natychmiast je poznaję, bo zapadły mi w pamięć. One również nie zapomniały mojej twarzy, bo przerywają rozmowę i przyglądają mi się uważnie, a kiedy je mijam, szepcą coś między sobą. Nie interesuje mnie jednak, o czym mówią, bo jestem dość zdenerwowana tym, że znów tu przyszedłam – i znów po to, by prosić Mattea o pomoc.

Tym razem sprawa jest znacznie poważniejsza – bo od wyniku naszej rozmowy i tego, czy uda mi się go przekonać, zależy naprawdę bardzo wiele. Najgorsze, że poprzednio miałam w sobie więcej nadziei, że zgodzi się nam pomóc. Dziś mocno w to wątpię.

Ostatnie dwie doby to najgorsze czterdzieści osiem godzin mojego dotychczasowego życia. Czuję się, jakbym straciła grunt pod nogami – i to w każdym wymiarze, jakby wszystko, na czym zbudowałam swój dotychczasowy świat, zaczęło się kołysać i rozpadać. Nasza przyszłość, ba, nasza cała egzystencja znalazła się w niebezpieczeństwie. Moja wizja życia po powrocie do Londynu runęła i obróciła się w pył. A już na największą ironię zakrawa fakt, że po pomoc muszę udać się do człowieka, który doprowadził mnie na skraj i zniszczył moje osobiste plany. Cóż mogę jednak teraz poradzić – potrzebujemy go i sama o tym wiem, niezależnie od tego, jak strasznie mi się to nie podoba.

Spróbowałam każdego, absolutnie każdego rozwiązania, by nie musieć znaleźć się w takiej sytuacji. Broniałam się rękoma i nogami, kiedy mój tata się upierał, że tylko Matteo wchodzi w rachubę i że tylko on może nam pomóc. Prosiłam i groziłam, telefonowałam, pisałam, szukałam informacji i dyskutowałam – efekt jest taki, że musiałam w końcu przyznać się do porażki i złożyć broń. Nie ma po prostu innej możliwości. Kiedy sobie to uświadomiłam, zebrałam się od razu i ruszyłam w drogę na uniwersytet. Bo odsuwanie tego spotkania nie miałooby żadnego sensu.

Pospiesznie przemierzam korytarz, wchodzę schodami na pierwsze piętro. Dziś jest poniedziałek, a że wcześniej poznałam plan zajęć Mattea, wiem, że ma dzisiaj dwa wykłady. Drugi zaczyna się za pół godziny. Wiem też, że woli przyjść wcześniej, żeby się przygotować do zajęć.

Zatrzymuję się przed jego drzwiami i oddycham głęboko. Potem pukam zdecydowanie, przymykam oczy i czekam, aż ze środka usłyszę krótkie *avanti!*

Matteo się uśmiecha, kiedy otwieram drzwi, lecz po chwili widzi, kto przyszedł z nim porozmawiać, i szybko poważnieje.

Sporo wysiłku kosztuje mnie, żeby nie przestać nad sobą panować. Spokojnie zamykam za sobą drzwi, podchodzę do krzesła dla gości i siadam. W środku jestem strasznie roztrzęsiona.

Nie potrafię ocenić, w jakim stanie jest on, bo bardzo szybko zapanował nad emocjami i świetnie kontroluje swoje zachowanie.

– Sophie! Czemuż zawdzięczam honor? – W jego tonie słychać sarkazm i widać go

w uśmiechu, lecz nie potrafił do końca ukryć zaskoczenia, które było zupełnie szczere. Kamień spada mi z serca, bo się mnie nie spodziewał. Mam delikatne obawy, że dobrze wie, z jakim problemem do niego przychodzę.

– To znaczy, że jeszcze o niczym nie słyszałeś? – pytam. Czuję ulgę, że ta historia nie zatacza jeszcze kręgów w naszym środowisku.

– A o czym miałbym słyszeć? – Niezadowolony unosi brwi.

– Że Enzo, którego sprzedaliśmy jednemu z naszych stałych klientów, jest ponoć falsyfikatem – wyjaśniam i oddycham głęboko, bo za każdym razem, kiedy o tym mówię, uderza mnie świadomość, jaką katastrofę to dla nas oznacza. – Któryś z przyjaciół lorda Ashbury’ego, czyli kupca, jest ekspertem od wyceny dzieł sztuki i twierdzi, że ten obraz to kopia. Przystaliśmy wcześniej na propozycję sprzedaży dzieła przed aukcją, choć sam wiesz, że to nie jest zwyczajna praktyka, więc lord Ashbury uwierzył, że to prawda. Bo tak to rzeczywiście wygląda – mając świadomość nieoryginalności dzieła, sprzedaliśmy je w prywatne ręce, by uniknąć pokazywania go publicznie. – Wzruszam ramionami. – W ten sposób znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Nie możemy oddać mu pieniędzy i przyjąć obrazu z powrotem, bo to oznaczałoby przyznanie się do winy. Ale też nie możemy siedzieć z założonymi rękoma. Gdyby informacja o tym rozeszła się w branży, byłibyśmy skończeni, bo nikt by nam już nie zaufał. I to oznaczałoby dla nas...

Matteo wstaje, choć jeszcze nie skończyłam, i robi kilka kroków – wiele więcej i tak by mu się nie udało, bo pomieszczenie jest zbyt małe. Najwyraźniej już się domyśla, czego od niego chcę. Odwraca się i świdruje mnie wzrokiem.

– Nie polecę do Londynu, Sophie – mówi, a w jego głosie słyszę zdecydowanie.

– Musisz, Matteo! Bardzo cię proszę! – błagam go. – Lord Ashbury się zgodził, żebyś przygotował ekspertyzę na nasz koszt, w jego domu, tak, żeby mógł być przy tym obecny. Poczekaj na ciebie i twój werdykt, zanim upubliczni sprawę. A jeśli rozwiejesz jego wątpliwości, wszystko będzie po staremu.

– Jest tylko jeden problem: nie piszę się na to zlecenie – wyjaśnia i macha lekceważąco dłonią. – Jest wielu specjalistów, którzy chętnie się tym zajmą. Zwróć się do nich.

– Możesz być pewny, że nie przychodziłabym do ciebie, gdyby istniał choćby cień szansy – odpowiadam zapalczywie, bo czuję, jak wzbiera we mnie bezradność i frustracja. – Nie tylko jesteś najważniejszym ekspertem od tego malarza i masz ogromną wiedzę, którą nieraz udowodniłeś, głosząc tezy, z którymi wielu się nie zgadzało, lecz po wymianie argumentów musieli przyznać ci rację, ale też uchodzisz za całkowicie nieprzekupną osobę, dlatego lord Ashbury zgodził się zaakceptować jedynie twoją ekspertyzę.

Matteo potrząsa głową i siada z powrotem na swoim miejscu. Spogląda na mnie, a ja dopiero teraz dostrzegam, jak źle wygląda. Nie, nie dosłownie źle, po prostu gorzej niż zazwyczaj. Jest bladejszy. I jakby przygaszony.

– Sophie, obawiam się, że już na początku źle mnie zrozumiałaś. Nie jestem ekspertem, którego można kupić. Nie potrzebuję pieniędzy i nikomu nie muszę już udowadniać, że mam szeroką wiedzę. Dlatego ekspertyzy wykonuję z zasady jedynie wtedy, kiedy mi to pasuje. A w waszym przypadku mi to nie pasuje. Jeśli więc przysłaś tylko poprosić, żebym to zrobił, zaoszczędzę ci czasu: odpowiedź brzmi „nie”. To ostateczna decyzja.

Może i tak, ale nie potrafię jej zaakceptować.

– Proszę, Matteo. Ta sprawa to dla nas prawdziwa katastrofa.

Na jego twarzy znów pojawia się uśmiech, od którego odbijam się jak od ściany.

– Ale to wasza katastrofa, nie moja. – Wzrusza ramionami.

Nie potrafię oddać słowami swojego rozczarowania. Wprawdzie spodziewałam się, że mi

odmówi, ale wciąż miałam w sobie odrobinę nadziei, że po tym wszystkim, co dzieliliśmy, będą się w nim tliły jeszcze na tyle mocno resztki uczucia do mnie, że podejmie się wykonania dla nas tej ekspertyzy, rozumiejąc, jakie to dla nas ważne. On za to woli opowiadać, co mu pasuje, a co nie, i patrzy przy tym na mnie, jakbym wymagała od niego skoku na bungee w przepaść!

– Nigdy jeszcze żaden człowiek nie rozczarował mnie tak jak ty – mówię i nie jest to figura retoryczna. Potem wstaję i podchodzę do drzwi. W progu zatrzymuję się i odwracam. Matteo również stoi, a na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia, które jest jeszcze gorsze niż wszystko inne.

– Przykro mi – mówi, a ja potrząsam głową, bo zadał mi straszny ból.

– Miałam nadzieję, że jesteśmy chociaż przyjaciółmi – odpowiadam, po czym odwracam się na pięcie, wychodzę i zamykam za sobą drzwi.

– Będzie mi brakowało naszych wspólnych poranków – mówi Giacomo, kiedy przychodzi czas pożegnania.

Jest późny wieczór, ale naciskał, żebym jadąc na lotnisko, jeszcze do niego zajrzała.

Potwierdzam i uśmiecham się smutno. Czas z nim spędzony to dla mnie znacznie więcej niż tylko wykonanie zlecenia. Bardzo chętnie się z nim spotykałam i świetnie się bawiłam, słuchając jego opowieści. Nie mogę jednak dłużej zostać w Rzymie; muszę wracać do Londynu i wesprzeć ojca w kłopotach związanych z obrazem Enza di Montagny. Z początku nie chciałam Giacomowi mówić o tej sprawie, bo w końcu jest naszym klientem, a im mniej ludzi dowie się, co się stało, zanim uda nam się wyjaśnić wątpliwości, tym lepiej. Nie chciałam go jednak okłamywać i wciskać jakichś wymyślonych wyjaśnień, dlatego tak nagle wyjeżdżam.

Giacomo zachował się z klasą i postanowił, że wszystkie obrazy, których jeszcze nie zdążyliśmy skatalogować, zostaną w jego posiadaniu. To znak od losu, orzekł, sprawiając wrażenie bardzo zadowolonego z takiego obrotu sprawy. Dzieła już opisane i przeznaczone na sprzedaż trafią na aukcję w Londynie, tak jak zaplanowaliśmy, mimo plotek, które lada chwila zaczną krążyć, podkopując fundamenty naszego biznesu, albo właśnie ze względu na nie. W najgorszym razie na aukcji pojawi się mniej osób albo dzieła zejdą za cenę wywoławczą, tyle że o takim scenariuszu wolę nie myśleć. Giacomo domyśla się zapewne, że jest to możliwe, ale mimo to nie zamierza wycofywać się ze zlecenia.

– Dla mnie dom aukcyjny Conroy's jest całkowicie godzien zaufania i żadna inna firma w ogóle nie wchodzi w rachubę – wyjaśnia, a ja z wdzięczności jestem gotowa rzucić się mu na szyję.

Mimo jego nastawienia postanowiłam przemilczeć jedną sprawę – staruszek nie ma pojęcia, że obraz, którego oryginalność została podana w wątpliwość, to dzieło Enza di Montagny. Bałam się, że gdyby miał tego świadomość, postanowiłby zapytać Mattea o zdanie i dowiedziałby się o jego odmowie wykonania dla nas ekspertyzy. Na pewno bardzo by się zdenerwował, a ja nie chciałam go w to wciągać. To moja sprawa i mój problem. Zresztą i tak nic się już nie da zmienić.

Jakimś sposobem Giacomo chyba przeczuwa, o kim właśnie myślę, bo przekrzywia głowę i przygląda mi się uważnie.

– A jak się układa między panią a Matteem?

Wie, że się do siebie zbliżyliśmy – nie mógł tego nie zauważyć, skoro Matteo niemal codziennie odbierał mnie po pracy.

– Okazało się, że miał pan rację – odpowiadam ze śmiechem, żeby nie dać po sobie poznać, jaka jestem przez to smutna. – To nie jest mężczyzna dla mnie.

Giacomo wzdycha głęboko.

– Szkoda, wielka szkoda. Naprawdę miałem nadzieję, że się jednak pomyliłem. Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że tym razem trafiłem jak kulą w płot.

Spoglądam na niego zaskoczona.

– Przecież mówił pan, że związek z Matteem to niezbyt dobry pomysł.

Uśmiecha się słabo, jakby czuł się czemuś winien.

– Bo z początku rzeczywiście tak było – przyznaje. – Bo widziałem, jak mocno na siebie reagujecie, pani na niego, a on na panią. Wyjątkowo intensywnie. Już na przyjęciu byłem zaskoczony, ale że wtedy jeszcze pani nie znałem i nie potrafiłem pani właściwie ocenić, bałem się, w którą stronę to pójdzie. Bardzo nie chciałem, żeby sprawił pani ból. Albo pani jemu. – Spogląda na mnie przenikliwie. – Matteo potrafi ranić, ale tylko wtedy, kiedy uważa, że musi się bronić. Od razu miałem wrażenie, Sophie, że jest pani kobietą, która potrafi go przebudzić.

Nie jestem w stanie się uśmiechnąć i nie potrafię nic powiedzieć, bo gdybym spróbowała, zalałabym się łzami. Dlatego milczę i nie cofam dłoni, którą ściska. Nie ma sensu ukrywać uczuć, bo Giacomo potrafi przejrzeć mnie na wylot.

– Miłość nie jest prosta. Ta wiedza przychodzi czasem po czterdziestu latach małżeństwa, dlatego może mi pani wierzyć – mówi. – Bywa, że miłość to regularna wojna.

Miłość, myślę ze strachem i zamykam na chwilę oczy, żeby wytrzymać rozpacz, która mnie ogarnia i ściska mi gardło. Jeśli między Matteem a mną rzeczywiście zrodziła się miłość, to wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam. I naprawdę nie wiem, czy chciałabym walczyć o coś, co sprawia mi taki ból.

Na szczęście nie muszę nic więcej mówić, bo w tym samym momencie rozlega się dzwonek do drzwi.

– Oho, to pewnie moja taksówka – mówię i wstaję z kanapy, na której siedzieliśmy.

Giacomo odprowadza mnie na parter, do samego wyjścia, gdzie czeka już kierowca taksówki i pod czujnym okiem Rosy pakuje moje rzeczy do bagażnika.

– Jeszcze raz dziękuję za wszystko, Sophie – mówi Giacomo. Obejmuję go na pożegnanie, bo naprawdę się do niego przywiązałam i trudno będzie mi odejść i zostawić za sobą wszystko, co przez ostatnich kilka tygodni wypełniało moje życie.

Droga na lotnisko jest długa, ale na szczęście kierowca taksówki nie należy do gadułów, które każdego pasażera chcą wciągnąć do rozmowy. Może zresztą wyczuwa, że nie jestem w nastroju do konwersacji, i daje mi spokój.

Kiedy dojeżdżamy na lotnisko, robię wszystko mechanicznie – płacę za przelot, nadaję bagaż i ruszam na poszukiwanie swojej bramki. Za to moje myśli kręcą się w kółko i rozpaczliwie szukam jakiegoś wyjścia z sytuacji, w której nasza cała egzystencja staje pod znakiem zapytania. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo łamię sobie nad tym głowę, nie znajduję rozwiązania. Tylko Matteo mógłby zapobiec katastrofie, ale jego ze mną nie ma. Nie poleci wykonać ekspertyzy dla lorda Ashbury'ego, a kiedy ten się o tym dowie, nie będzie dłużej czekał z upublicznieniem całej sprawy.

Na razie nie powiadomiłam taty o decyzji Mattea. Boję się jego reakcji, kiedy w końcu się dowie. Jest ciężko przerażony tym, co się stało, i jedyny ratunek dla nas widzi w uniknięciu skandalu, a żeby to nam się udało, musielibyśmy spełnić warunek kupca obrazu. Dlatego nie odważyłam się dotychczas przekazać mu złych wieści przez telefon – że do Londynu wrócę sama. Bez Mattea.

Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Chodzę tam i z powrotem, aż w końcu staję przy przeszklonej ścianie i wpatruję się w ciemność na zewnątrz, rozświetlaną jedynie przez lampy samolotów.

Bez Mattea. Wolę nie myśleć, co to oznacza dla mnie osobiście. Bo ledwie poruszam ten temat, w moim sercu pojawiają się pęknięcia i muszę ratować się przed bólem, który szybko wypełnia moje ciało i mnie paraliżuje.

Załamana zamykam na chwilę oczy i w myślach wypowiadam życzenie, by moje życie i wszystko, co czyni je wartościowym i ciekawym, przestało zależeć od tego człowieka, który jest tak trudny we współżyciu. Żeby nie była już tak bezradna wobec uczuć, które łączą nas wbrew mojej woli.

Tymczasem są znacznie mocniejsze, niż myślałam, bo kiedy otwieram oczy, widzę jego twarz w szybie. Odbija się w szklanej tafli, choć mam pewność, że to tylko moja wyobraźnia. Fantazja płata mi figle. Nie przyjechał jak na imprezę do Santarellego, niczym rycerz w lśniącej zbroi, by mnie uratować. Już za późno...

– Sophie?

Odwracam się gwałtownie, bo dociera do mnie, że to rzeczywiście on.

Jest blady. Nawet bardzo blady. I zdenerwowany.

– Nie możesz lecieć – mówi.

Potrząsam głową, wciąż jeszcze zbyt zaskoczona i zdezorientowana, żeby zrozumieć, co się dzieje.

– Słucham?

– Nie możesz wsiąść do tego samolotu – powtarza. – Chyba że nie chcesz, żebym z tobą pojechał.

Przez chwilę boję się odetchnąć. Patrzę na niego i widzę, jak przeczesuje dłonią swoje blond włosy – to gest, który znam. Oznacza, że jest mu ciężko.

– Ja nie latam, Sophie. Nigdy. Jeśli mam się wybrać z tobą do Londynu, to pojedziemy samochodem. To mój warunek.

– W porządku. – Z mojego gardła wydobywa się tylko szept. Potem muszę podejść do ławki i usiąść, bo inaczej kolana by się pode mną ugięły i wylądowałabym na posadzce. Nie mogę oderwać od niego wzroku, bo cały czas nie dowierzam, że to nie sen.

Matteo siada obok, a ja nie potrafię odczytać, co się kryje w jego pięknych oczach.

– To, co powiedziałaś w moim gabinecie... dało mi do myślenia. – Uśmiecha się, jakby śmiał się trochę z siebie, i wracają mu kolory. – Nie zostawiam przyjaciół w potrzebie. Nigdy. I to jest właśnie taka sytuacja: przysługa przyjaciela. Nic więcej. Rzucę okiem na ten obraz i wracam. Jeśli to kopia, nic nie będę mógł na to poradzić.

Potakuję i wytrzymuję jego spojrzenie. Czuję przeogromną ulgę... Zgodził się nam pomóc! Zgodził się mnie pomóc...

Nie, to nie jest happy end, powtarzam sobie w myślach. Nie mam zielonego pojęcia, co okaże się w Londynie.

Matteo jest nieprzekupny; może nas uratować albo ostatecznie pogrzyść. I zostanie tylko tyle, ile trzeba. Nic nie jest przesądzone i nie wiadomo, co się stanie z naszą firmą. I z Matteem. Przede wszystkim z nim.

Mimo wszystko się uśmiecham – bo jest tutaj, bo wraca ze mną i jeszcze dlatego, że moje nierozsądne serce uważa, że kilka dni w jego towarzystwie to i tak więcej niż nic.

Nawet dużo więcej.

[1] Cytowane fragmenty pochodzą z wiersza Johna Keatsa pt. *Litości – Zmiłowania – Miłości!* z antologii pt. *33 wiersze*. Wybór, przekład, wstęp i opracowanie S. Barańczak, Znak, Kraków 1997.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

